Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty pierwszy.

KOMEDJANCI.

.....

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

..... wszyscy na teatrze ..
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi ...
FREDRO. Przyjaciele.

To ius mundus agit histrioniam ....
PLAUTUS

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom I.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Biblioteka
Polonijna
w Buffalo, N.Y.

— Stendhal powiedział, że powieść być powinna „zwierciadłem przechadzającem się po gościńcu.“ Zawsześmy to określenie jego mieli na pamięci, z dodatkiem iż zwierciadło wypukłem lub wklęsłem być może, jeźli sztuka wymaga tego. — Wszystkie powieści nasze współczesne, z owych lat, z których Komedjanci pochodzą (1850 — 1854) oparte są na rzeczywistości, z niej wzięte — odbija się w nich wołyński świat, na jaki się długo patrzało — nie tworzyliśmy nic, studiowaliśmy wszystko. Tu i owdzie zwierciadło użyte było tylko wklęsłe lub wypukłe — nigdyśmy się nie porywali na malowanie ludzi i sfer nam nieznanych, któreby odgadywać było potrzeba. I jeźli mają dziś jaką wartość te opowiadania, ciągną ją całą z tej trochy prawdy, jaka się w nich mieści. — Żadna prowincja nie miała więcej oryginalnych typów, więcej w sobie żywotności — nad tę. Czuć było w niej zasoby wielkie, które się tylko rozwinąć nie mogły, wśród nieprzyjaźnych im okoliczności. — Największa rozmaitość charakterów, usposobień, wychowania i ukształcenia, składała tę społeczność, w której i z dawnych żywiołów wiele i nowo wyrobionych nie mało się obracało. —

Od szlachty Owruckiej do pół-panka w pałacyku, od książąt palących w piecach u żydów, do dorobkowiczów z brylantami na palcach nie umiejących pióra utrzymać — mieliśmy tam wszystkiego podostatkiem.

Dla powieściopisarza był to obfity materjał, tak obfity iż do jednego marszałka w Latarni sześciu się przyznawało, że za wzór służyli. — Denderów w Komedjantach miał też ten zaszczyt iż go zastosowywano do kilku mu podobnych. Był to najlepszy dowód iż autor stworzył go z rysów pojedyńczych i nie myślał o fotografji.

Pierwsza część Komedjantów wyszła w Petersburgu; a później w wydaniu powtórnem razem z drugą, (napisaną o rok potem) — w Warszawie. — Dwa tylko tomy miały dwie edycje. — O tłumaczeniu żadnem nie wiemy.

Drezno.
1873. Sierpień.

J. I. Kraszewski.

Jak wszystko dawne, znikają powoli i nasze stare dworki szlacheckie, poczciwe słomiane strzechy, skryte pod cieniem lip odwiecznych. Dziś myśmy wszyscy panami potrosze, zaprawdę nie wiem dla czego: może dla tego właśnie, że bardzo na panów krzyczymy. Nie byłoby to logiczne, ale byćby mogło naturalne. Każdy z nas chętnie wywołuje przeciwko arystokracji i arystokratom, tam nawet ich widząc, gdzie ich nie ma. Każdy z nas potem chętniej jeszcze radby panów małpować.

Dworek szlachecki, to starych cnót siedlisko spokojne, przetwarza się powoli na pełną pretensji niesmacznej willę, pałacyk; lipy otaczają się trawnikami, grzędy ustępują miejsca angielskim ogrodom, pasieczka rusza do lasu, gołębie na folwark, stajnie chowają się za bzy, tok zawstydzony usuwa się na bok daleko, a monumentalna brama stara, drewniana, przedzierzga w chatkę szwajcarską, która i chatką nie jest, i szwajcarską być nie może.

Nie grzech to zapewne, że piękno lubimy i chcemy się niem otoczyć; ale dowodem jest wielkiego ubóstwa, że nie umiejąc stworzyć pięknego z naszych własnych elementów, naśladujemy tylko niedołężnie, co gdzieś

stworzyli sobie obcy. Obczyzna, niestety! stary to nasz grzech, z którego spowiadamy się nieustannie, a poprawić nigdy nie możem! Co do mnie, ja kocham stary szlachecki dworek miłością, jaką mam dla poczciwych dawnych czasów, gdy to więcej jeszcze byliśmy sobą; witam ostatnie pamiątki przeszłego życia ze czcią i głową schyloną, jak bym witał konającego gladiatora; a myśląc, jak za lat kilkadziesiąt zniknie z ziemi wszystko dawne, serdeczny mnie żal przejmuje. Dworek szlachecki dzisiaj już być poczyna monumentem.

Jeszcze przed laty trzydziestą, więcej mieliśmy tych szarych, poważnych domostw o wysokich dachach, o pierzastych kominach, o szerokich sieniach, stojących jednym bokiem do cienistego ogrodu, drugim do ożywionego podwórza; wiecej dworków z ganeczkiem o dwóch słupach rzeźbionych i ławach, o dwóch kominach, otoczonych gospodarskiemi budowlami, i poważnie jak szlachcic-rolnik zdającemi się stać na straży wśród pracującej czeladki.

Do jednego to z takich staroświeckich jeszcze nieprzetworzonych dworków, zajeżdżał ostatnich dni skwarnego lipca..... roku, wózek jednokonny z wprzężoną w hoboble klaczą gniadą, spasłą i powolną. Brama u której stały dwa drzewa rozłożyste i spichlerz z galerją, otwarta była na rozcież; wielki moręgowaty brytan powitał w niej przybywającego, i zakręciwszy ogonem pobiegł za nim wesoło do ganku.

Na wózku sam jeden siedział w białym kitlu i konfederatce, bardzo już nie młody człowiek, z siwym wąsem spuścistym, wygoloną głową i posępną twarzą, surową razem i łagodną, bo się na dawnych obliczach umiała nie raz godzić z dobrocią męska szorstkość i

rubaszność marsowa. Stary sam się powoził; rzuciwszy klaczy lejce, zsiadł powoli z wózeczka, a posłuszna towarzyszka przejażdżki stępo odszedłszy z wózkiem pod stajnię, zastanowiła się u wrót jej, i pewna, że sobie wywoła stajennego, zarżała. Stary, wyraźnie gospodarz domu, usiadł tymczasem w ganku, otarł pot z czoła opalonego, a nie widząc nikogo, spoglądał po dziedzińcu, ażali się kto nie zjawi. Po chwilce ukazał się biegiem spieszący parobczak, który zaraz ku stajni się skierował.

— Słuchajno Hryćku, mosanie — rzekł stary — co to u was jak wymiótł, nikogo nie widno! Gdzie ten duda gumienny?

— A koło żniwiarzy.

— Prawda, tylko go tam nie widziałem; a Janek?

— Powiózł dla nich wodę z beczką.

— Cóżem go nie spotkał? A panienka?

— Z Brzozowską i dziewczętami poszła ot tu w brzezinę na grzyby.

— W taki upał! głowę sobie przepali!

— Tylko co poszły, widziałem: jeszcze ledwie do brzeziny może dochodzą.

— Nie lepiej mosanie było kazać sobie zaprządz?

— Panienka nie chciała.

— A nie napój-że chorążanki (tak się nazywała), albo jej obroku nie zasyp — dodał stary — bo to ty, mosanie, gotów na wszystko, aby tobie tylko prędzej wylecieć, a klacz gotowa się ochwacić.

— Czy to mnie pierwszyzna! — odparł Hryćko ruszając zlekka ramionami.

— Otóż-to, że ci nie pierwszyzna ochwacić konia, dla tego ci to mosanie się mówi.

Parobczak zapewne stare grzechy przypomniawszy

sobie, w milczeniu już powiódł chorążankę do stajni, a stary pozostał jeszcze czas jakiś na ławie. Widać na nim było znużenie, z którem zwykle do głowy przychodzą myśli smutne i dumy niepotrzebne; podparł się na dłoni, oczy wlepił w podłogę i wzdychał.

Prócz skrzypiących wrót stajni, prócz lekkiego szumu lip starych i dalekich bardzo odgłosów pieśni żniwiarzy, nic więcej słychać nie było. Cisza letnia, cisza skwarnego wieczora, dodawała majestatyczności przepysznie zachodzącemu słońcu; rzekłbyś, że wszystko umyślnie zamilkło, żegnając pana dnia i ścieląc sobie także łoże spoczynku.

W takichto chwilach sam sobie zostawiony człowiek, jeśli młody, bawi się jak piłkami, barwnemi nadziejami przyszłości; jeśli stary, przerzuca z westchnieniem zbutwiałe zmarnowanego życia wspomnienia. Zmarnowanego! bo któż nie powie u schyłku dni swoich, że mu zmarniało? Któż wszystko otrzymał co marzył, kto się otrzymanem zaspokoił? Komuż życie ziściło co obiecywało, i kto nie pochował na cmentarzu pamiątek niedorosłych serca nadziei?

I stary nasz gospodarz dumał uroczyście, niekiedy tylko nastawiając ucha, czy nie usłyszy głosu córki; ale gaj brzozowy był trochę opodal, pieśń tylko żniwiarzy pochodziła jego uszu, i dumanie przeciągało się nieznacznie. Brytan Rozbój, który go powitał u bramy, jeden u nóg pańskich siedząc, kiedyniekiedy dla przypomnienia się liżąc mu ręce, dotrzymywał starcowi towarzystwa milczeniem wesołem. Poruszający się żywo kusy ogon Rozboja, oczy jego świecące, morda ku panu wzniesiona, dowodziły tego szczęśliwego usposobienia.

Wiaterek coraz chłodniejszy poruszał żywiej drzew

gałęzie, przeleciał muskając siwy włos gospodarza. Napomniany niem pan Jacek Kurdesz poszukał klucza w kieszeni, by wnijść nareszcie do chaty, gdyż po staroświecku jeszcze chatą tylko nazywał pospolicie swój czysty i ładny domek. Przeszedłszy bardzo skromną pierwszą izbę, w środku której stał pod kilimkiem tureckim stół okrągły kolbuszowskiej fabryki, kilka stołków biało olejno malowanych, komódką mosiądzami ozdobna, stary zegar gderający powoli schrzypłym głosem, a na ścianach wisiały obrazki świętych Pańskich i parę płócien wyobrażających śmierć Chodkiewicza, niewolę Maksymiliana, odsiecz Wiedeńską i piękną Bednarczankę; dobył pan Jacek klucza drugiego i otworzył izdebkę swoję, tuż obok bawialnej izby będącą. Tu wązkie łóżko skórą pokryte, nad którem trocha broni i blacha z Najświętszą Panną Częstochowską wisiała, para kufrów gdańskich, stolik i trochę węzełków a gratów, zajmowały cały niewielki alkierzyk. Okienko od niego wychodziło na ogród, wysadzony porządnie gruszami i jabłoniami, popodpieranemi i poobmazywanemi gliną starannie, zarosły agrestem, porzeczkami, krzakami malin i truskawek od spodu. W środku pod starą smolanką, którą wiatr nielitościwie nadłamał, widać było darniową kanapkę.

Stary wynalazłszy tu swoje Officium, związane rzemykiem i okulary, zabierał się do pierwszéj izby na wieczorną modlitwę, gdy żwawy kłus konia ucho jego uderzył.

— A do djabla niosanie! — rzekł w sobie pan Jacek, żywo kładąc książkę na stoliku i okulary na nią. — Któżbyto zaś miał tak jechać? Nie gumienny, bo przed ganek, i to nie kłus dropiatego; nie chłop, bo to duże-

go konia chód wyraźnie, nie...

I słowa mu na ustach zamarły, gdy pochyliwszy się do nizkiego okna, ujrzał na ślicznym wierzchowcu młodego bardzo mężczyznę, a wedle swych wyobrażeń młokosa, który ze sługą w jasno-zielonej kurtce, na bułanym koniu kozackim mu towarzyszącym, stawał właśnie przed gankiem.

— Otóż jest mosanie — rzekł pan Jacek — sroka ranna wywołała gościa: bo taki sroka nigdy daremnie nie krzyczy; a tu i Franki w domu nie ma, i Brzozowskę licho z domu na te grzyby wyniosło, i ja jeden jak palec z tym błaznem Hryćkiem zostałem się sam a on i szklanki wody, jak się patrzy, podać nie potrafi. Dajżetu sobie rady, kiedyś mądry!

W sieni już było słychać głos i szastanie nogami; stary rad-nie-rad pospieszał powitać gościa, choć niezbyt ochoczo, z powodu, że był sam jeden, ale serdecznie mu wdzięczen, bo po staremu: gość w dom, Bóg w dom.

— Żeby choć Brzozowska rychło wróciła! — mówił w duchu biorąc już za klamkę.

Z drugiej strony progu, młodzieniec uśmiechnięty, bardzo wytwornie ubrany, stoi nie piękny twarzą, ale świeży i wesół. Z dziwnem wykrzywieniem ust, zakrawającem na szyderstwo, pytał zdejmując czapeczkę:

— Pan Jacek Kurdesz?

— Jestem do usług pańskich *in persona*, a proszę do środka *ante omnia*, bo przez próg się nie witają.

Panicz poskoczył do izby, obejrzał się szybko i pokloniwszy się powtóre, rzekł dosyć grzecznie, choć dosyć dumnie:

— Miło mi poznać sąsiada; jestem Sylwan Dendera. Ojciec mój przysyła mnie, abym mu ukłon od niego

oświadczył, a razem prosił go na przyjacielski obiadek, na niedzielę.

Twarz starca widocznie zajaśniała radością: zniżył się ledwie nie do kolan młodemu paniczowi i składając ręce, rzekł z przejęciem, tchnącem czasów dawnych szlachecką dla panów czołobitnością:

— Ileż wdzięczności mosanie, winienem jaśnie wielmożnemu grafowi! Jakże potrafię przyjąć tak dostojnego w mojej chatynce gościa!

Młodzieniec się uśmiechnął, wziął wyciągniętą dłoń starego, wstrząsnął nią poufale, i szukając krzesła, zawołał ze śmiechem niedorzecznie dosyć:

— Jakże pan tu szczupło mieszka!

Starzec cokolwiek oprzytomniał, widząc, że młokos dość go lekko traktuje; i nie tracąc uniżoności dla krwi jaśnie wielmożnej, raźniej przecie i śmielej odpowiedział:

— A cóż, jaśnie wielmożny grafie, mosanie, nie dla na-to szlachty ubogiej pałace: człek sobie do słomianej strzechy przywykł.

Młodzieniec roztargniony muszcząc młodego wąsa, nie wiedząc co mówić, poglądał po kątach.

— Pan tu dawno już mieszka?

— Tum się mosanie urodził, i zdaje się, że tu i umrę, jeśli Bóg pozwoli.

— Tak sam jeden?

— Juścić nie zupełnie sam, — ośmielając się i rozgadując mówił Kurdesz. — Straciłem prawda najlepszego towarzysza świętej pamięci żonę moję, ale mi po niej została córka, pociecha i podpora starości. Miałbym to sobie za szczęście, mosanie, jaśnie wielmożny grafie, przedstawić ją jako gospodynią mojej chatynki, ale nieszczęściem wyszła...

Stary chciał już powiedzieć: na grzyby, ale mu się wymknęło: na przechadzkę. Przed panem grafem jakoś się grzybów powstydził.

— Czym tylko w przyległej brzezinie nie spotkał córki pańskiej — niedbale podtrzymując rozmowę rzekł Sylwan — w białej z różowem sukience, włosy ciemne...

— I bardzo piękna dziewczyna — dodał spiesznie pan Kurdesz.

Sylwan się uśmiechnął nieznacznie do siebie, kończąc:

— Obok szła podżyła i otyła kobiecina.

— A to Brzozowska, ani chybi — przerwał pan Jacek — i jeszcze dziewki, mosanie.

— Już tam reszty nie widziałem.

Nie wiem dlaczego młody człowiek trochę się zamyślił; coś zdawał sobie rachować, potem zdjął rękawiczki i milej nieco uśmiechnąwszy się do starego, prosił o pozwolenie chwili spoczynku.

— Tfu! człek głupieje na starość! — zawołał gospodarz — a toć mnie pan graf zawstydzasz swoją dobrocią: mnieto samemu należało *humillime* prosić, żeby koniki choć wysapały się przy żłobie i zęby przetarły. A tymczasem i moja Franka nadejdzie — dodał w duchu do siebie — i Brzozowska, i podwieczorek choć siaki taki dla tego grafiątka skoncypujemy.

Wyszli tedy na ganek oba, a stary spojrzawszy na konie wierzchowe, nie odpuścił ich do stajni, póki nie obejrzał. Sylwan był także koniarzem, lub go przynajmniej udawał: miał lub chciał mieć tę żyłkę szlachecką, do której moda dodała angielskiego pierwiastku. Poczęli oba oglądać, rozprawiać, i rozmowa łatwiej już dalej poszła.

— Pański koń na oko ślicznota: rasowy, krew jest,

caceczka, ale do pracy.... — zamknął szlachcic — do pracy, mosanie, wolę tego niepoczesnego kozackiego bułanka. Toto koń! Wytrzyma dzień cały, choćby mu się nie dać i wysapać: nogi tęgie, skład mocny, żylasty, kość gruba, pierś aż miło.

— A mójże? — spytał hrabia.

— Pański, mosanie, caca lala, ale kto go wie, co on może wytrzymać? Schlasta się we dwie godziny.

— Ta laleczka kosztuje mnie przecie do dwóchset dukatów.

— Bardzo być może i nie dziwuję się temu; ale dla mnie JW. grafie mosanie, te angielskiego rodu konie jakoś nie w smak; cienkie to, chartowate, i choć może szybkie na krótką metę, ale na wytrwanie wolę nasze wschodnio-polskie. Angielskie za szkłem śliczne, ale co mi po tem, kiedyto chuchać bez miary, a jechać pod strachem trzeba. Ej! kiedyśto i człowiek miał stajnią, mosanie, i wierzchowe niczego, ale teraz...

— Może i terazby się co znalazło? — trochę szydersko zapytał pan Sylwan, mrugając na swego kozaka zpoza starego.

— Choćby się i znalazło, to nie do smaku pańskiego — dokończył pan Jacek. — Mamci to ja siwkę...

— A niechno pan każe pokazać!

— Juściż się jej nie powstydzę: to harna bestja! Ale kiedy to i wyprowadzić po ludzku nie ma komu! Wola gościa święta! Hej! — zawołał — pokażcieno tu młodszą siwkę; tylko ją weź po ludzku!

Hryćko się zawinął, zarzucił kantar na głowę faworytalnej klaczy gospodarza, i piękne to stworzeńko ukazało się raźnie, ochoczo, wesoło wychodząc ze stajni, gdyby panienka co ją na bal wiodą. Pan Sylwan Den-

dera, który się w szlacheckiej stajence spodziewał niepoczesnego chmyza, zdumiał się tak, że aż kilka kroków naprzeciw siwki postąpił.

Ślicznabo to klacz była! Wschodnia krew czuć się w niej dawała: niezbyt rosła, niezmiernie kształtna, z łbem pełnym wyrazu, z nogą suchą a muskularną, z żyłami wybitnie oznaczonemi po całej skórze, lśniąca, błyszcząca, wymuskana jak pieszczone dziecię, wydawała się przy angliku hrabiego jak piękna wiejska dziewczyna, przy wyszznurowanej i bladej panience.

Stary Jacek z uczuciem pogładził śliczne stworzeńko, które wąchając, kawałka chleba zwykłego po rękach jego szukało. Hrabia podziwiał, oglądał siwkę i chwalił ją szczerze: nawet trochę zazdrości przebijało się w jego wyrazach, rad był serdecznie znaleźć jaką wadę, ale nie mógł.

Gdy tak koniarzują w dziedzińcu, Franka, córka pana Kurdesza, powraca spiesznie z brzeziny. Widziała ona i pani Brzozowska, że nieznajomy jakiś piękny młodzieniec na dzielnym koniu pojechał do Wulki. Ciekawość, wreszcie potrzeba pomożenia ojcu w przyjęciu, dodała nóg France, za którą ledwie zdążyć już mogła Brzozowska, stara, zdyszana i zapocona, podbiegając a stękając.

— Brzozosiu! na miłość Boga pospieszajmy, — co chwilę powtarzała Frania — ojciec sobie nie da rady.

— Tak, tak, niech już panna nie bałamuci darmo; nibyto ja tego nie rozumiem: kawalera się chce zobaczyć. Nie bójże się, nie uciecze: zastaniemy go jeszcze; nie po co on przyjechał.

— Wyobraź sobie Brzozosiu, któżby to mógł być? — pytała pospieszając Frania.

— Albo ja wiem. Królewicz może jaki.

— Ty bo żartujesz ze mnie.

— Ale nie, moja śliczna panienko: jakbyśto i królewicza nie była warta?

— No! jakże ci się jednak zdaje, kto to taki?

— A któżby to zgadł!

— Czyś bardzo zmęczona?

— Ledwie się wlokę.

— No, to wiesz co, zostań się trochę z Agatą, a ja z Horpyną trochę przodem pobiegnę.

— O! co na to nie pozwolę, jak Boga mego kocham: jeszcze mi się potem rozchorujesz..... dość już i tak lecim! Nie bójże się, nie uciecze.

— Wstydź się Brzozosiu! prześladujesz mnie; widziałaś jaki koń śliczny?

— I chłopiec niczego.

— A za nim sługa.

— Wszystko tak jakoś z pańska: sługa zielono.

Podobnie rozmawiały całą drogę od brzeziny do dworku, a biedna Brzozowska jak mogła dreptała, żeby zdążyć za panienką, która ledwie że nie leciała do dworu biegiem.

Cóż dziwnego? Tak było pusto w Wulce, tak smutno i tak rzadko gość do starego szlachcica zawitał. Nowa postać była zjawiskiem tak niespodzianem i dziwnem, że samej Brzozowskiej nóg i ochoty dodawała. My spojrzymy na Franią, na jedynaczkę pana Jacka, piękną polną różyczkę, wykwitłą wśród dzikich zarośli.

Przebywszy młodość w wojsku, nabiedowawszy się na świecie, pan Jacek nierychło wrócił na zagon domowy, i nierychło się już szronem obsypany będąc, ożenił. Niedługo cieszył się swojem szczęściem spokoj-

nem, bo wkrótce żona mu zmarła, jedno tylko zostawując dziecię. Do niego, jak do ostatniego węzła co go ze światem łączył, przywiązał się stary szlachcic całą duszą, sercem całem.

Ale jakież być mogło wychowanie pieszczonej jedynaczki w osamotnionej Wulce? Stara Brzozowska niegdyś przyjaciółka pani Kurdeszowej, dziś rezydentka i gospodyni na jej miejscu, podjęła się wypieszczenia Frani; dopełniła też tego sumiennie i serdecznie, i wyhodowała, wychuchała jedynaczkę jak najlepiej, wespół z ojcem wiecznie niespokojnym, zawsze jeszcze utrzymującym, że dziecię nie dosyć było pieszczone. Frania wyrosła na panią samowładną wśród posłusznych poddanych, z których najpierwszym był ojciec: wola jej była rozkazem, uśmiech weselem wszystkich, smutek strapieniem powszechnem. Jednakże ta samowładność Frani miała pewne granice: gdzie chodziło o jej zabawy, strój, rozrywkę, wszystko było na usługi; cokolwiek mogło obchodzić przyszłość, wpłynąć na los, tu już pilne oko ojca czuwało, i z pierwszego sługi, pan Kurdesz wracał do praw rodzicielskich. Ale je czuć dawał z taką miłością, z tak troskliwem baczeniem na uczucia Frani, a dziecię było tak łagodne i wierzyło w ojca, że nigdy nawet nie miało chętki sprzeciwić mu się. Swobodna zresztą jak łania w lesie, wykołysana przez starca, przebujała młodość swoję, nie poznawszy co boleść i cierpienie. Pan Jacek choćby go na to stało, nie chciał wychowywać na wielką panią, raz, że potrzebaby nad nauką trochę dziecię pomęczyć, a na to zezwolić mu było bardzo ciężko; powtóre, że dla kobiety nie widział potrzeby innego wychowania nad staropolskie troskliwe czuwanie, by wzrastała czy-

sta, święta, hoża, rumiana i wesoła. Frania też nic wcale się nie uczyła: umiała tyle ledwie co Brzozowska, która jako-tako czytała modlitwy, do których była przywykła na książce, i umiała się dość krzywo podpisać.

Oprócz tego nauczyła ją troskliwa opiekunka pobożnych kilku i światowych tekstów śpiewać, robić ponczochę, szyć gładko, sny tłumaczyć, ziółka suszyć, piec baby, pierniki, tłuczeńce i makowniki i t. p. Pan Kurdesz w głębi duszy był przekonany, że umiała bardzo dosyć.

W istocie, świata i ludzi nie znała bynajmniej biedna Frania, widząc przez świat zaczarowany bajek, podań i cudownych powieści, całe czekające ją życie. Po jej główce jak w skazce, chodzili jeszcze królewicze, przelatywały najdziksze złocone marzenia. Budziła się wesoła, zasypiała spokojna, żaden smutek nie zmarszczył jej czoła; nie miałaż prawa powiedzieć o sobie, że tak być musi, że tak zawsze będzie?

Frania była pięknem dziecięciem, ledwie siedmnastoletniem: czarne duże oczy, włos ciemny prześliczny, płeć trochę ogorzała, ale świeża, starego używszy porównania, jak pączek różany. Usta maluczkie, zęby bieluchne i drobne, ręka i noga kształtna, kibić zręczna, choć nie do zbytku wycieńczona, bo jej dano wzrosnąć i rozwinąć się swobodnie; a przytem śmiała, wesoła, raźna i niewinnie zalotna. Uśmiech nieustannie z kąta w kątek błądził po jej twarzy, pełnej wyrazu dobroci łagodnej i odwagi razem. Nic ją nigdy nie ulękło, nie rozumiała strachu: prawa córka szlachcica, gotowa była zuchwałego skarcić dłonią, z losem się poborykać i kroku nie ustąpić nieprzyjacielowi. Nieprzebrane skarby miłości, poświęcenia, litości i męstwa zebrane były

w jej czystej i spokojnej duszy, jak ziarno w bogatym śpichrzu na głodne lata.

Ciekawa a nietrwożna, z koszykiem na ręku wbiegła Frania z Brzozowską i dziewczętami w dziedziniec, a ledwie róg białej jej sukienki u wrót się pokazał, ojciec zapomniawszy gościa, cały się ku niej obrócił. Za nim i młodzieniec z wyszukaną grzecznością powitał wesołe dziewczę, które wprost mu w oczy spojrzawszy, usiłowało odgadnąć, co tu tak niezwykły robić może przybylec.

— Otóż i moja Frania — zawołał Kurdesz — chodźżeno, chodź Franiu — dodał żywo — mamy gościa. JW. graf Dendera tak na starego swego łaskaw sługę, że przez własnego syna zaprasza go na uroczystość solenną.

Frania uśmiechnęła się wesoło, powtórnie zajrzała w oczy hrabiemu, który naturalnie wzroku nie odwrócił, ani się zmieszał; a źle zrozumiawszy jej niewinną śmiałość i zalotność, wziął ją na rachunek swego imienia i postawy, nie staropolskiej prostoty i uprzejmości.

— A teraz z Brzozowską pomyślcie o podwieczorku — dodał Kurdesz.

Brzozowska, która stała w zachwyceniu patrząc na ładne hrabiątko i egzaminując łakomie to jego, to sługę, a nieledwie licząc guziki u sukien, odezwała się naiwnie:

— Ale czemżeto takiego pana przyjmować?

Pochlebiło to Sylwanowi, który z uśmiechem rzekł:

— Szklanka mleka, kochana pani.

— Oho! co na to, to niezgoda — zawołał żywo stary — tak nie odpuszczę. Co to pan myśli, że u nas herbaty i kawy nawet się nie znajdzie, albo i kieliszka wina starego?

— A możeby co zgotować? — przerwała gościnna

Brzozowska — kurcząt upiec do sałaty, albo...

— O! ja jeść nic nie będę.

— Tak głodnego nie puścimy — stanowczo odparł szlachcic.

Frania i Sylwan przez czas tej rozmowy ciekawemi mierzyli się oczyma; pierwszyto raz w życiu dziewczę spotkało tak pięknego młodzieńca, który marzenia jej może urzeczywistnił; Sylwan uwiedziony zarazem pięknością jej i śmiałością, snuł naprędce romans bez ceremonji. Tak-bo to zdawało mu się wygodnem mieć sobie niezawodną kochaneczkę, niedaleko od Denderowa, w domku, do którego mógł przyjeżdżać bez fraka i żółtych rękawiczek!

— A teraz prosimy do pokoju — rzekł szlachcic biorąc pod rękę hrabiego, i trochę nierad upartemu przypatrywaniu się sobie młodych ludzi.

Frania ledwie kilka słów przemówiwszy, z Brzozowską razem pobiegła przysposabiać podwieczorek.

Już nie wiem jak i czyją sprawą upiekły się kurczęta, przygotowała sałata i zrobiły pierogi z serem, bo Brzozowska gorejąca ciekawością i niepokojem, podbudzonym do najwyższego stopnia, latała jak oparzona, pojąc służącego i pytając go o wszystko, co wiedział i czego nie wiedział.

Frania jak skoro mogła odejść, nie tając się z ciekawością swoją, także pospieszyła do pokoju, gdzie hrabia palił cygaro, o koniach rozmawiając z panem Kurdeszem. Nie przypuszczając żeby mogło być inne jakie i przyzwoitsze a lepsze życie nad jej własne, naiwnie poczęła je malować Sylwanowi, który śmiejąc się w duchu, był rad spotkanej na drodze sielance i wywoływał jej obrazy.

— O! ja-bo się wcale nie nudzę — mówiła mu Frania, — latam, proszę pana, chodzimy z Brzozosią na grzyby do brzeziny jak dziś, a czasem i dalej: zbieramy zioła, robimy sobie co w ogródku; wieczorami śpiewamy i mówimy śliczne powieści i bajki.

Sylwan uśmiechnął się, ale Frania wzięła ten uśmiech za dobrą monetę.

— Zimą jest tysiąc przyjemności także. Tyle świąt, tyle do nich przygotowań, nabożeństwo, motki, płótna i inne gospodarstwo; bo ja jestem, trzeba panu wiedzieć, wielką gospodynią.

— Już co to, to prawda, i nie chwaląc jej w oczy — dorzucił pan Kurdesz — Frania nie ma sobie równej w każdej rzeczy: czego się tylko dotknie, zrobi doskonale; a jaka z niej wyborna lekarka!

— I ludzie do mnie o dwie i trzy mile przychodzą po rady — przerwała znowu Frania — nikt tak doskonale nie leczy febry, nikt tak dobrze nie umie poradzić na stłuczenie.

— Jakżeto pani miło być musi — odezwał się chcąc coś przecie powiedzieć Sylwan — tyle błogosławieństw, tyle wdzięczności sobie zaskarbiać.

— Nie przeczę, że mi bardzo miło być ludziom pomocą — śmiało odpowiedziała Frania — a przytem wszakto i obowiązek kobiety.

— I pani się nie nudzi — spytał Sylwan — w tym zakątku?

— Jakżebyto być mogło — śmiejąc się z tej myśli odparła Frania — tyle zajęcia, tyle roboty; czas tak wesoło upływa, tak prędko.

— A towarzystwo?

— Mam kilka dobrych znajomych, zresztą poczciwa

Brzozosia, ojciec. Nigdym nie zatęskniła za większym światem.

Sylwan to się uśmiechał szydersko, to się dziwił w duchu, to się wpatrywał w śliczną twarzyczkę Frani, która już poczęła, biegając jak wiewiórka, krzątać się około podwieczorku. Stary Kurdesz podbudzony do admiracji przytomnością obcego, szczebiotliwością córki, miał w oczach łzę rozczulenia, w ustach niedokończone dziecięcia pochwały.

Zaledwie wyszła, począł z pełnego serca rozwodzić się nad jej przymiotami:

— Złoto nie dziecię — wołał wznosząc ręce do góry — co to za serce, a co to za główka! Nieraz mnie staremu jak co poradzi, to się zdumieję, zkąd ona to, siedząc w tym zakącie na szlacheckiej zagrodzie, prawie ludzi nie widząc, wziąć mogła? A jaki statek, jaka to pobożność, ileto przymiotów różnych, co ich i zliczyć niepodobna! Potrzeba z nią żyć od rana do wieczora jak ja, żeby to kochanie serdeczne poznać i ocenić.

Wśród tego toku rozmowy dano podwieczorek. Frania sama zapraszała Sylwana, podsuwała mu kurczęta, nakładała pierogów, dolewała śmietany, a uśmiechając się białemi ząbkami, patrząc nań śmiało czarnemi pałącemi jak żar oczyma, wprawiała go w niepokój niewysłowiony. Sylwan, wychowaniec miast, cudzoziemiec wśród kraju, elegant z wielkiego świata, ujęty, oczarowany wdziękiem prostego dziewczęcia, to się śmiał z siebie, to się łapał na bardzo czułych grzecznościach dla wieśniaczki, w bardzo znaczących wejrzeniach ku pannie Kurdeszance.

Mimowolnie bytność jego w Wulce prawie do nocy się przeciągnęła, i gdy siadał na koń, wypro-

wadzony na ganek przez całą ludność dworku, bo i stary Kurdesz, i Frania, i Brzozosia, i Agata, i Horpyna, i Hryćko ze stajni, i gumienny z za węgła, wyglądali wszyscy na pięknego panicza; księżyc już w pełni majestatycznej wypłynął był na niebiosa.

Szlachcic sam chciał strzemię przytrzymać JW. grafowi, ale Sylwan nie dozwolił na to, skoczył dosyć lekko na anglika, dał z nim ogromnego susa, i pokłoniwszy się raz jeszcze czapką i okiem śmiejącej Frani, jak burza wyleciał przez wrota wsród niespokojnych naszczekiwań starego Rozboja.

Za nim Janek, masztalerz pana grafa, pospieszył także pędem na bułanym, tęgo podchmielony i wesoły jak pan. Ma to do siebie przyjęcie szlacheckie, że tu i pana, i sługi, i konie, i psy gdyby były, serdecznie przyjmują, karmią, poją i bawią. Byli o kilkaset kroków od dworku, a już Jankowi język świerzbiał, i zbliżywszy się nieco do panicza, chrząknął naprzód dla zwrócenia jego uwagi, a potem szepnął:

— Oto JW. panie, aż miło!

— Cóżto ci tak miło, Janku?

— Bodajto bywać po szlachcie JW. panie, to i koniom i ludziom wygoda: przyjmują jak rodzonego brata, karmią, poją, chuchają. Wszakto mnie sama panienka i ta jejmość tłusta wynosiły na talerzu pierogi i dwa razy słodką wódką częstowały.

— Wódka jak widzę bardzo ci się pudobała?

— Nie tyle JW. panie wódka, bo tego i w karczmie za swój grosz dostać można, a człek z łaski pańskiej nie goły, — jak ludzie...

— A cóżto u nich tak osobliwego znalazłeś? — spytał Sylwan na przekorę.

— Dobre, jak Boga kocham, ludziska. A panienka, a! jak malinka!

— Ładna, myślisz?

— Jużciż nie powie i JW. pan, że brzydka. Ot! jabym panu radził tu i częściej bywać.

— Ho! a po cóż?

— Jak-boto JW. panu ciężko dziś mnie rozumieć?

Sylwan się rozśmiał. — Jaki-bo ty dzisiaj jesteś poufały!

— Kiedy JW. pan pozwala.

— Pleć sobie pleć, a cóż mi to szkodzi?

— Ot takbyśmy mieli sobie gdzie wesoło wieczorynki przepędzać, byliby nam radzi. Panna caca, laleczka, ludzie jacyś dobrzy, i jabym tu sobie może co znalazł, i wolałbym jak latać po budnikach i po tej hołocie szlachcie czynszowej, za ich niezdarnemi dziewczyskami.

— Cicho głupcze!

— No! a jak cicho to cicho! — rzekł Janek trochę zmarkocony, że mu kazano milczeć, gdy najbardziej mówić potrzebował. Ale niedługo wytrwał w postanowieniu milczenia, i znowu się rozchrząkał i znowu począł półgłosem:

— Oj! co panna to panna.

Sylwan rozśmiał się na całe gardło.

— Chwała Bogu, JW. pan się śmieje, widać że mam racją.

— No! cóż tedy dalej Janku?

— A co ma być dalej? jeździlibyśmy sobie cichuteńko, jeździli ażby się nam sprzykrzyło.

Sylwan nic nie odpowiedział, a co myślał, porozumiemy lepiej, gdy go poznamy bliżej.

Wcale inna, choć nie mniej żywa rozmowa zajmowała w Wulce Brzozosię i Franię. Kurdesz słów kilka przemówiwszy po odjeździe młodego Dendery, poszedł do swojej izdebki spóźnione odmawiać modlitwy. Naprzeciwko w pokoju Frani zasiadła Brzozosia na kuferku, i wpatrując się oczyma macierzyńskiemi w swoją wychowanicę, okazywała wielką ochotę puszczenia sobie cuglów w domysłach i projektach. Twarz jej wydawała niezwykłe poruszenie, usta podrygiwały wsród milczenia, oczy wlepiały się we Franię, ręce tajemniczemi zajęte były gestami; nie mogąc jeszcze mówić do panienki, poczynała już rozmawiać sama z sobą. Niedługo to trwało, bo i jej ciężko było dotrzymać milczenia.

— Otóż chwała Bogu i kawaler! — odezwała się nareszcie, wjeżdżając bramą zwycięzką od razu.

— Gdzie i jakiżto kawaler, Brzozosiu? — spytała Frania.

— Ot jest! nie udawajże proszę. A dzisiejszy?

— Dzisiejszy! cóż on do nas ma? Jak wiesz przyjechał do ojca i nic więcej, i tyleśmy go pewnie widzieli.

— Mniejsza o to, z czem i po co przyjechał, ale z czem odjechał, to ja wiem, — dodała znacząco kiwając głową.

Frania się uśmiechnęła i szepnęła tylko:

— Co ci się też śni, Brzozosiu! Zapominasz co my a co on!

— Ot jest! a gdybyto był nietylko graf, ale i sam książę jaki! — obruszyła się gorąco poczciwa Brzozosia, zrywając się z kufra na którym siedziała. — No, to cóż, to cóż? Alboto hrabiowie i książęta nie żenią się ze szlachciankami? czy to pierwszyzna?

— Cha! cha! nieoszacowana Brzozosia już nas i pożeniła.

— No! czemużby nie?

— Ale zmiłujże się, on o tem ani pomyśleć nie może... A...

— A! przepraszam! to jeszcze zobaczymy! Chybaby był ślepy, i z pozwoleniem, nie do niego mówiąc, głupi. Nie pochlebiając, takiej drugiej jak moja Frania nie znaleźć jak grzyba nad drogą.

— Zapomniałaś Brzozosiu, że panowie to insi ludzie; samaś mi o tem mówiła, że u nich inny obyczaj, inny gust, i wszystko inaczej jak u nas. Inny świat!

— Inny świat! bałamucisz. Alboto jest dwa czy trzy światy? Banialuki Franiu! A co go tu przyniosło jeśli nie przeznaczenie? Hę? Jak ciebie zobaczył, już ja o resztę jestem spokojna. Otóż mamy sobie kawalera chwała Bogu, i co się zowie.

Roztropniejsza Frania uśmiechnęła się, nie dopuszczając tej myśli zupełnie, choć ona jej pochlebiała; ale Brzozowskiej już z głowy tego wybić nie było można.

— Skorzystałam — dorzuciła szybko — i wypytałam się tak, niby nic, o wszystko a wszystko, tego pana Janka podpoiwszy odrobinkę. Otóż możeś ciekawa tych hrabiów?

— Ale moją Brzozosiu, do czego nam to wszystko?

— No, dajmy na to, że aby gadać, cóż to zaszkodzi?

— Tak, to co innego. A cóżeś się dowiedziała, kochana Brzozosiu?

— Tylko słuchaj uważnie. Najprzód, że nasz pan kawaler...

— Nasz! znowu nasz? Moja Brzozosiu!

— A już że nasz, to nasz — żywo potwierdziła stara — ale to mniejsza. Ma tedy naprzód ojca pana grafa. O nim tośmy już i dawniej słyszeli: człowiek bardzo

bogaty, wiosek kilkanaście, pałacy, ogrody, pieniędzy huk i z miny pan całą gębą.

— Widzisz sama Brzozosiu, gdzieżby taki pan mógł synowi pozwolić...

— Ale nie przerywajże mi kochanie, ja nic nie myślę. Widziałam go w kościele, zdaje się poczciwy człowiek i dobry, łagodny, miluchny, uśmiecha się i kłania do każdego. Potem ma matkę, anioła dobroci, dobrą a przedobrą kobiecinę, niezmiernie przywiązaną do męża i do dzieci. I ta jeszcze ma matkę, wielką panią, bardzo szanowną i poważną co się zowie matronę, znać jeszcze że była dawniej piękna. Znałam ją w młodości, była za kasztelanem Maryckim i mieli niegdyś wielką fortunę. Trzeba wiedzieć jak ją wszyscy honorują, jak przed nią padają. Oprócz naszego kawalera jest jeszcze córka, śliczna panienka, widuje ją w kościele; musiałaś uważać, słuszna, poważna blondynka, czegoś niby smutna i dumna, ale jej z tem do twarzy. Mieszkają wszyscy w Denderowie; nieraz może, kochanie moje, jadąc z Wulki do Łasiniec, widzieć musiałaś nade drogą wielki pałac Denderowski, w drzewach, w klombach nad stawem. Otóż to tam rezydencja ich pańska.

Frania ruszyła ramionami.

— Ale moja Brzozosiu, ten twój kawaler, jak sama widzisz, milionowy pan, hrabiątko; jemu się i nie śni o mnie, a ja...

— Ale mnie się śni, i co się śni to wyśni. Milionowy czy nie, grafiątko czy książątko, co komu do tego; ja co wiem to wiem, i kwita.

A widząc że Frania nie bardzo się broni poddawanej myśli, Brzozosia wyszła z pokoiku zostawując ją samą, poszła rozmawiać z Agatą i Horpyną, a dziewczę

z myślami siadło marzyć w okienku. Sparta na ręku Frania, mimowolnie gnała dumą za pięknym chłopcem który dla niej był tak grzeczny, może więcej niż grzeczny tylko; przypominała co jej mówił, zastanawiała się nad tem jak na nią patrzał, rozbierała przywitanie i pożegnanie, i każde słowo i każdy ruch jego. W ostatku pytała się smutniejsza poglądając w okno, powróci on czy nie? przyjedzie on znowu do Wulki? zobaczę go ja, czy już nie zobaczę?

A coś jej mówiło w głębi duszy, że powróci, przyjedzie, że go zobaczy, i koniec końcem ledwie już nie uwierzyła Brzozowskiej, budując na przelotnych odwiedzinach trzpiota, całą zaczarowaną przyszłość. Tak ptaszki, Frani lekkością podobne, gniazda z puchów ścielą, łapiąc je wiatrem z [illegible] skrzydeł; tak dzieci biegną za bańką mydlaną; tak [illegible]raz starsi i rozumniejsi na myślach, domysłach, nadziejach, sadzim przyszłość naszę! Wiekuiste dzieci!

My rzućmy marzącą Franię i żywo rozmawiającą Brzozosię, która serjo kłopocze się już, zkąd weźmie rozmarynu dla swej panny-młodej, a zwróćmy się do starego Kurdesza, którego bliżej poznać potrzebujemy.

Jego wiek i siwizna już go nam w części odmalowały. Zabytek to innego życia, innego społecznego porządku, wyraz innych przekonań i pojęć, wyjątek wśród nowego świata, który nań patrzy z szyderstwem, litością, z zadziwieniem. Jak strój Kurdesza, tak serce i myśli nie do naszych należały czasów. Wśród współczesnych sobie młodszych od siebie, był on jak człowiek, któryby zasnął na pół wieku i obudził się wśród obcych, nieznajomych. Nikt jego, on już nikogo nie pojmował: tak szybko, dziwnie, piorunowo, wszystko

się dokoła przewróciło, zmieniło. Kurdesz żył jeszcze zapasem starym, pamiątkami swemi, modlitwą, miłością dla dziecka, a odrobinę nadzieją, że dawne czasy powrócą. Ale cóż wraca na świecie? — wiosny tylko i lata, ale nie ludzie i czasy! Jego stary porządek i obyczaj tak mu się wydawał przedziwnym, że się zawsze spodziewał, iż ludzie po gorżkich doświadczeniach do niego i jego niechybnej aryngi powrócić muszą.

Życie jego nie miało w sobie nic nadzwyczajnego; owszem, przeszło jak tysiące innych tamtej epoki. Rodzice, uboga a pracowita szlachta, mieli ich dwóch a córkę trzecią. Na maleńkiej wioseczce była to gromadka, która starego Kurdesza ojca, cześnika międzyrzeckiego, niepokoiła. Potrzebowali losu, i jak skoro dorośli, ze szkół jezuickich poszli oba młodzi Kurdeszowie w usługi pańskie, na dwory zdawna przyjaznych Kurdeszom familij, pańskiej, jak mówiono klamki się trzymać. Trzeba wiedzieć, że szlachectwo Kurdeszów było stare, że niegdyś byli to ludzie majętni, a nawet wysoko skoligaceni. Jedna Kurdzeszanka była za Kostką, jedna Leszczyńska za Kurdeszem, a dziad ojca pana Jacka miał za sobą kniaziównę Mirską. Przez pamięć tych związków, rody spowinowacone z Kostkami, Leszczyńskiemi, Mirskiemi, chętnie się zajęły losem młodych chłopaków, którzy opuściwszy rychło ojca, poszli dosługiwać się przyszłości swojej. Siostra poszła za mąż młodo, za niejakiego Szczerzeckiego, i bezdzietnie zmarła; starszy brat pana Jacka, spadłszy z konia na polowaniu, skaleczał naprzód srodze, chyrlał powróciwszy do domu, i nabiedowawszy długo, nareszcie życie skończył. Cześnik międzyrzecki mając już tylko jedynaka pana Jacka, a sam postarzawszy, wzywał go bardzo do do-

mu, potrzebując pomocy i wyręczenia, ale panu Jackowi zasmakowało życie dworskie i wojskowe.

Nadeszła konfederacja barska. Z panem opiekunem swym poszedł do niej pan Kurdesz: ustąpił potem z kraju z innemi, błąkał się długo, i nierychło schorzały, ranny, odarty, ledwie poznany, do rodzicielskiego domku się przywlókł.

Tu już ojca ani brata nie zastał, stara matka tylko sama na Wulce gospodarowała, i mimo niemałych trudności, bijąc się z tysiącem kłopotów, dla syna, którego wyglądała uparcie i spodziewała się zawsze, nawet gdy go umarłym głoszono, przysposabiała spoczynek swobodny. Znalazł on Wulkę w najlepszym stanie: zapas wszędzie, dostatek i grosiwa uzbieranego worek niemały. Z żołnierza najlepszy gospodarz, jeśli nie najgorszy. Pan Jacek wyzuty z nadziei służenia użytecznie krajowi z szablą, począł gospodarzyć zawzięcie, a powiodło mu się nad miarę szczęśliwie.

Stara matka już tylko wypoczywała modląc się, a codzień narzekając i płacząc, że ojciec nie dożył powrotu syna i nie pobłogosławił mu jeszcze. Pragnęła koniecznie doczekać wnucząt, i silnie namawiała na ożenienie; ale pan Jacek nie dawał się przekonać, a nic nie odpowiadając; odszedł milczący zawsze, ilekroć go zaczepiła o małżeństwo. Domyślała się staruszka, że to nie było bez kozery, że gdzieś, jak mówili starzy, na pańskim dworze zaszłapał. Ale gdzie? jak? — żywa nie wiedziała dusza.

Nierychło wreszcie, nierychło jakoś, konfederat pokiereszowany, zeszpakowaciawszy już, dał się nareszcie namówić i ożenił się.

Stara matka napłakawszy się z radości na weselu,

nie doczekawszy upragnionych wnuków, może ze wzruszenia i wielkiego szcześcia, poszła do lepszego życia, do którego ciągle się przygotowywała. Niebawem potem i żona pana Jacka, poczciwa, pracowita a skromna kobiecina, zostawując mu córkę, świat także pożegnała.

Prawda, że nierychło się do niej przywiązał i ożenił niebardzo ochoczo; ale za to jakżę ją kochał serdecznie, jakże jej stratę opłakiwał! Osamotniony wpadł był nawet pan Kurdesz w melancholią, która niemal rok cały trwała, potem widok dziecięcia i skłonność do pracy przemogły. Rzucił się znowu czynnie do gospodarstwa, i tak skutecznie pracując, starzał powoli do reszty. Niemłodo się był ożenił, teraz smutek szybko siwiznę zasiał coraz gęstszą i marszczkami poorał czoło.

Na dziecku naprzód, potem na majątku Pan Bóg mu poszczęścił: Frania urosła na śliczne dziewcze, a z Wulki, maleńkiej wioseczki, którąby ledwie innego utrzymać potrafiła, Kurdesz z ładem i oszczę... uciułał kapitalik wcale piękny. Wulka niewiele wprawdzie przynosić mogła, ale jakież były i potrzeby jego? Żył tem, co dał zagon własny, mało co kupując do domu, a strzegąc się wydatku gotowego grosza. Jeden wózek i bryczka służyły od niepamiętnych czasów: konie rodziły się w domu, suknie były jeszcze po dziadach, porządek domowy stary, a pieniądz przypływający wedle starodawnego obyczaju zaklęty, składał się zaraz na kapitalik.

Procenta od niego nie przeżywały się nigdy przy zaprowadzonej oszczędności i skrzętności, dokładano je do sumy, i tak powiększała się ona ciągle i coraz znaczniej.

Kapitalik pana Jacka także *more antiquo*, bo tego

pilnował się nasz szlachcic we wszystkiem, wedle tradycyj domowych nie mógł się ulokować gdzieindziej i inaczej, jak u wielkiego pana na prowizji. Rodziny przyjazne Kurdeszom, skoligacone z niemi, powymierały, pogasły, lub oddaliły się z kraju: trzeba było bliżej siebie szukać lokaty, a zawsze u jaśnie wielmożnych. Trafił się w pobliżu graf Zygmunt-August Dendera, szumnie żyjący, obszernych włości dziedzic, którego dom, reputacja, sposób życia, a w ogóle państwo, olśniły biednego szlachcica; i dwakroć stotysięcy złotych już spoczęły w szkatule hrabiego, dwakroć w pocie czoła zapracowanych na Wulce: przyszły posag Frani.

Pomimo codziennie powiększającego się majątku, życie szlachcica wcale się nie zmieniło, a Kurdesz kłaniając się do kolan i uboższym i mniej od siebie wartym paniczom a trzpiotom, uważał się zawsze za najniższego sługę ich i brata. Mało kto wiedział o jego funduszach dokładniej, gdyż Kurdesz nie tylko się z niemi nie chwalił, ale je raczej taił. Domyślano się wprawdzie po ścisłej oszczędności, że zapas mieć musi niezgorszy: ale nikt ściślej nie mógł wyliczyć, o ile się jego fortunka powiększyła zabiegami i skrzętnością. Piękna Frania miała już z sąsiedztwa kilku gołych konkurentów do pięknej swej rączki, ale tych pan Jacek bez ceremonii poodprawiał. Z daleka tylko kręcili się koło niej chłopcy, a stary szlachcic poglądał na nich okiem bacznem, nie dając się bardzo przysuwać do córki. Co się tyczy bowiem małżeństwa, wcześnie jej zapowiedział, że sam nad niem czuwać będzie. Zresztą miała ona zupełną swobodę w domu i za domem, i gdyby z niej korzystać chciała, przywiązany do niej i zakochany w jedy-

nem dziecięciu ojciec, nie śmiałby się może tak surowo jak obiecywał sprzeciwiać. Ale dotąd Frania żartowała sobie swobodnie ze wszystkich, i wyżej myślą sięgając: bo wszystkie kobiety do wyższości pociąg mają. W tych co ją otaczali nie upatrzyła nikogo, i zdawała się czekać na swego.

Brzozosia też ciągle jej wróżyła coś nadzwyczajnego, i widzieliśmy już, jak niespodzianie wróżbom jej przypadek dał cień prawdopodobieństwa. Staremu szlachcicowi i przez głowę nie przeszło, żeby młode grafiątko mogło z płochą myślą spojrzeć na jego donię. Widział się nadto daleko od Denderów, a zbyt był znowu dumnym, by o czemś mógł roić między niemi a sobą podchwyconem i wymodlonem.

W niedzielę przypadały szumnie zawsze i uroczyście obchodzone imieniny hrabiego Zygmunta-Augusta Dendery, na które z daleka nawet zjeżdżali się chciwi zabawy panowie, półpankowie, szlachta dostatnia i w różny sposób znajomi lub przyjaźni solenizantowi. Dom hrabiego obszerny bardzo i dla gości wygodny. Wszelkiego rodzaju zabawy, a przedewszystkiem karty; dla młodzieży muzyka i tańce, dla starszych gawędka, wino stare i kucharz wyborny., nęciły na ten dzień wszystkich do koła o mil dwadzieścia. Hrabia przywiązywał pewną wagę do tego, żeby mieć w dniu tym jak najwięcej gości; w najlepszym był humorze, gdy ich pomieścić nie mógł i rywalizował z dalekim sąsiadem swoim równie bogatym panem Zagrobskim z Wilczyna o to, kto więcej mieć będzie przyjaciół półmiskowych, karcianych i kielichowych u siebie. Nie wahano się nawet, choć to nie jest we zwyczaju na imieniny, zapraszać lepiej znajomych, dla zwiększenia ciżby.

Denderów, stolica Zygmunta-Augusta hrabiego Dendery, od lat pięćdziesięciu podobno uhrabionego w Galicji (gdyż i tam miał dobra, a w Galicji wszyscy hrabiowie, i najbiedniejszy już choć *Ritter* być musi),

nazwany został nie dawno, by Zygmunt-August miał przyjemność pisać się na Denderowie Denderą, co jakoś brzmi majestatycznie i poważnie. Niektórzy przypominali jeszcze dawne jego miano nie zbyt mile brzmiące: zwał się bowiem Holochwastowem. Postawiony ogromny pałac z kolumnadą dorycką, założone ogrody, wykopane stawy, urządzone austerje, powznoszone dla oka z facjatami białemi różnego rodzaju walące się z tyłu budowle, czyniły tę mieścinę zdaleka czemś lepszem, niżeli była w istocie. Oprócz klucza Denderowskiego, miał jeszcze hrabia dwa inne, i dobra w Galicji, o których z powodu oddalenia i granicy, różni różnie mówili. Byli tacy, co tych dóbr znaleźć tam nie mogli; drudzy małą je wioszczyną odłużoną zwali: hrabia szeroko o swem *państwie* na Rusi rozprawiał. W życiu, w charakterze, majątku Zygmunta-Augusta Dendery, pełno było nieprzebitych tajemnic. Nie będziemy ich przed czasem usiłowali zgadywać; powiemy tylko dla przygotowania nieco czytelnika, że żył na największą stopę, uchodził za bardzo a bardzo bogatego, za spekulatora, i miał dotąd kredyt wielki, że postawę miał pańską (głowę do góry), dom pański, wreszcie pozornie był nadzwyczaj otwarty; ale ludzie bliżej oswojeni mówili, że skryty był dla najbliższych nawet.

Wedle wiadomości powyżej nam udzielonych przez dobrze zainformowaną Brzozowską, wiemy już, że miał syna i córkę, żonę i matkę żony, żyjących. Wszystkie te osoby wkrótce bliżej poznamy.

Syn Sylwan już nam znajomy, który z rana dopiero w niedzielę po przejażdżce swej z ojcem się spotkał, w pół siedział, w pół leżał obyczajem młodych ludzi naszego wieku, na kanapie w pokoju ojca. Poprostu

mówiąc, rozwalił się bez ceremonji. Ubrany był w kraciastą krótką kurteczkę, podobne szerokie spodnie i długą takąż kamizelkę; w ustach miał cygaro zagasłe, rękę jednę na boku opartą, drugą we włosach długich, i raźnie, szumnie na tył zarzuconych.

Ojciec, słusznego wzrostu mężczyzna, barczysty, silnej budowy ciała, chodził z długą fajką po pokoju. Twarz jego bez wyrazu w tej chwili, gdyż w razie potrzeby dopiero przywdziewała maskę stosowną, chmurna była tylko i zasępiona, jak gdyby się nudził.

Blady, z oczyma czarnemi ostro poglądającemi, z podgolonemi bakembardami, trochę podłysiały, z brwią namarszczoną i usty wydatnemi: hrabia jak widać usilnie musiał pracować, by sobie wyrobić hrabiowską powierzchność i fizjognomją, *le physique de son rôle.* W istocie miał tylko minę miernego aktora na teatrze małego miasteczka. Mowa jego była deklamacyjna, głośna, krzykliwa, niezmiernie stanowczo decydująca, wejrzenie rozkazujące, uśmiech protektorski, chód tragiczny, rzuty głowy bohaterskie. Ubrany w szlafrok jedwabny w złociste kwiaty, na dnie jasnem rzucane, w czapeczkę haftowaną wytwornie, w pantofle tureckie: przechadzał się po dywanie swego pokoju, kiedy niekiedy biorąc do ust bursztyn ogromny cybucha jaśminowego, to znów puszczając go w zamyśleniu. Syn ziewał zarzucając włosy na tył, poglądał na ojca i czekał poczęcia rozmowy, z zaniedbaniem właściwem dobrze wychowanemu młodzieńcowi, który się nauczył szanować tylko jednego siebie, i w obec ojca nawet, całą swą niezależność i indywidualną stara się zachować swobodę.

— A cóż hrabio Sylwanie — odezwał się ojciec sto-

jąc naprzeciw syna (gdyż ojciec i syn tytułu sobie hrabiowskiego nawzajem odmawiać nie widzieli powodu. nawet w potocznej między sobą rozmowie) — a cóż? byłeś u mego szlachcica w tej Wulce?

— A! byłem!

— Prosiłeś-że go grzecznie, jakem ci mówił?

— Prosiłem! — uśmiechając się i gładząc wąsięta, odpowiedział młody hrabia.

— Ale byłżeś grzeczny? — z przyciskiem zapytał Zygmunt-August.

— Cóż to za pytanie? hrabio!

— Bo widzisz, nie zawsze jesteś równie grzeczny, a z tą drobną szlachtą, nie wiesz, jak po śpilkach! *C'est si susceptible!*

— A czyż nie wiem? Ale się wszystko odbyło wybornie: jadłem przypalone i surowe kurczęta z kwaśną śmietaną, *un mets champêtre*, z sałatą zaloną słoniną, jadłem pierogi, oglądałem konie pana Kurdesza. *Que voulez-vous de plus?*

— No! a chwaliłeś-że je?

— Naturalnie! I ma w istocie jednę klacz siwą polsko-wschodniego rodu, bardzo ładną, bardzo ładną.

— A nie darował ci jej? — zapytał stary hrabia.

— Myślałem, *qu'il aura le bon esprit de le faire*, ale nie.

— Spodziewam się jednak, że ci okazać musiał i radość i wdzięczność, żeś go odwiedził.

— Jak mógł i umiał, ściskał za kolana.

— Widział-żeś i córunię?

— A jak-że, i siwkę i córkę.

— Cóż to za stworzenie: mówią, że to ładne?

— Tak! ładna! jużciż ładna, ale to proste dziewczę,

daleko dziksze i mniej cywilizowane, niż garderobianne mojej matki, które czytają romanse pana Sue.

— Spodziewam się — rzekł z uśmiechem ojciec.

— Szlachcic naturalnie przyjedzie.

— *Cela va sans dire.* Dziękuję ci, żeś mnie posłuchał i był grzeczny!

Syn dym tylko puścił zapaliwszy cygaro, poprawił je, rzucił się głębiej na kanapę i założył nogę na nogę. Ojciec mówił po chwili:

— Będziemy dziś mieli mnóstwo osób różnego stanu, sfery, znaczenia i położenia towarzyskiego.

Syn patrzał tylko ziewając, i czekał co mu dalej ojciec powie.

— Mój Sylwanie — kończył Zygmunt-August Dendera — staraj się być zawsze i wszędzie dla wszystkich uprzedzającej grzeczności.

— Alboż kiedy byłem dla kogo niegrzecznym?

— Tego ja nie mówię: ale jest wiele cieniów i odcieniów grzeczności, mój hrabio.

— Ile osób, tyle grzeczności.

— Masz poniekąd słuszność, ale trzeba być dla wszystkich w swoim domu niezmiernie radym gospodarzem, nadskakującym, uprzedzającym.

— Nadskakującym?

— Może powiedziałem zanadto — mówił dalej ojciec — ale zrozumiej tylko ogół mojej rady.

— Wszak wiesz hrabio — odparł syn niedbale — że w mojem przekonaniu wszyscy są równi, a urodzenie...

— Daj mi pokój z waszemi nowemi teorjami, mnie już nie nawrócisz.

Młode hrabię uśmiechnęło się tylko. Trzeba albowiem wiedzieć, że dla tonu, dla nadania sobie barwy

wiekowej, po powrocie z zagranicy, Sylwan grał nie źle rolę demokraty i człowieka postępowego. Na czem u niego zależał postęp, dokładnie nie wiemy; zdaje się, że on sobie sam z tego nie umiał czy nie chciał zdać sprawy. Grał, pił, jadł, hulał jak wszyscy, z tą różnicą, że wszystko to czynił jakoś od niechcenia, znudzony, ziewając i z wielkiemi tony. Mówił przytem wiele o równości ludzi, postępie, duchu wieku, a mimo to, rył sobie wszędzie herby: na biletach, na guzikach, na cygarniczkach, na liberji swego grooma i lokaja, na uprzęży koni, strojąc w nie rzeczy, zwierzęta i ludzi. Niższych od siebie, (w swem przekonaniu) nie miał za Boże stworzenie; nie wadziło mu to jednak rozsiadłszy się na kanapie, głośno i bardzo szumnie rozprawiać o postępie, o cywilizacji, o barbarzyństwie naszego kraju, o ucisku włościan, o przyszłym upadku wszelkiej arystokracji. Ale to była farba tylko. Ojciec, któremu pochlebiała ta mniemana w synu wyższość umysłowa, i nowe niby a najświeższe doktryny, cieszył się z nich dla Sylwana, jak by się pysznił nowym jego frakiem lub końmi. Pysznił się tedy stary hrabia słuchając, jak trzy po trzy rezonując syn, dorabiał się opinji sensata, polityka, reformatora; pozwalał na te niewinne hulanki językowe i podsycał nawet argumenta Sylwana swoją lekką opozycją, kończącą się zawsze wykrzyknikiem:

— Mów ty sobie co chcesz, jam już za stary, bym zmienił sposób widzenia: i położenie nasze w społeczeństwie, i imię, i związki rodowe obowiązują mnie dotrzymać placu na starem stanowisku mojej familji.

W tej chwili będąc sam na sam we cztery oczy hrabiowie, stary i młody, nie widzieli potrzeby w długą się wdawać rozprawę, którą oba już po wielekroć po-

wtórzyli, a która ich nudziła. Ojciec puścił dym z cybucha, syn ziewnął, i zamilkli.

— Kogóż się spodziewamy? — spytał Sylwan po chwili.

— Jak zwykle wszystkich — odparł dumnie ojciec.

— A więc tłumu?

— Sto, półtorasta, dwieście osób może, kto wie!

— Taki zgiełk mnie nie bawi — rzekł melancholijnie młody.

— Dziwna rzecz: wy młodzi teraz młodych gustów nie macie.

— Starzyśmy głową i sercem.

— Tem gorzej.

— Tem lepiej ojcze, nie spotkają nas zawody.

— Cóż z sobą robisz rano? — odwracając rozmowę przerwał ojciec, niechcąc napróżno szafować argumentami, które się na wystawę przy ludziach przydać mogły.

— Ja? Albo co?

— Bo ja mam jeszcze liczne zajęcia.

— Pójdę do siebie.

To mówiąc Sylwan, wziął czapkę ze stolika i nie spojrzawszy nawet na hrabiego ojca, oddalił się świszcząc piosenkę.

Ledwie wyszedł, hrabia zadzwonił; ukazał się lokaj wygalonowany, w paradnej liberji.

— Pana Smolińskiego!

— Słucham JW. grafa, zaraz...

Drzwi się zamknęły, a po chwilce zawołany wszedł pan Smoliński.

Byłto plenipotent i rządca klucza, i totumfacki hrabiego, jeden co jego zaufanie posiadał do pewnego stopnia, znał jego kieszeń i interesa, z którym często kló-

cił się hrabia pozornie, ale zawsze w najlepszej żył zgodzie.

Byłato figura wszechmocna, przed którą drżeli wszyscy: syn, żona, córka, a najbardziej ci, co mieli interesa z panem hrabią. Hrabia bowiem mimo wielkiego majątku, jako spekulant miał też ogromne interesa.

Smoliński był wieku hrabiego, miał lat pięćdziesiąt kilka, mały, chudy, przygarbiony, twarz lisa i wilka zbite i złączone w jednę; pokorny jak żebrak, [illegible] jak pies na łańcuchu, kłamca jak kalendarz. Na łysiejowie troszka włosów bezbarwnych zwijały się pokręcone w różne strony bez pewnego projektu, nie myśląc pokryć nawet dojrzałej brudnej łysiny. Niżej pod czołem wysadzonem na przód, błyszczało coś nakształt burych oczek, których wejrzenia złapać było niepodobna; usta pokrzywione w fałdach twarzy się zaszyły, uszy tylko ogromne białe, jak pargamin sterczały z dwóch stron dobitnie. Wszedł i zbliżył się zaraz, oglądając się za siebie, aż do gabinetu krokiem śmiałym, bez żadnej ceremonji, ukłonów i uniżeń, z miną człowieka, który doskonale jest przekonany, że się bez niego obejść nie można.

— A co? — spytał go hrabia.

— Względem czego?

— Interes z Pęczkowskiemi?

— Ułoży się.

— Bardzo krzyczą?

— Jużciż, jakby nie krzyczeli! ale zawsze tylko na mnie.

— No! to jeszcze nic.

— Tak! to nic — śmiejąc się i zacierając ręce rzekł Smoliński — wszystkiemu ja winien.

— Ale trzeba im zapłacić.

— Trzeba i nie trzeba: zgubili oblig, był nie oblatowany. Masz pan zwykły swój sposób na to. Jeźli zapłacimy to nierychło, a co procentu to ani myśleć dawać.

— Słyszę że ktoś idzie; wyjdź drugiemi drzwiami, poczekaj w gabinecie aż cię wezwę.

Smoliński widać przywykły do podobnych wycieczek za kulisy, uszedł bardzo zręcznie, wyciskając się przez małe drzwiczki, a w tejże chwili lokaj zameldował pana Pęczkowskiego.

— Prosić! prosić! — rzekł hrabia głośno, przybierając minę poważną i biorąc w rękę długi papier i suche pióro, jak gdyby dopiero od pracy wstawał.

Po chwilce wszedł pan Pęczkowski, szlachcic we fraczku, choć to była dopiero godzina dziesiąta, zapięty, w rękawiczkach łosiowych, z czapką pod pachą, zbiedzony, smutny, blady. Poprawił włosów na progu, otarł nogi uważnie, ukłonił się raz i drugi pokornie, niziuteńko, nim wszedł do gabinetu hrabiego.

Hrabia rzucił papier żywo, niby dopiero go postrzegając, rzucił pióro, cybuch i poskoczył krzycząc dosyć głośno i śmiejąc się swobodnie:

— Kochanego Pęczkosia! jak mi się masz? jak mi się masz!

— Nóżki całuję JW. hrabiego.

— Cóż ty tu porabiasz? jakże się masz? a żonka, a dziatki; co tam słychać?

— Zdrowi JW. panie. Bardzo dziękuję za łaskawą pamięć.

— No, siadajże proszę; a z daleka? z domu?

— Z domu JW. panie.

— Cóżto cię w nasze strony sprowadza?

— A cóż, kiedy nie trocha kłopotu,

— Cóżto jest? proszę, mów moje serce, może ci mogę być pomocnym?

— Właśnie do łaski jego...

— Ale mów tylko Pęczkosiu, co to jest, całem sercem.

— Ot takie nieszczęście: łaska to Boża, że interes z JW. panem; chciałem podnieść moję sumkę.

— U kogo?

— U JW. pana, bo to...

— A maszże co u mnie?

Szlachcic stanął wryty, osłupiał.

— Daruj serce, Pęczkosiu, mam tyle zajęcia, nie biorę na procenta tylko dla znajomych i niebardzo pamiętam. Ale zdaje mi się, że przypominam sobie coś; tak! tak! tysiąc czy dwa tysiące rubli.

— Dwa tysiące pięćset JW. panie.

— Może być, może być... w istocie...

— Niezawodnie JW. hrabio.

— Nie zapłaciłemże ci w roku przeszłym? — naiwnie zapytał hrabia.

— Nie JW. panie, opóźniłem się z prośbą moją.

— A no! cóż? jeśli masz u mnie, to rzecz święta, idź do Smolińskiego i odbierz...

— Ale JW. panie, wielki mam kłopot, że mi się gdzieś oblig zawieruszył.

— O! o! o! — długo, przeciągle zawołał gospodarz kiwając głową — o! cóż znowu! Ty taki porządny, mógłżeś zarzucić oblig? O! to źle!...

— Przypadek JW. panie, w drodze...

— Jakkolwiekbądź, jest czy nie ma obligu, skoro ci się należy...

— Pan Smoliński najlepiej wie o tem.

— A no! to nie ma kwestji.

— Ale mi robi trudności.

— Zachciałeś! Uchylimy je, to się ułoży, nie frasuj się.

I hrabia usiadł rozpierając się szeroko.

— Ale — dodał — idźże z tem do Smolińskiego, bo ja, jak wiesz, temi drobnemi interesami wcale się nie zajmuję, u mnie tylko massy znaczą, kieruję ogółem. To się załatwi.

— Byłem właśnie u pana Smolińskiego.

— A cóż?

— Robi mi trudności z powodu obligu.

— To się musi ułatwić, skomunikujcie się tylko. Zresztą u mnie dziś dzień tak pełen zajęcia.

— JW. pan pozwoli sobie złożyć życzenia...

— Dziękuję ci, dziękuję kochany Pęczkosiu, będziesz na objedzie, prawda? No! a teraz ruszaj na pewne do Smolińskiego, z nim kończ serce; prawda że czasem ciężki, i mnie nieraz unudzi swoją regularnością zbyteczną, nieraz mi doje, ale w gruncie dobry człowiek.

— Niebardzo jednak łatwy.

— Wierz mi, to się zrobi, to się musi zrobić. Powiedz mu, że byłeś u mnie.

— Ale kiedy chce żebym ustąpił. Jakże ja ustąpić mogę, to jedyny moich dzieci fundusik, JW. graf wie sam, żem go w pocie czoła uzbierał.

— Daruj mi, to nie moja rzecz, rób z nim tylko, traktuj; ułożycie się, dacie radę, a w ostatku ja mu uszy natrę, żeby cię nie szykanował.

— Gdyby JW. pan był łaskaw polecić mu mój interes.

— Z duszy serca! — Zadzwonił.

— Pana Smolińskiego!

Niebawem wszedł drzwiami zwykłemi nie od gabinetu plenipotent, ale całkiem to był już inny człowiek: pokorny, potulny, niby przelękły i zafrasowany, niby ogałuszony pracą, a stanął prawie przy progu.

Hrabia odwrócił się do niego nie poufale jak przed chwilą, ale z tonem rozkazującym:

— Kazałem cię zawołać — rzekł — mój Smoliński; cóż-bo-to znowu robisz z Pęczkowskim? jakieś tam trudności, jakieś ceregiele. Wiesz że ja tego nie lubię, interes powinien się robić prosto, uczciwie, w dwóch słowach, a Pęczkowskiego kochanego szacuję, jestem osobistym jego przyjacielem.

Szlachcic uścisnął i w rękę pocałował hrabiego z radości.

— Kończże to proszę bez tych obrotów, bardzo ci to polecam. — I hrabia znacząco chrząknął. Każdy prócz Pęczkowskiego poznałby łatwo, co to chrząknienie znaczyło.

Smoliński milczał, aż nareszcie odważył się niby wyrzec z ukłonem pokornym:

— Cóżem ja tu winien JW. panie, kiedy obligu nie ma.

— Ale cóż to znaczy, cóż to znaczy!

— JW. pan wie, że ja muszę rachunki złożyć i z wypłat się wytłumaczyć; ja tak wypłacić nie mogę.

— Już jak tam jest to jest: poradźcie się sobie, pokombinujcie i kończcie, niech Pęczkowski będzie zaspokojony, bardzo proszę...

— Żegnam cię Pęczkosiu, bądź spokojny.

To mówiąc hrabia wziął cybuch, papier i pióro, żegnając wierzyciela i plenipotenta.

Zaledwie byli za drzwiami, gdy turkot powozu po

brukowanej drodze dziedzińca oznajmił przybycie gościa, Hrabia wyjrzał: sześciokonna zielona poważna kareta, za nią kocz czterokonny i bryka także czwórką zaprzężona, toczyły się pod pałac. Poznał widać kogo wiozła, zadzwonił żywo i zarzuciwszy na siebie surdut z wstążeczką orderową, co go nigdy nie odstępowała, i wziąwszy laskę pospieszył na dół.

Przybyła z tą pompą, była matka żony hrabiego, na której przyjęcie wyskoczyli wszyscy.

Jaśnie wielmożna z hrabiów Moskorzowskich hrabina Czeremowa. Trzy powozy i czternaście koni wlokły ją jedną tylko i dwór ją otaczający. Po ekwipażach, liberji i krzątaniu poznać było łatwo, jak dalece kazała się szanować i jak ją tu szanowano. Hrabia z odkrytą głową przyjął ją z żoną i córką na ganku, przyklękając prawie, i z uczuciem zbyt silnem, by mogło być szczere, ucałował jej pulchną i białą rączkę...

Hrabina mogła mieć około lat sześciudziesiąt, ale trzymała się dobrze i wyglądała na swój wiek młodo, tylko zbyteczna tusza trapiła ją trochę. Żywe oko czarne dumnem wejrzeniem zbrojne, nosek maleńki i kształtny, usta ściśnięte i zasznurowane z pretensją, drobne rysy wśród ogromnej z wielkiemi wiszącemi podbródkami twarzy, nadawały jej wcale dziwną fizjognomią, i podobieństwo do znanych bardzo wizerunków sławnej w historji postaci. Dość było spojrzeć na nią, by poznać jak się wysoko nosiła hrabina, na jakim chciała stać tonie, jak przywykła była grać rolę wielkiej pani.

Przyjęcie zięcia, córki, wnuczki nie wzruszyło jej wcale: uśmiechnęła się tylko zmęczona i niby czule razem, pocałowała w czoło od niechcenia hrabinę i hrabiankę, kiwnęła głową bardzo zlekka zięciowi, i obwi-

nąwszy się starannie czarnym szalem, zapowiedziawszy niezmierne znużenie, majestatycznym kroczkiem poszła do wyznaczonych sobie na dole w pałacu pokojów. Wszyscy za nią w milczeniu postępowali, otaczając, podtrzymując, drzwi otwierając i wiodąc jak z procesją.

Hrabia, widocznie zimno przyjęty i ani słówkiem grzecznym nie powitany, gdyż przybyła mówiła i patrzała tylko na córkę i wnuczkę, uczuł się trochę dotkniony, i pomimo uniżoności z jaką pożegnał matkę u drzwi jej apartamentu, znać było, iż szukał tylko powodu okazania, iż zrozumiał przywitanie i zadraśnięty był niem do żywego.

Zostawszy sam na sam w sieni, pomyślał chwilę, i wolnym krokiem postąpił ku drzwiom pokojów, do których zajrzał machinalnie, nic nie wiedząc co robi, roztargniony przeszedł je, zawrócił się nazad i skierował ku oficynie.

Pałac w Denderowie był całą gębą wspaniały: na dawne czasy książęcym-by się mógł nazwać; ale dziś, gdy żydzi mają najwięcej pieniędzy, a książęta prawdziwi są bardzo skromni, powiemy, że i żydby nim nie pogardził. Gmach to był piątrowy z salonami mozaikowanemi, z gzemsami złocistemi, z ogromną massą kolumn, kornisz, amorków, gipsatur, z meblami kosztownemi, z galerją obrazów dla proporcji jak sala bilardowa, z mnóstwem bronzów i marmurów tandetnych, ze wszystkiem wreszcie co pałac stanowi. Były w nim apartamenta galowe i codzienne, salony od balów i powszednie, pokoje gościnne wytworne, pokoje państwa, oranżerje przepyszne, i co tylko gdzie u panów najrzał Dendera a potrafił wymalpować. Były niby antyki zwierciadła przeraźliwych rozmiarów, stuki, kandelabry,

stare porcelany, mnóstwo fraszek kosztownych: wszystko to nie żeby dziedzic kochał się w rzeczach tego rodzaju, lub ich dla siebie potrzebował, ale, że tak było u innych, że to widział gdzieś, że tak kazał zwyczaj.

Dość powiedzieć, że nigdy nic nie czytając prócz Paul de Kock'a, hrabia od lat kilku poczuł się obowiązanym mieć nawet bibliotekę. Sprowadzono ją ryczałtowie od księgarza, który ostatki swego magazynu w nią wpakował; na dole tylko, gdy poczęli wszyscy kupować stare książki, postawiono herbarz Niesieckiego, Okolskiego, Paprockiego, Duńczewskiego, kilka kronik i trochę starych świstków i panegiryków, aby się i tem można pochwalić. Zresztą z tych wielkich foliałów słudzy darli bezpiecznie kartki do oprawiania świec i na inne pilne potrzeby. Nikt zresztą do nich nie zaglądał.

Idąc do oficyny, hrabia spotkał się z synem.

— Nie byłeś jeszcze hrabio u babki? — spytał z przyciskiem nieukontentowania ojciec.

— Właśnie do niej idę — odparł syn.

— Z cygarem?

— Rzucę je w progu.

— Gdzie Wacław?

— Nie wiem. Od kilku dni go nie widziałem.

— Zawsze go nie ma, kiedy najpotrzebniejszy, — rzekł gospodarz, i odszedł ruszając ramionami. Syn powolnie, poważnie, szedł dalej ku pałacowi; ojciec opieszałym krokiem, zamyślony, wracał do swoich pokojów.

Dla bliższego zapoznania czytelników z osobami naszej powieści, powiedzmy jeszcze kto był ten Wacław, o którego hrabia syna zapytywał.

Wacław, niewiadomego zupełnie pochodzenia sierota, od lat dwudziestu kilku, jeszcze przed ożenieniem

hrabiego, zjawił się w jego domu, niewiedzieć zkąd i jak. Dziecię to miało być sierotą, synem jakiejś biednej Francuzki, która do kraju naszego przywędrowała z niem, z powodów nieznanych nikomu i tu go odumarła. Nazwiska nawet matki i ojca nie można dojść było, i hrabia wziąwszy go na opiekę, nazwał Sierocińskim. Powszechnie unoszono się nad wspaniałomyślnością Dendery i sercem jego, wskazując jako dowód miłosierności to dziecko, wychowane starannie kosztem jego, i w domu uważane prawie jak pokrewne. Ilekroć kto z jakichkolwiek przyczyn ośmielił się zarzucić hrabiemu ciężkie traktowanie interesów, nieludzkość w obejściu, dumę, nieprzystępność, brak uczucia; tyle razy przyjaciele Dendery odbijali zwycięzko zarzuty wskazując na Wacława Sierocińskiego, i zamykali usta nienawistnym i złośliwym. Pod pewnym względem za ten dobry uczynek, hrabia sowite odbierał wynagrodzenie w opinii publicznej. Czyn też to chwalebny przytulić sierotę, dać mu nie tylko chleb powszedni, który i pieskom dajemy, ale wychowanie uczciwe, stan pewien i sposób do życia, nie odtrącać od swego towarzystwa, nie okazywać pogardy, nie chwalić się swem dziełem. W hrabi Denderze było to nie tylko piękne, ale dziwne.

Człowiek ten bowiem, jakeśmy już potrosze widzieli, nie był wcale jednym z ludzi zbytecznie przejętych potrzebą dzielenia się z bliźniemi czem miał, i wylewania się dla nich; owszem, wad przeciwnych a bardzo widocznych miał tysiące, a na czele ich jak wódz stał egoizm podniesiony do najwyższej potęgi: duma ogromna, chciwość niepohamowana; serce miał zimne jak kamień i jak kamień zamknięte. Pozory czułości nic go nie kosztowały, ale uczucia w niem nie było; oka-

zywał miłość z obowiązku dla oka wszystkim, których powinien był kochać wedle reguł powszechnie przyjętych, ale nie kochał nikogo.

Przecież Wacław nie doznał od niego, prócz lekkich czasem przypomnień swojego sieroctwa i napomknień o wielkich dobrodziejstwach, jakich doświadczał, żadnej przykrości, jakiejby po charakterze protektora zrazu domyślać się godziło. Wychował się wprawdzie nie z dziećmi hrabiego, bo od nich był trochę starszym, ale jednak dość starannie i z pewną na rozwinienie jego bacznością. Hrabina sama, niezmiernie czuła kobieta, przywiązana do męża jak on był do niej przywiązany, to jest zapamiętale, przynajmniej dla ludzkiego oka: nie lubiła tego wychowańca. Sylwan miał go za mało co, bo się jak on nie wychował za granicą i o wielkich kwestjach socjalnych rozprawiać nie umiał *ex professo*, a miał śmieszną wadę, w oczach Sylwana nieprzebaczoną, że w kraju, co swoje w przeszłości widział wszystko dobrem, pięknem a świętem; w ostatku, że nie szydził i z dowcipu Sylwana nie śmiał się, a nie pochlebiał i nie nadskakiwał mu jak należało.

Sylwan ogłosił Wacława, powróciwszy z Berlina, bez ogródki głupcem.

Wacław nim wcale nie był: wychowany w kraju, bez wielkich, szczególnych, zbytecznych starań, wcześnie uczuwszy, że przyszłość swoję sobie powinien sam zgotować: począł pracować z całą dojrzałością, jaką w dziecinnym wieku często Bóg daje ubogim, i pracował jak sierota. To czego się nauczył umiał doskonale, dokładnie, a nie lubił się z tem chlubić i popisywać, bo zawsze czuł, wiele mu braknie. Smutny, bo osamotniony, zawczasu stał się człowiekiem, i rzec można,

że dzieciństwa nie poczuł, nie poznał: młodość nawet zastała go już poważnym, milczącym, myślącym, a zmuszonym hamować się z każdym popędem, z myślą każdą.

Dodajmy, że miał duszę wielką, rzadki dar Bożych wybrańców, umysł otwarty i serce poczciwe, i aż do zbytku czułe. Wychowanie, położenie, okoliczności, wyrobiły w nim uczucie poetyczne, coś marzącego, coś płodnego w przyszłości, co go uczynić mogło wielkim artystą lub poetą. Talent do muzyki zastanawiający, zwrócił go do niej, i udoskonaleniu się w nim poświęcił wszystkie wolne chwile; ona miała być nadal jego żywotem i żywota chlebem. Lecz gdyby w niej nie widział nawet żadnej dla przyszłości podpory, Wacław byłby muzykiem, bo czuł, że się do tego urodził. Wiemy, jak rozdrażnia młodą duszę to obcowanie ze światem duchów, których językiem, poezją, śpiewem, jest muzyka. Wacław pod wpływem nieustannym swych studjów, rozkołysał duszę i podniósł egzaltacją tajemną do najwyższego stopnia; ale egzaltacja ta nie objawiła się nigdy na zewnątrz, chyba wybuchem przypadkowym jak eksplozja wulkanu. Drogo ceniąc swe uczucia, a bojąc się, by ich świat szyderskim nie przyjął uśmiechem; Wacław krył się z niemi, a milczenie posępne jedynym było znakiem tego stanu błogiego razem i męczeńskiego. Uczucia te były jak dzieci, które w chłód matka starannie okrywa, otula, by mróz ich świeżych twarzyczek nie zwarzył.

Postawa i rysy młodzieńca zdradzały w nim coś wyższego; przy Sylwanie wyglądał jak posąg natchnionego Apollina obok młodego Satyra; może porównanie mimowolne powierzchowności przyczyniło się do zobo-

jętnienia dla niego hrabiny i jej syna. Oczy miał szare, wielkie i jakby łzą zaszłe; twarz białą a bladą, na którą tylko jakby płomieniem występowały i znikały rumieńce; usta małe i kształtne, czoło wypukłe bardzo, włos ciemno-blond; a ogół rysów stanowił całość nietylko wdzięczną, ale nawet oryginalną. Ujrzawszy go, musiałeś się odwrócić i spytać: — Kto to taki? — Nie byłato jedna z tych pospolicie ładnych twarzy, jakich tysiące po świecie, ale fizjognomia wyjątkowa, jak wyjątkowy był człowiek. Średniego wzrostu, raczej słuszny niż mały, muskularny, ale nie chudy: w ruchach, w każdym kroku miał jakiś wdzięk wrodzony, coś miłego, ujmującego, co zaskarbia serce ludzkie wprzód, nimeś słowo przemówił, wprzódy nimeś się dał poznać.

Choć nikt nie wiedział o pochodzeniu sieroty, a domysły były bardzo różne: teoretycy arystokracją po szlachetności rysów, po małości ręki, po galbie nogi, po twarzy dochodzący, domyślać się w nim mogli krwi najczyściejszej, rasy bardzo poprawnej. Bóg wie, jakie ztąd około biedaka przędły się historje! Do wielkich cnót sieroty, należała pewna duma, którejby się przecie nikt żywy w nim nie domyślił, ktoby go głębiej, bliżej nie poznał, aż do wywnętrzenia go nie zbadał. Byłto bowiem na pozór człek pokory niezrównanej, cichy, nieposzukujący ludzi, ustępujący z drogi nawet sługom, grzeczny do uniżoności, a niedający z siebie gniewu wywołać nawet obelgą. Wszystko to przecie szlachetna jakaś sprawiała duma. Unikał ludzi, bo się lękał ich szyderstwa, grzecznym był, by ich ująć i rozbroić, a obelgi uważał za daleko niższe od siebie i nie mogące go dotknąć. Źle może nazwałem to uczu-

cie dumą, ale jak-że je określić?

Wiekuisty smutek na czole Wacława, aż nadto jego położeniem i charakterem dający się tłumaczyć, pochodził także z ciągłego dumania o sieroctwie. Napróżno on dotąd szukał sobie po świecie rodziców, lub domysłu o nich; napróżno badał ludzi, dowiadywał się, śledził: jedyny może co by lepiej mógł wiedzieć o tem, stary pasiecznik, którego żona wychowała sierotę po śmierci Francuzki, jego matki, wysłany został do dóbr hrabiego na Pobereże i tam jak mówiono umarł; drudzy twierdzili, że żył jeszcze, ale dowiedzieć się o nim nie było od kogo, a hrabia sam nawet tych śledztw i pytań wychowańca nie lubił, i za nie surowo go karcił. Sylwan też się z nich nielitościwie prześmiewał.

Wieść powszechna, mało o sposobie, w jaki się dostał do Denderowa mówiła, a hrabia okoliczności tyczące się sieroty wspominał niechętnie, z przykrością, z wahaniem, z gniewem, co tłumaczono zwykle tem, że z dobrego uczynku chlubić się nie chciał.

Wacław pobożny był jak poeta, jak sierota biedny, nie mając ani krewnych, ani przyjaciół, ani równych sobie; bo któż ze znalezionem dziecięciem, z podrzutkiem jakimś porównać się zechce? Jednego tylko znał Ojca wszystkich w niebie, jednę poufałą rozmowę z nim miał w modlitwie.

Smutek, nieszczęście, są wielkim dla lepszych dusz do podniesienia się bodźcem: one rozbudzają do życia, one je wywołują, one podnoszą umysł i kształcą serce. Dla wielu nieszczęście zastępuje matkę i kołysze do cnoty! Takiem ono było właśnie dla Wacława, który zżył się z niem i winien mu był czem został. Ale wyższości młodego człowieka nad otaczających, jego

wielkich przymiotów, jego myśli skrzydlatych, nikt z ludzi co się o niego ocierali, nie znał, nie widział. Dla nich był to bardzo pospolity, głupowaty, roztargniony zawsze, uparcie milczący człowiek, co lubił muzykę. Rzadko słowo wyrywające się z głębi duszy dobiegło do ich uszu, a i tego (nie spodziewając się) znaczenia nie pojęli, lub nie dosłyszeli nawet.

Ktoś jeden tylko był w Denderowie, co czasem, czasem i rzadko bardzo okiem politowania, zajęcia niby, rzucił na Wacława, ale ukradkiem, ale jakby jałmużną, a nigdy przy ludziach. I za to przecie biedny Wacław wieczną wdzięczność przysiągł w sercu hrabiance Cecylji.

Lecz nim poznamy hrabiankę Cecylją, zdaje mi się, że po starszeństwie, wprzódy się musimy zaprezentować jej matce i bliższą z nią zrobić znajomość. A zatem: pani hrabina! pani hrabina!... Znacie zapewne wiele na Bożym świecie kobiet fałszywych, bo ich jak mężczyzn fałszywych jest wiele; wątpię jednak, żebyście kiedy widzieli taki typ fałszu, jakim była hrabina. Typ ten tem był znakomitszym w swoim rodzaju egzemplarzem, że nikt ją o nieszczerość, o kłamstwo, o udawanie nie posądzał. Pozornie (oprócz dla wtajemniczonych), był to wzorek cnót towarzyskich, była to kobieta jak anioł łagodna, przywiązana do swoich prawie namiętnie, litościwa do egzaltacji, cała w uczuciu, cała w sercu, a w głębi czcza próżnia w piersi zastępowała to ognisko życia, które się sercem nazywa. Biło tam coś, cicho, powoli, czasem gorąco, ale komu? — mnogiej liczbie wybranych i nikomu razem.

Wszystko w niej było wyuczone, wyrachowane, skłamane od westchnienia do łez, od radości do konwulsji;

równie doskonale umiała w potrzebie zapłakać i roześmiać się, dostać spazmów, zachorować, patrzeć i nie widzieć, nie słuchając posłyszeć. Tak silnie władała sobą, że nieraz potrafiła w potrzebie pozwodzić lekarzy nawet, udając chorobę. Zimna jak lód, obojętna na wszystko co się jej nie tknęło, umiała otoczyć się blaskiem mnogich nimbusów. Już czterdziestoletnia, wyrobiła sobie piękność wcale jeszcze zajmującą i niepospolitą, melancholiczną, oryginalną; zaoszczędziła swe oczy, kibić, uśmiech, usta, włosy, i jak pospolicie ludzie, co sercem nie żyją, wcale się nie zużyła. Miała na pozór jeszcze wszystkie młodości powaby, aż do dziecinnego czasem trzpiotowstwa, aż do naiwności prześlicznie granej: i niekiedy znowu obwijała się w smutek pociągający, w lazawe atmosfery zamyślenia zdając się mówić: ujcie mnie!

Załotna w miarę, jakby sama o tem nie wiedząc, naturalnie jakoś, zręcznie umiała choćby pięciu razem wodzić za sobą, i wszystkich, nie budząc w nich zazdrości, zaspokoić w różny sposób, nie dając postrzedz oczom obcym żadnego ruchu, żadnego wejrzenia, wymierzonego ku jednemu tylko. W towarzystwie odegrywała doskonale rolę najwyżej podniesionego uczucia miłości dla matki, która dla niej była w istocie mniej niż obojętną, szalonej miłości dla dzieci, czułości dla męża, sympatji gorącej dla przyjaciół, grzeczności wyrazistej, przejętej dla wszystkich. Nikt też powszechniej lubiony (nie mówię kochany) nie był nad nią, wielbiony przez niektórych i żałowany przez wielu; wielu bowiem uważało, że z hrabią, człowiekiem zimnym, dumnym, zajętym sobą tylko i spekulacjami, kobieta tak niezmiernie czuła, szczęśliwą być nie mogła. Ona wszakże

przy ludziach okazywała dla męża przywiązanie pieszczotliwe, które on podobną monetą odpłacał.

W obec ludzi cóżto także była za córka! jaka matka! Cesię swoję nieustannie całowała w czoło, okrywała ją zapobiegliwie od chłodu, biegała za nią, każdy jej krok śledząc, czule podgderywała za najmniejsze narażenie zdrowia; za to gdy były sam na sam z sobą, nie przemówiła do niej, lub zimną przebąknęła przestrogę, a co gorzej, czasem gorzkie czyniła wymówki. Syn, którego w istocie więcej lubiła niż córkę, na pozór był dla niej obojętniejszy; nie chciała bowiem pokazywać, co czuła, i jakby z systemu, choć to było skutkiem bezmyślnym dziwnego usposobienia tej kobiety, kryła zawsze głęboko prawdziwą myśl swoję, nie chcąc jej dać w ręce ludziom: rzekłbyś uczennica Talleyranda.

Hrabina Eugenia, mimo swych lat czterdziestu podobno i kilku, o które bliżsi tylko znajomi posądzić ją mogli, strojna, żywa, wesoła melancholijnie, tańcująca jeszcze, śpiewająca; muzyczka; filozofka, powszechnie była admirowaną i cenioną wysoko. Tłumy wielbicieli otaczały ją zawsze. Dowcip wielki, znajomość świata, pochwytane w lot wiadomostki z któremi zręcznie pochwalić się umiała, rozmowność wreszcie łatwa, czyniły ją w każdem towarzystwie pożądaną. Niezmiernie zręczna i przytomna w konwersacji, nigdy nikogo nie obwiniając, uniewinniając wszystkich, uchodziła za osobę pełną taktu, choć cały ten takt zależał na panowaniu nad sobą, na wiadomości co przy kim i jak powiedzieć, i na starannem ukrywaniu, co się wewnątrz niej działo.

Przy tak zimno-zręcznej matce, przy dumnym a obojętnym ojcu, jaką mogła wyrosnąć Cesia? Bóg nie

dał jej czulszego serca, ani uczuć gwałtownych; wychowanie zgasiło wszystko, co się na wierzch wydobyć mogło innem rozwinieniem. Zgasła, nim rozpłonęła młodością. Byłato stara panna w siedmnastym roku, pani siebie, pani swych wejrzeń i wyrazów, czyniąca już jak matka wszystko z wyrachowaniem i ceniąca najwyżej to, do czego przywykła: zbytki, bogactwo, próżnowanie, błyskotliwe znaczenie u świata, hołdy ludzi, a swobodę dostatków.

Cesia nie miała w sobie zarodu namiętności gwałtownych, ale choć potłumione były w niej instynkta żywotne; w innem ognisku postawiona, wychowana w innej sferze, byłaby się wykształciła inaczej. Lecz mogłaż wyrosnąć żywą i naiwną dziewczynką wśród sznurówek, które na nią kładły obyczaje domu i charaktery otaczających? Dusza jest jak światło: odbija się i mnoży, spotęgowuje gdy ją otaczający odbijają; w kirem osutem kole świeci blado i przygasa.

Smutne było jej życie: do nikogo pomówić, z nikim się zbracić. Zrzadka rówieśnice jej panienki jak ona młode, ukazywały się w Denderowie, i to na krótko; matka sam-na-sam prawie do niej nie mówiła, ojciec całował w czoło tylko przy gościach, i to gdy ich było wielu. Zabraniano jej związków z cokolwiek niższemi, przyjaźni tak potrzebnych młodości i niewinnych nawet stosunków z rówieśnicami; wysznurowana tylko angielka, przedtem guwernantka, dziś dama do towarzystwa jej dodana, która dobywała u nas do czasu zebrania tysiąca pięćset dukatów, by z niemi powrócić do Anglii i otworzyć sklepik w City, niewiele do uczennicy się przywiązująca, jak uczennica do niej, obojętna na wszystko, co się wkoło niej działo, najbliżej była Cesi

i najantypatyczniejsza dla niej.

Wacław był od roku pobytu w Denderowie nauczycielem muzyki hrabianki, ale przez dumę, przez uczucie tego, co był winien domowi dobroczyńcy, ani śmiałby podnieść oczu na uczennicę swoję. Ona pierwsza z nudów może, może z uczucia jakiego, może z ciekawości zatopiła wzrok pełen zagadnień, w głębią łez pełnych oczu Wacława. Iskra to była budząca życie, choć sama go w sobie nie miała. Cesia probowała jak młody myśliwiec trafności swych strzałów. Wacław nic nie pokazał po sobie, ale w nim burza zawrzała. Burza ta grzmiała na dnie tylko jego serca. Cesię gniewała nieczułość młodzieńca: podwajała rzutów oka, dwuznacznych słówek, przedłużała godziny nauki; ale wszystko nadaremnie.

W oczach ludzi traktowała go Cesia jak hrabianka sługę: nie spoglądała nawet na niego, nie powiedziała mu grzecznego wyrazu, nie uśmiechnęła się nigdy, raziła często jeszcze gorzkiemi przycinki, a przed ojcem i matką szydersko odzywała się o nim. Nikt się też niczego z tej strony nie domyślał.

Ale co się dzialo w duszy Wacława, Bóg tylko jeden wiedział, a on drugi.

Ku wieczorowi tłumnie zaczęli się zjeżdżać goście. Wacław dla pospolitszych, Sylwan dla nieco dostojniejszych, dla najstarszych i nawięcej znaczących hrabia, stali z powitaniem, starając się ich wprowadzić, umieścić, poznajomić jeśli bylo potrzeba i połączyć z towarzystwem.

Mówiliśmy już, jak rozmaitego stanu, wieku i położenia towarzyskiego ludzie napływali w tym dniu uroczystym do Denderowa. W tym roku Ś. August był jeszcze świetniejszym niż kiedy. Hrabiowskie i książęce mitry, szlacheckie łysiny i wąsy w ogromnej zjechały się liczbie; nie brakło ani tancerzy, ani tancerek, ani graczy do *djabła*, ani preferansistów, ani gadułów, ani żadnego z tych żywiołów, które stanowią zabawę naszą na prowincji.

Nie wiem czyście kiedy uważali, jak u nas dobitnie dzieli się każde liczniejsze społeczeństwo; nie stan tu, nie godność, ale osobiste usposobienia kierują tem powinowactwem wyborowem. Po godzinie szumnego natłoku, jak w płynie jednym zmieszane różne ingredjencje, poczynają osiadać warstwami ludzie z sobą pokrewni namiętnością. Naprzód kształcą się gronka nieliczne polityków, gadułów, gadułów-gospodarzy, z ludzi, co nie chcą lub nie mogą czem innem się zająć, i językiem płacą za gościnę. Jestto klassa najcięższa i najpierwsza osiada na spodzie towarzystwa. Dalej skupiają się młodzi ludzie, zmierzywszy się wprzód dobrz oczyma, i wkrótce od wstępu o koniach, o dziewczętach, grze i hulance, przełamią się w nowe klassyfikacje, rozdzielając na stoły zielone, za krzesła kobiet, do fajkarni, do stajni, do kielicha. I tu uważać tylko, kto o kobietach nie mówił, pewnie przy nich zostanie; kto o kartach nie wspomniał, za niemi się pociągnie; kto kieliszka nie zdawał się wyglądać i poczyna od — *nie piję*, ten najdłużej mu dotrzyma.

Nim zabrzmi muzyka, już preferansowi *nie tracąc czasu* siadają do stołów, z godną lepszej sprawy gorliwością i zapałem niedorównanym. Za ich przykładem

idą ryzykowniejsi djabełkowicze, z których każdy przywiózł w bocznej kieszeni od fraka jakie tysiąc rubli na pastwę szatana: tysiąc rubli, którychby nie dał umierającemu z głodu.

Ale otóż poloneza zagrali: ten taniec poważny jak pochód wojenny, jak processja, a wesół jak stare czasy, rozpoczyna się. Młodzież wydziela się z łona różnych chwilowych powinowactw, by w sali tańców pozostać. Starzy co za młodych uchodzićby radzi, pierwsi tu stają i dokazują tem mocniej, im silniej bolą ich zromatyzmowane nogi; żaden młokos świeżo ze szkół puszczony nie dorówna skocznością szpakowaciejącym tancerzom.

Po wieczerzy nareszcie skłonni do kielicha kryją się w kątek, by na pamiątkę Sasów i lepszych czasów upić się przyzwoicie, to jest tak, żeby przy swej sile dosiąść bryczki lub powozu, i nie powalać kanap ani posadzek, co się niezawsze udaje, bo miarkę przebrać łatwo.

Wśród tego tłumu, gdzie wybór ludzi? — Ja nie wiem. Szukam go wszędzie, mijając wszakże stoliki kartowe, bo to nie wybór ale wybiorki tylko być mogą; szukam i kręcę się napróżno. Rozmowy zwiastują dziwną czczość umysłową, straszną, bolesną: są to plotki polityczne, dowodzące że ci panowie od arendarzy swych uczą się jeszcze dyplomacji; są to plotki gospodarskie, dowodzące że gospodarstwo u nas rutyną bezmyślną i chybił-trafił pociesznem; są to plotki towarzyskie, objawiające brak serca często, częściej brak zupełny głowy. A co za sądy o przeszłości, jakie teraźniejszości pojęcie, jakie rzuty oka na przyszłość: Boże zmiłuj się nad niemi! Dwóch czy trzech szepcze czego nie śmie powiedzieć w obec tłumu, boby ich zakrzyczano, a ten

szept kilku, niesłyszany, niesłuchany, jest jedynym głosem godnym uwagi.

Takieto właśnie, o jakiem tu mowa, było towarzystwo w Dènderowie. Wielkie salony jaśniały oświecone *a giorno*, kwiaty, zapachy, muzyka, stroje, gwar, uścisków bez końca, grzeczności do znudzenia, komplementów fury; witania aż do wilgoci posunięte, pocałunki czerwieniące twarze, westchnienia gaszące światła, a wśród tego wszystkiego, w ciemnym przedpokoju, na opuszczonej kanapce, w kątku, ze złożonemi na krzyż rękoma, z głową na piersi spuszczoną, jeden biedny, osamotniony człowiek. Pokój to przechodni i pusty; w nim Wacław czeka rozkazów hrabiego.

Cesia przesuwa się w różowej krepowej sukni, z bukietem w ręku, przez pół-cień czarowny witając uśmiechem swoję twarzyczkę w zwierciedle. Wacław zobaczył ją, poruszył się z miejsca, ona się zlękła.

— A! — krzyknęła — a! to pan!

Odwróciła się. Nadto może była ubraną, by mogła spojrzeć na niego; szła dalej a z nią myśl jakaś, i jakby coś zamierzając, wpół drogi zwolniła kroku, rzucając na niego długie, długie wejrzenie, które go przeszyło. Potem wyjmując z ust gałązkę rezedy, upuściła ją, niby gubiąc po drodze.

Wyszła; nie było nikogo. Wacław sądził że już daleko od drzwi odbiegła, rzucił się i podjął tę gałązkę rezedy, jak złodziej, jak zbójca chwytając tę zdobycz... Jakże sie przeląkł, jak pobladł, gdy podnosząc głowę, ujrzał ją czatującą za drzwiami i śledzącą skutków swego podstępu. Ledwie podchwycił tę nieszczęśliwą rezedy gałązkę, gdy Cesia uradowana, zwycięzka, ani już spojrzawszy na niego nawet, uszła do salonu lekka

i wesoła,.. Byłoto pierwsze jej zwycięstwo: wiedziała że ją kochał, wiedziała że rozkochać mogła.

Wacław pozostał wpół zabity, gniewny na siebie, że nie przewidział podstępu, zrozpaczony że się wydał, szalejąc w głowie jak się z tego wytłumaczyć, wykłamać potrafi.

— A! — rzekł z bijącem sercem — kłammy gdy kłamać potrzeba, gdyśmy w świecie fałszu; powiem jej jeżeli się spyta, żem sądził iż zgubiła co od stroju, pierścionek, branzoletkę, a gdy się spyta o rezedę, nie przyznam się, o! nie przyznam się, że ją noszę na sercu... Nigdy, nigdy o tem wiedzieć nie będzie co czuję!...

Niestety! fałszywyto był, choć poczciwy rachunek. Cesia, jako kobieta przebiegła, starsza głową i przeczuciem niżeli doświadczeniem, wiedziała co widziała, a klęczący, chwytający gałązkę Wacław wyspowiadał się zbyt szczerze, by mógł przed nią resztę utaić.

W salonach oświeconych snuły się czarowne postaci niewieście, a jak królowa balu rozsiadła się w krześle poważnie *niegdyś piękna*, dziś tylko majestatyczna hrabina Czeremowa w aksamitnej z koronami sukni, w toku z piórem na głowie, w łańcuchu złotym na piersiach aż pod brodę podsznurowanych, z lornetką w ręku i z tą minką pogardliwą, szyderską razem i dumną, która ma oznaczać panią najwyższego tonu, a dziś przystała doskonale strojnym tylko kucharkom i wyszłym za generałów pomywaczkom.

Obok niej *piękna jeszcze* pani hrabina Denderowa, melancholijnie wsparta na białem ręku prześlicznych kształtów, wodziła wzrokiem przyćmionym umyślnie po sali, przymilając się i wdzięcząc do wszystkich, nie szczędząc słodkich słówek, i niby nie

słuchając a słysząc co jej szeptał pan Powala, były rotmistrz gwardji, słuszny i potężnych ramion mężczyzna, z wąsem lśniącym i okiem czarnem.

Dalej rzędem *już piękne* siedziały panienki, a na ich czele weselsza niż kiedy Cesia. Było to przystojne, choć niepiękne, ściśle biorąc dziewczę, kształtnych rysów, w których choć charakteru i żywota brakło, było przecie jakieś niespokojne zajęcie; oczu małych, świegotliwych, ruchawych, noska małego i ładnego, kibici zręcznej, postawy wyuczenie dumnej, którą wzięła po babce i ojcu. Twarzyczkę jej pokrywała sentymentalna może, a niechybnie chorobliwa bladość.

Sylwan w czarnym fraku, białych rękawiczkach obcisłych niezwyczajnie, w werniksowanych bucikach, z lornetką w ręku, gdyż od dawna miał zły wzrok a dobrą ochotę noszenia szkiełka, perorował już wśród salonu o równości stanów i kwestji socjalnej. Słuchali go jedni z dwuznacznym uśmiechem, drudzy z zagawronieniem, inni z podziwem, jako geniusza mierząc ciekawą duszą. Szczęśliwyto kraj, gdzie dość kilka słów cudzych, a szumnych, a jaskrawych, by zyskać opinią wielkiego człowieka, najpochlebniejsze przyjęcie i najgorętsze współczucia oznaki. Często nie trzeba więcej, tylko mówić tak, aby nas nie rozumiano, i słowy ogromnemi, a odór, którego doznają, biorą wszyscy za działanie gieniuszu. Dość być nie takim jak wszyscy, żeby zostać znakomitym.

Hrabia z podniesioną głową, choć czoło jego myśl jakaś chmurzyła, z kolei, jako pilny gospodarz domu, obchodził towarzystwo swoje, i jednych klepiąc po ramieniu, drugich po brzuchu, tych całując, tamtych ściskając, innych witając tylko uśmiechem, poruszeniem

głowy, poufałem podaniem ręki, częstował wedle stanu i smaku każdego. Coto tam było odcieni w jego mowie: pan, waćpan dobrodziej, asindziej, kochany pan, pan dobrodziej, serce, kochanie, i spieszczone imiona, leciały dobrane do barwy osób z łatwością i trafnością zadziwiającą.

Pomimo że powinien był cieszyć się z natłoku gości. Zygmunt-August Dendera ciężko tego dnia pracował; dowodził tego kroplisty pot na czole, wejrzenia niespokojne, zamyślenia chwilowe. Wśród swej pielgrzymki od stolika do stolika, od krzesła do krzesła, jakaś myśl żywo go kolnęła, i skierował się nagle z uszanowaniem dobrze odcechowanem ku matce swej żony, która jak na tronie siedząc w swym fotelu, zażywała białemi paluszkami tabakę ze złotej kameryzowanej, z portretem nieboszczyka męża (w stroju szambelańskim dworu austrjackiego) tabakiereczki. Trzeba było widzieć Zygmunta-Augusta jak się zniżył, jak spłaszczył, jak rzewnie uśmiechnął, całując jej rączkę podaną sobie dosyć niechętnie. Dostrzegł był bowiem już przy powitaniu złego humoru matki, skierowanego ku sobie, a teraz postanowił się przekonać, czy to było tylko skutkiem znużenia, zmęczenia, głodu, spazmu, chwilowym kaprysem, lub opierało się na trwalszych jakich pobudkach. Zachmurzenie dość widoczne, nawet w obec sta osób trwające, utwierdzało go w domysłach, że hrabina z czemś przyjechać musiała. Jakoż po przyklęknieniu, po czułych komplementach mamie dobrodziejce, załamaniu rąk patetycznem i odegraniu pantomimy wyrazistej dla salonu, na co wszystko uśmiechem tylko zimnym i kwaskowatym odpowiedziała hrabina Czeremowa, — Dendera widząc, że nie wymoże po-

chlebstwy ani słówka milszego, odszedł z pociechą, że scenę dla parteru odegrał wybornie, ale w duchu zgryziony i przeklinając nieznośną babę.

Od matki pobiegł do żony, z atencją młodego małżonka, z nadskakiwaniem zakochanego, chcąc pokazać światu, jak swego anioła kochał. Tu żona mu nie uchybiła: jej uśmiech, wdzięczne podanie ręki, wejrzenie słodkie, wszystko patrzących upewnić mogło, że najwspanialsza harmonja panowała między małżeństwem, któremu dotąd przyświecał jeszcze księżyc miodowy.

Od żony, przechadzając się po salonie, dostał się hrabia do syna, powtórzyć z nim zwykłą scenę o reformach socjalnych. Zastał Sylwana w zapale dowodzącego, że przyszłe pokolenie musi się zamknąć w falansterach (nic mniej), i że jajami jednego falansteru, wedle rachunku Fourier'a, zapłaci dług Anglii z największą łatwością. Wprawdzie jakiś szlachcic zarzucił mu, że na tyle jaj nawet pod Wielkanocne święta nie znajdą kupców falansterjanie, ale niemniej Sylwan naburczawszy na szlachcica, który tak mizernych szukał opozycji środków, pozostał przy jajach i falansterze. Ojciec się zbliżył; — byłto znak zwykłego boju. Potrzeba było słuchać, jak czule, jak zręcznie ojciec dopomagał synowi do objawienia swych transcendentalnych pojęć o reformie społecznej, popisując się dla większego kontrastu ze swoją dumką arystokratycznym i rasowym uporem.

— Świat — mówił Sylwan w zapale — dąży do doskonałości i dojdzie do niej.

— Ale pozwólże...

— Proszę mnie wysłuchać; wiek nasz jest wiekiem postępów: zniknie ubóstwo, znikną plagi, jak wojna i

mory, człowiek musi być szczęśliwym.

— Co? w komunizmie?

— Nie wyrokuję o formie, jaką przybierze przyszłość: sąto zarysy tylko może niedoskonałe, objawiające silne pragnienie ludzkości.

— I chcesz mnie przekonać, że potraficie wszystko i wszystkich zniwelować i zrównać?

— Najzupełniej! znikną klasy i kasty, których egzystencją i tak już podkopało rozumowanie.

— Stój! stój! to nie dla mnie, ja pozostanę czem byłem. Nazwij mnie sobie jak zechcesz, uparcie wierzyć muszę w nierówność ludzi, w coś odrębnego w klasach wybranych. Nie mogę się zaprzeć, dla jakichś tam marzeń, tradycji wieków, bytu własnego, drogich mi pamiątek mojego rodu i pochodzenia, i wszystkiego co w puściznie odziedziczyłem *po przodkach*.

Sylwan ruszył tylko ramionami, i komedja w ten sposób ciągnęła się dalej: ojciec sprzeczką pobudzał syna, podnosił go i stawiał w świetle; syn dźwigał ojca, nie szczędząc mu kontrastów; oba razem radzi byli z siebie, bo ludzie mówili: — Jednakżeto młody hrabia nie darmo jeździł za granicę, głowa tęga! — A drudzy: — Stary, to pan całą gębą!

Trzeba wiedzieć, że u nas za *tęgą* głowę uchodzi, kto śmiało bredzi; a za pana, kto o swej procedencji gardłuje.

Wreszcie rzuciwszy syna wśród grona pilnych słuchaczy, Zygmunt-August odszedł ku gościom i spotkał nagle między niemi znajomego nam Jacka Kurdesza, który dość przepłoszony i obcy błądził w tym tłumie jak widmo, ze swą wygoloną głową, konfederatką na szabelce, w kontuszu na wyloty, żupanie atłasowym,

pasie lamowym i wąsem jak mleko białym.

— A! kochanego rotmistrza!

— Nóżki całuję JW. hrabiego — odparł szlachcic, schylając się — nóżki całuję. Pozwolisz mi JW. pan złożyć sobie najszczersze, z powodu tego dnia uroczystego, życzenia, i podziękować za ten honor, jaki mojemu ubogiemu domkowi uczynił syn JW. pana, nawiedzając szlachcica w jego chacie.

Dendera nadzwyczaj serdecznie wyściskał rotmistrza, który go wciąż w ramię całował i niemal za kolana chwytał; potem uprowadziwszy go trochę na bok, rzekł:

— A co? nie potrzebujesz czasem swojego kapitaliku?

— Jeszczeżto do terminu daleko, JW panie, — rzekł szlachcic, nie dając poznać po sobie intencji.

— Ale ja potrzebowałbym wiedzieć wcześnie, sumka nieszpetna, rotmistrzu!

— E! o tem potem — odparł szlachcic pokornie — nie mieszajmy jubilacji dnia tego tak uroczystego rozmową o interesach. JW. pan pozwolisz to odłożyć do powolniejszej chwili.

— A! jak chcesz, — rzekł hrabia grzecznie, trochę jednak zmieszany, bo się spodziewał wedle zwyczaju innej wcale odpowiedzi i prośby, ażeby kapitał zatrzymał jak najdłużej. Kolnęło go to odłożenie niemiło, a czoło jeszcze się posępniej zachmurzyło.

— Jakże tam gospodarstwo? — spytał, chcąc szlachcica rozruszać.

— At, małe dziedzictwo, wielkie kalectwo, JW. panie, wlecze się to jakoś.

— Zebrałeś już żyto?

— O! nie jeszcze, a tu kalendarz deszcze prorokuje.

— Ja mam już kilka tysięcy w kopach, ale jeszcze na polu.

— I ja nie wiele schwyciłem do stodoły.

— No! a w domu tam jak? Bogu dzięki, córeczka zdrowa?

— Do nóg upadam za pamięć.

— Dobra słyszę gosposia. Sylwan nie mógł się odchwalić podwieczorku...

Stary pogładził się po łysinie i uśmiechnął mile. Hrabia kończył:

— A śliczna słyszę panienka!

— Niczego, JW. panie, ale zwyczajnie wieśniaczka.

— Daj Boże pociechę!

I hrabia uprzejmie objąwszy radośnego rotmistrza, oddalił się od niego, odwołany przez kogoś. Szlachcic poszedł do gawędujących w kątku podtuptanych gospodarzy, przysiadł na rożku kanapy, i *cum debita reverentia* dla tak znakomitej kompanii nudził się i ziewał, starając mieć minę na wszelki wypadek uśmiechnioną.

Tymczasem rozpoczęły się tańce, które ostatecznie podzieliły towarzystwo na warstwy odrębne. Sylwan kierował niemi, zapalczywie lubiąc skoki, i naturalnie rej wodząc jako w domu. Matka jego, także namiętna tancerka, nie ustępowała mu w ochocie i niezmordowaniu, a rotmistrz Powała nieustępnie jej pilnował, tak, że to nawet trochę w oczy bić zaczynało, i stara hrabina szepnęła córce, aby tę *partie fixe* starała się urozmaicać dla oka ludzkiego.

Postanowionem było w programie dnia tego, że wśród spoczynku po tańcach, chwilę miała zająć muzyka: hrabianka Cecylia śpiewać miała *cavatinę* Belliniego, a towarzyszyć jej miał Wacław. Hrabia trochę dumny talentem wychowańca, chciał także, by się i on popisał z jakiem *solo* na fortepianie; czemu choć się bardzo sprze-

ciwiał i opierał muzyk, nie mogąc wymówić, posłusznym być musiał.

Po polskim, kontredansie, walcu i mazurze, wywołano z ciemnego kątka Wacława, i kazano mu towarzyszyć Cecylji do śpiewu. Biedny chłopiec, jakkolwiek powtarzał nieskończoną liczbę razy tę nieszczęsną *cavatinę*, zmieszany dziś świeżem skompromitowaniem swojem w obec Cecylji, smutny, wymierzonemi ze wszech stron na siebie oczyma zbity z tropu, przywiódł śpiewaczkę do niecierpliwości, to spiesząc, to zwalniając takt w miarę, jak krew żywiej, to powolniej w nim grała. Surowe spojrzenie naprzód, ostre słowo przy końcu, które pokryły szumne oklaski i powinszowania wszystkich (mogłoż być inaczej?) ledwie mu z oczu łez nie wycisnęły.

Ale potrzeba było grać. Hrabia, jakkolwiek posępny, trzymał się planu swojego, i zapowiedział wielkim głosem popis swojego wychowańca.

Cóż było robić? — grać musiał.

Ale co zagrać temu roztargnionemu tłumowi, którego połowa niecierpliwiła się, wyglądając dalszych tańców, a druga ani myślała o muzyce? Dla tak nieusposobionych słuchaczy potrzeba było, wzorem innych popisujących się, wybrać coś szumnego, mechanizm tylko zadziwiający wykazującego, zagłuszyć, zatrząść, zadziwić. On nic nie grał z tych wystawnych błyskotek, z tych sztuczek jaskrawych, które są jak żywo iluminowane kramne obrazki, bez myśli, bez kształtu, bez czucia, ale biją w oczy. Zaczął poważny pierwszy koncert Chopin'a, i grał go przepysznie: ale któż go zrozumiał? kto słuchał?

Kilka oklasków z litości i z radości, że dokończył przecie, powinszowania hrabiemu, całą były nagrodą wiel-

kiego wysiłku, wzruszenia, strachu i znużenia; potem Wacław wybiegł co prędzej do ogrodu sam jeden, i usiadł na ławce pod gankiem, oddychając ciężko, patrząc w oświecone rzęsisto okna salonu, i uciskając bijące, rozkołysane serce.

W salonach już się rozpoczął kontredans, a Cecylja obejrzawszy się ledwie pochmurno za odchodzącym Wacławem, ujrzawszy go, jak szybko uciekał w drzwiach od ogrodu, ruszyła lekko ramionami. Sylwan komuś chwalącemu przed nim talent Wacława, odparł zimno:

— Tak! tak! coś z tego być może! chociaż kto jak ja słyszał Thalberga, Liszta i Henselta, trzy najpotężniejsze talenta egzekucyjne, smakować w takiej mierności nie może. Dla was i to dobre!

To słówko głośno rzucone, zabiło Wacława w opinji wszystkich małp, co za wyrocznię nieodwołalną mają człowieka, który z zagranicy powrócił, i nie ważą się sądzić ani własnym rozumem, ani własnem uczuciem w obec cudzoziemskiego, zagranicznego zdania.

Gdy się to dzieje, hrabia ciągle obchodzi swych gości, uśmiecha się, rozmawia, słucha, szafuje grzecznościami; w tem mrugnienie znaczące hrabiny Czeremowej, która powstała ze swego miejsca, wywołało go do drugiego pokoju. Poważnym krokiem sunęła się hrabina do gabinetu, z góry patrząc na ustępujące przed nią z uszanowaniem tłumy i nizko jej kłaniających się gości.

Weszli oboje do gabinetu oświeconego tylko lampą alabastrową, w którym tem bezpieczniej było od natrętów, że obok tańcowano. Drzwi do sali stały otworem: każdego wchodzącego zobaczyć można było łatwo, a drugiego wnijścia nie miał gabinet. Chwilę

chodziła pani hrabina poważnie milcząca, jakby się przygotowywała, zażywając tabaczkę; potem niby po namyśle, odezwała się, obracając zwolna do zagryzającego już niecierpliwie usta Dendery:

— Darujesz mi hrabio, że w takim dniu muszę serjo rozpocząć rozmowę; ale mi jutro jechać wypada, jesteś i będziesz zapewne zajęty, nie zabierze nam to czasu wiele...

— Jestem do usług hrabinej — odparł sucho.

— A więc możemy, choć temu nie rada jestem, możemy i musimy się rozmówić; może ci to nieprzyjemnem być może.

— Słucham co się pani podoba — pochwycił hrabia, dumnie się prostując.

— Hrabio — rzekła powolnie cedząc i patrząc mu w oczy — jest rzeczą niezawodną, że źle bardzo stoisz w interesach; pomówmy o tem szczerze i otwarcie.

— Ja! źle w interesach! — oburzył się hrabia i rozśmiał zmuszonym śmiechem — któżto pani hrabinie zwiastował?

— Kto? jestto już nawet głosem powszechnym.

— Gdzie?

— Wszędzie prawie; wiedzą o tem i mówią wszyscy.

— O tem, zdaje mi się, jabym wiedzieć powinien najlepiej — odfuknął hrabia, przechodząc nagle z tonu poszanowania do wyzwolonego i swobodnego, który już się zamienia na szyderski.

— Właśnie od hrabiego chciałabym się o tem prawdy dowiedzieć.

— Nie widzę potrzeby, ani miejsca, ani pory do zdawania pani rachunków — rzekł hrabia sucho; — zresztą, pozwolisz się pani hrabina spytać nawzajem,

jakiem prawem chcesz mnie słuchać liczby *z mojego* majątku?

Mojego — dodał dobitniej, z przyciskiem.

Hrabina, głosem, tonem i mową zięcia, dotknięta była do żywego. Brak uszanowania, jakiego dotąd nie doświadczyła od niego, boleśnie ją obszedł; zarumieniona, oddychając żywo, odparła, podnosząc głowę po królewsku:

— Mości panie! majątek ten jest razem majątkiem mojej córki.

— Chyba wnuków, chcesz pani raczej powiedzieć?

— Przecież klucz Samodoły wziąłeś pan po Eugenii.

— Tak! — zaśmiał się hrabia szydersko — czterysta dusz z czterykroć sto tysięcy długu, gdy dusza tam nie warta i pięciudziesiąt dukatów!!

Hrabina przez chwilę mówić nie mogła, tak się rozgniewała; machnęła tylko ręką i chciała powrócić do salonu, ale się zawróciła jeszcze.

— To kłamstwo! to kłamstwo! — zawołała przerywanym głosem — klucz Samodoły, przeznaczony dla córki, był tylko obciążony długiem bankowym przez ś. p. męża mojego.

— A deportata pani, od których płacimy procent?

— Drugi rok jak go już nie odbieram — żywo przerwała hrabina.

Zygmunt-August zamilkł i odparł obojętnie:

— To zapłacę, ale mnie pani nie będziesz słuchać rachunku, bo nie ma prawdziwie z czego.

— Czy tak już mówisz do matki swej żony? — spytała ze wzrastającym gniewem hrabina.

— Nie mówię w tej chwili do matki mej żony, ale do rachmistrza, który mnie chce liczby słuchać, prawa

do tego nie mając, bo mi nic nie powierzył.

— Mości panie!

— Tak, pani hrabino!

— Mniejsza o to, mniejsza o to — zawołała stara, płonąc niecierpliwością i na twarz rozognioną wiejąc chustką — mniejsza o to: przyszedł czas może i innej liczby wysłuchać waćpana... Moja córka nie jest z nim szczęśliwą!

— Któżto pani zwiastował?

— Dość jest własnych oczu, by to zobaczyć.

— Życzyłbym spytać lepiej hrabinej i z własnych o tem nie sądzić domysłów, a mnie także wybadać, czy z nią jestem szczęśliwy.

— Z tym aniołem! — wykrzyknęła matka łamiąc ręce; ale wnet pomiarkowała się, że gest ten może być widać z salonu, i poczęła znowu powiewać chusteczką, usiłując przybrać powierzchowność spokojną.

— O aniele i jego skrzydłach, które go czasem zadaleko unoszą, radziłbym mnie wybadać! — powtórzył hrabia szydząc gniewnie.

— Jesteś pan potworą! — rzuciła hrabina ze złością niepohamowaną — potworą niegodną, by cię ziemia nosiła!

— *Chére comtesse, on commence á nous observer!* — odpowiedział zimno hrabia — *nous ferons bien de passer au salon.*

To mówiąc podał jej rękę wdzięcznie się pochylając: a że był u drzwi samych, musiała ją przyjąć, i tak z niezmiernemi pokłonami, uśmiechami, komplementami i synowskiem poszanowaniem odprowadził ją buchającą gniewem, a wywdzięczoną na pozór, do porzuconego przed chwilą krzesła.

W kwadrans potem, pod pozorem bolu głowy, pani hrabina Czeremowa odeszła do swych pokojów, pontyfikalnie znowu przez niego odprowadzana aż do drzwi. Ból głowy! Ileżto ten ból głowy nie pokrywa dramatów kończących się nim i rozpoczynających, ile tajemnic, ile grzechów! Co to za skarb drogi niewidoczna choroba, którą wziąć można i zrzucić z siebie ile razy potrzeba!

Zaledwie powrócił do salonu, rzeklbyś, że to był dzień feralny: służący szepnął na ucho hrabiemu, że w bocznym pokoju czeka na niego z pilnym interesem Smoliński. Złą to jest prawie zawsze wróżbą, gdy kto do kogo przychodzi z papierem w ręku: rzadko papier zwiastuje dobrą nowinę, bo dobre wieści w życiu człowieka nieliczne, najczęściej ta karta tajemnicze niesie kłopoty, frasunki, przypadek, nieszczęście, zawikłanie jakieś, jeśli nie cios nieuleczony.

Hrabia postrzegłszy Smolińskiego, który go w tym dniu i godzinie tak pilnie wzywał, stojącego z papierem w ręku, pobladł i prawie gniewnie zawołał:

— Przecież wiesz, jak dziś jestem zajęty: mogłeś z tem poczekać do jutra rana.

— Ani godziny! — rzekł Smoliński posępnie.

— Cóż to jest?

— A cóż ma być: naturalnie nieszczęście.

Hrabia zadrżał i stracił gniew i przytomność. Jeszcze nie wiedząc co go czekało, chwycił się za głowę i upadł na krzesło.

— Mówże prędko, mów!

— Abramson....

— Abramson zbankrutował i mój zalóg przepadł!

— Tak jest.

— To być nie może.

— Urzędowe oznajmienie i sekwestr na klucz Słomnicki.

Dendera nie rzekł ni słowa, tylko spojrzał w czarne okna i zamilkł jak ściana: usta mu zapadły, zacisnęły się, czoło pofałdowało: zestarzał w mgnieniu oka.

— Co mam robić? — spytał Smoliński.

— Co sobie chcesz.

— Pozwoli pan hrabia choć po czasie przypomnieć sobie, że zawsze byłem tym zalogom przeciwny, że zawsze mówiłem...

Ale hrabia w myślach zatopiony nie słuchał.

Smoliński ze zwykłą swoją bezczelnością wmawiał mu fałsz; jego bowiem zręcznej insynuacji winien był Abramson, że mu dano załóg, od którego płacił po dukacie z duszy hrabiemu, a po trzy złote Smolińskiemu. Teraz gdy Abramson zbankrutował, Smoliński obawiał się przypomnienia, że często słówko za nim rzucił i uprzedzał wymówki, zapierając się przeszłości. Trzysta dusz przepadło za sześć tysięcy złotych zapłaconych z góry hrabiemu, i tysiąc danych do kieszeni plenipotenta. Żyd ze skarbu kilkadziesiąt tysięcy rubli chwyciwszy, uciekł do Brodów.

— Co mam robić? — powtórzył, z ukosa spoglądając na hrabiego Smoliński.

— Idź kpie i powieś się na gałęzi — odburknął nagle wstając Dendera, i nie rzekłszy słowa więcej, wyszedł do salonów, otarłszy tylko czoło, a usiłując przybrać postawę wesołą i spokojną.

Ktoby go zobaczył wchodzącego do rzęsisto oświeconego pokoju tańców, nigdyby się nie domyślił, że niósł z sobą tajemnicę tak wielkiej wagi, od której mógł los

całej jego rodziny zależeć. Uśmiechający się znowu, ledwie trochę bledszy, spotkawszy u drzwi prawie Jacka Kurdesza, wziął go zaraz na bok.

— Wiesz kochany rotmistrzu — rzekł — trafia mi się doskonała spekulacja; nie chcesz być ze mną do spółki?

— Cóżto takiego? jeśli wolno spytać się hrabiego.

— Wyborna! doskonała i pewna spekulacyjka! podradzik pełen nadziei! sto na sto! Masz dwadzieścia tysięcy do spółki?

— Gdziebym ja mógł mieć taką sumę gotówką? — odparł pan Jacek, nie zmieszawszy się natarczywością i już jakby podejrzywający cokolwiek. Czy to nam szlachcie trzymać takie kapitały w szkatułce?

— Szkoda! Mógłbyś łatwo ledwie nie grosz na groszu zarobić.

— Szkoda! ale...

— A nie wiesz tak jakiego uczciwego człowieka z zapasem?

— Panu hrabiemu nietrudno będzie o tak małą sumkę.

— Ale bo tu wszystko na pośpiechu: czas ucieka, żydzi godzą.

— Wszak pan rotmistrz Powała podobno pięćdziesiąt tysięcy pozawczoraj gotówką odebrał od brata, i właśnie go kwitował, gdy byłem w powiatowem mieście.

— Masz racją, wezmę u niego

I hrabia posunął się dalej. Żona jego właśnie tańcowała z panem eks-rotmistrzem, który był w tak różowym humorze, widząc się bliskim osiągnięcia serca JW. hrabinej, że byłby rodzonego ojca oddał dla niej, dla pochwalenia się potem między kolegami dawnemi

tak umitrowaną zdobyczą. Hrabia w intermedjach tańcu klapnął go po ramieniu przyjacielsko.

— Słówko! rzekł z uśmiechem.

— Co każesz hrabio? — uśmiechając się sympatycznie zawołał rotmistrz.

— Kieliszek starego wina.

— *Cela n'est pas de refus.*

— A zatem po kontredansie.

— Właśnie go kończymy.

I ujęli się pod ręce, a pan Powała śmiał się z łatwowierności męża, a hrabia śmiał się zawczasu z rotmistrza, widząc go w usposobieniu takiem, że niczegoby odmówić nie potrafił.

Weszli do pokoju, w którym był stół pokryty butelkami: hrabia z pod obrusa dobył zapleśniałą bańkę węgrzyna, samym swym kształtem nie do dzisiejszych należącą czasów.

— *Vous m'en direz des nouvelles* — rzekł mrugając.

— Tokaj stary.

— Stary, ośmdziesiąt-letni tokaj, zobaczysz.

— Zdrowie solenizanta!

— Dziękuję ci rotmistrzu! — dodał żywo z wesołą twarzą i śmiechem dobrodusznym — nie wszyscy mi jednak, jak ty, dziś winszują.

— A! są co lepiej to może umieją, ale pewnie nie tak szczerze.

— Cha! cha! Różnie się trafia! Miałem dziś właśnie jedno bardzo oryginalne powinszowanie.

— A cóżto takiego panie hrabio?

— Wyobraź sobie rotmistrzu nieokrzesanego brusa, który przed rokiem na klęczkach wyprosiwszy sobie u mnie, żebym przyjął jego sumkę na procent, dziś obrał

sobie dzień moich imienin, by mnie napaść o jej oddanie.

— *Mais c'est bête!*

— *C'est absurde!* I złapał mnie naturalnie zupełnie niespodzianego, nieprzygotowanego. Oburzony, kazałem natychmiast Smolińskiemu choćby u żyda wziąć i zaraz tego miłego gościa uspokoić: tak mnie to poruszyło.

— Cóżto za sumka? — spytał rotmistrz.

— *Une misére de 30,000 florins.*

— Chcesz hrabio, to ci jutro przyszlę.

— Alboż możesz mieć gotowe pieniądze? — spytał hrabia z dobrze udanem zadziwieniem i niedowierzaniem.

Rotmistrz się uśmiechnął z niejaką dumą.

— Jutro ci przyszlę hrabio.

— Twoje zdrowie rotmistrzu. Bardzo dziękuję ci za uczynność... uwolnisz mnie od kłopotu... Jeszcze kieliszek..

— Nie warto mówić o tem.

Zagrano walca i pan Powała rozbijając się poleciał do hrabinej, a Zygmunt-August powolniej za nim idąc, szeptał w duchu:

— Mam trzydzieści tysięcy: jutro biorę pocztę i jadę z nimi do Żytkowa. Wyrobię się, muszę się wyrobić: główna rzecz była dostać na to pieniędzy. Biedne rotmistrzysko! jaki młody! a takie wąsy!

I rozśmiał się pocichu.

W przestankach tańca rozmawiano, a jak szerokie sale, jak różne twarze, jak niepodobni do siebie byli goście, tak dziwnie też niejednakie były rozmowy. Szczęściem leciały każda w inną stronę, nie spotykając się z sobą, nie obijając o siebie.

W tym samym gabinecie, w którym przed chwilą hrabia z matką swej żony tak przykrych kilkadziesiąt słów zamienili z sobą, z którego tak poruszeni odeszli; siedzieli teraz na kanapie: Sylwan palący cygaro i hrabia Walski, jak Sylwan wychowany za granicą, bogatszy od niego, koniarz także, młody jak on, jak on zcudzoziemczały, ale mający nad nim tę wyższość, że bardzo będąc zepsuty, nie dognił jeszcze do serca. Powłoka w nim tylko przez zetknienie się ze zgnilizną zepsuta była, reszta miała jeszcze życie.

Walski nie lubił Sylwana, Sylwan uważał za potrzebne mieć tak pokaźnego przyjaciela. Czyż raz potrzebujemy jak on przyjaciół, jak ozdobnych fraszek tylko, żeby się pochlubić niemi? Rzadko dobieramy ich dla serca, częściej dla oka. Chcemy mieć przyjaciela bogatego, pięknem zowiącego się imieniem, dobrze wychowanego, aby z niego o nas ludzie sądzili. Walski się nudził i chętnie przyjmował serdeczności Sylwana, choć z nim nie sympatyzował: już dla zabicia czasu, już przez angielską jakąś obojętną dumę. Sylwan też nadskakiwał mu w cztery oczy, żeby mieć prawo potem w obec stu osób mówić do niego: — mój Karolku! i wziąwszy go pod rękę, szeptać i śmiać się.

Gdy usiedli na ustroniu, a tak przecie, żeby cała młodzież widzieć mogła, że hrabia Sylwan z hrabią Karolem poufale coś szepcą, (bo z sali do gabinetu przez drzwi otwarte widać było wszystko), przemknął się stary pan Jacek Kurdesz mimo drzwi, i naturalnie hrabia Karol zapytał:

— Cóżto za stara podgolona czupryna?

— A! a! wyśmienity szlachciura, właśniem ci o nim miał mówić.

— O nim?

— O nim, i nie o nim tylko, ale tak jak, bo o córce.

— Ma i córkę? Jest tutaj?

— *Quelle idée!* To sobie prościuchna dziewczyna, ale śliczna jak dzika róża.

— Porównanie nie nowe, ale barwne — rzekł Karol puszczając dym półgębkiem do góry.

— Wystaw sobie — kończył Sylwan — coś tak niewinnego, tak prostego, tak naiwnego, jakby w powieści, jakby nie na naszym świecie, gdzie dwunastoletnie dzieweczki już intrygować poczynają. Kibić trochę silna, ale kształtna bardzo, twarzyczka śliczna, uśmiech bardzo wdzięczny.

— Oho! wpadasz w zapał, poetyzujesz: czyżbyś się miał w tej prościuchnej dzieweczce zakochać?

— Zmiłujże się! zakochać! *c'est beaucoup dire*, ale myślę o czemś...

— Naprzykład?

— Myślę sobie zapracować na miłe wspomnienie.

— Jakżeto, hrabio?

— Rozpocząć z nią romansik naprędce, bez konsekwencji.

— Bez konsekwencji! — rozśmiał się Walski z dziwnym wyrazem smutnego jakiegoś politowania. — A potem? — spytał.

— Cóż potem? Nic.

— Nie pojmuję takiego projektu, bez konsekwencji!

— Jakto! cóż dziwnego? Piękna, młoda, oryginalna, bo dzika i prosta; zajmuje mnie, bawi. Jeżdżę, jesteśmy szczęśliwi, a potem się sobie rozstajemy, mając dosyć.

— Jakto wybornie obmyślano! Pamiętaj tylko, ko-

chany panie Sylwanie — protekcjonalnie dodał Walski — że ze staremi podgolonemi czuprynami kończą się podobne plany często na kobiercu, to jest: albo na batogach, albo u ołtarza.

— Cha! cha! On mnie za kolana ściska, sam mi chciał córkę koniecznie pokazać.

— Dzikie jak widzę masz wyobrażenie o ludziach.

Sylwan się uśmiechnął z zarozumiałością młodzieńczą.

— Spodziewam się — rzekł Walski — że to coś powiedział, jestto tak sobie żartem.

— Nie, to projekt stanowczy, serjo, bardzo serjo.

— Pozwólże, bym ci w porę przyszedł z radą.

— Najchętniej, byleś mi nie odradzał.

— Powiem ci tylko proste, pewne, z doświadczenia wyciągnięte aksjoma.

— Z doświadczenia własnego? — szydząc zapytał Sylwan.

— Na ten raz z cudzego tylko może; zresztą z jakiegokolwiekbądź, to pewno, że z doświadczenia.

— Słucham pilnie i posłusznie.

— Radzę więc, a naprzód: nie wdawaj się nigdy w miłostki z projektem zerwania ich jutro; nie znasz siebie, nie znasz kobiet i nie możesz przewidzieć okoliczności. Nic łatwiejszego jak zacząć, nic trudniejszego jak skończyć i zerwać...

Sylwan rozśmiał się po swojemu.

— Jestem trochę starszy od ciebie — rzekł Karol — słyszałem o wielu podobnych przygodach, chociażem się w nie nie wdawał. Ja, jak wiesz, potrzebowałem dotąd atłasowej sukni, koronek i pachnideł, żebym się mógł zakochać; dla mnie ideał musiał być strojny, musiał

być zfrancuziały, musiał być z mojego świata; nie poglądałem nawet na szlachcianki, bo czerwone ręce i ogorzała twarz...

— Alboż myślisz, że moja tak wygląda! — zakrzyknął Sylwan — rączka jak z marmuru...

— Tem gorzej! Słuchaj dalej. Słyszałem o niejednej podobnej przygodzie, zawsze się one smutnie kończą. W naszych salonach równa gra: te panie wiedzą doskonale i znają z czem do nich przychodzim, nie rachują na nas więcej niż należy. Gdzieindziej, w sferze niższej, twoja miłość wywoła zaraz marzenia ślubu i dozgonnych węzłów. Gra nierówna: będziesz zdrajcą, a być zdrajcą zawsze nie ciekawa. Miłość zaś kończąca się trywialnie, krzykliwie, wrzaskliwie, gorsząco, nic potem! parafiańszczyzna!

— Ty bo Karolu myślisz widzę, że ja nie mam sumienia, żebym uwiódł i porzucił, bez serca, bez...

— A cóż? ożeniłbyś się?

— Gdzież znowu! to rzecz inna; ale nie możnaż załagodzić i nagrodzić inaczej?

— Nagrodzić zdradę, zawód taki, i spękane serce i życie?

— Bierzesz to ze strony tragicznej, której zwykle podobne związki nie miewają. Mnie się zdaje, że to się dziś nigdzie tak już nie bierze. Frania moja musi dobrze wiedzieć z góry, że się z nią ożenić nie mogę.

— *That is the question;* właśnie może myśleć przeciwnie.

— No! no! dość tego! Jesteś widzę w humorze przeciwieństwa.

— Przyznam ci się, że czupryna pana Kurdesza nie rokuje mi nic dobrego dla ciebie; a że za kolana ści-

ska, to nic nie dowodzi; palnie cię potem batogami jak należy, rozciągnąwszy kilimek. Ma więcej dzieci? ma ona siostry?

— Nie, jednem jedna.

— To jeszcze gorzej!

— I nie tak szlachcianka ubożuchna, jak ci się może wydawać. Smoliński mi mówił, że mają dwakroć sto tysięcy górą u mojego ojca; wioseczka krom tego bez długów i coś pewnie jeszcze w szkatułce.

— Tem gorzej, a gorzej! — dodał Karol — nie radzę ci się w to wdawać, albo skończysz na ożenieniu, albo na awanturze.

— Ba! nie takim głupi!

— Wypadnie ci zostać podłym lub głupim, a wybór, przyznam się, nie łatwy.

— Na jakiegożto moralistę napadłeś tego wieczora? — spytał Sylwan trochę zmieszany — musisz sam gdzieś być w tęgich obrotach, kiedy ci się na taką surowość względem mnie zebrało.

Karol westchnął tylko i nic nie odpowiedział.

Zygmunt-August przysiadł do żony, korzystając z figury, do której w tej chwili pochwycono rotmistrza, nieodstępnego jej *cavalière servente.*

— *Ma chèrie!* — rzekł zcicha.

— Co każesz, Guciu? — spytała, przechylając się bardzo wdzięcznie pani hrabina, tak, żeby ruch jej wykazał pięknie utoczoną kibić.

— Powiedz mi, proszę, co to jest twojej matce?

— Mojej matce?! zdaje mi się, że ją głowa boli.

— Nie wiesz nic! robiła mi dziwne zapytania, ledwie nie wymówki...

— Tobie?! — z dobrze odegranem zdziwieniem spytała żona — *est-ce possible?*

— Zdaje mi się — poważnie kończył Zygmunt-August — że na te wymówki nie zasłużyłem.

— Jakiegoż były rodzaju?

— Różne, i w ostatku i za ciebie.

— Za mnie?! mieszając się nieco sentymentalnym półgłosem odrzekła Eugenia — nie pojmuję tego.

— Zdaje mi się, żem na nie nie zasłużył!

— Czyżem kiedy dała poznać po sobie choćby najlżejsze nieukontentowanie?...

— Miałaś czas poznać mnie i ocenić!

— *Mon cher, inutile de dire, que je n'y suis pour rien...* Nie pojmuję nic...

Małżonkowie czule uśmiechnęli się do siebie; w uśmiechu hrabiego była skryta niecierpliwość i gniew, w hrabinej jakaś obojętność, osłoniona rozczuleniem; patrzała już gdzieindziej.

— Powiedz więc matce swojej...

— Ale naturalnie... nie troszcz że się o to...

Wtem nadbiegł rotmistrz Powała, a hrabia z intencją umyślnie natychmiast wstał, spojrzał tylko na żonę i przemówiwszy coś do przybywającego, spiesznie się pod pozorem jakiegoś pilnego zajęcia oddalił.

— A! jakiż głupi! jakiż głupi! — mówił w duchu rotmistrz.

Hrabina z gniewem postrzegła to nagłe odejście; szybkie oddalenie wiele bardzo mówiło, a więcej jeszcze szyderskie, rzucone z ukosa wejrzenie. Była odgadnioną, zbadaną i wzgardliwie rzuconą na pastwę rotmi-

strzowi. Krew pierwszy raz może w życiu zawrzała w niej tak silnie, że rumieniec na twarz wystąpił, a dowcipne jakieś zapytanie, które w tej chwili wysmażył rotmistrz, rozbiło się o jej ucho nieposłyszane i poszło w świat bez odpowiedzi.

Cesia czatowała u drzwi, nie na Wacława, bo on był tylko dla niej próbką, rodzajem trupa, na którym się uczyła potrzebnej anatomii serca — ale na wyjście hrabiego Karola Walskiego, z bratem jej siedzącego w gabinecie. Cały wieczór już strzelała do niego, a nie doczekawszy się skutku, była niecierpliwa i gniewna. Nareszcie wyszedł pan Karol, zimny, roztargniony, obojętny, i powiodłszy okiem po sali, wstrzymał się nieco we drzwiach, niedaleko Cecylji, która, jak widzimy, dobrze obrachowała korzyści obranego przez siebie miejsca. Sylwana, ledwie się ukazał, zaraz zabrano do tańca, a hrabia Walski został w progu, i sama grzeczność wymagała, żeby coś przemówił do Cesi. Ona spotkała jego ledwie poczynające się na ustach słowa, wejrzeniem i uśmiechem tak silnie przemawiającemi, że gdyby nie przeważne roztargnienie i smutek Karola, byłby musiał zadrżeć aż do głębi. Byłto uśmiech i wejrzenie dzieweczki, której pilno dowieść, że wyszła z dzieciństwa; siłą ledwie im dorównać może uśmiech i spojrzenie starej zalotnicy.

— Możeżto być, żebyś pani już odpoczywała?

— Godziż się, żebyś pan nie tańcował?

— Ja nigdy, lub tak jak nigdy nie tańcuję.

— Dlaczego?

— Trzeba być bardzo młodym, żeby się tak wesoło wykręcać.

— A pan chorujesz na starość i na Byronowskich

bohaterów?

— Nie pani! — odparł trochę zdziwiony śmiałością Karol — mam daleko rzeczywistszą chorobę w sobie, nie potrzebuję jej sobie tworzyć.

— A cóżto za choroba? wszak nie podagra jak u pana podczaszego?

— Dotąd nie, ale coś daleko gorszego.

— Byłażbyto febra, z którą miss Lucy pięć lat już się pieści i rozstać nie może?

— Coś gorszego nawet od febry.

— Doprawdy, gorszego? Już nic domyśleć się nie mogę.

— Bardzo pani winszuję.

— A! a! Ja się nie potrafię domyśleć, a pan nie zechcesz mi się zwierzyć?

— Doprawdy! nic ciekawego, stare dzieje.

— Tem lepiej! ja tak stare dzieje lubię!

— Moja historja nie ciekawa wcale: nudzę się tylko.

Cesia, która się oświadczenia była gotowa spodziewać, zaczerwieniła się z niecierpliwości i gniewu.

— Brzydka choroba — odparła z przymuszonym uśmiechem — ale pan wiesz, że teraz wszyscy bardzo wierzą w homeopatją, i miss Lucy ciągle mi o jej zasadach prawi. Jej winnam, że wiem co to jest. Choroba w homeopatji leczy się drugą, silniejszą chorobą.

— Rozumiem: każesz mi pani szukać drugiej, może gorszej?

— Byle innej.

— Wolę pierwszą.

To mówiąc, niespodzianą żywością Cesi zajęty Karol, usiadł przy niej, spojrzał na nią z uwagą, jakby ją widział raz pierwszy, i po chwilce dodał:

— Życzysz mi pani podagry, czy febry?

— Zostawiam to do jego wyboru; obie pozyskują się łatwo: pierwsza kieliszkiem, druga zaziębieniem.

— *Vous êtes bien aimable!* wolę jeszcze nudy.

— Co do mnie — mówiła Cesia — nie znam nic nudniejszego nad człowieka znudzonego; a miarkując z tego, jakie na mnie czyni wrażenie, domyślam się, jak będąc ciągle z sobą, musi się sobie naprzykrzyć.

— Dziękuję za komplement — szczerze się śmiejąc odparł Karol — i uciekam.

— Możesz pan pozostać. Rzadko widuję znudzonych; dla rozmaitości nie szkodzi i to zobaczyć. *Après tout — c'est une étude.*

To mówiąc, gdy właśnie kolej przychodziła na nią tańcować i wybrać do figury, podała rękę Karolowi. Ten wyszedł na środek, ale pieszo i powoli pokręciwszy się po sali, rozmawiając i nie dając rozżywić, wrócił wkrótce do kątka i gawędy. Cesia ścigała go niezmordowanemi oczyma: niecierpliwił ją. Bardzoby się mylił, ktoby z tego sądził, że Karol ją zajął; chciała go tylko podrażnić i sił swoich na nim doświadczyć. Wacław od kilku godzin nie był już dla niej tryumfem: trudnoż ubogiemu, nieznanemu marzycielowi zawrócić głowę z wysoka rzuconem wejrzeniem. Ale Karol! Karol, co świat przewędrował, co tyle widział, tyle przeżył i zapewne przekochał, gdyby się zajął, Cesia byłaby już siebie pewną: byłby to dla niej patent *maturitatis.*

Gdy tu się tak wesoło bawią w serce i spojrzenia, Wacław siedząc na ganku sam jeden, śledzi kroki Cesi. Widział jej rozmowę z Karolem, widział wejrzenie i uśmiech z goryczą, z bolem, który zna tylko ten,

co kochał i był miotany zazdrością wściekłą, i pastwił się sam nad sobą, szydząc z siebie.

Błyskawice gniewu, chęci zemsty, to znowu bezsilna rozpacz, łzy i żal miotały nim kolejno; rzucał się i upadał osłabły, a przewalczywszy tak długą chwilę, już się był ku ogrodowi zawrócił, chcąc oderwać się od tego zabójczego widoku, gdy Cesia wybiegła na ganek.

Ona go spostrzegła w świetle rzuconem na kolumnę, o którą był oparty, i wyszła umyślnie pod pozorem ochłodzenia, stając w progu naprzeciw niego.

— A! to pan tu! po nocy! sam jeden! Co tu robisz?

— Odpoczywam i patrzę.

— Nie rozumiem jak się można było zmęczyć tak niegodziwem towarzyszeniem mi na fortepianie, którego panu nigdy nie daruję.

— Przepraszam panią, ale tak byłem zmieszany.

— Pan nigdy nie potrafisz dać koncertu. Czegoż się było mieszać?

— Nie wiem; z tego się nie wytłumaczę.

— Mam jeszcze inną i większą wymówkę — kończyła nielitościwa. — Co znaczyło podjęcie tej gałązki?!

— Ja?... ja?... — Wacław struchlał.

— Proszę mi się z tego dziwnego postępku wytłumaczyć.

— Sądziłem, żeś pani co innego, droższego zgubiła; widząc coś upadającego, myślałem, że to była bransoletka, spinka. Chciałem podnieść, by jej oddać.

— To co innego! odparła Cesia, i oglądając się dokoła to na salę, to na ganek, spytała:

— Znasz pan hrabiego Walskiego? Jakito miły człowiek!

Umyślnie dręczyła biednego. Wacław już nic nie odpowiedział: czuł, że był igraszką płochego dziewczęcia, a kochał je — cierpiał i milczał.

Cesia rzuciła mu wejrzenie wyuczone, długie, silne, płomieniste, zabójcze, jakby petlę na głowę dzikiego konia, i szybko poszła do pana Karola. Chciała tego pochwycić, ale i pierwszego nie mogła puścić jeszcze: był jej do dalszych doświadczeń potrzebny.

Córka godną była matki.

Wacław rzucił się w ogród, którego drzewa szumiały posępnie, w dziwnej będąc sprzeczności swą powagą, ciemnością i głuchym szmerem, podobnym do szumu modlitwy w chórze zakonników — z krzykliwą muzyką sali balowej.

Z jednej strony był pałac oświetlony, rzęsisto pałający, z którego wszystkiemi otwory wyrywało się światło, wonie, dźwięki! z drugiej ogród ciemny, pusty, tajemniczy, smutny, niebo czarne, księżyc blady, i natura, wielki ów obraz tysiąckroć widziany, tysiąc razy nowy.

Wacław czuł tę potężną sprzeczność dwóch światów, dwóch żywotów, sercem poety, i oderwał się na chwilę od siebie, tonąc w myśli odtworzenia muzykalnego tej wielkiej i pięknej sprzeczności.

— Co za symfonija! — zawołał — w jej środku moje serce miotane rozpaczą i cierpieniem: w jednę stronę weselne dźwięki obcego mi świata, który na mnie nie patrzy, który mnie odpycha, który mnie zaledwie darzy litością; z drugiej cicha natura, spokój, pieśń słowika, kochanka i ojca, szum drzew, mruczenie wody, daleka pieśń pastusza, daleki hymn pobożny, i głosy pustyni, stokroć powabniejsze od gwarów piekielnego ich wesela.

Ta cisza obwija mnie, utula i kołysze jak matka. Lecz na to potrzebaby Beethoven'a z jego geniuszem młodym, symfonii pasterskiej i heroicznej, z jego myślą wieszczą, z potęgą w jej oddaniu, z uczuciem owładnionem, podbitem i posłusznem, któreby lało się w formy mu wystawione, całe, pełne, silne. Weber tylko, tylko Beethoven dokazaliby tego. Berlioz stworzyłby harmonijny chaos — ja — śmieszność.

I usiadł zdaleka dumać: a obraz pięknej Cesi w białej sukience, z jej szatańskiemi oczyma, zamigał nad nim, uśmiechając mu się i drażniąc go.

Gdzieś w dali za drzewami słychać było trąbkę pastuszą, grającą powoli smutną pieśń tradycyjną, odwieczną, którą się lasy jak dziś, od pięciuset i od tysiąca lat rozlegały. Ta pieśń oderwała poetę od świata rzeczywistości, i pochwyciła go w marzeń objęcie...

Nazajutrz rano pełno jeszcze było wczorajszych gości w Denderowie, ale ci się powolnie rozjeżdżali; nikt nietylko nie wiedział, ale się nawet nie domyślał smutnej prawdy, którą późno w nocy Smoliński przyniósł na wiązanie hrabiemu: ścisłą bowiem nakazano zachować tajemnicę.

Rotmistrz z regularnością wojskową przysłał zaraz zrana 30.000 złotych. Powozy były upakowane do drogi, a hrabia czekał tylko rozjechania się ważniejszych gości, by pocztą pospieszyć na ratunek klucza, już sekwestrem zagrożonego. Załóg (kaucja) miał w sobie pewne niedostrzeżone nieformalności, które może umyślnie weń wciśnięto, starając się, by na nie uwagi nie zwracano przy przyjęciu; teraz one właśnie posłużyć miały na wywikłanie się z odpowiedzialności.

Jak świt hrabia się już naradzał sam-na-sam ze Smolińskim: bo nie kładnąc się spać nawet, skoro gości rozprowadził po kwaterach i powsadzał do powozów, pospieszył pracować ze swym rządcą i plenipotentem.

Smoliński miał minę posępną, i często pstrykał ostremi odpowiedziami hrabiemu; hrabia mu też nie żałował grzeczności, przekąsów i grubych nawet pola-

jań: mimo to szły narady swoją drogą, wedle pospolitego przysłowia: „sprawa sprawy nie tamuje.“

Pan i plenipotent znali się bardzo dawno: razem umoczyli ręce nie w jednę brudną robotę, zachodziło więc pomiędzy niemi jakieś tajemnicze braterstwo, które wprawdzie tylko sam-na-sam objawiało się widocznie, ale niemniej było trwałe i znaczące.

Smoliński ostre prawdy mówił panu hrabiemu, hrabia łajał Smolińskiego bez ceremonii; znali się jak łyse konie i wzajemnie przebaczali sobie swoje defekta. Próbowali się odrwić czasem, ale mimo przebiegłości obu, kolejno im się to tylko udawało, tak równych sił byli. Smoliński czasem udarł hrabiego, hrabia podszedł czasem plenipotenta; ale cicho, sza! zgoda: świat o tem nie wiedział wcale, i trzymali się za ręce.

W obec ludzi, Smoliński był najniższym sługą Dendery, i stawał w progu tylko pokornie.

Jak świt, bocznemi drzwiczkami wszedł zaufany pełnomocnik do hrabiego, który nawpół rozebrany siedział na kanapie, rozparty, zamyślony, smutny, trzymając dla proporcji tylko cybuch w ustach, z którego nie palił.

— A co? — rzekł do wchodzącego — trzeba nam myśleć o interesach.

— Myślałem całą noc, ale cóż tu wymyśleć?

— Stary z ciebie osieł, mój Smoliński — rzekł Dendera. — Ja nie myślałem, a wymyśliłem, i mam już radę.

— Ciekawym! — trochę obrażony tą wyższością wybąknął Smoliński.

— Widzisz, że z ciebie na wiek wieków będzie cymbał, choć zęby zjadłeś na interesach. Załóg jest nieprawny.

— Jakto? JW. panie, — pochwycił plenipotent.

— A tak, mości Smoło! (tak go nazywał w chwilach wesołości lub gniewu hrabia), szukasz po obłokach, a nie widzisz co pod nosem.

— Cóż tam za nieprawność?

— Wiesz przecie, że ja nie miałem jeszcze *odkazu* na ten majątek; a zatem zakładać go, prawa dostatecznego mi brakło.

Smoliński osłupiał trochę.

— No! źle kaucją przyjęto.

— Cóż z tego, że ją przyjęto bezprawnie; niech ci pokutują, co przyjmowali.

— Ależ oni nam łaskę zrobili.

— Niech kpy jakieś łaski nie robią przeciw prawu. Jadę do Żytkowa i wyrobię co potrzeba, tylko mieć muszę na to pieniądze. Co mamy w kasie?

— Wczoraj ostatnie pięćset złotych oddałem w moc pensji hrabiemu Sylwanowi, i dwieście hrabinie; zostało sześćdziesiąt sześć, groszy dwadzieścia.

— Siedźże sobie z niemi, ja na drogę dostanę.

— Ale tu grubego grosza potrzeba, bo u nas wszystko się wprawdzie robi, ale robota drogo kosztuje.

— Jak myślisz? 30.000 dosyć będzie?

— Do zbytku.

— No! to mi wystarczy.

— Ale zkądże je wziąć?

— Spytaj lepiej zkąd wziałem.

— Jakto? już są...

— Już są.

— Ale zkądże u licha?

Hrabia mimo strapienia, uśmiechnął się zwycięzko.

— Prawdziwie — rzekł dotknięty Smoliński — ludzie

są osobliwszej łatwowierności.

— Kto ma ustaloną opinią i kredyt.

Smoliński ruszył ramionami.

— Proszęż hrabiego, dla kogo mam oblig przygotować?

— Panu rotmistrzowi.

— Co? jeszcze Kurdesz dał?

— A! nie, nie Kurdesz: temu nawet zaległy procent potrzeba dziś wypłacić jak najregularniej, żeby się nie zgłaszał o kapitał, ale panu rotmistrzowi Powale.

— O! cóż u licha! nie domyśliłem się! — zawołał Smoliński śmiejąc się — to co innego!

— Jakto co innego, trutniu! — cały w płomieniach poskoczył hrabia zaciskając pięście — mów mi zaraz, z czegoś się rozśmiał? co myślisz? co to jest: jakie co innego?

Smoliński odparł spokojnie spluwając:

— Jużciż to co innego, bo to nie interes, ale przyjacielska pomoc. — I przycisnął na wyrazie *przyjacielska.*

Hrabia ruszył ramionami, ale wewnątrz wrzał.

— Coś zrobił z Pęczkowskim? — spytał odwracając rozmowę.

— Niepospoliciem go zażył. Wszak trzeba nam na procent dla Kurdesza około dziesięciu tysięcy.

— Na dziś rano! koniecznie! bo Kurdesz, pamiętaj wacpan dopilnował się dobrze: ma oblig krepostnyj, a to nie żart. Stary póty gładki, póki wierzy: rozdrażniwszy go, nie żartować.

— Ej! nie takim jak on dawaliśmy rady!

— No! ale cóż z Pęczkowskim?

— Co? Zażyłem go z mańki, powiedziałem mu tak:

masz wacpan do wyboru, albo oblig na prostym papierze, zamiast zgubionego, i pokwitowanie nas przed aktami, bo inaczej nic nie damy; albo odnowienie obligu, wziąwszy kontrrewers na wypadek odszukania zgubionego, ale nam pan musisz dodać 10.000 dla zaokrąglenia sumki.

— I cóż Smołko? co? — uśmiechając się spytał widocznie uradowany hrabia.

— A cóż? stękał, kwękał, piszczał, prosił, nudził, durzył, gniewał się trochę i pojechał nareszcie po te 10.000.

— No! toś chwat! wracam ci *activitatem*.

— Prawda! ha!

— Oddaję ci sprawiedliwość, masz moję łaskę! — dodał hrabia.

— A więcej co? — spytał Smoliński frantowato.

— O! chcesz więcej; sto złotych gratyfikacji.

— Pieniądze teraz drogie i rzadkie — przerwał plenipotent — wie pan hrabia co: ot prosiłbym o asygnację na parę koni do Słomnik, ja tam sobie parę szkapek wybiorę; moje klacze się poźrebiły.

— Filut! to ty sobie weźmiesz...

— Rozumie się co będę mógł najlepszego.

— No! no! bierz cię licho. Za interes z Pęczkowskim warto: dałeś dowód niepospolitej zręczności.

— Jużto — przerwał Smoliński, wiedząc, że hrabia lubił dosyć choć niezgrabne pochlebstwo — jużto przyjmując co mi słusznie należy, muszę się i hrabiemu dziwić. Dwa interesa wśród balu tak obmyśleć, to trzeba głowy Sa...yna!

— Patrzcie trutnia! dopiero dziś przekonał się, że mam głowę!

Smoliński rozśmiał się na całe gardło.

— A teraz — rzekł hrabia — jeszcze słówko. Powiedz mi (przystąpił do niego bliziuchno i głos zniżył), zkąd ta stara kwoka hrabina Czeremowa, rozumiesz, zkąd ona mogła przewąchać, że my nie jesteśmy w tak złotych interesach, jak sobie ludzie myślą?

— Albož co?

— Ba! co myślisz! Wczoraj mi poczęła prawić komplementa słono-gorzkie, na które jej potrafiłem odpowiedzieć. Wyobraź sobie, że śmiała mi wyrzucać Samodoły, dane mojej żonie z długiem bankowym i swojemi deportatami, od których procent płacę.

— Żartowała staruszka.

— Śliczne żarty! A sobie jednakże zostawiła ośmset dusz czyściuteńkich.

— I dlatego nie wypadało jej drażnić, panie hrabio.

— Nie mam co starej oszczędzać: wiem dobrze że idzie za mąż, a kto ją weźmie nie opłącze się darmo.

— Kto! kto! hrabina Czeremowa?

— Jak ci mówię.

— Ej to żarty!

— Nie, wcale nie żarty; bierze sobie ubogiego, młodego, ładnego chłopaka, któremu resztę majątku chce zapisać, czy podobno sprzedać. A ja z posagiem żony zostanę na Samodołach. Wymówki czynione mi wczoraj były podobno tylko powodem wyszukanym do kłótni, żebym jej nie mógł dokuczać i odradzać, ale ja może znajdę na to sposób.

— Oj! i to niedobra nowina! — rzekł zasępiony Smoliński. — Ale sześćdziesiąt przeszło letniej babie iść za mąż!

— Co chcesz? znudziło się próżnowanie, a ma się

jeszcze za piękną i za młodą; kupi baronowstwo temu chłystkowi. Ale to na stronę. Com się chciał pytać: czy tu już chodzą jakie wieści niedobre o moich interesach? powiedzno mi szczerze.

Smoliński podumał.

— Prawdą a Bogiem, chodzą różne pogłoski, panie hrabio; ale jak to u nas, o każdym radzi mówią że jest zrujnowany, a jednak fortuny choć podpierane szkarpami trzymają się, więc ludzie czasem i prawdzie wiary nie dają.

— Jednakże już gadają...

— Alboż o kim nie mówią podobnie? Zawsze to tak bywało.

— Masz na to dowody?

— Nie daleko szukać: Kurdesz się pono skrobie i myśli już podnosić kapitał; Pęczkowski truchleje, inni niemal w ręce całują.

— To źle! Jak się jeszcze dowiedzą o sekwestracji na Słomniki, opadną mnie ze wszystkich stron pozwami; zginę!

— E! nic to! wyrobimy się jakoś, ale już potrzeba będzie miedzianem czołem i zuchwałe, bez dzisiejszych zaklinań, ceremonij i udawań.

— Tego-bo ja nie chcę.

— Będziemy musieli.

— Drugi interes, mój Smoliński. Żonie mojej, Sylwanowi i Cesi, i Angielce, ani grosza pod niebytność moję. Powiesz im, że w pośpiechu wyjeżdżając nie zostawiłem żadnej dyspozycji. Jeśli gwałtownie potrzebują, niech u ciebie pożyczą, zapłacą procent.

Smoliński się roześmiał naiwnie.

— Ale zawsze pożyczka z kasy i procent do kasy.

— To się rozumie. Ale czegoż ty Smolo się śmiejesz? — zawołał oburzony znowu hrabia. — Cóżto w tem złego? Musiałem się wycieńczyć na te pensje dla nich, dobrze coś z tego odkroić. Nie bierze się od nich więcej nad dwa i pół procentu miesięcznie jak żydzi, pół procentu dla ciebie a reszta do kasy.

— Znam już oddawna tę manipulacją.

— Nikomu pod moję niebytność nie płacić nic; to druga reguła.

— I ta nie nowa.

— Jeśliby kto chciał co dać, bierz, i z mocy plenipotencji skrypt wydawaj; jeśliby się jaka formalność upiec mogła ze względu na przyszłość, nic złego; zawsze trzeba pamiętać, żeby się było czem ratować.

— Brać choćby najwięcej.

— Choćby najwięcej.

— A z temi pieniędzmi co robić?

— Zatrzymać do wyraźnej mojej dyspozycji.

— Cóż robić w Słomnikach?

— W kluczu Słomnickim, niż go sekwestr uchwyci, jeśli się wyrobić nie potrafię, co tylko da się uratować, brać i wywozić; bydło zaraz odpędzić, owce, miedź zabrać do Denderowa, sterty za granicę Denderowską poprzewozić i pozrzucać. z lasu sprzedać żydom do Żytkowa co tylko sprzedać się może.

— Ale jeśli się wyrobim, jak pan graf ma nadzieję, do czegoż to wszystko?

— Jeśli się wyrobim, to dobrze, nie zaszkodzi jednak ostrożność: trzeba wszystko przewidzieć.

— Zapewne, cóż szkodzi ostrożność!

— Na Sylwana, jeśliby gdzie szukał kredytu, pilne mieć będziesz oko; żydom powiedzieć, że nie ma rezy-

gnowanej schedy i jest bez żadnej ewikcji, a ja cudzych długów płacić nie myślę.

— To tylko procent powiększy: żydzi zawsze dadzą.

— A! jeśli zechcą, niech sobie zresztą dają.

— Więcej nic nie ma pan hrabia do rozkazania?

— Przypominam ci tylko, kochany Smolo, że procent Kurdeszowi potrzeba dziś zapłacić. Zresztą zrób co można, żeby dostać jak najwięcej, a wydac jak najmniej pieniędzy: to prawo ogólne.

Smoliński się ukłonił, uśmiechnął i wyszedł: hrabia wpół ubrany, drzemiący trochę ze znużenia upadł na sofę.

Około południa, kocz jego upakowany leciał już pocztowym gościńcem do gubernialnego miasta.

Sylwan kierował się w brzezinę, w której raz pierwszy spotkał Franię, ale teraz sam już bez Janka. Kurdesz tymczasem odebrawszy procent i wedle zwyczaju ofiarowawszy Smolińskiemu źrebaczka, (bo co rok coś mu dać było potrzeba przy odebraniu procentu) odjechał do domu, niebardzo się troszcząc o podniesienie kapitału.

Na pierwszy raz nikogo nie zastał młody hrabia w brzezinie do Wulki należącej, i daremnie parę razy przez nią przejechał; ale Frania nalegała dnia tego na Brzozowską, żeby pójść na grzyby, i ból tylko w nódze poczciwej towarzyszki przeszkodził do uprojektowanej już przechadzki.

Sylwan pojechał z chartami, znudził się i powrócił do domu w kwaśnym humorze, przysięgając sobie, że nigdy już więcej nie pojedzie, powtarzając nieustannie,

że ta niewdzięczna dziewczyna nie warta jest jego zabiegów.

Ale we trzy dni znowu, na gniadej angielce swej ruszał do brzeziny sam jeden. Los, który chętnie płata ludziom figle, i często im też robi przysłużki, które figlami pachną, chciał, by tego dnia Frania z Agatą tylko i Horpyną poszła sama na grzyby, właśnie ku drodze od Denderowa. Dziewczęta puściły się w las nieopodal od drożyny, a Frania na wywale usiadłszy, odpoczywała zarumieniona, gdy Sylwan ukazał się na ładnym swym koniu. Uśmiechnął się nieznacznie gdy ją zobaczył, ona się strwożyła, choć nie przysiągłbym, że marzyła, iż przyjechać powinien.

Widząc, że Frania wstaje z kłody, podskoczył żywiej ku niej i spytał wesoło:

— Co pani tu robi?

— Wyszłam na grzyby — odpowiedziała naiwnie.

— Ten lasek musi w nie obfitować, — odparł Sylwan — a to dla mnie bardzo szczęśliwie, bo i ja często przez niego przejeżdżam.

Frania się ogromnie zarumieniła na nowo, nie wiedziała co odpowiedzieć, spojrzała mu w oczy, jakby z nich chciała poznać czy mówi szczerze, czy żartuje; a nie widząc, jak tylko zimny uśmiech na twarzy młodzika zawczasu tryumfującego, uczuła się ogarnioną jakimś przestrachem niewysłowionym: ukłoniła mu się niezgrabnie, zawróciła żywo w las i znikła.

Sylwan, który dłuższej spodziewał się rozmowy, nie wiedział co począć z sobą: postał chwilę myśląc, że powróci, wreszcie skrzywiony zaciął konia i pojechał. Przebył lasek ku Denderowu się kierując, potem zawrócił jeszcze, przejechał drożynę parę razy, sądząc,

że Franię spotka, i posunął się aż na ścieżkę którą iść miała do domu, chcąc ją tu napędzić.

Ubodła go obojętność wieśniaczki; obrażony pragnął się za nią pomścić. Ale i tu jeszcze mu się nie udało: ujrzał bowiem Franię w towarzystwie dwóch dziewcząt naprost ścieżką przez ściernie żytnie idącą do dworku, a gonić jej mu nie wypadało. Zły, gniewny, znowu poprzysięgając sobie, że już nie wróci więcej, wściekle pogalopował do domu. Koń jego zmęczony, on sam zły i kwaśny, stanęli u ganku oficyn o mroku.

W Wulce Frania i Brzozowska siedziały na kufrach i rozmawiały pocichu we cztery oczy. Frania nie miała dla swej towarzyszki tajemnic, a Brzozosia je też, gdyby jakie i były, doskonale wyciągnąć umiała. Zaraz się wydało, że w lasku spotkała Frania Sylwana, wydało się co mówił: że dziewczę uciekło, że on potem po gaju błądził, że go Agata widziała na drodze ku Wulce.

— Otóż już ani chybi amant! — zawołała Brzozosia plaskając w dłonie — prawdę mówiąc, kochanie, ja się tego zawsze spodziewałam, ale teraz już pewna! Wczoraj kładłam kabałę razy sześć: wyżnik czerwienny raz-po-raz przy damie winnej stawał z prawego boku. To już taki widocznie przeznaczenie.

— Ale moja Brzozosiu, to grafiątko.

— Jakby to grafiątko zakochać się nie mogło.

— Taki młody, moja Brzozosiu, głowa roztrzepana.

— Tem lepiej, że młody.

— A w dodatku ojciec, matka, nigdyby nie pozwolili.

— To stare historje, moje kochanie! Czytałam i słyszałam o tych ojcach, co to nie pozwalają: ale to zawsze kończy się na tem, że się muszą przekonać i

radzi nie radzi pobłogosławić. Zresztą chybaby byli obrani z rozumu, gdyby pozwolić nie chcieli: a gdzież u licha co lepszego znajdą?

— A nie pytasz Brzozosiu nawet, czy on mi się podoba?

— Cóż? albo nie?

— Dziwuj się jak chcesz, ale coraz mniej; wcale nie tęsknię za nim.

— No! ale możeż być, żeby taki śliczny, młody...

— Nie przypatrzyłaś mu się; gdy się uśmiechnie wydaje się straszny: ma coś nieszczerego.

— Imaginacja! imaginacja! przywidzenie! Ale to tak zawsze z początku! Najlepszy znak, kiedy się panna kawalera boi: niezawodnie pójdzie za niego. To już nigdy nie chybi. Powiem ci Franiu, i jam-to była dawniej, pókim się w to sadło nie rozlała, dosyć hoża. Cześnikowicz na mnie bardzo patrzał, choć byłam ubogą dziewczyną; a nietylko on, ale i pan Paweł, i pan Remigian nieboszczyk smalił do mnie cholewki, a muszę ci się przyznać, że dla Remigiana miałam słabość. Takie-bo śliczne imię, i chłopiec był gdyby dąb. Bywało jak krzyknie na żart, to się szyby w oknach zatrzęsą. Otóż powiem ci kochanie, że w początku ani mi się śniło, anim na niego patrzeć nie chciała, a potem tak mnie za serce pochwycił, że nie było rady... Ale taki woli Bożej widać nie było...

I westchnęła, a Frania rozśmiała się nieznacznie.

— Otóż ci jeszcze powiem serce — mówiła dalej — jeśliby ci się kiedy przydarzyło go spotkać tak jak dzisiaj, po co uciekać? Trochę sobie pogadać, trochę pobzdurzyć, pożartować, nie grzech zdaje się młodemu. Niechno się panicz rozpatrzy, a ja taki ręczę, że bę-

dziesz hrabiną.

— Ale moja Brzozosiu, nuż to jaki zwodnik i żartowniś, co się tylko chce naśmiać z biednej dziewczyny.

— Jezu Chryste! Cóż-bo ty Franiu gadasz, a któżby to mógł pomyśleć, z ciebie! z tej malinki! z tego złotego jabłuszka! z tego aniołka!

Frania rozśmiała się rzucając na szyję Brzozosi.

— Nie psuj mnie proszę — odezwała się wesoło. — Dzieciństwa bo ci się snują po głowie, Franiu moja; ja mu dobrze w oczy patrzałam, to młode i dobre jakieś chłopczysko... No... i kabała sześć razy wypadła. Taki musisz być grafinią!

Pomimo, że hrabia Sylwan dał sobie uroczyście słowo nie jeździć mimo Wulki, trafiało się jakoś zawsze, że tamtędy szła droga w tysiące miejsc, do których koniecznie jeździć musiał. Kilka razy jakoś nie uważając zabłądził na tę drożynę, a raz koń znowu był tak zmordowany, że zsiąść musiał z niego i pieszo przejść przez lasek.

W oddaleniu mignęła mu się biała sukienka pomiędzy brzozami, i naświstując na psa, nawołując go, choć z sobą nie wziął z domu, Sylwan puścił się żywo w kierunku różowo-białego zjawiska. Trafił tylko na Horpynę; Frania bowiem postrzegłszy to natręctwo, wolała wybrać inną drogę, niż spotkać się z nim wśród lasu.

Sylwan zakręciwszy się po brzeźniaku, zawrócił się za nią i naturalnie wreszcie spotkać ją musiał.

Powitali się jak dawni znajomi, chociaż Frania widocznie mocno była wzruszona, a Sylwan dosyć zniecierpliwiony.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór panu.

— Pani tu znowu na przechadzce?

— Tak; to bliziuchno od domu, najczęściej tu wychodzę.

— Jakże się ma pan rotmistrz?

— Mój ojciec? dziękuję panu bardzo, zdrów zupełnie; pojechał dziś do plebanii, i właśnie czekam na niego, bo ma tędy powracać.

Skrzywił się trochę Sylwan; ale korzystając z chwili, wesołą począł rozmowę. Frania, proste dziewczę, ale nie brakło jej dowcipu; a przy odrobinie życia, dwoje czarnych biegających młodych oczu jakże są wymowne, gdy im i białe ząbki, i uśmiech, i ruchy, i wszystko co je otacza, dodaje wdzięku i wyrazu! Słyszymy nie raz to nawet, czego te oczy nie mówią. Sylwan, który ten romans poczynał w projekcie ukończenia go i uczynienia bardzo nie ceremonjalnym a poufałym dziwił się sam sobie, że onieśmielał przy dziewczęciu, które otaczał urok jakiś niepojęty dla niego. Gniewał się na szacunek, którego nie mógł nie uczuć dla niej.

Tego wieczora zaczęli i skończyli od pan i pani, i obojętnej całkiem rozmowy, gdy wózek pana Kurdesza zaturkotał w samą porę zdaleka. Frania pozostała na miejscu na drodze; Sylwan dosiadł angielki, i puścił się w cwał ścieżką poboczną, aby uniknąć spotkania ze starym rotmistrzem, o którego zdrowie przed chwilą tak się czule rozpytywał.

Franię to oburzyło nie bez przyczyny; nie pojmowała dla czego chciał robić tajemnicę z przypadkowego spotkania i chwilowej rozmowy.

Wkrótce, turkocząc coraz bliżej, wózek się ukazał

nareszcie ze spasłą chorążanką, poważnie idącą w hołoblach, i rotmistrzem, który wedle zwyczaju sam jadąc powoził. Ujrzawszy córkę, zatrzymał się stary, posunął trochę, poprawił siano, i wskazał jej miejsce przy sobie.

— Pewnieś się nalatała dosyć, musisz być zmęczona — rzekł łagodnie — siadaj, to cię do domu odwiozę.

— Jabym poszła piechotą, kochany ojcze!

— Siadajno, siadaj! ceregielów nie rób. Chorążanka jeszcze i nas dwoje pociągnie.

I Frania lekko skoczyła do wózka, sadowiąc się przy ojcu. Po zapytaniach o plebana, o drogę, o dom i robotników koło domu, których Franka widziała, wypadło coś powiedzieć o panu hrabi, bo właśnie dla tego, że on robił tajemnicę ze swej wycieczki, ona jej ścierpieć nie mogła.

— A wiesz tatku! kogo już drugi raz spotykam w brzezinie?

— O! kogoż? wilka czy zająca?

— A! proszę zgadnąć.

— Psa albo wilka? co? — rzekł stary, śmiejąc się.

— Ale nie! — śmiała się Frania — wcale coś innego; proszę zgadnąć koniecznie.

— No! kogoś z sąsiadów.... z sąsiadek.... ale nie z bliskich.

— Starego czy młodego? — zagadnął Kurdesz.

Frania mimowolnie się zczerwieniła.

— Młody! — odezwała się ciszej.

— O! to sęk, nie zgadnę; mów lepiej odrazu, bo się nie ofiaruję liczyć wszystkich młokosów, co ci na przełaj zabiegają.

— Otóż spotkałam... hrabiego Sylwana.

— Co? z Denderowa?

Stary zagryzł wargi, zamyślił się, a wzrok jego ożywiony zwrócił się na córkę. Potem pocałował ją w czoło.

— Bóg zapłać! — rzekł — za to, że mi mówisz szczerze co cię spotka, bo trzeba wiedzieć, moje serce, że to nie bez kozery. Panicz tędy nie ma nigdzie drogi, i przysięgnę, że podjeżdża umyślnie.

— Jaktoż? dlaczegożby?

— Ba! dla twoich ładnych oczek, moja Franko! Ale ostrożnie z paniczami tego kalibru! ostrożnie! Frant wyrachował, żeby sie ze mną nie spotkać; a mówiłże z tobą?

— A jakże, i dość długo.

— I gdym najeżdżał...

— Obrócił się ścieżką w las.

Kurdesz pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Mądry on — rzekł z cicha — ale i ja nie głupi. Ho! serce, nie darmo wpadłaś mu widzę w oko; a że kawaler ożenićby się nie chciał, starać się nie raczy. Chciałby ciebie cichaczem rozkochać, a potem porzucić, jakto oni umieją. Ale zobaczymy, co z tego będzie.

— Jakto ojcze? — spytała śmiało naiwna Franka — mógłżeby on tak podle, tak nikczemnie...

— Słuchaj dziecko! — rzekł stary z wyrazem głębokiego uczucia — ty tak znasz świat mospanie, jak ja wiem co się na księżycu dzieje. Panowie wszyscy niemal tacy jak on; dla nich my szlachta drobna nał usługi, na uciechę, nic więcej; oni myślą że nam wszystko zapłacić można. Strzelbie, koniowi i panu nie wierzyć! Gdyby miał uczciwe myśli, czyżby, proszę cię, mospanie, nie przyjechał jak się godzi do nas do domu, nie!

pokłonił się ojcu? a to szuka ciebie i kryje się w lesie jak złodziej, nic potem...

Frania zarumieniła się znowu; pojęła ona trafność uwag ojcowskich, i oburzyła na młodzika.

— Nie prawdaż? — spytał konfederat.

— Ja nie wiem — szepnęła Franka.

— Więcej już do tego lasku wara! Jeśli paniczowi wpadłaś w oko, no! to znajdzie nas w chacie, mospanie. Jeśli się tylko swego ojca boi, na to może być rada; *est modus in rebus;* ale jeśli myśli z nas sobie żarciki stroić, zobaczymy, kto tu kogo na dudka wystrychnie. Niechże ci Bóg, mosanie, Franiu zapłaci za to, żeś mnie tak poczciwie ostrzegła. Kto wie, wielkie nieszczęście grozić nam mogło przez tego chłystka!

Szlachcic jakby myśl straszną otrzepnął z siebie, podniósł głowę, pokiwał nią, i podpędziwszy klacz, rozmawiając swobodniej z Franią, która odzyskała wesołość, śmiała się i czuła bezpieczną pod zasłoną ojcowskiego ramienia; — zajechał tak przed ganek, i chorążankę poklepawszy jak zwykle, do stajni odprawił.

Wiadomość o podjazdach tatarskich hrabiego tak starego opanowała, że się z Rozbojem nie przywitał nawet, nie posiedział na ławce; a zawoławszy Franię i Brzozowską, wszedł zaraz do pokoju naprzeciw. Brzozosia tak ekstra-ordynaryjnem wezwaniem stropiona, bo nigdy o tej godzinie powoływaną nie była, wpadła jak burza i stanęła, poglądając to na ojca, to na córkę.

Kurdesz wyjrzał za drzwi, pogładził wąsa, poprawił włóczkowego pasa, i rzekł do Brzozosi, pałającej już niepohamowaną ciekawością:

— Moja serdeczna panno Marjanno!

Na tak niezwykłe powitanie Brzozosia otwarła ogro-

mnie gębę, i spodziewając się czegoś nadzwyczajnie dziwnego, oczy otworzyła także, ręce obie podniosła, stojąc jak w słup obrócona Lotowa żona.

— Moja serdeczna panno Marjanno — powtórzył stary — gdybyś też raz w życiu, przez przyjaźń dla nas, potrafiła język za zębami utrzymać.

— I pluń panie rotmistrzu! — z oburzeniem odparła odwracając się Brzozosia. — Cóżto znowu? albożto jaką zrobiłam plotkę? co to jest?!

— Plotkę nie plotkę, znam twoje serce złote, szanuję cię, to dosyć powiedzieć, jak moję nieboszkę; ale prawdą a Bogiem, język ci często świerzbi.

— Ale cóżto jest u kaduka! — gorącując się i burcząc przerwała Brzozosia. — Cóżto za jakieś dziś nie wiedzieć zkąd i czego wymówki?

— Ale to nie wymówki, to tylko przyjacielskie przestrogi.

— Cóżto jest? zkąd? co? na co? po co te przestrogi?

— Co jest mospanie, to ważna sprawa, a w niej *in primis...*

— Któż u licha ten *Inprimisz?* Ja żadnego nie znam. Inprimisza żadnego nie było tu i nie ma.

Kurdesz się rozśmiał serdecznie, a Frania za nim.

— *In primis* znaczy toż samo, co naprzód.

— Więc cóż naprzód rotmistrzu?

— Naprzód potrzeba milczeć jak słup...

— Ale jakże milczeć, kiedy nie wiadomo co i jak?

— Posłuchajże mospanie.

— Toż słucham, słucham, już aż uszy więdną.

— Święci się coś z kosa na prawo, że hrabiątkowi. co to tu był, podobno w oko wpadła Frania.

— A co? a co? a co? nie mówiłam! — krzyknęła

Brzozosia, przyskakując kolejno do Frani i do rotmistrza — a co? nie na mojem stanęło?

— Albo co?

— Ja to odrazu mówiłam, że mu w oko wpaść musi.

— Komu?

— Ona jemu, on jej, dalibóg!...

Kurdesz ruszył ramionami.

— Toście mówili i przedwcześnie i niepotrzebnie.

— Nie ucz mnie pan, to już sądzono.

— Sądzono nie sądzono; paniczowi nasz domek śmierdzi, nie chce się poczciwie starać; chciałby sobie tylko figlami potajemnie dziewczynę ułowić, a potem szast nogą, i kłaniam uniżenie.

— Chowaj Boże! chowaj Boże! — przerwała Brzozosia — gdzie zaś! zkąd zaś!

— Zkądże to wiesz panno Marjanno?

— Zkąd wiem to wiem; ale to pewno, że sześć razy kabała mi wypadła...

— E! dałabyś pokój temu głupstwu!

— To u niego i kabała głupstwo! — łamiąc ręce z komiczną zgrozą zawołała Brzozosia.

— Słuchajże mnie waćpanna: oto już drugi raz dziś panicz w lasku Franię spotyka, szuka jej widocznie, zawiązuje rozmowę; szczęście tylko, że Frania ma rozum, i mnie zaraz o tem powiedziała.

Brzozosia, choć ruszając ramionami, zamilkła.

— Paniczowi chciałoby się widać bez pana ojca, bez uczciwego starania, romansów nowomodnych po pańsku.

— Ale cóż panie rotmistrzu?

— Ot co, mospanie, panno Marjanno: Frani aspanna nie puść odtąd krokiem od siebie i bez siebie, a z przechadzek do lasu kwita. Spacerujcie po ogrodzie

albo gdzie w drugą stronę, tak, żeby was nie spotkał. Jeśli szczerze kocha, niechże się po ludzku stara.

— A zapewne! i zobaczysz rotmistrzu, że przyjedzie, jak Boga kocham; co sądzono, tego nie przekiwać.

— Oj nie! — rzekł stary — raz może, dwa może; ale nie namto do hrabiów oczy podnosić: oni jak żydzi tylko się z sobą swatają i żenią.

Brzozowska poskrobała się w głowę.

— A jak się zniecierpliwi i porzuci? — spytała z bojaźnią.

— No! to jechał go sęk! — zawołał rotmistrz. — Cóżto moja córka ma sobie żebrać męża? Mosanie, alboto my nie taka szlachta jak drudzy, jeśli nie lepsza? Czyto ja po niej nie dam i Wulki i dobrego grosza pod poduszkę? Alboto ona kulawa, garbata czy szpetna, żebyśmy się z nią prosili i wdzięczyli jak suczka na przewozie?

— Co to, to prawda, kochany rotmistrzu!

— Więc *motus*.

— Jaki motuz? — spytała ciekawa Brzozosia.

— Cicho!

— A! rozumiem: motuz, węzeł, jak węzłem gębę zawiązał — dobrze! A jak sobie zresztą chcesz rotmistrzu! Taki hrabiątko nasze i nasze, jakem żywa; nigdy mi sześć razy z rzędu na jedno kabała nie wypadła darmo; pomyślcieno! sześć razy!

Było to we wtorek. Środę, czwartek i dni następne, ufny w potęgę swych niezliczonych wyższości i przymiotów, dzień po dniu Sylwan jeździł do brzeziny; widziano go z Wulki, i rotmistrz uśmiechał się pod

wąsem; w piątek nawet wysłał chłopaka, żeby go spytał czy nie zabłądził. Skorzystał z tego hrabia, i dawszy mu dwa złote, chciał się dowiedzieć, czy kto we dworze nie chory; ale parobek zaręczył, że wszyscy zdrowi jak ryby. Hrabiątko kwaśne pojechało do domu.

W niedzielę Frania z Brzozosią krytą bryką staroświecką, z parobkiem w nowej świtce na koźle, pojechały do kościoła. Kurdesz został w domu, domyślając się, że tam się z niemi Sylwan spotka. Prorokowała to i Brzozosia, a Frania nie bez ciekawości, wchodząc rzuciła okiem po kościele. Hrabia stał za ławkami, ukłonił się jej nieznacznie, i już go nie postrzegły aż wychodząc dopiero. Spotkał je u drzwi. Brzozosia drżała z niespokojności, i zarzuciła go zaraz pytaniami, uśmiechami, bijąc łokciem w bok Franię, ile tylko miała siły.

Frania ze spokojem dziewiczym odpowiedziała mu swobodnie na kilka zapytań, wesoło, raźnie uśmiechając się i poglądając, a odzywając się tak zręcznie i tak szczerze razem, że paniczowi przygotowane frazy na ustach zamarły. Najgorzej strapiło go to, że Frania na głos mu powiedziała:

— Mój ojciec bardzo żałował, że się we wtorek z panem hrabią nie spotkał: chciał go prosić na podwieczorek.

— Co u licha! — rzekł w duchu — albo to zdrada, albo nadzwyczajna powolność. Więc zaraz mu o mnie powiedziała!

Trochę złego humoru napędziła mu ta wiadomość i podrażniła go niewymownie, gdy ją wziął na rozwagę; w dodatku, w obec wszystkich dystyngowanych osób sąsiedztwa, z łaski Brzozosi, która go bez ceremonii

zatrzymała, musiał z niemi pozostać długą chwilę w przedsionku kościelnym, w towarzystwie dwóch niepoczesnie ubranych szlachcianek, z których jedna miała minę fasy z rozwieszonem na niej odzieniem, i nastrzępiona była w sposób bardzo śmieszny. W dodatku, wśród szeptów, śmiechów i wskazywania palcami młodzieży i kobiet, Sylwan podsadzić musiał do bryki odwiecznej Brzozosię i Franie; a Brzozosia, że jej to w oczach całej parafii niezmiernie pochlebiało, tak powoli siadała do bryczki, tak umyślnie starała się przedłużyć tę chwilę tryumfu!

Nareszcie uwolniwszy się od tej pańszczyzny, którą nie wiedząc czemu dopełnił, bo się sam na to wściekał, wychwycił się jak z ukropu z tłumu, który nań szydersko poglądał, siadł na nejtyczankę, i uciekł zły, jak gdyby się zgrał do grosza.

Całą drogę nie poznając siebie, łajał się od słów ostatnich, reflektował, karcił, rzucał, gniewał, i przyjechawszy do domu, nie poszedł do pokojów, ale pociągnął z bolem głowy na łóżko.

— Na dzisiejszem basta — rzekł z zapałem — niech sobie głupią tę gąskę łapie kto chce, ja w to śmiecisko więcej ręki nie włożę. Ślicznie! ślicznie! skompromitowałem się dla wieśniaczki, naraziłem się na śmieszność, na wytykania palcami. Co ludzie powiedzą! co ludzie powiedzą! — całe sąsiedztwo mnie widziało! Piorunem pójdzie ta nowina po dworach... mogę sobie powinszować...

W istocie, nie było dnia tego mowy w sąsiedztwie o czem innem, i rotmistrz Powała spieszył do Denderowa na obiad, pilno pragnąc historją syna przywieźć matce. Hrabina opowiadanie to zniosła stoicznie, uśmie-

chnęła się dwuznacznie; ale brew jej zmarszczona i zaciśnione usta dowodziły, że nad tem uczuć musiała. Po obiedzie rotmistrz poszedł do Sylwana na fajkę i gawędkę o koniach, o kartach, ale mu nic nie wspomniał o pannie Kurdeszance, i odjechał. Wieczorem zdziwił się wielce Sylwan, gdy go do matki wezwano; nie byłoto we zwyczaju.

— Byleby nie chciała u mnie pożyczyć pieniędzy — szepnął w duchu zimno, przywdziewając kusy kraciasty surducik — wczoraj niepotrzebniem się pochwalił, że wygrałem.

Nie domyślając się wcale po co go wzywano, Sylwan poszedł do hrabiny. Znalazł ją przechadzającą się wielkiemi krokami po pokoju sypialnym, pełnym woni, błyskotek, kwiatów, fraszek, i wystrojoną jak obraz cudowny.

— A! nareszcie! Dzień dobry ci i dobry wieczór.

Sylwan przywitał matkę po angielsku: w jego świecie wszyscy byli równi, i powitanie okazało poufałość, nie uszanowanie.

— Głowa mnie boli okrutnie! — rzekł padając na kozetkę.

— I nie dziw! — odparła śmiejąc się przymuszenie matka. — *Vous faites des folies.*

— Ja? cóżto jest?

— Całe sąsiedztwo za boki się trzyma śmiejąc z ciebie.

— Ze mnie? cóżto takiego?

— Jedyny jesteś! *vous ne vous doutez méme pas?*

Sylwan doskonale się domyślał, ale udawał że nic nie wie.

— Jakże, proszę cię, szaleństwa wyrabiasz dla jakiejś

tam szlachcianeczki, którejbym ja może za pierwszą garderobianę wziąć nie chciała...

— *Qui vous à conté cela?* to jakieś plotki...

— *Mais mon Dieu!* wszak Wieluńska była na mszy (hrabina umówiła się, że nie wyda rotmistrza i złoży to na służące). Wszyscy się brali za boki, gdyś z temi paniami rozmawiał i wsadzał je do powozu...

— Wieluńska to mówiła?

— Powiadam ci, wszyscy umierali ze śmiechu.

— Z czegoż? — odparł Sylwan gniewnie. — Nikt się ze mnie nie śmiał i śmiać nie może, bobym to srodze ukarał.

Matka ruszyła ramionami.

— Pomiarkuj naprzód co robisz. W obec tysiąca oczu kompromitujesz się w sposób najdziwniejszy dla jakiegoś drapichrusta. *C'est inoui!* Zapominasz kto jesteś! Nic nie mówię nigdy za inne szaleństwa, bo mogę ich nie widzieć i nie wiedzieć o nich, a zatem nic mi do tego, ale to już zanadto...

Sylwan się nasrożył.

— Mamo — rzekł — pojmuję, że to czynisz z najlepszego serca, ale wcale niepotrzebnie, jestem już w wieku...

Hrabina rozśmiała się.

— Lepiej od ciebie wiem o twoim wieku. Chciałam cię tylko przestrzedz, bo skandalem się brzydzę. Pamiętaj co mówią Arabowie: „Zgrzesz sto razy przed Bogiem, Bóg ci przebaczy; ale ani razu przed ludźmi, bo ci tego nie darują".

Sylwan ruszył ramionami i z niecierpliwością jak zawsze, bo mu najłatwiej przychodziło się zniecierpliwić, okręcił się nic nie mówiąc po pokoju.

— Moje dziecko — odezwała się hrabina poważniej — *ayez de la retenue*, miej wzgląd na siebie i na nas. Cóż-to jest? wyspowiadaj mi się szczerze.

— Po prostu dzieciństwo, z którego sobie ludzie zrobili historją. Ojciec posłał mnie do tego tam pana rotmistrza, zapraszając go na imieniny. Nie wiem zkąd był ten zbytek grzeczności; podobno ojciec coś mu tam winien. Poznałem więc mimowolnie jego córkę.

— Cóż? tak ładna?

— Ładna! jak wszyscy! Świeża! młoda!

— I zawróciła ci głowę — spytała hrabina. — Nie wielkie-by to było złe gdzieindziej, ale ktoś tak niższy od nas położeniem i wychowaniem. Tysiąc ztąd kłopotów, plotek; u nich zaraz wszystko zwykli brać na serjo! Staraj się pogrzebać twoję passją — dodała z francuzka — daj temu pokój!

— Ależ tu passji nie ma.

— Choćby to była tylko fantazja!

— Chyba fantazja. Ale cóż złego, żem się z nią przywitał w kościele?

— To tylko nieprzyzwoitość; potrzeba było udać, że się nie widzi.

— O! na drugi raz zrobię to pewnie.

Hrabina nie odezwała się więcej: sparła się na łokciu i zamilkła; smutna jakaś myśl nią owładła. Sylwan powoli wyszedł i powrócił do siebie w najgorszym humorze.

Biedni byli słudzy, biedne psy jego tego wieczora!

Tego samego wieczora, o mroku nadchodzącym, Cesia siedziała przy fortepianie i brzdąkała na nim jedną

ręką, wyciągniona w krześle, trzymając przed sobą na uwięzi Wacława, który myślą biegał gdzieś daleko.

Milczenie przedłużało się już od kwadransa, przerywane tylko piosenką, którą niedbale przygrywała niekiedy Cesia, coraz to oczy ogniste podnosząc na młodego człowieka, któremu oliwy do ognia już nie potrzeba było dawać: płomień był widoczny.

Bo pierwsza miłość zawsze jest jak ogień po długiej suszy wrzucony, straszliwą i pożerającą; później, któż nie zna historji tego uczucia i nie umie się w niem kierować? W początku wszystko w niem tajemnicą, niespodzianem, strasznem, bolesnem, a obok boleści są też i dziwne, wielkie rozkosze, które się już nigdy nie powtórzą w życiu. Pierwsza i ostatnia, są najsilniejsze pewnie: jedna chwyta nas jak niespodziane szczęście, ukazując niezgłębione przepaści wiekuistych rozkoszy; drugą obejmujemy jak deskę ratunku, bo po niej nie ma już dla nas nic: głucha pustynia, cisza, grób i śmierć...

Wacław był w cierpieniach i rozkoszach najpierwszego w życiu uczucia, gwałtownego jak wybuch wulkanu, co wstrzymany w przepaściach ziemi wstrząsa górami i łamie zastygłą jej skorupę. Uczucie to tak silne, bo pierwsze, z którem postąpić sobie nie umiał, musiał taić w sobie, musiał z niem walczyć nieustannie, by nie dać mu się objawić.

Cesia, której to było nie pierwszą miłością ale próbą uczucia, ale snem przepowiednim, igrała ze wzbudzoną namiętnością, jak się bawi z ułaskawionem dzikiem zwierzęciem pan jego. Gdy ją taił Wacław, wywoływała; gdy okazał, odpychała śmiechem, szyderstwem, podziwem, udanem niepojmowaniem: chciała słów nie

rozumiała ich; zrozumianemi rzucała jak dziecię piłką. Smutny był widok tego cierpienia i tej pańskiej obojętności na nie. Tak czasem wyrostki wiejskie pastwią się nad biednym pochwyconym ptaszkiem, któremu po jednym wyrywają piórku, którego skubią ze śmiechem. Cesia była nielitościwa jak dziecko, dla niej życie maiło się jeszcze tak dziwnie piękne, tak obfite w nadzieje, że się ani myślała w progu jego zatrzymać; ale z nudy, z próżni chwilowej serca, szukała sobie zabawki.

— Niech mi pan co zagra! — zawołała nareszcie wstając — tylko proszę co wesołego.

— Cóż pani każe?

— Coś Straussa.

Posłuszny jak pozytywek Wacław, uderzył w klawisze: walc Straussa pod jego ręką tak wściekły przybrał charakter, iżby go szatani w piekle po wierzchach płomieni tańcować mogli. Nie zmienił w nim ani jednej nuty, ale wyraz tak był straszny, tak burzliwy i namiętny, że Cesia uczuła nagle coś na kształt przestrachu i smutku niespokojnego.

— A! czyżto wesołe? zlituj się pan.

— To walc Straussa.

— Innego!

Inny walc był znowu smutny jak płacz, łkania, jęk i boleść; tęskny jak rozpacz, wywoływał łzy, płynęła pieśń melancholijna, jak wstęga czarna: rzekłbyś, że to krzyk zranionego do głębi serca. A jednak był to walc Straussa, ale przezeń jak przez pierwszy, przezierała biedna, zraniona dusza.

Cesia się zachmurzyła, zamyśliła: widocznie poczynała się gniewać prawie.

— Jak to pan dziś grasz nieznośnie — zawolała

z wyrazem niechęci — walc jeden straszny, drugi łzawy: nie umiesz-że pan żadnego wesołego? Graj pan polkę, nie polkę-mazura, ale polkę wesołą.

— Nie rozumiem dlaczego pani chcesz w sobie dziś pobudzić wesołość, gdy jej sama posiadasz tak niewyczerpane skarby.

— Doprawdy? pan tak myślisz?

— Tak jest.

— Ależ wesołość powierzchowna, czy nie ukrywa czego czasem?

— Czasem kryje obojętność i chłód, i to podobno najpospoliciej.

— Nie myślę, żebyś pan miał prawo o tem sądzić i mógł o tem wyrokować.

— Przepraszam panią. Zapytany mówię co myślę.

— Najgorszy zwyczaj, panie Wacławie: nigdy się nie powinno mówić co się myśli; ale.... przepraszam, zapomniałam, że pan nie jesteś kobietą.

— I dla mężczyzny przyda się ta rada. Co pani grać mi każe?

— Na miłość Boga co wesołego.

— To tak trudno.

— Trudno! trudno! Wszakże to pierwsza z brzegu szejne-katarynka potrafi.

— Właśnie dlatego, że nie mam szczęścia być szejne-katarynką...

— Bądź pan nią na chwilę: zobaczym ile masz mocy nad sobą?

— O to pani chodzi?

— Gdyby.

— A więc gram...

I znów odezwały się klawisze, a polka wyrwała się

z pod palców Wacława tak świeża, tak strojna, tak namiętnie pusta, taka śpiewna i śpiewająca, że w oczach Cesi stanęły salony oświecone, i tancerze w białych rękawiczkach, i szepty tłumu wielbicieli... i cały świat jej marzeń pustych, szalonych, pietnastoletnich. A grał Wacław z takim wyrazem, z taką trzpiotowatością, jakby sam tańcował na upragnionem długo weselu.

— Brawo! brawo!

— Cóż teraz pani powie o mojej mocy nad sobą?

— Wielka, ale krótka jak polka. A teraz graj już pan co chcesz.

— Dzięki Bogu!

I począł z sonaty Chopin'a ten znany dziś tak powszechnie marsz pogrzebowy, z którym chyba drugi marsz Beethovenowski porównać się może. Wdzięk u obu melancholijny jeden. Beethoven tylko pisał swój, starym już podobno, obrobił go, wystudjował, wypracował umiejętnie, oszlifował djament. Chopin wylał z serca co w niem miał: naiwnie, poprostu, bez kunsztu prawie, jak Homer śpiewał, sam nie wiedząc o tem, że tworzył razem arcydzieło pomysłu i formy.

Cesia patrzała na Wacława i zdało jej się, że widzi zapalone pochodnie, długi szereg księży w czarnych kapach, trumnę ubogą na marach prostych i płaczących krewnych... Płacz ich powolny, tęskny raczej niż rozpaczliwy, chrześcjańską boleść, co ma pociechę w niebie, malujący i poddany woli Bożej.

— A! dosyć tej elegji — zawołała przerywając — to ten nieznośny pański Chopin, którego cierpieć nie mogę nawet w jego mazurkach. Są to mazurki filozoficzne, transcendentalne, Bóg wie co; a wszędzie smutek, a wszędzie taki gorzki smutek, jakby pieśń wygnańca...

— Smutek dusz wyższych, co zawsze wśród szczęścia nawet tęsknią do niebios.

— Dziękuję za komplement: ja co nie tęsknię, nie mam honoru należeć do dusz wyższych.

— Pani może tęsknoty swej tylko pokazać nie chcesz, boś nadto dumna, a wreszcie tak młoda. Któż tęskni tak młodo?

— Pan zawsze masz mnie za małe dziecko.

— Nie pani! o! nie!

— Graj pan wlazł-kotek za karę...

— Co pani każe... ale wlazł-kotka...

— Tak, to właśnie.

— Żarty czy...

— Doprawdy, chcę wlazł-kotka.

— Istotnie?

— Tyle razy powtarzam.

Posłuszny ale smutny i zniechęcony zagrał jej Wacław z tego tematu tak ciasnego, coś dziwnego, fantastycznego, zamieszanego, burzliwego, jakiś taniec czarownic z chychotem puhaczów i szumem wichrów... Dziką począł tę fantazją, urywał, chwytał tema, przerabiał go, łączył ze śpiewem, z którego naigrawać się zdawał, i bawił się z nim jak niedźwiedź zmuszony igrać z łańcuchem na którym go wodzą.

Nareszcie skończył: a dwie łzy w ciemności potoczyły się niewidziane po jego twarzy. Chciał odejść, ale Cesia nie życzyła sobie sama pozostać.

— Czegoż pan się tak spieszysz?

— Wie pani, że odjeżdżam.

— Pan odjeżdżasz? Dokądże to?

— Jadę... w świat.

— Cóżto? żarty dla rozczulenia mnie?

Pierwszy raz myśl rozstania zupełnego na wieki, przeszła główkę Cesi pustą, i czuła jakby ściśnienie serca, jakby smutek, jakby żal w zarodzie jeszcze nierozwinionym. Przywiązujemy się do ofiar pierwszych naszych namiętności.

— To nie są żarty — dodał Wacław — moja przyszłość cała jest w mojej pracy; dość długo byłem dla państwa ciężarem, dość im winienem i tego nigdy nie zapomnę; czas wreszcie samemu o własnych siłach pójść szukać chleba.

— Tylko chleba?

— Tylko chleba! Mogęż roić o czem więcej? możnaż dziś dobić się sławy obok mistrzów tylu? A! gdyby choć chleb czarny w ciszy, spokoju, ustroni; ale i o ten kawałek suchy, jeśli nie polany łzami, potrzeba będzie dobijać się walką z braćmi sierotami losu i gryźć jak o kość. To los co mnie czeka.

— Ale pan nie pojedziesz.

— Owszem pani, muszę jechać i pojadę.

— Będziesz czekał na powrót mego ojca.

— Hrabia pisał mi, żebym wyjeżdżał i ma mi dopomódz w Żytkowie, gdzie już na mnie czeka.

— Powrócisz przecie do nas?

— To Bóg wie jeden. Któż powiedzieć może: powrócę? A potem dlaczegóż i czegóżbym powracał. Wdzięczność moja wytrwa dla was i zdaleka, a państwu jam niepotrzebny. Zawołacie mnie kiedy, przybiegnę posłuszny jak pies do dawnego pana; ale w waszem życiu czemże ja jestem? Jednym z tych, których macie mnóstwo za pieniądze: czemś pośredniem między sługą a nudnym i z łaski przyjmowanym sąsiadem.

— Pan o nas źle może sądzisz...

— Nie. Rozmierzam tylko bacznie i bez złudzenia co nas dzieli i dzielić będzie wiecznie, co mnie oddala od państwa, i co się nigdy przełamać nie da. Jeśli będę potrzebny, zawsze przyjdę, choćby pieszo, choćby o kuli wam służyć.

— Pamiętaj pan — przerwała pusta Cesia, zwracając rozmowę, żeby ukryć trochę uczucia — że gdy zatęsknię za wlazł-kotkiem, wezwę pana choćby ze stolicy, żebyś mi go zagrał.

To mówiąc, poskoczyła z miejsca i odeszła.

Wacław spiesznie otworzył drzwi ogrodu i wybiegł szukać w chłodzie i cieniu drzew, w widoku miejsc znanych mu od dzieciństwa, uspokojenia, siły, rezygnacji.

Potrzeba było te miejsca opuścić, a my nędzni niewolnicy tak przyrastamy do ziemi. Pod tym względem jesteśmy rośliną, co przytknięta do gruntu ujmuje się go i chwyta, by żyć. I my w młodości zwłaszcza, chwytamy się każdego kątka, w którym chwila życia nam spłynęła, czepiamy się do niego, by cierpieć potem, gdy nas los przesadzi na ziemię nową. Wacław żegnał z kolei kątek każdy, choć nigdzie nie uśmiechnęły mu się uczucia przyjaźne, choć wszędzie przecierpiał od dumy, obojętności, wzgardy, szorstkości otaczających; ale miejsca cierpień są nam równie drogie, jak ozłocone szczęściem. Któż nie płakał po długiem więzieniu i czule nie wspominał go swobodny? Wacław szedł przez ogród i napawał się widokiem miejsc, które chciał zapamiętać na zawsze, bo myślał, że już do nich nie wróci, a były mu drogie. Trochę marzeń miłośnych, tych marzeń, co jak drobne maku nasionka, umieją wysoko wyrastać i bujnie rozkwitnąć; zdobiły jeszcze i urokiem swym opromieniały każdy kątek. Byłyto jak sny, jak

w chwilach usypiania dzikie obrazy, nieurzeczywistnione nadzieje; ich olbrzymiość i zarysy mgliste stanowiły piękność.

Kochał Cesię, a z dwuletniej miłości zostawała mu przy rozstaniu: gałązka rezedy zdjęta z posadzki, której się zaprzeć musiał, kilka słów dwuznacznych i wiele gorzkich płochej dzieweczki pocisków, które utkwiły głęboko.

Ogrodem zbliżył się ku stawowi, błądził długo nad jego brzegiem, i smutniejszy niż kiedy, powrócił do swojej izdebki, która pełna była upakowanych już rzeczy, pusta, smętna i duszna. Wrócił zrozpaczony o przyszłości, idąc w świat rozczarowany bez tych zwykłych nadziei młodych, bez marzeń sławy, czując, że nań oczekują walki, niedostatek, upokorzenia. Wszystko to przewidział, wszystkiego był już spróbował. Obojętny, z nadzieją tylko jedną, że sztuka którą kochał, będzie mu pociechą, szedł posłuszny losowi z zawiązanemi oczyma, mówiąc sobie:

— Na wszystkom gotów, co mi los zdarzy.

Cesia starała się zobaczyć z Wacławem na wyjeździe, bo od tego wieczora zawitał do niej smutek dotąd nieznany i jakieś uczucie, które tłumaczyła sobie litością tylko. Nazajutrz spotkała go jeszcze u matki; wyszła do ogrodu potem, ale już Wacław pożegnawszy wszystkich i nie chcąc przedłużać ciężkich dla siebie chwil rozstania, popędził w tumanie kurzu ku nieznanej a strasznej jak przepaść przyszłości.

Cesia podumała chwilę, sparta na ławce w ogrodzie, poszła do sali do fortepianu i grać nie mogła: klawisze ją parzyły, miejsce gorące jeszcze było jego bytnością ostatnią, niepokój budził się w niej niepojęty, łzy cisnęły choć spychane do powiek dziwnem osłupieniem otwartych. Usiłowała się przemódz i nie mogła. Nazajutrz dopiero żal stał się lżejszym, potem została tęsknota tylko, potem... Ale nie łapmy ryb przed niewodem: przyjdzie nasz niewód na te tonie.

Sylwan gniewał się tylko na siebie, że tak niezgrabnie wziąwszy się do romansu z panną Kurdeszanką, wszystkich oczy uderzył, rozśmieszył sobą, wywołał plotki i sprowadził na siebie wymówki. Skompromitowany powinien był zerwać wszystkie stosunki, ale mi-

łość jego własna zbytecznie na tem bolała. Porwać się, nic nie dokazać, a w dodatku ludziom być pośmiewiskiem! tego znieść nie mógł: młoda jego duma i wysokie pojęcie o swych przymiotach, oburzały się na to. Chciał teraz pomścić się głośno, uwieść i porzucić; wolałby był, żeby go przeklinano, niż żeby z niego szydzono. Tak biedny miał przewróconą głowę, a serce zamarzłe!

Ale napróżno łamał sobie tę biedną głowę nad sposobami wyjścia zwycięzkiego z tej matni, w którą się uwikłał; nie widział żadnego. Gniewał się i złościł. W takiej dyspozycji umysłu, powracający przez Denderów z dalszej wycieczki, hrabia Karol Walski go zastał.

Sylwan przyjął przyjaciela z radością, rozbawił się przy nim; a z polecenia wyraźnego matki, podprowadzając go do siostry, zatrzymując, łapiąc, gdy sam-na-sam wieczorem pozostali, zwierzył się doświadczeńszemu całej swej przygody i dalszego jej toku bardzo szczerze, bo i wstydu, i gniewu, i chęci zemsty nie ukrył.

— Zamiast rady — rzekł Karol — powiem ci historyjkę nauczającą, tylko mi daj słowo, że jej powtarzać nie będziesz.

— Ale cóż znowu? myślisz żem plotka?

— Słuchaj więc. Znam zblizka w moich stronach młodego człowieka, który jak ty powiedział sobie, zobaczywszy młodą szlachcianeczkę, córkę ekonoma: — Cóż szkodzi pokochać się trochę, zabawić, rozerwać, a potem.... Któż myśli co potem będzie? — szepnął sobie — jakoś to będzie. Poczęła się tedy łatwa znajomość, łatwe między młodemi uczucia, coraz bliższe stosunki, a pan Strzemba, ojciec panny...

— Co ty mówisz? a toż Strzemba jest u was ekonomem! — żywo przerwał Sylwan.

Karol się trochę zarumienił, ale odzyskując odwagę i przytomność, wstydził się kłamać dalej.

— Słuchajże tem uważniej, bo to moja własna historja. My panowie wyobrażamy sobie wszystko, co niżej nas, ledwie człowiekiem, nie przypuszczamy, by poza naszą cywilizacją powierzchowną było i mogło być serce, obyczaje, myśli i uczucia. Lekko cenim sobie ludzi i błądzim co krok....

— No! ale cóż się stało z panną Strzembówną?

— Strzemba nic nie mówił, dom otworzył z zaufaniem, ledwie nie z zaproszeniem; znalazłem tu dziewczę, którego tęskna twarzyczka mnie ściągnęła, a które odrazu uszanować musiałem, bo było tego warte. Nie po naszemu, nie po francuzku wychowana, nie tak jak my mówiąca, od pań naszych daleko poważniejsza, wszystko biorąca serjo i uważająca za szczerze, pobożna, poczciwa...

— Daruję ci resztę litanji — przerwał Sylwan — widać dobrze udawała, ale ty chyba kobiet nie znasz?

— O! gdybyż udawała — kończył Karol — nie miałbym na sumieniu ją zwodzić; ale szczerego i wierzącego nam zawieść, zdradzić, to zbrodnia!

— Ba! takie zbrodnie!...

— Nie wahałbym się za nie powiesić.

— No! cóż dalej?

— Wplątałem się tedy w miłostki, z których już wycofać się i wybrnąć było niepodobna, bom myśląc się tylko zabawić, zakochał na prawdę.

— Jakież z ciebie cielę! Daruj hrabio, ale w pannie Strzembównie?!

— Może i cielę, ale stało się jak ci mówię.

— Cóż tedy dalej? bo to dla mnie żywa nauka.

— Dalej? dalej po dwóch leciech odwiedzin powtarzanych i ściskających się coraz stosunków, gdym siły nie miał jej opuścić, ani w łeb sobie strzelić, hrabia Karol Walski, herbu Topor, ożeniłem się potajemnie z panną Strzembówną.

— Co ty mówisz! — zakrzyknął porywając się Sylwan. — Jakto? tyś doprawdy żonaty?

— Jak mnie widzisz; a w dodatku szczęśliwy przez nią. Ale słuchaj końca. Ożenienie nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jak się niejednemu zapalonemu młodzikowi zdaje. Gdy rodzice mówią: wybieraj ze swego stanu, gdy cię rozsądkiem zimnym i nudnym kierują, nie sąto słowa bez znaczenia i gderanie dumy lub uporu. Ożenienie łączy nas nie z jedną kobietą, ale z całą nową rodziną, z całym drugim, jeśli ona do drugiego należy, światem. Przez nią spokrewniasz się z ludźmi, z któremi żyć nie możesz. Tak i ze mną; jestem szczęśliwy z panną Strzembówną, ale Strzembowie! A! Strzembowie! Strzembięta! Strzemboszęta! Strzembów krewni i powinowaci, kolligaci i familia: bo rodzaj Strzembów jest zawsze niesłychanie płodny i rozrodzony... Tu już sił i cierpliwości braknie!

— Prawisz mi rzeczy niepojęte i do wiary niepodobne, kochany Karolu! Byćże to może?

— Jest jak ci mówię. Przypominam ci tylko nawiasowo, że krom nas dwóch nikt o tem nie wie; pamiętaj, że jeśli się wygadasz, śmiertelnie mi zaszkodzisz i śmiertelnie mnie obrazisz...

— Ale bądź spokojny, nigdym się jeszcze niechcący nie wygadał w życiu. Pozwól mi się trochę całej tej

z Tysiąca nocy historji podziwić. Jakto? ty! ty! którego uważałem za mentora i mistrza, tak olbrzymie i heroiczne zrobić mogłeś głupstwo?

— A co więcej, przyznaję ci się do niego. Właśnie, żem je zrobił, nikt nademnie skuteczniej poradzić ci nie potrafi: *ab uno disce omnes.*

— Co ja, tobym nigdy nic podobnego nie uczynił.

— Jestżeś pewnym, że nie pokochasz, lub pewnym, że potrafisz z zimną krwią zostać podłym?

— Ale zlituj się! tysiąc jest sposobów środkowych... Strzemba byłby wziął dla córki dziesięć tysięcy posagu i wydał ją za mąż.

— Alem ja ją kochał!

— Otóż w tem właśnie jest wielkie niedarowane głupstwo.

Karol ruszył trochę wzgardliwie ramionami.

— To prawda — rzekł — mam głupie serce, i to mnie, jak ty nazywasz, zgubiło. Ty jestżeś pewnym że go nie masz?

— Ja? nic a nic!

— Jeśli tak, przyznam ci się, tyś straszny człowiek.

— Tak! dla kobiet.

— Mnie się zdaje, że kto nie umie kochać kobiety, nie potrafi przyjaciela.

— Filut! chciałbyś mnie widzieć razem z sobą w jednej kozie; ale nie! nie! Ja sobie dam radę...

— Życzę ci, cofnij się póki pora.

— Cofnąć się, żeby się śmiano ze mnie?

— Wolałbyś, żeby płakali?

— Zdaje mi się.

— Boję się, żebyś sam nie płakał.

— Ja?! ale któż dobrze wychowany płacze?

Karol od stóp do głowy zmierzył Sylwana i ruszył tylko ramionami.

— Mój Sylwanie — rzekł — oducz się twoich burszowsko-lwich pojęć o człowieku i młodości. Serce jest warunkiem życia.

— Ale cóż ma za związek serce z podobną intrygą?

— Bez serca, jestto brudna, zwierzęca namiętność.

— Cha! cha! Doprawdy, od czasu jakeś się ożenił, pogłupiałeś, kochany Karolu! jesteś moralny jak Marmontel, i prawisz o sercu nieznośnie, jak stary romans ośmnastego wieku.

— Bo mnie serce boli — odparł Karol.

— A ja go jeszcze nie czuję w sobie, i wolno mi, spodziewam się, użyć tej drogiej chwili młodości...

— Używaj! Bóg z tobą!

Po tej rozmowie Sylwan, któremu matka nakazywała zatrzymać hrabiego Karola, będąc przekonaną że jest nieżonaty, i pragnąc go zbliżyć do Cesi; naśmiawszy się po cichu z tego dziwnego składu okoliczności, nie zapraszał już uparcie Walskiego, który zaraz odjechał. Hrabina ostre za to wymówki czyniła synowi, ale zniósł je język trzymając za zębami, i tajemnicy przyjaciela nie wydał. Śmiał się tylko w duchu. A wśród rozmów, śmiechów, wśród salonowej zabawy, myśl tylko jedna tkwiła w nim ciągle: chciał się koniecznie, koniecznie pomścić, i wstyd swój powetować świetnem zwycięztwem.

Na kim? spytacie, na sobie za niezręczność? — Nie, na biednej Frani niewinnej i na Kurdeszach. Ale smażył sobie głowę, a sposobu wiodącego ku temu znaleźć nie umiał; po długich rozmysłach postanowił na-

reszcie brnąć dalej, jechać do Wulki pod pozorem kupna siwej klaczy rotmistrza.

Znaleziony powód odwiedzin niezmiernie go ucieszył. Mając gotowy pretekst, co najprędzej chciał myśl przyprowadzić do skutku; kazał konia osiodłać, zostawił Janka szczebiotliwego w domu, a sam umyślnie skierowawszy się wprzód w inną stronę, aby ludzie kroków jego nie śledzili, zaroślami przedarł się do Wulki.

Byłato godzina wieczorna; rotmistrz wedle swego letniego zwyczaju siedział w ganku na ławce.

Ganek dawniej u szlachcica, w ciepłą porę roku, był najulubieńszem jego schronieniem; nie było tu tak duszno jak w izbie; widać z niego całą gospodarkę, bo często i łany, a zawsze drogi i ścieżki, całe obejście gospodarskie, gumna, obory i folwarczne budowle. — W ganku łatwiej znalazł pana wieśniak, rozmówił się z jegomością przechodzący ekonom; sam jeden siedząc, nie był tu samotnym, wzrok jego czuli wszyscy. Bocian mu klekotał na starej olszy, rżały w stajence koniki, gruchały gołębie, a z sąsiedniego kościółka dzwonek godziny dnia przypominał. U nóg rotmistrza legiwał stary Rozbój, towarzysz jego, ilekroć pieszo za próg domu się ruszył. Często Brzozosia wyszła z przeciwka, i stanąwszy na progu, rozpoczynała gawędę; często Frania siadała przeciw niego z pończochą; czasem idący ze stajni parobczak stanął do rozmowy, gumienny oparł się na chwilę o słup i wyspowiadał się z dziennych robót, których doglądał; a tak dzień w ganku upływał wesoło i czynnie. Tu wyniosłszy stół, nakrywano nieraz do obiadu, podwieczorku, wieczerzy; tu miały miejsce obrady wiejskie, którychby ciasny domek szlachecki nie objął, gdy cała na nie stoczyła się ze

wsi gromada; tu przyjęcie wianków, odbieranie włóczebnego, powinszowania i prośby... Wieczorem późniejszym, gdy zmrok zapadał a w izbie ciemnieć poczynało, stary *sodalis marianus* z książeczki mógł czytać jeszcze w ganku i domówić resztę pacierzy.

To też miejsce, które tu zwykle zajmował pan Kurdesz, znaczne było na ławie, i poręcz jej nawet wyślizgała się od opierania, a nikt z domowych przez uszanowanie, choć pana nie było, nie śmiał zasiąść w jego uprzywilejowanym kątku.

Rotmistrz siedział w ganku na swej ławce i rozmawiał z panną Marjanną, która ręce założywszy na piersi, oparta o uszak, przypominała mu stare czasy, marzyła z nim razem o lepszej przyszłości, gdy pan Sylwan ukazał się we wrotach na koniu, a Rozbój rzucił się, ujadając silnie, przeciwko niezwykłemu gościowi. Zrazu Kurdesz nie poznał przybywającego, ale panna Marjanna, której się śniło w nocy, że kładła wianek rozmarynowy na czoło swej Frani, domyśliła się odrazu i krzyknęła zatykając sobie usta:

— Święty Boże! dalibóg to on!

— Co? kto? — zapytał Kurdesz.

— A hrabiątko!

To powiedziawszy, nie czekając dłużej, kopnęła, trzaskając drzwiami za sobą, i wpadła do Frani zdyszana, ledwie słowo przemówić mogąc, przyciśniona wzruszeniem i tak zmieniona, że Frania spojrzawszy na nią, w pierwszej chwili wielkiego jakiego nieszczęścia się dorozumiewała, i zerwała się z krzesła równemi nogami.

— Co to się stało, panno Marjanno?

— Co? on! dalibóg on! dalibóg on! jak Boga ko-

cham! słowo daję, on! on! — krzyczała Brzozosia w niepohamowanym zapale.

— Kto on? co? — spytała Frania.

— Ale on! Franiu, on! jak Boga kocham! gniady, na szaraczkowym koniu, chcę mówić szaraczkowy surducik, koń gniady, na czole strzałka, w ręku biczyk śliczny; poznałam go: bez ogona, w żółtych rękawiczkach.

— Koń w rękawiczkach! — parsknęła ze śmiechu dziewczyna, która się już domyślać poczęła o co chodziło.

— Czegoż-bo udajesz, że mnie nie rozumiesz? On! hrabiątko twoje, przyjechał, jest, ubierz się ślicznie. Przyjechał! a widzisz, na mojem! widzicie! nie mówiłam? I ty i ojciec nic nie rozumiecie świata i ludzi! Ja się na tych rzeczach znam dobrze. Już kiedy co powiem, to nie darmo: ot taki przyjechał.

Wtem — Brzozosiu! panno Marjanno! — rozległo się z ganku, i Brzozosia choć w pretensjach trochę, z wielkiej niecierpliwości nie poprawiwszy nawet czepeczka i włosów nieco rozsypanych, rzuciła Franię, a pobiegła do Kurdesza.

Po chwilce wróciła, ale powolnym krokiem, zamyślona i widocznie gniewna; weszła do pokoju swej panienki, i skrzywiona przemówiła ruszając ramionami:

— Niech-że sobie robi co chce, ja się już nie mieszam do niczego.

— Cóżto znów stało się panno Marjanno?

— A cóż ma być? byłam tego pewną, że twój ojciec zmaluje jakieś cudactwo! Chce robić po swojemu, i powiedział mi na ucho, że panicz przyjechał tylko klacz tam jakąś kupować, więc żebyś ty nie wychodziła do niego do pokoju, tylko ja sama. Widział-że

kto tak kawalera przyjmować? wszystko popsuje. Ale co mnie do tego! Róbcie sobie co chcecie, ja ręce umywam. Pan rotmistrz jak sobie pościele, tak się wyspi.

I obrażona, zniechęcona, poczęła się Brzozosia przechadzać po pokoiku, poprawując powoli ubioru i włosów, zaglądając do zwierciadełka wiszącego na ścianie.

Frania, trochę niechętnie, ale z pokorą dziecięcia, które tak kocha ojca, że mu wierzy ślepo, przyjęła rozkaz rotmistrza; zaczęła się była ubierać, ale usłyszawszy od Brzozowskiej o dyspozycji, usiadła w krześle, i choć trochę rumiana, trochę roztargniona, choć przysłuchując się rozmowie, która ją z ganku dochodziła, robiła dalej zaczętą albę do kościoła. Brzozowska wciąż chodziła i gderała:

— Starzy nie powinniby się w to wdawać, a nam to zostawić. Kto to widział panne ukrywać! Śliczna rachuba! Ale co mnie do tego? To pewna, że rotmistrzowi zmyję głowę jak hrabiątko pojedzie. Ale niech sobie robi co chce, niech robi! Zobaczymy jak pokieruje.

Frania milczała, nie mieszając się do rozmowy panny Brzozowskiej samej z sobą; panna Marjanna gderała:

— Ani się mnie spytał! ani poradził! szach! mach! ni z tego, ni z owego, niech nie wychodzi! Dlaczego? że niby to dla konia przyjechał? No to cóż? Zwyczajnie; nie powie odrazu: przybyłem starać się o względy panny Franciszki! Ale mnie nic do tego, niech sobie robi jak mu się zamarzy.

— Moja Brzozosiu kochana — przerwała Frania po chwili — ojciec musiał sobie pomyśleć dla czego to robi.

— At! zamarzyło mu się! Panicz zwyczajnie nic

wiedział co powiedzieć, i udał, że mu się siwka podobała, że chce się potargować. Kto to tego nie rozumie! stare figle! Ojciec zaraz bierze to za dobrą monetę, i powiada mi, kiedy przyjechał do siwej, to mu tylko siwą pokażę. Gadaj-że z nim! widział kto co podobnego?!

— A to może i dobrze — odpowiedziała Frania — jeśli nie do nas, tylko do siwki przyjechał, po cóż ja mam wychodzić?

— Ale bo to nawet niegrzecznie! Kto to widział, jak chłopską narzeczonę w komorze córkę chować!

— Ojciec tak chciał, cóż robić Brzozosiu! Jużciż nie taję, żebym wolała wyjść i pogadać, i pośmiać się; ale z rotmistrzem wiesz, po żołniersku, trzeba słuchać co powie.

— Ej! to nam kochanie! ale nie tobie! ty go jak zechcesz, na włosku prowadzisz. Ale rób sobie co myślisz, ja cię nie chcę buntować; choć to pewna, że nic by ci nie powiedział, choćbyś i wyszła.

— Ale mnie także, moja Brzozosiu, nie wypada się spieszyć bardzo przeciwko niemu, kiedy nie do nas, tylko do siwki przyjechał.

— O! jużto wy z ojcem oboje ciągniecie coś bardzo mądrze! Ciągnijcie sobie jak chcecie; ja się więcej do niczego nie mieszam. Pójdę tylko, zadysponuję i wyreguluję podwieczorek, i ręce umywam...

Jakoż gderając jeszcze, wyszła Brzozosia.

W ganku siedział stary Kurdesz, doskonale udając, że się ani domyśla, po co pan hrabia przyjechał; klacz stała wyprowadzona, a rozmowa toczyła się o koniach. Rotmistrz niesłychanie pokorny, grzeczny, przyjmował JW. grafiątko, nie wspominając nic o sobie, ani

o córce nie mówiąc, tylko o koniu. Wynosił wysoce zalety rodu siwki, jej matki, babki, ojca i dziada, jej sióstr i braci, i cenę siwki podnosił do wysokości bajecznej.

Sylwan w bardzo fałszywem położeniu kręcił się jak w ukropie: co chwila spoglądał z ukosa, czy gdzie Frani nie zobaczy, a zapytać się o nią nie śmiał.

Siwka stała przed gankiem, a stary woźnica z ogromnemi po uszy wąsami, co niegdyś służył szeregowcem w konfederacji razem z panem swoim, umiejętnie ją pokazywał, przebiegał z nią, puszczał, wstrzymywał, głowę jej podnosił i niesłychanie zachwalał. Rotmistrz począwszy naprzód od siwki, nie dał zejść rozmowie z koni, i co raz nowe o nich dykteryjki wyciągając jak z rękawa, co raz nowe czyniąc postrzeżenia, przywodząc przepisy, chwytał swojego gościa, by mu nie dać nic powiedzieć, co by w inny tor rozmowę sprowadzić mogło.

Brzozosia kilka razy przeszła przez sień, z ukosa rzucając okiem na Sylwana, a widząc go posępnym i znudzonym, ruszała ramionami i szeptała do siebie:

— Ani chybi, że go zrażą. Ale jak sobie chcecie, ja ręce umywam! do niczego się nie mieszam! Właśnie jemu konie w głowie! Biedne chłopczysko!

— A zatem — kończył rotmistrz — gdzie pan graf każesz klacz prowadzić: czy do Denderowa, czy do stajni?

— Jak to? pięćdziesiąt, ani grosza mniej, to ostatnia cena? — spytał dość obojętnie Sylwan.

— Powiem panu grafowi, mosanie — przerwał Kurdesz — że za jej babkę, kula w kulę taką, wziąłem od majora pruskiego, co jeździł za remontą, ośmdzie-

siąt dukatów i jeszcze dodatku spodnie i kaftanik, z jeleniej skóry, który mi się bardzo u niego spodobał. To prawda, że mi się ten figiel na nic nie zdał, bo Niemiec choć się wydawał człowiek korpulant na oko, cienki był jak komar, i ani w jego pluderki, ani w jego piszczałkowate rękawki wleźć nie potrafiłem. Matka siwki służyła mi lat ośmnaście, aż do tego przypadku....

— Tego, co mi pan opowiadał — przerwał Sylwan.

— Albóż opowiadałem?

— Tak jest. Napoili ją zgrzaną.

— Otóż to, ten gbur Hryć, istny Hryć panie, był przyczyną jej śmierci; nigdy na niego patrzeć nie mogę bez obrzydzenia, jak na zbójcę. Jeszczebym ją miał.

— A czterdzieści dukatów?

— A! JW. grafie, dla niego bym to uczynił pewnie, ale jeszcze żadna klacz z tego rodu za te pieniądze nie poszła; miałbym to sobie za grzech, moję ulubioną oddać taniej od mniej pokaźnych sióstr i braci. Proszę spytać pana Powały, czy mi za siwą klacz w siedmiu latach, z białą nogą nawet, co już jest choć u siwej feler, nie zapłacił pięćdziesiąt dwa dukaty na Jurja w Ciunapowie na jarmarku.

— Przyznam się panu, że to mi się wydaje za drogo.

— No! a zatem do stajni!

— Pozwolisz mi pan namyśleć się dni kilka i rozkalkulować?

— Kilka dni? czemuż nie! i owszem. A teraz, może co przekąsimy, proszę do chaty.

I z ceremonją wiodąc naprzód gościa, wszedł rotmistrz do pierwszej izby, gdzie tylko Brzozosię z klu-

czami od szafy w kwaśnym humorze i stół już nakryty zastali. Sylwan, który się spodziewał Frani, do reszty się zachmurzył nie postrzegłszy jej. Szlachcic był w wyśmienitym humorze, grzeczny aż do przesady, gadający do utrudzenia i zapraszający do jadła po staroświecku, to jest natrętnie.

Podwieczorek był zastawiony wielce przemyślnie. Brzozosia pojęła, że drugi raz dać tych samych potraw nie wypadało: zamiast kurcząt, wystąpiła z dzikiemi kaczkami na buraczkach, i zamiast pierogów ze śmietaną dała kartofelki posypane zieloną cebulką i oblane masłem. Oprócz tego, na staroświeckiej porcelanie zbieranej drużyny, były różne przysmaczki, począwszy od młodej kukurydzy, aż do starego piernika, a flasza opleśniałego węgrzyna towarzyszyła flaszce wódki starki złocistej jak oliwa i butlowi marcowego piwa.

Sylwan jeść i pić nie raczył: zdało mu się ze złego humoru nie kosztować nawet; prosił tylko o szklankę mleka z razowym chlebem, podziękował za resztę. Brzozosia szepnęła kiwając głową: — Nawet jeść nie chce! — Rotmistrz bynajmniej tem nie zmieszany, o mleku i chlebie powiedział historyjkę z czasów konfederacji Barskiej. Znienacka spytał Sylwan Brzozosię o Franię; ta nie wiedziała co mu odpowiedzieć, i zabierała się znaczącym sposobem ruszyć ramionami, gdy szlachcic uprzedził ją, żywo się posunąwszy:

— Bardzo JW. panu dziękuję za pamięć. U siebie, u siebie zajęta... Zwyczajnie wieśniaczka, zawsze za robotą, nie to, to owo...

Sylwan na tak wyrazistą odpowiedź już więcej nie pytał o nic; wkrótce pożegnał gospodarza zachmurzony, i zabrał się do odjazdu zły okrutnie na siebie, że

pojechał; na rotmistrza, że go tak przyjął sucho.

Jeszcze w ganku przypomniał mu stary, że do dwóch dni czekać będzie odpowiedzi, i naschylawszy się niemal do kolan, nakłaniawszy w progu, za progiem, na wschodku, na ścieżce, w bramie, nachwaliwszy konia, odprawił hrabiątko.

Frania z okna tylko wyjrzała za odjeżdżającym, z jakiem uczuciem, nie wiem. A gdy zniknął za bramą, wybiegła zarumieniona do ojca, który na starej dłoni sparłszy czoło, zadumany siedział na swojem miejscu.

Poznał ojciec, że córce nie było po myśli jego rozporządzenie, i domyślił się jej żalu, nim posłyszał wymówki.

— Ojcze, cóżeśto mnie tak jak zakonnicę zamknął?

— Usiądźno moje dziecko i posłuchaj — odparł szlachcic spokojnie.

Brzozowska za drzwiami ukryta słuchała.

— Spodziewam się serce moje — mówił rotmistrz — że nie możesz wątpić o przywiązaniu ojca do ciebie, o tem, że ci najlepiej życzę. Otóż com robił i co zrobię, to pewnie dla dobra twojego, choć czasem może ci to być z przykrością. Wybij to sobie z głowy, żeby taki gagacik chciał się z tobą żenić: rozmiłować się czasu nie miał i nie mógł, chce mu się tylko na wiatr poumizgać, ciebie pobałamucić, i zdaje mu się, że pod słomianą strzechą wszystko wolno.... Ale pókim ja żyw, mosanie, na to nie pozwolę. Myślał, że mnie tak wyprowadzi w pole, starego wróbla na plewę; przyjechał konia kupować, a to komu innemu chciało się zajrzeć w ząbki. Lepiej się z sobą moje serce podrożyć, pozna, żeśmy nielada obdartusy, którym pańska łaska lepiej smakuje od własnego spokoju i uczciwej sławy; inaczej

będzie musiał śpiewać, jeśli co serjo myśli. A ty serce moje, poco się nim masz próżno zajmować, albo sobie głowę nabijać Bóg wie czem, kiedy tu jeszcze skóra po lesie chodzi, i podobno na wierzbie gruszki.

— Jak się wam podoba ojcze — odpowiedziała Frania — jak wola wasza, ale mnie się zdaje, że nie byłoby nic zaszkodziło, choćbym była i wyszła. Byłabym potrafiła może tak go przyjąć, jakby tylko do klaczki nie do mnie przyjechał.

— No, to drugi raz, jeśli panicz przyjedzie, wyjdziesz sobie, ale teraz to i lepjej, że się tak stało, choć wiem, że Brzozosia, mosanie, dobrze mnie tam musi oporządzać.

Brzozowska, *deus ex machina*, z furją wyleciała z za drzwi ręką machając.

— A coto, to jak Boga kocham prawda, nie ma co mówić panie rotmistrzu. Pan też, Bóg wie co wyrabiasz z wielkiego rozumu, i licho wie na co się to przyda. Coto przeciwko sądzonemu człowiekowi się borukać?

— Ale któż ci moja panno Marjanno powiedział, że tak sądzono?

— Kto powiedział to powiedział, ale że tak jest, przysięgnę.

— Cóż ty poradzisz na to, że ja w kabałę nie wierzę?

— Ja też mówię, powiadam, panie rotmistrzu, róbcie sobie co chcecie, ręce umywam, do niczego się nie mieszam, o niczem wiedzieć nie chcę. Ale że inaczej, to inaczejby to było, gdybym ja tem pokierowała!

— O! inaczej! ani słowa — rzekł rotmistrz.

Frania zaperzonej Brzozosi rzuciła się pieszcząc na szyję.

— Moja Brzozosiu — odezwała się cicho miluchnym swym głosem — nie gniewaj się tak bardzo: jeśli sądzono jak powiadasz, wszak to nie minie.

— Ale pocóż daremnie przeszkadzać?

— Nie przeszkadzam — rzekł Kurdesz — tylko po mojemu, po staremu, ostrożnie, ostrożnie. A na zgodę, panno ciwunówno tabaczki.

Znał rotmistrz słabość do swej tabaki panny Brzozowskiej i upodobanie jej w tytule, jakoż mimo gniewu, wyciągnęła rękę i wzięła szczyptę dobrą, powtarzając jeszcze zcicha (byłto daleki grom po burzy):

— Ja się do niczego nie mieszam, róbcie sobie co chcecie.

Powrót Sylwana do domu był dziwnie smutny i śmieszny: gniew jego bezsilny, z którym ukrywać się musiał, zniecierpliwienie, rozdrażnienie, dochodziły do najwyższego stopnia. Szczęściem nikt w domu nie wiedział dokąd jeździł i z czem powrócił.

Zaledwie przybył, służący za służącym wpadać poczęli do niego, pilno wzywając go, ażeby natychmiast szedł do matki.

Pospieszył Sylwan, pomiarkowawszy, że to wezwanie tak niezwyczajnie pilne, nie musiało być bez ważnej przyczyny; kto inny byłby się może zatrwożył, on się tylko zadziwił trochę.

Znalazł hrabinę rozciągnioną na kanapie z listem w ręku otwartym, pomieszaną, z oczyma dziwnie jaśniejącemi, z twarzą zmienioną, przerażoną, wywróconą jakiemś świeżem wrażeniem. Zaledwie wszedł, kazała mu wyjrzeć za drzwi czy ich kto nie słucha, i wyciągnęła ku niemu milcząc list, który trzymała. Sylwan poznał charakter ojca.

Hrabia donosił, że pomimo największych starań jego, klucz Słomnicki dany żydowi jako kaucja, został za jego bankructwo przez skarb skonfiskowany; sam o tem uwiadomił żonę, żeby ją ta nowina z boku nadchodząc zbytecznie nie przeraziła i dość obojętnie cały ten interes traktując. Donosił jednak, że ta wielka strata pociągnąć musi za sobą pogorszenie reszty jego interesów, że potrzeba było rezygnacji, cierpliwości, wytrwałości i t. p.

Hrabina niespodziewająca się nigdy nic podobnego, której całą pociechą życia był zbytek, wytworność i zalotność, nie pojmowała jak znieść potrafi tak straszliwą zmianę położenia swego i grożącą jej ruinę. Dochodziła prawie do rozpaczy: Sylwan stał w początku osłupiały i zdumiony.

— Ale moja mamo — rzekł po chwili, przychodząc do siebie — wszakże nam pozostaje Denderów, klucz Samodoły i coś jeszcze w Galicji.

— Ty nie wiesz — porywając się przerwała hrabina — ty nic nie wiesz, nie znasz interesów naszych. Ojciec twój w swych spekulacjach i obrotach nikomu się nie zwierzał, nikogo nie radził, nikomu nie mówił całej prawdy. Ruina nasza, ruina zupełna wisi nad nami...

— Ale to być nie może — odparł Sylwan żywo — ktoś taki jak my zrujnować się nie może; zostanie nam zawsze...

— Zostaną nam długi, hańba i nędza! zawołała szybko hrabina tuląc twarz w dłonie — przywyknienie do zbytku z ubóstwem.

— Kochana mamo — wrzucił Sylwan — to rozpacz i przedwczesna i zbyteczna: widzisz rzeczy z dziwnej

i fałszywej strony. Cóż dla nas strata kilkukroć stu tysięcy? głupstwo!

— Wieszże co mamy?

— Kilkanaście wsi, imię ładne i kredyt ogromny, *on ne se ruine pas avec cela.*

Hrabina ruszyła ramionami.

— Wierz temu jeśli chcesz, ufaj jeśli ci się podoba: zobaczysz! zobaczysz! — I poczęła płakać po cichu.

Syn przechadzał się po pokoju obojętny na pozór, ale coraz bardziej niespokojny. Wieść ta, jak trunek wypity, rozbierała go powoli.

— Mamyż jaki ratunek? — spytał.

— Cóż ja wiem? — odparła matka — co ja wiem! nic nie wiem! Ten człowiek wiecznie wszystko krył przedemną: ani co mamy, ani co nam zostanie, nie rozumiem; czuję tylko wielkie wiszące nad nami nieszczęście.

— Jeśli mama nic nie wie, a ojciec pisze, byśmy byli spokojni, zdaje mi się, że na niego spuścić się można. W ostanim razie posagowe dobra twoje są nienaruszone....

— Tak, to ostatnia nadzieja, kąt i przytułek — zawołała hrabina — ale pomiarkuj! Rzucić Denderów, wyrzec się życia, do któregośmy przywykli, zakopać się na wsi i być wystawionym na wstyd, na upokorzenie upadku, o! ja tego nie zniosę.

— Zapewne, że to przykro, ale znieść będziemy musieli. Nie widzę nawet potrzeby opuszczać Denderów. Zabiorą tamten klucz, cóż robić!

— Ale na Denderowie są długi ogromne!

— To być nie może!

— Spytaj Smolińskiego. Jeden szlachcic, nie wiem

kto tam taki, podobno Kurdesz z Wulki, ma sam dwakroć sto tysięcy.

— Jakto! ten szlachciura! dwakroć!

— A wielu, wielu innych mniejsze sumki.

Sylwan się zamyślił, w głowie mu się zmąciło, w duchu rzekł tylko sobie:

— No! to się będę musiał bogato ożenić!

— Jeśli mama chce — odezwał się głośno — dowiemy się czegoś więcej: poszlijmy po Smolińskiego.

— Czy przyjść zechce?

Sylwan pogardliwie ruszył ramionami.

— To go każę za uszy przyprowadzić — zawołał dumnie. — Zadzwonił żywo. — Prosić tu pana Smolińskiego zaraz, zaraz!

W przerywanej rozmowie wyczekiwali dobre pół godziny, nim rządca-plenipotent, w tej chwili widać mocno zajęty, nadszedł nareszcie. Z miną prawie zuchwałą, roztargniony i bez tych upokorzonych ukłonów, które się zwykle jeszcze za progiem rozpoczynały, stawił się z widoczną niechęcią i lekceważeniem.

— Mój panie — rzekł do niego Sylwan z góry — oto jest list ojca: zabierają nam klucz Słomnicki; chcielibyśmy wiedzieć ja i moja matka, jaki jest stan interesów naszych; nikt o nich lepiej nie może wiedzieć od pana.

Smoliński głową pokiwał, zażył tabaki i odrzekł spokojnie:

— A cóż, nie ma co taić: interesa złe, bardzo złe.

Hrabina lekko wykrzyknęła, Sylwan tylko brwi namarszczył.

— Jakżeto być może? — spytał — przy takim majątku, takich szczęśliwych jak powiadano spekulacjach.

— Długobyto o tem mówić — odparł rządca — majątek prawda spory, ale i długów niemało.

— Ale przecież w najgorszym razie Denderów zostać nam może?

— Jeżli się nikt o swoje dopominać nie będzie.

— Możeżto być, byśmy tak źle stali?

— Tak jest, tu nie ma co kłamać: w Denderowie nawet ciężko się będzie ostać. Jeśli klucz Słomnicki zabiorą, ruszą się wszyscy wierzyciele hurmem; a jak poczną szturmować, a trzeba będzie ich płacić, nie wystarczy dla nich tego co jest.

— Ależ klucz Samodoły? mojej matki.

— I na nim jest połowa długu bankowego, a od drugiej połowy płaci się procent hrabinie Czeremowej.

Głuche milczenie nastąpiło po tych słowach, wyrzeczonych ze zbytnią otwartością i bez żadnej ogródki, nago malujących fatalne położenie Denderów.

— Wreszcie co tu mam państwu w bawełnę obwijać — rzekł Smoliński — kolo interesów źle bardzo: kredyt nadwątlony, bo go nadużyto, i Salomona rozum tu nie poradzi. Wielka bieda.

— Prawdażto — dodał Sylwan — że jeden naprzykład, jakiś tam pan Kurdesz, ma u nas dwakroć?

— Jakże nie? Kilka dni temu jakem mu procent zaległy wypłacał.

— Dwakroć! — powtórzył Sylwan — szlachcic, taka summa! do czegoto jemu!

Na ten naiwny wykrzyk, uśmiechnął się Smoliński nieznacznie.

— Okrągło dwakroć; rotmistrzowi Powale należy się trzydzieści, pięćdziesiąt Pazurkiewiczom; inni mają po 20, po 30, po 10, po 15; a tych co po trzy, po

cztery, po pięć tysięcy, i zliczyć trudno.

— Masz pan bilans interesów naszych? — spytał Sylwan.

— W głowie tylko panie hrabio, i ręczę, że się o pięćset złotych nie pomylę; zredukowawszy wszystko, licząc remanenta, zostanie około połowy Denderowa.

Sylwan pochwycił się za głowę, hrabina upadła na kanapę drżąca, Smoliński widząc się niepotrzebnym, a że mu było pilno, bo się już na wszelki wypadek poczynał pakować i wybierać zawczasu, wysunął się pocichu bez wszelkich ceremonij.

Dobre pół-godziny trwało milczenie, przerywane tylko paroksyzmem spazmów hrabiny i pasowaniem się z sobą Sylwana, który zaglądał ze wszyskich stron w przyszłość, a zewsząd widział ją czarną i nieprzebytą pustynią. Pieniądz-słońce nigdzie jej nie oświecał.

Pracować nie umiał całkiem, do niczego nie był usposobiony, jeden zawód wojskowy otwarty był przed nim; ale wygodnisiowi przywykłemu do próżnowania, nienawykłemu do uległości, samowolnemu i dumnemu, ani podobna było pomyśleć o wojsku.

Cesia weszła na tę scenę niespodzianie, i widząc brata wzruszonym i chmurnym, a matkę we łzach i boleści, nie mogła pojąć co się im stało tak nagle. Nikt do niej nie przemówił w początku; ledwie spytany Sylwan odpowiedział krótko i niegrzecznie.

— To do ciebie nie należy!

— Ale to do wszystkich należy zarówno! — przerwała powstając hrabina z jękiem bolesnym. — Jesteśmy zrujnowani! cała nadzieja w mojej matce...

— Cóżto się stało? — spytała Cesia, spiesząc do matki — cóżto się stało?

— Ojciec pisze, że nam zabrano klucz Słomnicki; Denderów odbiorą wierzyciele, nie zostaje nam prawie nic...

Cesia stanęła zamyślona, usiłując pojąć groźbę tych słów, których w początku dobrze nie zrozumiała, ale prędko podniosła głowę. Młodość dziewczęcia ma więcej wrót nadziei: łza jej nawet nie pociekła; niespodziane nieszczęście jeszcze nie rozebrane, nagle, niepojęte, jak trucizna szybko połkniona, nie miała czasu zrobić skutku.

Sylwan się powoli opamiętywał.

— Kochana mamo! — rzekł — najpierwej pamiętajmy na godność naszę: *il faut faire bonne mine à mauvais jeu!* niech się ludzie z nas nie śmieją, niech nie widzą że cierpimy. Nie zmieniajmy trybu życia naszego, śmiało idźmy dalej, a mam nadzieję, że z tego wybrniemy. Łzy do niczego nie służą.

To mówiąc wyszedł.

Ale pomimo dobrej rady, sam powlókł się bezsilny do swoich pokojów, przewracając w głowie wyrazy listu ojca, słowa Smolińskiego, rachuby, nadzieje. Nie mogąc podołać temu wszystkiemu, wiele wiary mając w ojcu, powiedział sobie w końcu: — Damy jakoś temu radę; tacy panowie jak my nie upadają. Od czegoż szlachta? Nie możemy stracić kredytu, jeśli nie stracim śmiałości. Dopóki będziemy mieli odwagę brać, będą nam pożyczać. Jednym płacąc, od drugich biorąc, przetrwamy do ożenienia. A cóż łatwiejszego, jak mnie ożenić się bogato? Młodość, imie, wychowanie, twarz, mam wszystko... wróci się nam fortuna!

To mówiąc rzucił się na kanapę, usiłując mary zniszczenia i ubóstwa odpędzić: zapalił cygaro, i począł

z kolei myśleć: to o starym Kurdeszu, o którego dwóch krociach się dowiedział, to o sobie, to o ojcu, to o Frani, i w tych myślach znużony, zdrzemał się nareszcie.

Tymczasem we dworze rychło plotki szybko rozlatywać się poczęły; szeptano o nieszczęściu jakiemś, o ruinie, i wszyscy ludzie poczynali jak wśród pożaru, każdy myśleć o swojem i o sobie. Taką jest biedna ludzka natura: niebezpieczeństwo najczęściej nie spaja, ale rozprzega. Hrabina myślała o swoim kluczu, Cesia o swojej młodości, Sylwan o ożenieniu, słudzy każdy o nowej służbie, lub zapewnieniu sobie gdzie kątka. Smoliński zawczasu co lepszego pakował, wysyłał rzeczy, wywoził się i urządzał tak, by go przyaresztować nie było można.

Ci, co jeszcze nic nie wiedzieli, już się czegoś dowiadując, szepcząc, szukając, niespokojni biegali i mnożyli nieporządek wszędzie. Dwór cały przedstawiał obraz nieładu, a niebytność hrabiego, którego skinienia wszyscy słuchać byli przywykli, powiększała jeszcze ten stan rozprzężenia.

Po sąsiedztwie już wieść stugębna poczęła się rozchodzić o zabraniu na skarb za kaucją klucza Słomnickiego. Pierwsi dowiedzieli się o tem żydzi w Żytkowie, gdzie hrabia próżno pracował nad unieważnieniem załogu. Pan Pęczkowski w drodze do miasteczka spotkał kupca, który mu jak najspieszniej objawił o ruinie hrabiego. Biedny szlachcic porwał się za głowę, łzy potoczyły mu się z oczu, i jak szalony poleciał na radę do sąsiadów i znajomych. Widzieć owoc pracy całego życia pochłoniony w jednej chwili i tak marnie, niedziw, że rozpacz porywa! Biedny Pęczkowski z kilkorgiem dzieci, z frasobliwem w dodatku usposobie-

niem do stękania, bo zwykł był lękać się i kłopotać nawet gdy nie było czego, odchodził prawie od przytomności, nie mogąc sobie darować, że jeszcze dziesięć tysięcy dopożyczył, o bożym świecie nie wiedząc, gdy już sekwestr rozciągano. Był właśnie niedaleko od Wulki, i pospieszył do rotmistrza z tą przerażającą wiadomością, aby się wspólnie naradzić nad tem, co czynić wypadało, wiedział bowiem, że rotmistrz daleko znaczniejszą summę miał u hrabiego.

Kurdesz swoim zwyczajem był w podwórku i rozmawiał z gumiennym, gdy Pęczkowski nadjechał, i ledwie zsiadłszy z wózka, pochwycił go za rękę, wprowadził do pierwszej izby, a obejrzawszy się dokoła, z wyrazem rozpaczy, ze łzami w głosie, z boleścią zawołał:

— Rotmistrzu! wiesz co się dzieje? wiesz okropną nowinę?!

— Cóż takiego?... Austrjacy!...

— Zginęliśmy z kretesem!

— Gdzie? co? jak? — spytał spokojnie stary. — Cóżto się stało kochany panie? uspokójno się! nie mieszaj! O czem chcesz mówić?

— Wiesz, że ten szatan Dendera bankrutuje! Już mu za kaucją zajęto klucz Słomnicki, a reszta majątku ledwie na wierzycieli wystarczy!

— Co-bo pleciesz?

— Ale tak jest! Abramko jedzie wprost z Żytkowa: sekwestr na Słomniki niezawodny; wyrabiać się chciał kręciel, ale ze skarbem nie mógł. Jeszcze bestja u mnie dziesięć tysięcy wyjeżdżając wysmoktał! Niechże łzy moje i łzy moich dzieci, i praca moja spadnie na jego duszę!

— Uspokój się panie Kasprze! — kręcąc wąsa rzekł

pan rotmistrz. — Siadaj, pogadajmy porządnie. Tu nie kląć trzeba, ale radzić. Nie ma się tak dalece czego lękać. Choćby mu klucz Słomnicki zabrali, ma czem odpowiedzieć z Denderowa: ma tam coś i po żonie.

— O ba! żona się nie pisała do skryptów!

— To mniejsza.

— Ale pan masz coś grubo u niego?

— Dwakroć, kochany panie Kasprze!

Pęczkowski schwycił się za głowę, pochylił do ziemi i krzyknął. Rotmistrz choć zbladł i zmieszał się niespodzianą nowiną, ale nie widać było, żeby na niej uczuł zbytecznie. Zdawał się spokojniejszym daleko od Pęczkowskiego, przeszedł się po izbie, zamyślił i dodał:

— A zresztą wola Boża! jest jaki taki grosz, dla mnie i dla Franki wystarczy. Przynajmniej kto się o nią starać będzie, pomyśle, że ją szczerze kocha, nie na grosz poluje. Mam przecie oblig i ewikcją dobrą.

— Co pomoże z takim mataczem?

— Toć prawda! i dlatego to sobie mówię z góry: wola Boża! wola Boża! choć za serce dobrze ścisnęło, widzieć tak całego życia prace, z pozwoleniem w błocie. Ale to przepaść całkowicie nie może, tylko się zmitręży. Waść-że masz mosanie oblig dobry?

— Ledwiem wykołatał nowy na prostym papierze! Ale to moja dola zawsze taka! Licho nadało, gdzieś zawieruszyłem dawniejszy skrypt: miałem kłopotu dość, wodzili mnie, durzyli, i Smoliński, nim mi odnowił oblig, kazał się dobrze posmarować, a hrabiemu dopożyczyć 10.000. Widzicie com wprzódy stał na liście z r. 1829, i datę długu miałem dobrą, to teraz będę ostatni, bo mój skrypt nowy, świeżuteńki.

— E! kochany sąsiedzie! — odpowiedział stary Kur-

desz z rezygnacją szlachcica dawnych czasów, klepiąc go po ramieniu. Oto widzisz, więcejbym od ciebie stracił, a zdaję się na wolę Bożą: nie potrzeba się strachać, bądźmy dobrej myśli. Dendery djabli nie wezmą, mosanie, wygrzebie się, popłaci, unikając wstydu; zresztą ma z czego odpowiedzieć, choćby sam poszedł z torbami. Tymczasem nie rozgadujmy licha, nie straszmy ludzi; mnie o to chodzi, żeby mi się moja Franka o biedzie nie dowiedziała, boby nieboraczka płakała, a tu nie ma czego. No! a gdybyśmy i stracili, chleba kawałek zostanie. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, imię Jego błogosławione!

— Dobrze to wam mówić — gorąco zawołał Pęczkowski — co macie jedno dziecko, wioskę, i jeszcze kapitalik może; ale mnie! ale mnie! — dodał podnosząc się i unosząc. O! ci panowie! ci panowie! gdzie u nich serce! gdzie sumienie! A! niech ich piekło pochłonie! bodajbym był ich nigdy nie znał, z ich szóstym procentem! Bierze z nich każdy, nie pyta jak odda, a potem wykręci się sianem; a że szlachcic bez chleba z torbami pójdzie, co jemu do tego, byle on jeździł karetą i miał się czem zasłonić: czy kondyktem, czy fartuszkiem jejmości, czy jakim tam djabłem. Ale ze mną nie pójdzie tak łatwo! Będę krzyczał, będę łajał, będę ich w kościele bodaj pozywał przed ludźmi o moję krwawicę; pójdę z prośbą na tych szelmów bodaj do samego imperatora, i uzyskam sprawiedliwość!

Pęczkowski poddawał się prawdziwej rozpaczy: chodził jak szalony, rozbijając się o stoły, tłukąc o piec, o komin wybladły, niepodobny do siebie, przestraszając swem obłąkaniem. Stary rotmistrz, ledwie cokolwiek poruszony, zdawał się spokojnym widzem tej

sceny; wziął nareszcie pana Pęczkowskiego za obie ręce, i posadził gwałtem prawie na kanapie.

— Mój kochany sąsiedzie — rzekł — nie frasuj się tak; ludzie mnie mają za wielkiego prostaka, za starego rębacza, ale ja trochę i prawo rozumiem. U nas bo mosanie nie było dawniej szlachcica, coby go nie polizał. Wszyscy mieli procesa, każdy cytował statut, nawet panie nasze, moja nieboszka matka, świeć jej Panie, w potrzebie bywało i korekturą pruską w oczy sypnąć umiała. Otóż powiem panu, mosanie, między nami, że nasza sprawa nie jest tak bardzo zła. Denderowa, żeby jak, wystarczy; ja mam dwakroć i jestem najważniejszym wierzycielem: przy mnie trzymając się, waćpan nie stracisz ani jednego szeląga, a ja waści, mosanie, nie opuszczę...

Pęczkowski o mało nie rzucił się do nóg staremu, który go podchwycił.

— Dlaboga! co waćpan, mosanie, robisz? — zawołał. — Jestże za co dziękować? Ręka rękę myje, noga nogę wspiera; porzuć te ceregiele, a dla konkokcji tego djabelskiego strapienia, nie napilibyśmy się kieliszek starej wódki? hę?

Pęczkowski byłby wypił smoły. Przystał ochotnie na propozycją rotmistrza, i dawszy się jakoś ukołysać, jął tylko z rozwiązanym językiem wysypywać wszystkie zdrady panów, którzy szlachtę porujnowali; wszystkie komisje, eksdywizje bezecne i likwidacje tych paniczów z mitrami, co biorą pieniądze sami, a plenipotentom za siebie obliczać się każą, i w pocie czoła zapracowany grosz obcinają na swoje fantazje, przegrawszy go w karty lub puściwszy na swawolę. I było czego słuchać, bo na naszym Wołyniu świeżych i martwych dość jest podo-

bnych przykładów.

Późną nocą wyjechał Pęczkowski z Wulki, i nazajutrz miał zaraz do rotmistrza Powały, jako do interesanta, udać się; ale Powała już dniem wprzód o sekwestrze klucza Słomnickiego był zawiadomiony.

Rotmistrz, który niedawno z wojska powrócił, nie miał pojęcia interesów: hrabiego wyobrażał sobie, jak gmin, milionowym panem, hrabinę bóstwem i aniołem, do którego zbliżyć się pragnął; w tem nagle spadł z empyreum do otchłani na wieść przesadzoną jeszcze o stanie interesów hrabiego. W dodatku mógł sobie sam przypisywać swą szkodę, gdyż nie proszony, nie dziękowany, pożyczył z dobrej woli 30.000 na świstek.

Wprawdzie w części był za to wynagrodzony niezmyślonem (sądził) przywiązaniem hrabiny, którego miał stanowcze dowody, tak dalece, że jeszcze nie śmiejąc się niemi chwalić, już jednak, gdy o niej była mowa, wzdychał bardzo znacząco. Pomimo to, trzydzieści tysięcy zapłacić za obojętność mężowską, zdawało mu się za drogo, a co gorzej, wyjść na dudka! Boż to wszystko miało minę okrutnie śmieszną! Westchnienia hrabiny, ślepota i udana dobroduszność hrabiego, nie wynagradzały straty tak wielkiej. Rotmistrz ochłonąwszy z gniewu i podziwienia, nagadawszy się do siebie i wypaliwszy ze sto fajek jednę po drugiej, zawołał wreszcie pocieszając się:

— Hę! zresztą niech mi się zdaje, żem przegrał! A to dług honorowy, na świstku, przecież przepaść nie może.

To powiedziawszy, położył się i począł świstać walca, ale świstanie często westchnieniem przerywał. I leżał tak pół dnia, gdy kozak z Denderowa przybył z bilecikiem.

Hrabina zapraszała na herbatę.

— Wszystko się wyjaśni — rzekł spoglądając w lustro — jakoś to będzie; w ostatku naploszę go pojedynkiem, jeśli nie odda.

Tymczasem, jakto wszędzie bywa, a może u nas więcej niż wszędzie, niezmiernie przesadzone i coraz olbrzymio rosnące wieści latały po reszcie sąsiedztwa. Bogaty u nas jest zaraz dziesięćkroć-milionowym, byle miał kilkanaście tysięcy rubli w zapasie; ledwie się komu noga powinie — bankrut od razu, i nikt już nie pożyczy grosza. Tak teraz było z hrabią: wczoraj milionowy i spekulant, nazajutrz był zrujnowany; mówiono, że zabrano mu klucz Słomnicki, że żona oddzieliła się ze swojem, że Denderów z przyległościami rozdzierają wierzyciele, i że hrabia pójdzie z kijem i torbą. Byli i tacy, co się już wybierali na licytację sprzętów i ruchomości do Denderowa, i zamyślali o kupnie przyległych im wiosek. Wypadek ten stał się przedmiotem wszystkich gawęd w sąsiedztwie, najdziwniejszych projektów i najdzikszych domysłów.

Najstaranniej, jak być może, przystroiwszy się, rotmistrz pojechał świeżuchną nejtyczanką do Denderowa. Wprawdzie hrabina, od czasu jak się dowiedział o złym stanie interesów hrabstwa, znacznie mu się wydawała starszą, jej zalotność nieco zwietrzałą, ale niemniej tytuł, dowcip, wziętość, jakiej powszechnie używała w okolicy, zdobycz tę czyniły jeszcze niezmiernie ponętną. Więcej zapewne było w tem miłości własnej niż innej; ale ileżto gwałtownych namiętności na niej się tylko opiera?

Aż miło było spojrzeć na wózek i zaprząg rotmistrza: wszystko jak z igły! Nejtyczanka nie była tą prostą bryczką, jakieto niegdyś pod tem nazwaniem chodziły; ale czemś wytwornem jak cacko, wylakierowanem, wyświeżonem, błyszczącem, śliczniutkiem, że zdaje się nie do użycia, ale do patrzenia ją zrobiono. Oparta na resorach, ze spuszczoną budką, z kolorowemi latareńkami, wachlarzami, dywanami, wybiciem sukiennem i jedwabnem, wyglądała na koczyk, i tyle co on kosztowała. Cała rzecz że rotmistrzowi, jako kawalerowi i tężyźnie, nie uchodziło jeździć koczykiem, a wolno było używać nejtyczanki. Cztery szpaki jabłko-

wite, rzekłbyś rodzeni bracia, choć na różnych kupione jarmarkach, rwały się z krakowskich chomątów z biało-czerwonemi płatami. Z kozła powoził fornal, przerobiony na krakowiaka sukmaną i czapeczką. W uprzęży, w wózku i koniach widać było dawnego wojskowego, tak to ślicznie utrzymane i ze znajomością rzeczy zdawało się dobrane. Chłopaczek z kiepska po węgiersku wyczupurzony siedział na koźle przy woźnicy, wyprostowany jak pod miarą.

Nim się rotmistrz wybrał, nim dojechał, nim groblę w Denderowie przebył, szarym już mrokiem stanął pod karczmą, gdzie dopiero wdziawszy wonny frak i poprawiwszy ostatecznie włosy, powolnie ku dworowi zmierzał. Droga wiodła po nad samym ogrodem: furtka od niego wychodziła na gościniec; mijając ją, pan Powała ujrzał hrabinę, która wyglądała i zdawała się go wzywać; wysiadł więc i odesławszy konie wołyńskim zwyczajem do karczmy (bo tu nigdzie gościnnej stajni, choćby z próżnemi żłobami nie znajdziesz), powitał ją z dosyć smutną miną. Smutek rotmistrza niezmiernie różnie dawał się tłumaczyć.

Hrabina była sama; sama jedna przechadzała się po ogrodzie, właśnie jakby na niego czekała. Pan Powała miał prawo wielce z tego być dumnym: bo któż na jego miejscu nie wziąłby to na rachunek rodzącego się przywiązania, zwłaszcza po pierwszych wyznaniach. A na tym właśnie stopniu był z hrabiną.

Ubrana czarno, wykwintnie, ale skromnie, i bardzo do twarzy, miała minkę zafrasowaną, także i smętną, może dla tego, że wiedziała jak jej było ze smutkiem ładnie, może, iż istotnie czuła w sobie niepokonany smutek. Uśmiechem porozumienia powitała rotmistrza

i podała mu rękę po angielsku, długo jej nie cofając, w sposób niezmiernie znaczący. Dłonie ich splotły się uściskiem gorącym.

— Daruj mi pan to wezwanie, to prawdziwe szaleństwo — rzekła cicho i jakby osłabłym głosem — ale tak potrzebowałam pociechy, tak byłam smutna i cierpiąca... Czuję teraz, żem zrobiła dziecińśtwo...

— Także się to nazywa?

— A! jeśli nie gorzej jeszcze! Cóżby świat powiedział?

— Żem przyjechał na herbatę, żem panią spotkał w ogrodzie... nic naturalniejszego.

— Chodźmy, chodźmy!...

Ale choć iść mieli, nie spieszyli wcale: rotmistrz był w rozczuleniu i wielkiej razem niepewności jak sobie postąpić; hrabina zadumana; ruszyli krokiem, zastanowili się, milczeli.

— Wiesz pan o naszych kłopotach — dodała pocichu hrabina ze spojrzeniem łzawem.

— Nie wiem. Coś słyszałem, ale mi nikt nie mógł dokładniej objaśnić, a bajek jest tyle.

— Zdaje się, że mąż mój wiele stracił przez nieostrożność.

— Więc to prawda?

— Niestety prawda! i strata niezbyt znaczna inne za sobą może pociągnąć.

Rotmistrz w tej chwili pomyślał o swoich trzydziestu tysiącach, zląkł się trochę, żeby i one pociągnione nie były, ostygł nieco. Hrabina o nich nie wiedziała podobno, bo choć Smoliński je wspomniał, nie uważała co mówił. Milczeli.

— Któż wie, może na czas będę musiała wyjechać

z Denderowa. Ta myśl — dodała egzaltując się teatralnie — myśl ta najwięcej mnie boli...

— Mógłżebym pochlebiać sobie — z żołnierska odezwał się rotmistrz nie tęgim konceptem.

Ona spojrzała tylko na pana Powałę, i westchnienie wymowne miało dokończyć, czego nie dopowiedziały usta.

— Kto wie — szeptała — może się już nierychło zobaczymy.

Byłoto widoczne wezwanie do czułego pożegnania. Rotmistrz, poczciwe człeczysko, choć kochać nie umiał inaczej, tylko po wojskowemu, a pierwszy raz wdał się w romans tego rodzaju, uczuł sie poruszonym w sposób wcale nowy; szukał słów na wypowiedzenie swego sentymentu i znaleźć ich nie mógł, a co najgorsza, że nie wiedział, czy się godziło być zuchwałym, czy należało być tylko rozczulonym, i jak skończyć, aby to było przyzwoicie i z dobrym tonem.

— Wierz mi pani — rzekł zdobywając się nareszcie — że ja na tem najwięcej cierpię; ale to być nie może, to być nie może, państwo nie odjedziecie.

— To będzie zależeć od *niego*, *on* stanowi o tem.— *On* jak zawsze był to mąż; bo panie zbyt są delikatne, by inaczej jak tą peryfrazą męża wspomniały wobec kochanka.

Szli powolnie ku domowi, ale tak powolnie, tak noga za nogą! Hrabina była melanholijnie wzruszona i tak osłabiona uczuciem, że ciągle chwytała reke rotmistrza, by się na niej zeprzeć; nareszcie na pierwszej ławce raczej upadła pod brzemieniem uczucia, niżeli usiadła. Ławke te otaczała dokoła cienista altana. Rotmistrz w coraz większej niepewności stanął przed

nią, nie wiedząc co począć z sobą w tem tak nowem dla siebie położeniu; nie mógł w żaden sposób zdecydować się jak postąpić, jak cieszyć i jak kochać. Romanse francuzkie i przypomnienia wojskowe latały mu po głowie, radząc coraz inaczej; między młotem a kowadłem, całkiem zdawał się na przeznaczenie i na losy.

— Prawdziwie, to szaleństwo! — szeptała po cichu hrabina — w moim wieku, przywiązanie tak występne, tak gwałtowne, a tak próżne i bez nadziei.

(Rotmistrzu — wołał romans francuzki — pal strzelistą odpowiedź).

— Zawsze jest nadzieja — rzekł posłuszny natchnieniu rotmistrz, przyciskając do ust jej rękę.

(To radziły wspomnienia).

— Jaka nadzieja? — spytała nieostrożnie pani.

(Romans podszepnął:).

— Nieopisana, nieokreślona, lecz jest.

(Wspomnienia doradziły się przybliżyć i rękę uścisnąć wyraziście, z zapałem).

— Dla występnych! — zawołała hrabina.

— Występek cały jest moim tylko... — mówił romans przez usta rotmistrza.

— Nie, nie! jato stokroć winniejszą jestem. Najlepszy z mężów... Zdradzam najlepszego z mężów: ale są przywiązania tak niepohamowane... a takiem właśnie jest moje. Nic nie mając przed sobą prócz przepaści, lecę w przepaść; gdybyż choć podział uczucia był mi nagrodą.

Cała ta mowa była tak wyraźną, że kto inny na miejscu naiwnego rotmistrza, obałamuconego świeżem czytaniem romansów starych, byłby nie potrzebował komentarza do niej; ale pan Powała sadził się na

czystą sentymentalność i odciął się wykrzyknieniem tylko:

— Pani! więc wątpisz o mojem uczuciu! — zawołał podnosząc głos — godziż się! godzi się... mamże przysięgać, jakież mam złożyć dowody, ach!

To mówiąc, z porady starego romansu rzucił się po staroświecku głupiusieńko na kolana, bo przypomniał sobie, że w książkach często bohaterowie padają na kolana przed swemi kochankami, i złożywszy ręce do uroczystej przysięgi, już się ją wyrzec zabierał, gdy Zygmunt-August Dendera, małżonek, ukazał się we drzwiach zacieniowanej altany.

— Brawo! rotmistrzu! — rzekł z przyciskiem — brawo! Dziękuję ci, że panią pocieszasz tak wymownie: grajcie dalej starą komedją, ja nie przeszkadzam.

To mówiąc, gdy hrabina już krzyknąwszy mdlała, zbliżył się do rotmistrza i szybko dodał:

— Biegaj po wodę, trzeźw ją, to twoja rzecz, a potem przychodźcie na herbatę, bo już ją podawać kazałem.

I z uśmiechem Mefistofila niespodziany świadek odszedł jak przybył, niepostrzeżony, po cichu, dyskretnie.

Jak przybył hrabia, nie trudno wytłumaczyć. Spieszył on do domu już dla pochwycenia ze Słomnik co się pochwycić mogło, już dla podtrzymania swej opinji i kredytu, sobie tylko właściwemi środkami. Był już na wzgórzu panującem okolicy, gdy rotmistrz jechał ku dworowi; kazał zwolnić kroku, zamierzywszy sobie zrobić niespodziankę obojgu państwu i w chwilę po kochanku wsunął się tąż samą furtką do ogrodu. Resztę już wiemy. Wysłuchał on całej rozmowy, nawet owego przymiotnika: *najlepszy z mężów*, na który rozśmiał

się w duszy. Któraż z żon co zdradzają, nie szafuje tym czułym przymiotnikiem? Ileżto razy aniołem się nawet nazywa dla kochanka nieszczęśliwy małżonek, w chwili właśnie, gdy wszystko dowodzi, że innegoby sobie życzono? O! nieodgadnione serce ludzkie, o biedne my słabe istotki!

Położenie rotmistrza i hrabiny było nie do opisania... Pierwszy zbity z tropu obojętnością męża, nie wiedział znowu co począć; druga zemdlawszy dla oka, przemyślała co ma z sobą zrobić. Całe życie doskonale granej komedji, na tej jednej scenie melodramatycznej stracone zostało. Wahała się czy ma zaraz odjechać do matki, czy męża przepraszać, czy stawić mu się ostro i twardo, z wyrzutami i zuchwałem odbiciem wymówek? Rotmistrz w dobrej wierze ją trzeźwił, gdy sam najmocniej potrzebował otrzeźwienia, bo był jak obłąkany. Ledwie oczy poczęła otwierać, gdy hrabia, który o kilka kroków tylko odszedł, zawrócił się ku nim i znowu przybliżył.

— Kochana hrabino — rzekł — nadto masz doświadczenia, żeby mdleć dla takiej fraszki; nadewszystko nie potrzeba z tego robić historji i zwracać na siebie oczu ludzkich. Proszę pani z sobą, i ty rotmistrzu musisz nam towarzyszyć.

Powała milczał, zakąsywał wąsy i wargi; spodziewał się bowiem wyznania, wyrzutów, pojedynku, pobicia może i awantury, w którychby był w swoim elemencie; ale nigdy tak pogardliwego chłodu, takiej zimnej obojętności, na którą wcale nie był przygotowany. Żaden romans francuzki nie przychodził mu w pomoc na takie dziwne położenie; bo nowszych nie czytał, a w starych inaczej się te sceny odegrywać zwykły.

— Ludzie cię widzieli gdyś wchodził — szepnął mu hrabia — jesteś uczciwy człowiek, nie róbże proszę cię awantury, chodź z nami, a o reszcie rozmówimy się potem.

To rzekłszy mdlejącej hrabinie podał rękę i raczej wlokąc ją niż z nią idąc, zmierzał ku pałacowi.

— Rotmistrzu — mówił — proszę o codzienny humor; pani także chciej odzyskać wesołość i przytomność przy najlepszym z mężów. Ludzkie oczy! ludzkie oczy! Zmiłujcie się państwo, nie malujcie głupstwa gorszego niż pierwsze!

Więcej niż słowa hrabiego pomogło przybycie Cesi i Sylwana, którzy ulicą spieszyli ku nim. Jakby cudem hrabina odzyskała przytomność, żywość, swobodę; rotmistrz trochę odwagi, a hrabia, który się ani na chwilę nie zmieszał, powitał syna:

— Spotkaliśmy się z ukochanym rotmistrzem u drzwi ogrodu, i najosobliwszym trafem, hrabinę także niedalekośmy znaleźli: macie więc mnie dzieci kochane i gościa miłego razem.

Rotmistrz się witał jak po żarzących węglach stąpając; hrabina tymczasem wyrwała się, prosząc by mogła pójść przodem, kazać przygotować herbatę i znikła. Cesia poszła za nią, mężczyźni zostali sami.

— No, już wiecie zapewne — odezwał się swobodnie hrabia rzucając okiem na rotmistrza, któremu cygaro Sylwana dało zajęcie i minę jaką-taką — wiecie o mojej stracie?

— Słyszeliśmy — wycedził rotmistrz przez zęby.

— Ha! cóż robić! odrobię się na czem innem; zażył mnie oszust to prawda, ale ja mu odpłacę! Zresztą klucz Słomnicki w piaskach po większej części, grunta

liche, lasy wyniszczone i strata mniejsza niżeli się zdaje. Nim sekwestr przyjdzie, do reszty smołę wyrobię, wytnę i wysączę co się tylko da wycisnąć.

— Zawsze... — rzekł rotmistrz, czując potrzebę coś powiedzieć — zawsze... i zatrzymał się.

— Zawsze żal, bez wątpienia; ale dla mnie, to mniej znaczy. Gdybym chciał, wykupiłbym Słomniki: mam trochę grosza.

Rotmistrz zrobił wielkie oczy.

— Znalazłbym kredyt — kończył hrabia.

Rotmistrz jeszcze się więcej wytrzeszczył.

— Ale to lichota — dokończył Dendera — nie ma co o tem myśleć.

Sylwanowi lżej się zrobiło, widząc, że ojciec tak lekko traktował klucz ten i swoje nieszczęście; weselszy poszedł na górę kręcąc wąsa.

Nie będziemy wam malowali sceny przy herbacie, której hrabina przytomną być musiała, choć doprawdy wartaby była odwzorowania dla wiekuistej pamięci. Rotmistrz, jak tylko przyzwoitość dozwoliła, począł się zaraz wybierać do domu, a hrabia jak najczulej wstrzymywał go, zapraszał, żegnał, i wsadził nareszcie do nejtyczanki, głośno życząc dobrej nocy. Sam natychmiast wszedł do pokoju hrabiny.

Byli całkiem sami: ona siedziała w kąciku milcząca, on chodził po pokoju zwycięzki, pogodny i całkiem pan siebie.

— Nareszcie — rzekł po chwili namysłu — dwudziesto-kilko-letnia komedja nasza skończyła się...

Hrabina ust nie otworzyła: studjowała położenie swoje i chciała się przygotować do nowej roli.

— Czasby już dać pokój — kończył mąż — tym

ryzykownym jesiennym miłostkom; dzieciom to szkodzić może na sławie i mnie nie pomaga. Dotąd, muszę pani przyznać, miałaś wielki takt we wszystkiem, dziwię się, że szerokie ramiona głupiego rotmistrza mogły panią tak dalece obałamucić, żeś zwykłą straciła rozwagę i ostrożność.

— Proszę nie szydzić przynajmniej, hrabio, jeśli nie litość, jeśli nie szacunek...

— Litość i szacunek! Szacuję tylko wysoki jej rozum, lituję się bardzo nad panią; lituję się nawet oddawna, widząc, że pani wiek, ani doświadczenie, nie mogą jej powściągnąć od niepotrzebnych rozrywek. Cóż u licha! trzeba sobie przypomnieć metrykę!

— Jestto pierwszy mój błąd... jeśli to błędem nazwać się może...

— Pierwszy czy ostatni, o tem mnie wiedzieć hrabino — rzekł mąż; — to pewna, że pierwszy odkryty na jaw fatalnie; na inne, a wierz mi pani, że je mógłbym policzyć, przez szpary patrzałem...

— Śmiesz to powiedzieć?

— Chceszże pani, bym liczył i dowody składał?

— O! tak się pastwić! to niegodnie!

— Jakbyś się pani gorzej i niegodniej nie pastwiła nademną! Myślałaś-że, iż to choć obojętnego nie boli? Ale wracam do rzeczy. Zawsze sądziłem, że to się przecie kiedyś skończyć musi, ale widzę, że czterdzieści kilka lat nawet nie są rękojmią mojej spokojności.

— Cóżem winna! cóżem winna! upamiętaj się pan! — zawołała hrabina.

— Jakto pani?

— Tak jest! Powiedz mi jaka moja wina?

Hrabia osłupiał i na chwilę zamilkł.

— Wina? — rzekł — pani nie wiesz jeszcze?

— Mogłażem zabronić mu kochać i oświadczać się?

— A prawda! — ze śmiechem zawołał Dendera — to ja jeszcze winienem cię przeprosić, nie obwiniać. Wina i nie ma winy — dodał szydersko. — Jesteś aniołem! cha! cha! — Ale wnet zmienił głos. — Dość, mówię tych komedyj. Nie jestem i nie byłem nigdy ślepym; musiałem nim być póki tylko mogłem, ale basta! dosyć! Widziałem wszystko, przebaczałem częściej niż drudzy; nareszcie przebrało się cierpliwości i pobłażania.

— Więc się rozstańmy...

— Ba! jakby to było doskonale, gdyby to być mogło!

— To być musi.

— To być nie może. Dzieci nasze byłyby zgubione i pani z niemi. Żona moja nawet posądzoną być nie powinna, a przynajmniej jeśli ją posądzają, niech to tylko będą posądzania, niech nikt nie ma prawa powiedzieć: oto dowody. Odtąd więc racz pani słuchać: dość tych młodości powrotów, romansów i intryg, lub... lub... ręczę pani, że źle bardzo skończymy.

— Śmiesz mi grozić!

— Grozić? nie; ale co mówię to spełnię do joty. Mogłem darować chociażby winnej, lecz upokorzonej, lecz wyznawającej swą winę żonie, bo takie wyznanie dowodzi żalu, każe się spodziewać poprawy; ale nie przebaczę dumnej a występnej. Całą rozmowę pani z rotmistrzem powtórzyć mogę, bom ją doskonale słyszał. Sądzę, że niemniej piękne co do stylu i treści były jej ciche szepty wieczorne z panem Hermanem, z panem Julianem, z panem...

Hrabina dostała gwałtownych spazmów i padła na kanapę bezprzytomna; hrabia bryznął jej na twarz kilka kropel wody, otrzeźwił, a gdy powoli oprzytomniała, dodał bardzo zimno:

— W oczach ludzi i dla świata będziemy czem byliśmy: bardzo a bardzo kochającem się małżeństwem, bo świat o niczem wiedzieć nie powinien. *C'est de rigueur.* Zresztą będziemy dla siebie odtąd obojętni i obcy jak starzy znajomi, co już tajemnic nie mają. Dobranoc pani. Jeślibyś chciała odjechać do siebie — dodał zawracając się ode drzwi — wolno; ale nie zaraz; musimy wprzód naprawić zle, jakie uczynić może rozgłos o konfiskacie, odżywić mój kredyt, zamknąć usta nieprzyjaciołom... potem... nie mówię... Samodoły są na jej usługi.

Ukłonił się i odszedł.

— A rotmistrz — rzekł wychodząc z uśmiechem do siebie — nie będzie mi się mógł teraz o swoje 30,000 upominać. Byłaby to z jego strony ogromna niedelikatność, otóż już pierwsza wygrana. Prawdziwie jestem niewdzięczny: czynię wymówki i grożę, gdy powinienbym dziękować. Pierwszy to romans mojej żony, który mi się na coś przydał.

Nadto obchodziła Sylwana przyszłość całej rodziny, żeby łatwo uspokojony miał się już całkiem z nią spuścić na hrabiego ojca. Wprawdzie wypogodzone oblicze starego Dendery i jego zuchwała przeciw pociskom losu postawa, wlały już trochę odwagi w syna; ale potrzebował bliżej poznać zamysły ojcowskie i rozmówić się z nim obszernie. Hrabia odprawiwszy rotmistrza,

po krótkiej rozprawie z żoną, pospieszył do oficyny, gdzie już czekali nań syn i Smoliński, niezmiernie poruszony powrotem niespodzianie prędkim pana, który przygotowania jego do odjazdu mieszał. Zygmunt-August choć blady, wzruszony i znużony, a dla tych co go bliżej znali zburzony, nie okazywał jednak na pierwsze wejrzenie, że go tyle różnych wypadków razem dotknęło tak boleśnie. Miał całą przytomność, całą swą dumę, cały swój zwykły strój i przybór aktorski, z jakim odegrywał rolę życia od początku. Niósł głowę wysoko, dawał rozkazy głośne, i gdy ludzie szukali na nim śladów upokorzenia, przybicia, znajdowali podwójną tylko przytomność siłę i żywość.

Sylwan z cygarem w ustach, wpół leżąc na kanapie, czekał na ojca w jego pokoju; spodziewał się że z sobą szczerze pomówią, i że przypuszczony zostanie, do tajemnicy narady o przyszłości.

Wszedł ojciec, rzucił na niego okiem, i rzekł tylko:

— Dobrze żeś przyszedł hrabio! pomówimy z sobą; lecz wprzód rozbiorę się i fajkę zapalę.

Podzielając zimną krew ojca, syn w milczeniu pozostał na kanapie. Tymczasem Zygmunt-August zrzucał z siebie suknie, uśmiechał się, rojąc coś widocznie; i odprawiwszy sługi, wdziawszy czapeczkę, zapaliwszy fajkę na wspaniałym cybuchu, tak zaczął:

— No! czas pomówić serjo! Jesteś hrabio w wieku, w którym nie mam już potrzeby nic kryć przed tobą, nic dla ciebie zmyślać. Powinieneś być moim pomocnikiem, a jako przyszła głowa rodziny, wiedzieć o wszystkiem, co się naszych interesów tyczy. Będziemy więc otwarci.

Sylwan skłonił głową.

— Zabranie nam klucza Słomnickiego jest, mówiąc między nami, wielką klęską — kończył hrabia — chociaż przed kim innym, prócz ciebie, nie przyznam się do tego, Słomniki, można powiedzieć były jedynym czystym funduszem naszym, i tośmy utracili; na Denderowie mamy długi, które prawie równają się jego wartości; reszta majątku podobnież obciążona. Samodoły, posag twojej matki, z długiem bankowym i deportatami Czeremowej, warte nie wiele. Koniec końcem, możemy powiedzieć, że ściśle się oblikwidowawszy, zostałoby nam, zbiwszy wszystko do kupy, może jakie parę kroć sto tysięcy, co dla nas jest jak nic.

— Bez kwestji, to zupełnie nic! — przerwał Sylwan. — Cóż więc w takim razie poczniemy?

— Cała rzecz nie tracić głowy — mówił stary hrabia — i nie wątpić o sobie; nie mogę w pierwszej chwili zapobiedz, by przestrach nie ogarnął wierzycieli, ale tymczasem, *qui a terme, ne doit rien;* a nim termina nadejdą, musimy zmienić ten stan rzeczy.

— Jakim sposobem? — spytał Sylwan.

Hrabia wstrzymał się w pośrodku pokoju, i rozśmiał się z niewymownem szyderstwem.

— Trzeba żebyś wiedział kochany hrabio, że nie ma głupszych stworzeń nad ludzi.

Młody uśmiechnął się tylko: gotów był temu wierzyć, wyjmując tylko, jak zwykle, jednego siebie; bo do siebie nikt praw powszechnych nie zwykł stosować.

— Wszyscy przechodzą ciągle od największej nieufności do nieograniczonego zaufania, ze zwątpienia do ślepej wiary, jak istne dzieci; potrzeba tylko umieć niemi pokierować. Kredyt mój w tej chwili zachwiany; niech tylko ja nie okażę przestrachu, niech wypłacę

komu, niech potarguję, niby chcąc kupić, jaką wioseczkę, zobaczą że się trzymam na nogach, że się nie proszę, nie kłaniam, nie padam: jutro mi płynąć będą szlacheckie pieniądze jak woda. Całą więc tajemnicą, ufność w sobie do ostatka i odwaga.

— Ale dalej?

— Dalej? manipulacja bardzo prosta — mówił ojciec — pożyczam od jednego, oddaję drugiemu: proste działanie arytmetyczne; i tak ciągle. Udaję wielkiego spekulanta, mówię o ogromnych zyskach, trzymam się na nogach, i kpię z głupców co mi wierzą.

Czemuż opisać nie możemy miny, postawy i głosu, z jakim aksioma wyrzeczone zostało! Hrabia istotnie był w tej chwili podziwienia godnym gieniuszem.

— Wszystko to dobrze — rzekł Sylwan — ale oczywiście potrzeba się nam będzie oszczędzać, potrzeba nowy jakiś plan życiu zakreślić.

— A to właśnie byłoby jak największe głupstwo! — żywo odparł stary mentor. — Owszem, przeciwnie, wystawa, przepych, to środki najlepsze. Kto mnie zobaczy nową karetą, świeżym paradnym jadącego cugiem, powie sobie zaraz: nie może to być bankrut, patrz jak żyje! Niechże sprzedam choćby parę starych koni, gruchnie zaraz że się fantujemy. A zatem odważnie, śmiało i dalej!

— Uwielbiam hrabio twoję niezachwianą przytomność umysłu; ale czy to się tak uda, jak osnuje?

— Udać się musi!

Hrabia pochodził chwilę i pomyślał.

— Najważniejszym — rzekł — z wierzycieli moich, bo najznaczniejszą ma u mnie sumę, jest stary Kurdesz; tegobym chciał jakoś ugłaskać, bo szlachcic, choć

się nisko kłania, ale kuty na cztery nogi.

— Więc to prawda, że ma u nas dwakroć sto tysięcy?

— Tak jest!... potrzeba pomyśleć: i na niego są sposoby. Wszak byłeś w jego domku?

— Parę razy.

— Nawet parę? — spytał ojciec.

Sylwan trochę zmieszany zamilkł; ojciec się roześmiał.

— Zdaje mi się, że ci tam dziewczyna w oko wpadła. Cha! cha! krew moja, nie ma nic złego, a nawet może się to na coś przydać. Potrzeba żebyś tam był znowu, choćby najczęściej...

— Ja? Ale cóżto pomoże?

— Ba! trzeba szlachcica złowić nadzieją ożenienia, jeśli tak prosty, że się nią da złudzić; czasem i te grube środki, właśnie niezgrabnością swą, są najskuteczniejsze.

— Jakto mój ojcze? nie dobrze rozumiem ciebie.

— Widzę, że mogę z tobą mówić otwarcie. Bywaj u Kurdesza i umizgaj się do jego córki, rozumiesz? Ja niby o tem nic nie wiem. Szlachcic połaskotany naszem hrabstwem, nie będzie nas prześladował o dług; ja udam ci ślepego, a gdyby przyszło do rzeczy, masz zawsze mnie w odwodzie za sobą; nie pozwolę ci się żenić i kwita!

Sylwan jakkolwiek zepsuty, uczuł niejaki wstyd z tego rozporządzenia, upokorzony był rolą majaka, którą mu grać kazano; zamilkł, ukośnem wejrzeniem mierząc ojca, który to mówił z tak zimną krwią, z taką flegmą i bezwstydem, jakby rzecz najnaturalniejszą, najuczciwszą w świecie.

— Możesz tam sobie jeździć — dodał — możesz nawet czasem westchnąć na moję arystokracją i surowość. Rotmistrz będzie sprzyjał otwartym twoim staraniom; a zresztą spuść się na mnie: chodzi tylko o zyskanie czasu. Panienkę moglibyśmy wydać za kogokolwiek, choćby za Wacława; dla niego byłaby to przepyszna partja!

Wyborny ten projekcik tak w dumę wbijał hrabiego, że mu się aż usta uśmiechnęły. Sylwan użyty za komparsa, trochę był zawstydzony; ale że mu ten środek dawał w ręce sposób pomszczenia się nad szlachtą, która dotąd śmiała mu się opierać, przyjął go ochotnie.

Po tak otwartem wywnętrzeniu, nie było już co mówić dalej, zamilkli chwilę. Hrabia zadzwonił, by zawołano Smolińskiego; zdawało się to odprawą dla Sylwana, który chciał odejść, ale go ojciec zatrzymał.

— Zostań hrabio — rzekł — zobaczysz jak się robią interesa; trzeba żebyś się z niemi oswajał.

Sylwan więc pozostał na kanapie, a ojciec wyszedł do pierwszego pokoju, usłyszawszy otwierające się drzwi, chód i chrząkanie odznaczające Smolińskiego.

Smoliński był w niewesołem trochę położeniu, bo go niespodziany powrót hrabiego schwytał na samych przyborach do odjazdu. Jak z walącego się domu wszyscy uciekają, tak i on widząc zarysowaną ścianę nad sobą, myślał i poczynał się już wynosić. Hrabia przez swoich szpiegów już o tem wiedział; jadąc stanął przed karczmą za wioską, gdzie wedle zwyczaju żydka arendarza o wszystko co się działo wypytał; udał jednak, że nic nie wie. Tak mu na ten raz wypadało.

— A co! dobry wieczór ci Smoło! — rzekł — widzę nie spodziewałeś się mnie tak rychło?

Smoliński był zakłopotany widocznie: tarł blade uszy, wykręcał sobie palce, mrugał oczyma, tupał nogami; a zdobywszy się wreszcie na uśmiech, rzekł:

— Cóż JW. grafie! choć nie spodziewaliśmy się, ale radzi jesteśmy. Cóż nam JW. pan przywozi?

— Naprzód, gadaj mi, czy uratowałeś z klucza Słomnickiego co było można? Ja konfiskatę potrafiłem na trzy miesiące jeszcze odciągnąć.

— Ratujemy, ale to idzie ciężko.

— Nie rozumiem co to jest ciężko; powinno iść i musi.

Smoliński spojrzał z podelba. Hrabia stał jak Jupiter poważny i dumny.

— Czyżto nam panie grafie tak z sobą mówić? Czy to pan nie wie, co się święci?

— A cóż się święci?

— Jużciż nie wyleziem z tej kaszy, choćbyśmy co ze Słomnik i uratowali.

— Z czego nie wyleziem?

— A z biedy.

— Cóżto waćpan myślisz, że dla klucza Słomnickiego ja przepadnę?

Smoliński spojrzał wielkiemi oczyma. Hrabia się uśmiechał z taką pewnością, z takiem zaufaniem w siebie, że choć Smoliński znał go zdawna, uśmiech ten go uwiódł i zniepokoił. Zachwiał się.

— Cóż JW. hrabia myśli?

— Co myślę? ratować co można, i po dawnemu iść dalej.

— Którędy? — spytał znowu szydersko rządca.

— To do mnie należy. Wiele masz w gotówce w kasie?

— Po strąceniu mojej należności...

— A to waćpan już naprzód sobie potrącasz?

— Jestem bardzo potrzebny...

— O tem potem... Wiele jest pieniędzy w kasie?

— Prawdziwie, nie obliczałem się...

— To może ja waćpanu powiem ile być powinno?

Smoliński rozgniewał się i ruszył ramionami.

— Coto, panie hrabio, daremnie wodę warzyć? Choćby i było co w kasie, cóżto w proporcją interesów? Mam jeszcze półtora tysiąca rubli.

— Co wziąłeś za drzewo sprzedane żydowi z Żytkowa z klucza Słomnickiego?

— Dali z górą dwadzieścia tysięcy.

— Dobrze, to już trzydzieści.

— Ale JW. hrabio, ja jestem bardzo potrzebny; moja należność...

— Waćpan tu pierwszym nie jesteś, spodziewam się — rzekł z wymuszoną grzecznością hrabia. — Nie bój się, nie stracisz. Ja z sobą mam jeszcze 30.000, których mało co nadwerężyłem, bo w Żytkowie nie było co robić i obszedłem się małem, to stanowi około 60.000. Na pierwszy ogień dosyć będzie, a co dalej robić, pomyślimy.

Wtem właśnie, gdy to mówili, hałas się zrobił w przedpokoju, ktoś się dobijał do hrabiego, wadząc ze sługami. Drzwi rozparły się z hałasem i wpadł pan Pęczkowski, cały zdyszany, fioletowy, nieprzytomny. Oczy miał obłąkane, krwią zaszłe; postawa malowała najżywszy niepokój i rozdrażnienie.

— A cóżto za awantura, kochany Pęczkosiu? jak się masz? — zawołał hrabia. — O tej porze! cóż cię tu sprowadza?

Pęczkowski zimno się skłonił.

— Daruje JW. hrabia, że tak niespodzianie wpadam, ale prawdziwie...

— Cóżto ci się stało, kochany Pęczkosiu? — zapytał hrabia uprzejmie, ale dumnie i poważnie.

— Jestem tak nieszczęśliwy — zawołał skłopotany szlachcic — że muszę, choć nie chciałbym, naprzykrzać się JW. panu, aby taki interes...

— O cóż to chodzi, mój Pęczkowski? — powolnie zapytał gospodarz. — Co to jest?

— Jestem w takich okolicznościach, daruje JW. pan, ale obciążony familją: w pocie czoła zapracowawszy, nie mogę stracić... Moja sumka jest mi koniecznie potrzebna.

— Jaka sumka? cóżto? miałżebyś już chcieć jej nazad? Wszak ledwie kilka tygodni jakeś mi ją dał i wziął oblig.

— Ja wiem JW. panie, że to nie termin, ale w takich okolicznościach; miej JW. pan litość nademną! Dzieci, żona bez chleba! Nie gub mnie!

Zaczął się plątać i bełkotać niezrozumiale, zaklinać, grozić, płakać i prosić.

— Cóżto tak gwałtownie pilnego? — powtórzył hrabia. — A! a! widzę — dodał śmiejąc się do rozpuku i biorąc za boki — to to zapewne konfiskata Słomnik takiego ci piotra napędziła? Cha! cha!

Nagle przestał się śmiać, i gniewny, poważny obrócił się do zdumionego szlachcica.

— Wiedz waćpan — rzekł — że niczyich pieniędzy nie żądam i nie proszę, a jeżeli czyje biorę, to mu łaskę czynię! Wiele się waćpanu należy?

Spojrzał na Smolińskiego stojącego u drzwi.

— Zaraz się obliczę — cicho rzekł rządca.

— Proszę natychmiast temu panu wypłacić! — zawołał Dendera dumnie i nakazująco. — Natychmiast, nie odkładając do jutra, w tym momencie! Żegnam waćpana!

To mówiąc obrócił się obrażony niby, sapiąc i udając gniew ogromny. . . . . .

Pęczkowski sam nie wiedział co się z nim działo. Smoliński nie ruszył się z miejsca i mrugał tylko na Pęczkowskiego, to na hrabiego, nie rad będąc tej wypłacie.

— Ale niechże się JW. pan nie gniewa — wybąknął szlachcic. — To w pocie czoła zarobione, uciułane, jedyny fundusik moich dziatek...

— Nie wchodzę w nic — odparł hrabia — nie masz waćpan ufności we mnie, odbierz swoje i idź z Bogiem; ale że i ja nie mam odtąd ufności w panu, więc tę posesyjkę, którą masz odemnie, proszę zaraz zdać i wynosić się natychmiast!

— JW. panie!

— Ani słowa! Panie Smoliński! proszę mi tu przynieść pieniądze zaraz! Masz pan oblig?

— Mam. Ale JW. panie!...

— Bez żadnego ale! Płacę i żegnam pana, czas zwykły do rumacji daję i bądź zdrów!

Smoliński jakkolwiek nie rad, poszedł po pieniądze i przyniósł je prędko, kasa była naprzeciw. Hrabia odliczył, w milczeniu oddał, odebrał oblig, podarł go w drobne kawałki i rzucił w komin z pogardą.

Szlachcic tak był obałamucony, zgłupiały, kontent i niespokojny razem, że nie mogąc policzyć pieniędzy, bo mu się w oczach kręciło, schwycił je tylko, wpakował do kieszeni, chciał żegnać, ale hrabia stał tyłem

do niego, wyszedł więc pocichu.

— Tak się robią interesa — rzekł Dendera do syna — płacę mu kilkadziesiąt tysięcy, ale jutro dwa i trzy razy tyle mieć będę, gdy zechcę. Nie mógł mi pan Bóg zesłać pomyślniejszego wypadku nad tego Pęczkowskiego utrapionego. Byle się dowiedziano, żem prosty oblig zapłacił, będą mi dawać wszyscy, będą mnie prosić, żebym sumki zatrzymał.

Zatarł ręce.

— Ślicznie, wybornie, przepysznie mi się z nim udało! Pęczkowski byłby krzyczał w niebogłosy i drugich buntował, zamknąłem mu gębę; musi przyznać, żem mu się nawet bez terminu uiścił. Zobaczysz jaki to zrobi efekt.

Wszystko u hrabiego obliczało się, niestety! na efekt tylko.

I nie chybiły na ten raz przepowiednie, bo najpierwszy Smoliński, choć lis szczwany, powiedział sobie:

— Ej! panowie, nigdy to nie przepada! Jak koty: rzucić ich z jakiej chcesz wysokości, zawsze padają na nogi, wstają i lecą. Musi hrabia mieć resursa i nadzieje ukryte! Inaczej zbiłby się z pantałyku, a trzyma się ostro... Nie czas jeszcze uciekać.

Chodziło o uśpienie starego Kurdesza, żeby się swoich dwóchkroć nie upominał. Hrabia miał podejrzenie, że rotmistrz konfederat nie tyle już mu wierzy co dawniej; myślał jak go ująć sobie, i chcąc użyć za narzędzie Sylwana, postanowił z nim o tem otwarciej jeszcze i dobitniej się rozmówić. Niespokojny był trochę że mu syn na pierwszą wzmiankę nic nie odpowiedział;

postanowił dotrzeć i dowiedzieć się, jakie było usposobienie Sylwana.

Nie bez wahania jednak i trochy wstydu, przyszło mu odnowić już raz wszczętą i na niczem spełzłą rozmowę w tak delikatnym przedmiocie; ale potrzeba była gwałtowna!

Zastanowił się w swej przechadzce po pokoju naprzeciw syna, spojrzał na niego, jakby go badał, czy spełnić potrafi co mu poleconem będzie, i tak rozpoczął:

— Wiele, wiele zależy mi na tem, żeby się stare Kurdesisko swoich dwóchkroć nie upominało natarczywie. Mógłby rozbudzić innych, powstając przeciwko mnie

— Ciężko na to poradzić. Prosić?

— Któż prosi? zlituj się! Naiwny jesteś zbytecznie mówiłem ci już o sposobie, w jakim użytecznym mi być możesz.

Sylwan milczał.

— Słuchaj tylko uważnie! Wiem, że ci córka jego w oko wpadła.

Na to zapytanie zmieszał się młody hrabia, sądząc, że ojciec wie już o niefortunnych jego umizgach, zarumienił się, ale udając obojętność odparł:

— Tak sobie, przystojne dziewczę.

— I trochę ci się chce koło niej poskakać?

— A któż to ojcu powiedział? — żywo spytał Sylwan, zawsze w przekonaniu, że hrabia wie o wszystkiem, choć w istocie stary o niczem nie wiedział: zgadywał tylko, a widząc, że mu lepiej szło niż się spodziewał, udał zaraz doskonale uwiadomionego i podchwycił:

— Kto mówił to mówił, a to pewna, że ci w oko

wpadła: kontent jestem z tego.

Sylwan ruszył ramionami.

— Właśnie mi tego było trzeba.

— Ale cóżto ma do interesu? — oburzony trochę podchwycił syn — przecież hrabia nie myślisz mnie dla mizernych dwóchkroć ożenić?

— Uchowaj Boże! co za myśl dzika! Mówiłem ci przed chwilą! Nigdy na to nie pozwolę. Ale ci przecie wielkiej przykrości nie zrobi, gdy się do niej poumizgasz?

— To co innego.

— Umizgajże się, kochaj, zajmuj nią, bywaj, a ja, gdy się zechcesz cofnąć (byleby to się mogło przeciągnąć) w pomoc ci przyjdę. Stary gotów się odurzyć nadzieją ożenienia, szlachta bywa w tym przedmiocie bardzo głupia, są przykłady; nie zechce mnie rozjątrzać procesem i ze swoim długiem cicho siedzieć będzie. Wypatrzywszy porę, przyjdę rozgniewany, jakbym się dopiero o wszystkiem dowiedział, i oburzony, rozkażę ci zerwać stosunki.

Tą nową lekcją fałszu wypowiedział hrabia z niewypowiedzianą bezczelnością, tak że Sylwanowi, choć zepsutemu wcześnie, twarz krwią się oblała. Obrażony myślą, że go za narzędzie tylko używano, chciał się opierać zrazu, ale namiętność i próżność szeptały w drugie ucho: posłuchaj! Trudną była odpowiedź ojcu na tak jawną radę spodlenia, i Sylwan uznał za potrzebne choć dla formy się sprzeciwić.

— Hrabio! — rzekł — toby była nikczemność z mojej strony.

— Nikczemność! słowo! wpadasz w liryzm niepotrzebny. Zważ waćpan o co tu chodzi: zyskujemy na

czasie i ratujemy się od zguby. Zresztą nie radzę panu uwodzić: byłoby to podłością; chcę tylko byś się poumizgał, nastręczył mu myśl ożenienia, nic więcej. Jeździć możesz do Wulki często, staraj się poprzyjaźnić ze starym, rzuć czasem okiem na córkę: o to tylko cię proszę. Nie przesadzaj gorliwością, bobyś popsuł interes; a w ostatnim razie mamy Wacława na podstawkę.

— A jeśli mi drzwi zamkną przed nosem? — spytał Sylwan pamiętny ostatniej bytności.

— To być nie może.

— Toby być mogło.

— Nie! nie! Znam ludzi. Kurdesz ma pretensje do rodowitości, do kolligacji, nie osądzi się sam niższym od nas, mogąc dać córce około trzechkroć posagu: myśli pewnie, żeśmy prawie równi... Ładnyto grosz trzykroć!

— Spodziewam się, że hrabia nie taksujesz mnie tak tanio.

— Z twojem imieniem, postawą, wychowaniem i główką, kochany Sylwku — pieszcząco odpowiedział ojciec — powinienbyś wziąć najmniej dwa miliony; ale to później... Nim wyszukamy dla ciebie dziedziczki, która by Denderów oczyścić mogła, uśpij tego Cerbera Kurdesza.

— Ha! sprobuję! — wybąknął spuszczając oczy Sylwek — ale za powodzenie nie ręczę.

— Ja ręczę ci za nie! — wesoło rzekł ojciec.

— Tymczasem dla pomieszania szyków złym językom w sąsiedztwie i pokazania im, że jeszcze nie ginę, jakby radzi sądzić, za tydzień przypadające urodziny twojej matki obchodzić będę hucznie: spraszam

sąsiadów i krewnych, bal daję, jakiego w Denderowie nie widziano, oświecam ogród, sprawiam fajerwerk; z cukrami przyjedzie Dobrzyjałowski. Niech się ze złości i zazdrości popękają!

— To dobrze pomyślano! — rzekł Sylwan — Doskonale!

Dendera zajaśniał, uśmiechnął się, zatarł dłonie.

— Ho! ho! — rzekł — damy sobie rady.

W Wulce spokojnie płynęło życie: tu dzień dniowi, godzina godzinie, były rodzonemi siostrami. Nieznaczne w nich zmiany pochodziły z pór roku, z zajęć gospodarskich, z uroczystych świąt obchodów i z nieczęstych zetknień z zewnętrznym światem. Każdy z mniej zwykłych wypadków stanowił epokę pamiętną; zresztą o jednych godzinach niezmiennie wracały zajęcia jednakie. Są ludzie, których podobne życie utrudza, nieszczęśliwi, którym potrzeba szału, wrzawy, zamętu, by o sobie, o jutrze i doli zapomnieli. Wcale inne uczucie panowało tutejszym mieszkańcom, im nic świat zewnętrzny dać nie mógł, a wiele odbierał. Rotmistrz obcy wśród dzisiejszych ludzi, doznawał więcej podziwienia, przykrości od nich, niżeli przyjemności w ich społeczeństwie; mimowolnie śmiał się z nowego pokolenia i niecierpliwił niem, jak ono śmiało się i niecierpliwiło na widok starca, szczątku innego wieku, zabytku innych przekonań i myśli. Wyobrażenia jego tłukły się o ich pojęcia i nazad do serca wracały zranione.

Frania tak była przywykła do Wulki i jej dni spokojnie ciekących, jak piasek w starej klepsydrze, że nie bardzo pożądała czego więcej. Od czasu pierwszych

odwiedzin Sylwana, myśl jej często wracała ku niemu, ale jej serce nie biło; więcej w tem było niespokojnej nadziei życia, niżeli wyłącznego uczucia. Rada mu była, jak rada by każdemu innemu młodemu człowiekowi, coby jej światek powiększył i rozweselił; ale w dumaniach jej jasnych nie zajmował pierwszego miejsca, we snach nie odwiedzał ją z marzeniem. Zresztą, wieś i jej życie powolnie płynące dla wtajemniczonych tyle ma powabu, a dusza tak się w tym żywocie spaja z naturą, tyle tu wrażeń, tyle myśli, że się nie tęskni za czem innem, bojąc się to, co jest, utracić. I Frania nie wyrywała się nawet myślami ze szczęśliwego swego kątka.

Oddzielny rodzaj ludzi, co nie zna wioski i tego jej rozkosznego życia, co jak pewne ryb rodzaje tylko w wartkim potoku żyć umie, trudnoby uwierzył, ile rozkoszy ma w sobie dzień każdy, zdala jednostajny i nudny. Szczęście to, które prostemi bardzo pozyskuje się środkami, które się jednem niczem zaspakaja, całe zależy na tem, że *trwa*. Trwanie jego stanowi główną cenę. Są żywsze może w życiu przyjemności, są większe rozkosze, ale błyskawicą migają; gdy błogie uczucie wiejskiego spokoju przerywane tylko tem, co jego wartość podnosi, uszczęśliwia tem, że nie przechodzi. Do takiego cichego szczęścia przywykła była Frania, i choć po nad niem płynęły czasem dumania i złocone nadzieje, górą latały jak obłoki w dniu pogody, nie pociągały one z tego czarodziejskiego kręgu za sobą, ale same weń wchodziły.

Jedna Brzozosia od niejakiego czasu niecierpliwszą była i smutniejszą od innych Wulki mieszkańców; wszystko co uczynił rotmistrz, zdawało się jej najniedorze-

czniejszem w świecie, wzdychała i stękała narzekając na niego, a to tem bardziej, że Frania nie zdawała się dzielić jej złego humoru i niecierpliwości. Gniewała się na to, co zwała jej obojętnością; hrabia z ust jej nie schodził: kładła nieustannie kabałę na niego, o nim ciągle gwarzyła, śniło się jej nawet, że ją w rękę całował dla miłości Frani, a na jawie nieustannie potrzebowała sobie powtarzać dla pocieszenia się, że co sądzono, nie minie.

Jednego poobiedzia stała panna Brzozowska z pończoszką w ręku w ganku, gdy zapatrzywszy się na drogę od Denderowa, ujrzała na niej tuman pyłu. Serce jej mówiło, że to hrabia; ale nie chciała lekko wpaść z oznajmieniem, żeby się z niej nie naśmiewali, jak to się już trafiło, czekała więc, patrzała, aż wreszcie gdy się na zawrocie dowodnie przekonała, iż to był nie kto inny, tylko młody Sylwan, wpadła burzą do Frani.

— A co! a co! otóż jedzie! ubieraj się żywo! Zawsze się ze mnie śmiejecie; widzicie, że co mówię, to nie bez racji. No wstawajże prędzej i ubieraj się; jedzie, jedzie, zaraz będzie w dziedzińcu!

— Kto?

— A któż ma być! nie udawaj proszę, wiesz dobrze kto.

— Naprzód potrzeba oznajmić ojcu.

— Ojciec na stępaku wyjechał w pole do siewaczy, bo to dziś zasiewki; komuż przyjmować jeżeli nie tobie?

— Bez ojca, ja doprawdy nie wyjdę.

— Otóż masz! nowe głupstwo! czegoż się boisz? jużciż cię nie zje! Doprawdy, ci ludzie zawzięli się, żeby szczęście odpędzić od siebie, kiedy im samo w ręce lezie. O! co teraz, jak Boga mego kocham! więcej już

znać i wiedzieć o niczem nie chcę.

— Ale moja Brzozosiu droga! kiedy mi ojciec najwyraźniej mówił, że jeśliby bez niego przyjechał, to mu tylko powiedzieć, że ojca nie ma i nie wychodzić.

— Mówił! mówił! no to dobrze! — z impetem zawołała Brzozosia — ja ci nic już nie radzę, róbcie sobie co chcecie.

I wybiegła Brzozosia szybko w ganek, żeby choć kilką słowy tę nowinę zwiastować hrabiemu w taki sposób, aby go nie bardzo zraziła; ale na progu ujrzała że w nejtyczance Sylwana siedział rotmistrz, a stępak jego biegł sobie z tyłu za bryczką.

— To co innego! — zawołała i pobiegła nazad do Frani.

— Otóż i ojciec jest chwała Bogu — krzyknęła wpadając i stukając drzwiami — ja ci suknię przygotuję, ubieraj się, nie ma wymówki.

— Jest ojciec? — spytała niespokojnie Frania.

— Jest, jest, jest, i z nim razem przyjechał!

W tej chwili wysiedli gość i gospodarz, a stary szlachcic, wprowadziwszy hrabiego do pierwszej izby, mrugnął na Brzozosię, żeby go chwilę tu zabawiła, a sam poszedł do córki.

— Moja Franko — rzekł całując ją w czoło — miejmy rozum, a Pan Bóg da szczęście; przyplątało się do nas hrabiątko: proszę cię, choćby to ci miało być i przykrem, jeszcze dziś tylko do niego nie wychodź, ja jegomości pobawię. Jeśli ma istotnie intencje uczciwe' no! to mi o tem powinien powiedzieć otwarcie, jeśli nie, pocóż ty się masz bałamucić i o nas wszystkich dawać mu lekkie wyobrażenie.

— Jak ojciec każe.

— Przepraszam cię moje dziecko, przepraszam; w twoim wieku z ciekawości i trochę zabawy, to zawsze wielka ofiara; ale jakże nie mam myśleć, że to są tylko pańskie sztuczki! Winni mi są dwakroć sto tysięcy, fortuna ich zakompromitowana, chcą mnie może złudzić, bym się nie bardzo o swoje dopominał. Wszystko mi mówi, że to z ich strony jakaś tylko rachuba. Wytrzymujmy...

— Albo, wiesz co Franiu — dodał stary zwracając się ode drzwi — wynijdź chwilę do podwieczorku, zabaw nie długo, mów nie wiele i wróć rychło do siebie.

Frania w milczeniu przyjęła radę ojca, który ją uścisnął czule i odszedł spiesznie.

Przypadła zaraz uwolniona z posterunku Brzozosia, jaśniejąca weselem i zdyszana od wielkiej radości.

— Widziałam go, gadałam z nim — szybko mówić poczęła drepcząc po pokoiku — ubierajże się. Piękny, śliczny, grzeczny, i pytał się o ciebie. Otóżto kawaler co się zowie, nie taki jak te nasze szlachetki; koło niego pachnie jakbyś usiadła w kanuprowym krzaku. Jak wyjął chustkę od nosa, mało nie padłam taki się rozszedł zapach; a bóty jak zwierciadło... i śliczny chłopiec; ubierajże się i wychodź prędzej.

— Ja wyjdę dopiero do podwieczorku — odpowiedziała Frania, pocichu.

— At już znowu coś nowego! No! widzę już tu był stary i swoje podszepnął. Kara Boża! Bardzo coś wyciągacie na cienko i smażycie. Ojciec niewiele na tem zna się, powinienby się kobiet poradzić. Ale niech sobie robi co chce: ja od wszystkiego umywam ręce! Jednak — dodała po chwili — ubierałabyś się Franiu.

— Będę miała dosyć czasu włosy przyczesać.

— I nie włożysz nowej jedwabnej sukni?

— Nie, Brzozosiu kochana; wszakżeś sama mówiła, że mi w tej dobrze.

— Tobie moje serce we wszystkiem dobrze. Ale zresztą róbcie co chcecie, róbcie co się wam podoba. Ja się do niczego nie mieszam, bo co poradzę, to się wam nie podoba... Jak sobie chcecie...

I siadła na kuferku ciężko wzdychając.

Tymczasem w pokoju stary rotmistrz bawił jak mógł dykteryjkami Sylwana, który nic już o swej klaczy nie mówiąc, spytał parę razy o pannę; za co odebrał tylko pokorne podziękowanie i kręcił się jak oparzony, nie widząc jej dotąd wchodzącej, jak się spodziewał.

Nie łatwo im obu przyszło z sobą przebyć dobrą godzinę do podwieczorku; wówczas dopiero przyszła Frania z wesołością sobie właściwą i prostotą ujmującą, spełniać obowiązek gospodyni.

Sylwan rzucił się do niej z wyraźnem nadskakiwaniem i grzecznością przesadną, na której widok szlachcic tylko wąsa pokręcał; Brzozowska uśmiechała się z radości. Nie przeszkadzał bynajmniej rotmistrz bliższemu poznajomieniu się młodych ludzi, ale miał ich na oku, a gdy podwieczorek sprzątniono a Frania się wysunęła dość prędko, pozostawszy sam-na-sam z Sylwanem, poprawił białego codziennego paska, pomuskał czuprynę, i namyśliwszy się wprzódy, tak rzecz ze staroświecka rozpoczął:

— Wielki mi honor czynią odwiedziny JW. grafa — rzekł poważnie — ale to nieszczęście, że między niższym a wyższym, zwłaszcza w takich kondycjach, w jakich my jesteśmy, kondycjach wieku, humoru, wychowania, ludzie różnie sądzić mogą o łaskawych względach JW. grafa dla mnie.

Sylwan tak się zmieszał na to *dictum acerbum*, że języka w gębie zapomniał, i dał szlachcicowi ciągnąć dalej.

— JW. graf daruje staropolskiej otwartości, że się tak wyrażam bez ogródki: *clara pacta*, *claros faciunt amicos*, czy jak tam. Daruj JW. grafie, ale mając jak ja jedynaczkę córkę, gdy kto młody w domu moim częściej gościć poczyna, muszę *volens nolens* penetrować jego intencje.

Sylwan odzyskawszy przytomność począł się uśmiechać.

— Może to być bardzo, że JW. graf ani myślałeś na nią rzucić okiem — kończył stary — bo to dla niego przedmiot za nizki, ale ludzie gadaćby mogli.

— A! zmiłuj się panie rotmistrzu, cóżby mogli mówić?

— Są złe języki panie hrabio; daruj mi więc, że dla wylucydowania stosunku naszego, spytać się czuję obowiązany, czy istotnie winienem honor posiadania go w tej chatce łaskawym względom na moję ubogą starość, czy też...

Sylwan przyparty do ściany, chciał się zręcznie wywinąć i odparł:

— Ale panie rotmistrzu, może właśnie chciałbym bliżej poznać godną córkę pańską, a z bliższego dopiero poznania może wyniknąć myśl....

— Panie hrabio — podchwycił nielitościwy szlachcic — ta myśl jak już wyniknie, może się razem nawinąć i pannie Franciszce; dziewczętom się łatwo głowy zawracają, a gdy z tej myśli nic być nigdy nie może...

— Dlaczego? — spytał Sylwan nieśmiało.

— Jużciż choć z antenatów dobry szlachcic, choć kolligacjami uczciwemi, ba! i z krwią królewską się szczycim, nie tylko *cum ducali familia* niejednych w Polsce książąt...

Sylwan uśmiechnął się nieznacznie.

— Ale to wiem, że ubóstwo nasze, wychowanie, podupadnienie familji, stawia nas daleko niżej państwa hrabiów. Nie pochlebiam sobie, by jego familja pozwolić kiedy mogła.

Spojrzał w oczy Sylwanowi, który zagryzł usta.

— Ja sądzę...

— Ale pan hrabia nie mówiłeś o swoich u nas odwiedzinach szanownemu ojcu?

— Wyznaję, że nie widziałem potrzeby. Mój ojciec szczęście nas wszystkich ma na pierwszym celu.

— Właśnież to bieda, że szczęście każdy sobie inaczej pojmuje — przerwał znowu Kurdesz, — a ja nimbym zaszczytną dla mnie frekwentacją chaty mej winien był łasce jego dla córki mojej, radbym wprzódy wiedział....

Sylwan zniecierpliwiony do ostatka, czerwienił się, darł rękawiczki, nie wiedział co odpowiedzieć, gniewał się, że znów został zwyciężony; nareszcie postanowiwszy ile możności zbywać starego milczeniem, wymówił tylko słów kilka niezrozumiałych, zakręcił się i pożegnał go.

Wprawdzie tak to wszystko burzyło go i jątrzyło, że rad był szlachcica wyłajać potężnie i zerwać z nim na wieki wieków; ale interes ojca, piękne oczy Frani i nadzieja wybrnienia z tych zasadzek zbytniej ostrożności, wstrzymywały go na brzegu.

— Ha! — rzekł siadając do nejtyczanki — stary lis szczwany! niech go wszyscy djabli wezmą! kroku mi nie da zrobić, przecież go zjeść muszę. Odpowiedziałem mu naostatku ni to ni owo, niby dając do zrozumienia, że mój ojciec wie o wszystkiem, i na wszystko pozwolić może; powinien się uspokoić.

Istotnie, w ganku już zebrał się Sylwan na tych kilka słów, które Kurdesz ważył potem i rozważał.

— Mój ojciec jest wyrozumiałym, znam go; ludzie niesłusznie posądzają go o dumę. Gdybym miał myśl stanowczą uczynienia ważnego kroku w życiu, jestem pewny, że aniby chciał, aniby mógł mi być przeciwnym.

Długo medytował pan Kurdesz nad temi kilką słowy, i znalazł je, strutynowawszy, wiatrem podszyte i niezaspakajające.

— Stare wróble na plewę się nie łapią! — rzekł siadając w ganku. — To są blichtry tylko. Panicz nie z tego gatunku, cobyto bardzo mógł się pokochać, z oczu mu patrzy, że szaławiła być musi, a serca nie ma za grosz. Nie myślę Frani ryzykować dla imaginowanego hrabstwa. Dosyć wyraźnie mi się wyspowiadał; zobaczym co dalej będzie?

Jakoż spokojnie w Wulce siedząc, ale pilnując domu nieodstępnie, by na wypadek przybycia gościa znajdował się zawsze, rotmistrz w zadumie i milczeniu spędził tydzionek. W końcu tygodnia Sylwan przybył znowu: przyjęty grzecznie, Frania do niego wyszła. i trochę swobodniej przebyli z sobą godzinę. Gdy we dwa dni Sylwan przyjechał jeszcze, i intencje jego zbyt były wyraźne, by je sobie podwójnie tłumaczyć można, jednego poranku Kurdesz ogoliwszy głowę i brodę, ubrawszy się w nowe suknie, przypasawszy szablę, wydobywszy z kufra aksamitną od wielkiego dzwonu konfederatkę i bóty czerwone kurdybanowe, kazał zaprządz cztery konie gniade do zielonej bryki na resorach.

Że to był dzień powszedni, nigdzie imienin w sąsiedztwie, nigdzie zjazdu i odpustu (bo o tych nikt lepiej na palcach nad Brzozowską nie wiedział), wielkie

było podziwienie, dziwne w domu domysły. Brzozosia nadewszystko się niepokoiła, chcąc dojść dokąd rotmistrz wyjeżdża; ale nikt o tem nie wiedział. Kurdesz stał już ubrany w ganku, konie były zaprzężone, a żywa dusza nie domyślała się, po co i dokąd ma jechać.

Córka nie śmiała go pytać, widząc, że nie rad jej o tem mówić; tem mniej ludzie. Brzozosia zachodziła go różnie, ale napróżno. Śmiał się tylko sucho, choć bez ochoty do śmiechu, odpowiadając:

— O! jaka ciekawa! ot! jadę do miasteczka do sądu.

— W czerwonych butach! przy szabli! i bez faseczki bigosu!

— Mam być u marszałka.

— U marszałka pan bywa i w siwej kapocie.

Zbijany z wykrętów rotmistrz, uśmiechnął się tylko, i okrywszy się płóciennym kitlem od pyłu, wziąwszy na drogę kapelusz słomiany, ruszył od ganku, pocałowawszy Franię w głowę.

— Kiedyż powrócisz ojcze? — spytała go.

— Zapewne dzisiaj moje dziecko.

Zostawiwszy wszystkich, a nadewszystko Brzozosię, w paroksyzmie rozdrażnionej ciekawości, odjechał stary, jak się łatwo każdy domyśli, do Denderowa.

Przybycie jego, gdy o niem znać dano, zmieszało hrabiego; myślał, że chodzi o pieniądze, i wyszedł naprzeciw rotmistrza z serdecznością zwyczajną, *unguibus et rostro*, to jest, rękoma i usty go witając, choć widocznie skłopotany.

— A! szanownego! kochanego! drogiego naszego rotmistrza! — zawołał. — Sto lat jakieśmy się nie widzieli; nie łaskaw jesteś na nas!

— JW. grafie! — rzekł, schylając się do kolan

szlachcic — zwyczajnie, wieśniak roli pilnuję, trudno czas tracić; a gospodarka, zazdrośna żona, trzyma za poły.

— Panbyś już powinien cokolwiek spocząć, kochany rotmistrzu...

— Póki siły służą siako-tako, czemu nie pracować JW. panie?

Uściskawszy Kurdesza, udając wielce wesołego, kazawszy co najrychlej podawać śniadanie, hrabia nie bez wewnętrznego niepokoju posadził go przy sobie na kanapie. Kurdesz przysiadł się tylko na rożku, a pomówiwszy trochę o pogodzie i o siejbie, wstał, i pokłoniwszy się, tak począł *ex abrupto:*

— JW. graf pozwoli z sobą pomówić trochę na osobności...

Pobladł hrabia, uścisnął powtóre i potrzecie szlachcica, i śmiejąc się, choć drżał i gniewał się, rzekł szybko:

— Całem sercem! co każesz rotmistrzu?

— Delikatny interes mnie tu sprowadza — rzekł stary — proszę zawczasu o przebaczenie, że muszę może niezbyt przyjemną wyłuszczyć mu prośbę.

— Ani chybi, o pieniądze! — bledniejąc mówił w duchu Dendera.

— Nie tajna to zapewne JW. panu — kończył Kurdesz — że mam jedynaczkę córkę, skarb mój, skarb jedyny, jaki mi po śmierci ś. p. małżonki mojej pozostał. Jestto pociecha i przyszła podpora starości mojej, i lekko, co się jej tyczy, co ją obchodzić może, brać nie umiem. Jestem uczciwym człowiekiem, i nic, nawet wysokich zaszczytów i szczęścia, nie pragnę nabywać podejściem. Od niejakiego czasu syn JW. pana począł do domku mojego uczęszczać, tak, że wątpliwości nie

ulega, iż rzucił okiem na dziecko moje. Z obowiązku ojca, równie dla JW. pana jak dla siebie, widzę koniecznem o tem mu oznajmić. Nie zdaje mi się, byś JW. pan pozwolił na związek nierówny, i nie pochlebiam sobie...

Tu hrabia przerwał mu wybuchem czułości, bo nie wiedział co począć zażyty z mańki; a choć gniew uczuł okrutny, że mu przezorność szlachcica wszystkie pomieszała szyki, udał przejęcie i wdzięczność największą, a kręcił się jak w ukropie. Rad był, że dotąd o pieniądzach nie wspomniał, i bał się, by do tego z kolei nie przyszło.

— Ale kochany rotmistrzu! — zawołał — dziękuję ci, dziękuję serdecznie, boć syn mój istotnie za młody, i bez obrazy twej, nie myślę, by chciał tak rychło świat sobie zawiązywać.

— Właśnie i ja tak sądziłem, i dlatego proszę, byś go JW. pan perswazją ojcowską wstrzymał; może się zawiązać przyjaźń, może to być dla obojga powodem utrapienia, trzeba tego uniknąć. Moja rada — dodał szlachcic — byś JW. pan wyprawił gdzie młodego, zapomniałby trochę.

Nie potrafimy opisać, jak dalece uczuł hrabia, że ktoś prostą, otwartą poczciwością zwyciężył jego tak przebiegle obrachowane zasadzki; ale musiał nadrobić miną i udawać wdzięcznego. Szlachcic zresztą nic nie wspomniał o swoim kapitale: to także poczynało w inny sposób niepokoić Denderę; grzecznym był, nadskakującym, słodkim, i kłamał o swych interesach, by je przy zdarzonej okoliczności w jak najświetniejszych barwach wystawić. Słowa jednak nie wyciągnął z rotmistrza, który w rzeczy pieniędzy uparcie milczał.

Nareszcie zniecierpliwiony hrabia, choć z niemałym strachem, musiał ten drażliwy przedmiot zaczepić.

— Pan wie, interesa, jakkolwiek dzięki Bogu jestem o nie spokojny, ale zawsze potrzebują wczesnego zregulowania; muszę wiedzieć wprzódy jak się układać, co też pan rotmistrz myślisz ze swym kapitałem?

— Jeszczeto daleko do terminu — rzekł enigmatycznie Kurdesz.

— Tak, ale jakie są intecje pańskie?

— Moim zamiarem jest kupić ziemię.

— Więc pan zapotrzebuje swego kapitału? — chmurno spytał hrabia.

— W terminie będę o niego prosił.

— A bardzo dobrze! bardzo dobrze! — odparł Dendera dumnie i chłodno, ale nadzwyczaj dotknięty. — Cóżto, jeśli wolno spytać, powoduje do tego?

— A cóż JW. panie! człek się starzeje, kto wie wiele życia zostało: radbym dziecku jasny i spokojny fundusz zostawić.

— Ani słowa, ale ziemia?

— Ziemia to taki zawsze coś — rzekł rotmistrz — i przyznam się JW. panu, że dla dziewczyny mojej lepiej, gdy się jej fundusik jasno pokaże. Może Bóg da wydać ją za mąż, to się wioska kupiona odda posagiem, a ja sobie dokawęczę na Wulce.

Nie było co na to odpowiedzieć.

— Pan nie boisz się kupna, kłopotów, zagospodarowania nowego i tak wysoko podniesionej ceny majątków?

— Jużto jak Bóg da; ale moje projekta są dawno obmyślane i niewzruszone.

Hrabia, żeby nie miał pozoru popierania swej sprawy, musiał zamilknąć i odwieść rozmowę; a nie chcąc

okazać jak był udręczony podwójnem wyznaniem rotmistrza, udawał i humor wyśmienity, i pańską obojętność na te drobnostki. Szlachcic trzymał się jak zwykle zdaleka, pokornie, z uszanowaniem, ciągle niezmiernie grzeczny, uniżony, na oko pełen wiary w to wszystko, co JW. pan powiedzieć raczył, jednak na żadną wędkę jakoś ułowić się nie dawał.

Dendera próbował różnych sposobów, ale wreszcie znudzony i zmęczony, gdy rotmistrz brał za konfederatkę, nie poprosił go już nawet na obiad, i pożegnał zamyślony.

— A zatem moja prośba zostanie w pamięci JW. pana? — rzekł na odjezdnem Kurdesz.

— Co się tyczy Sylwana?

— Tak jest, JW. panie! Lepiejby go dokąd wyprawić, bo ja dla spokoju mojej Frani musiałbym, choć z żalem, konfuzją, uchodzić bodaj z własnego domu. Darujesz mi JW. pan, ale każdemu spokój drogi.

— Naturalnie, naturalnie, panie rotmistrzu! I tak się rozstali.

Wszystkie śliczne projekta spełzły na niczem. Sylwan zawołany natychmiast wszedł do ojca ze swemi chartami na smyczy, bo się wybierał na polowanie, i z polowania zajechać miał do Wulki. Nic nie wiedział o przybyciu rotmistrza, ani się domyślał tych odwiedzin; ale po fizjognomii ojca postrzegł, że się dowie coś nieprzyjemnego.

Hrabia nie widząc potrzeby udawania, jak z krzyża zdjęty, siedział z obwisłą głową i brwią namarszczoną, blady, ponury, gniewny.

— Ślicznie się nam udaje! — rzekł do syna.

— Cóżto hrabio?

— Wiesz kto był u mnie przed chwilą?

— Nie, nie wiem nawet czy był kto.

— Zgadnij!

— O! to napróżno! Całkiem nie umiem zgadywać.

— Więc poprostu ci powiem: stary Kurdesz.

— Z czem? — spytał Sylwan ciekawie.

— Z bardzo naturalną zresztą kwestją: czy ci pozwolę z jego córką się ożenić.

— On! — pochwycił Sylwan — oszalał, czy co! On śmiał!

— Najprzytomniej w świecie, poprostu i niezmiernie grzecznie przestrzegł mnie, że u niego bywasz...

— Cóżeś mu hrabio odpowiedział?

— Ba! naturalnie, że bywać zakażę.

— Tak! — roześmiał się kwaśno Sylwan.

— A jakże mogłem inaczej?

Syn postał chwilę, pomyślał, i odtrącając od siebie psa ze złością, zawołał:

— Warjat stary! co u tej szlachty w głowie? Patrzajcie go, jaki troskliwy o swój honor, jak gdyby to miało honor! Jakiś tam szerepetka, pan Kurdesz! cha! cha!...

— Muszę mu oddać sprawiedliwość — rzekł stary hrabia — że choć wcale niepozorny, a niezmiernie sprytny; w dodatku przywiózł i mnie przysmaczek, bo żąda kapitału.

— O! to gorzej! — zaśmiał się szydersko Sylwan. — Co mi tam jego córka! — dodał, szydząc ciągle z wewnętrznym gniewem — gąska! głupia gąska! cielątko!... Wielkie mi szczęście córka pana Kurdesza!

wielka osobliwość! Powinienby się mieć za szczęśliwego!...

Dendera spojrzał na syna.

— Cóż dalej będzie? — spytał.

— Co? na złość temu szerepetce widywać ją będę.

— Rób sobie co chcesz, ale teraz z góry ci powiadam, że to już będzie bez mojej woli i wiedzy; patrz, żebyś się w brzydką nie wplątał intrygę.

Sylwan ruszył ramionami, rozśmiał się pogardliwie, świsnął na psy, i wyszedł trzaskając drzwiami.

Kto wie jak upokorzenie boli dumnych, niech porachuje co cierpiał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KOMEDJANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

.....wszyscy na teatrze...
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi...
FREDRO. Przyjaciele.

Totus mundus agit histrioniam....
PLAUTUS.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom II.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Oderwijmy się na chwilę od Denderów, a przenieśmy się z Wacławem na tenże świat komedjantów, ale w inną jego stronę. Wyjechał nasz sierota z Denderowa, spodziewając się zastać w mieście opiekuna swego, hrabiego; jakoż zjechali się tutaj, ale hrabia tak był zajęty zagrożonym kluczem swoim, konfiskatą i wszystkiemi jej dla siebie następstwy, że ledwie kilką słowami przywitawszy Wacława, obojętnie go odprawił.

— Mówiłem już o tobie kilku znajomym, masz w ręku sposób do życia, masz niezaprzeczony talent, idź teraz i pracuj. Życzę ci jednak najszczęśliwszego pokierowania.

Wacław wynurzył mu swoję wdzięczność gorąco, prawie ze łzami, ale wyrazy jego dziwne jakoś na hrabi zrobiły wrażenie; zdawały się go kąsać jak wymówki, poczerwieniał, pobladł, obłąkanem okiem powiódł dokoła i przerwał szybko:

— Dość tego! proszę, dość! niech ci Pan Bóg szczęści. A oto — dodał — na początek grosza trochę. Żegnam cię panie Wacławie, żegnam!...

I tak kilka razy powtórzył dobitnie to *żegnam*, że młody człowiek, mimo rozczulenia, domyślił się wreszcie, iż chce

się go pozbyć, i z nieoschłemi łzami, z niepokojem w duszy, oddalił się. Ostatnie węzły, co go z kimkolwiek jeszcze łączyły na świecie, pękały; pozostał teraz sam; najzupełniej sam; a myśl że nie było istoty, coby się już nim zajmowała, którąby go szukała okiem i przypomnieniem, coby go aniołom stróżom cichą polecała modlitwą, nowe łzy wycisnęła mu z oczu. Poszedł ulicą nie wiedząc dokąd, i nieprzytomny zbliżył się tak aż do brzegów pięknej rzeki, która pod Żytkowem płynie.

Tu usiadł znużony, gotując się do nowego życia, chcąc plan jego nakreślić, a nie umiejąc się zebrać jeszcze na krew zimną i dłuższy ciąg myśli. Siedział tak nieruchomie, patrząc na wodę płynącą, na otaczające ją urwiska skaliste, dumając urywanemi marzeniami, nie śmiejąc spojrzeć na jutro, nie wiedząc co zrobić z sobą, i późnym dopiero wieczorem powrócił do skromnego mieszkania, które sobie był najął na oddalonej i cichej uliczce. Trochę zapasu wystarczało mu ledwie na najęcie fortepianu, tuzinkowego klepadła, i wyżycie ubogie do czasu, w którym o swych siłach stanąć się spodziewał. Zdawało mu się, że skromne mając żądania, że nie wiele rojąc, pragnąc tylko doskonalić się i skromnie utrzymać życie, łatwo zaspokojony zostanie.

Trzeba się jednak było dać poznać, i w tem największą przewidywał trudność. W każdem mieście są jacy tacy dyletanci, do nich trafiając zdawało mu się, że pójdzie dalej przez nich popchnięty; ale miejscy główni muzyki amatorowie tyle mają do czynienia! Iluż to przyjacioł i znajomych córki i synowie klapią im na fortepianie! ilu wędrownych żydków narzuca im po sto biletów koncertowych do rozdania! ilu wielkich artystów

raczy żyć kosztem ich kieszeni i czasu w przejeździe przez miasto! Dyletant znany i uznany za dyletanta, w ustawicznem jest utrapieniu, nie wiem jak mu muzyka w ostatku nie obmierznie. Znałem kogoś co lubił pierogi z serem, i tak go wszędzie niemi traktowano, że w końcu w usta ich już wziąć nie mógł; toż samo w ostatku być musi z lubownikami muzyki, których pod pozorem ich pasji karmią najdziwniejszą strawą, a czasem, Boże odpuść! nawet gammami siedmioletnich bębnów! Listy rekomendacyjne hrabiego do dwóch takich panów, które Wacław odniósł, na niewiele mu się przydały. Pierwszy zajęty niezmiernie promowaniem własnego syna, który jakoby wielki talent okazywał na fortepianie, (bo któż dziś nie gra na nim z talentem?) nie miał czasu dla Wacława, i obawiał się go jako współzawodnika: posłyszał granie i zamknął mu drzwi swoje, osądziwszy w duchu, że syn jego zniknie przy tym przybyszu. U drugiego z dyletantów wszyscy w domu byli chorzy, nie godziło mu się w złą godzinę naprzykrzać. Zresztą żywej duszy znajomej nie miał Wacław, i z bojaźnią poglądać poczynał na wypróżniający się zapasik.

Pozostawała mu pociecha w muzyce, a czas upływał szybko na przechadzkach, graniu, kompozycji i rozważaniu dzieł mistrzów, które całemi godzinami mógł przepatrywać w magazynie pana Gr. Ale trzeba było coś począć wreszcie, chodziło o to jak? Wacław całkiem nie wiedział. Proszony by zagrał kilka razy dał się namówić do spróbowania wiedeńskich piano Gr., którego miał szczęście oczarować. Kilka osób wchodzących i wychodzących z magazynu było przytomnych, zatrzymali się i słuchali. Pan Gr., znawca i sam muzyk,

spytał go nareszcie: — Czemu pan nie dasz koncertu?

Wacław uśmiechnął się i zmilczał. Nietrudno było domyślić się przyczyny.

Jednego wieczora, gdy sam-na-sam byli z właścicielem magazynu, młody muzyk szczerze mu odkrył położenie swoje.

— Radbym się dać poznać, znalazłbym może jakie lekcje w mieście; ale pan wiesz, że koncert drogo kosztuje, a nie wiadomo co przyniesie. Najęcie sali, zapłacenie orkiestry, światło, afisze, usługa, wszystko to znacznych wyciąga nakładów, a kto wie czy się nawet powrócą?

— Nadto pan masz złe wyobrażenie o naszem miasteczku — rzekł pan Gr. — spróbuj, ja ręczę że się uda; za drugi, trzeci, czwarty nie założyłbym się, ale za pierwszy ofiaruję koszta ponieść, wrócisz mi je pan otem. Pozwól tylko przestrzedz się, że nie potrzeba pisać w afiszu skąd przybywasz, lepiej niech się domyślają że zdaleka; reguła ogólna: im z dalszego świata kto przyjeżdża do nas, tem lepiej przyjęty; powtóre, cenę biletu położyć potrzeba wysoką, nadzwyczajną. Ja bilety w magazynie moim rozprzedawać obowiązuję się.

— Ależ wysoka cena ich odstręczy!

— Bynajmniej! jestto stary fałszywy bardzo przesąd. Pierwszy co dotknął tego przestarzałego a fałszywego wyobrażenia, i dał nam wszystkim piękny przykład, był berdyczowski S....l. Doszedł on, że towar im droższy, tem pochopniejszy, więcej sprawia pokusy i przyjemności kupującym: raz, że w istocie dobry, powtóre, że się ceną jego miłość własna chwalić może; ja idę w jego ślady, i nieźle mi z tem wcale. Tak we wszystkiem, za co się drogo płaci, w tem się szuka

czegoś odpowiadającego cenie. Bądź co bądź zresztą, spuść się pan na moje doświadczenie.

Wacław zamilkł.

— Ale co straszniejsza — rzekł — to wybór sztuk koncertowych; bo proszę pana, jak dogodzić tak licznym domaganiom różnego rodzaju słuchaczy?

— O! na to jest pewna formuła — odparł uśmiechając się pan Gr. — reguła niemylna prawie i uświęcona zwyczajem: 1. Uwertura, rozumie się. 2. Coś bardzo trudnego, bo trudne podoba się nieznawcom co za znawców uchodzić pragną. 3. Coś śpiewnego dla tych, co muzykę tylko jako melodję pojmują. 4. Coś krajowego dla tych, co krajowe wyżej wszystkiego cenią, naprzykład mazurek Chopin'a, krakowiak Kątskiego, ruskie melodje Każyńskiego, aby wszystkim było zadość. 5. Coś smętnego dla kobiet historycznych, bo ich protekcja daleko pana zaprowadzić może.. Zresztą...

— Ależ drogi panie — przerwał Wacław — chociaż nieuk nie jestem i wiele czasu straciłem na wyłamanie palców, na nabycie szybkości, na usamowolnienie ręki; odrazę mam od tej bieganiny i siekaniny starej szkoły Herzów i Czernych, lub stukaniny mądrej Liszt'a, który chce z dziesięciu dwadzieścia zrobić palców.

— To nieuchronne przecie, a drugie może improwizacja (choćby przygotowana); ale mówmy co wybierzemy.

— Już jeśli trudnego potrzeba, naturalnie Liszt'a, jestto przynajmniej muzyka.

— Bardzo dobrze! Liszt jest uosobieniem najwyższych trudności; ale co pan możesz zagrać z niego, bo *Erlkönig* oklepany, a *Ständchen* panny nawet się nie uczą.

— Bodaj symfonią Berlioza przez niego przepisaną.

— O! to za mądre dla nas, a zwłaszcza za długie; tak coś krótszego, a *con brio*, naprzykład marsz węgierski, jeśli go pan grasz.

— Gram i nieźle.

— Więc po uwerturze, którą wybierzem, wypróbowawszy wprzód w jakiej nasza orkiestra najmniej robi omyłek, marsz węgierski Liszt'a; dalej...

— Wedle teorji pańskiej potrzebaby coś śpiewnego.

— Niechybnie! Ale tyle jest rodzajów śpiewu! Zobaczmy do kogo pan masz słabość.

— O! naturalnie do Chopin'a.

— Ciężko go tu pojmują; i panny piętnastoletnie, które go zrozumieć nie mogły, zrobiły mu reputacją ekscentryczną.

— To zależy od wykonania; zobaczysz pan, że z nim pogodzę.

— A dalej panie kochany coś krajowego.

— Mazur Chopin'a lub jego krakowiak, i Thalberga fantazja z tematów narodowych ruskich.

— Zgoda, zgoda! prześlicznie. Nareszcie dla tych pań o których mówiłem, trzeba koniecznie coś... Schuberta.

— Zgoda i na Schuberta, choć wolałbym jednę z sonat jego, niż śpiewek: ale kto wysłucha sonaty?

— Otóż i program gotów. Winszuję panu, że tylu i tak różnych pisarzy grać możesz; po większej części artyści nasi grają szczególnie jednego, przywiązując się do niego; lub co gorzej, grają swoje. Ale, nie masz-że pan co swojego?

— Swojego! Graćbym się nie odważył.

— A! przecież to teraz prawie konieczna przy każdym koncercie; niepodobna żebyś pan choć jakiej fantazyjki nie miał na sumieniu.

— Gorzej panie! gorzej! sonatę!

— A do licha! tak stara denominacja! Uchowaj Boże! zgubiłbyś się pan sonatą z nieukami i ze znawcami: pierwsiby na nią krzyczeli, że odwieczna; drudzy mogliby za wiele od niej wymagać.

— Chopin sonatę odświeżył.

— Nazwij pan jednak fantazją, to zupełnie jedno; mamy przykład Beethovena.

Długo tak jeszcze rozmawiali, a pan Gr. ze szczególnem zajęciem wziął na siebie dopomódz biednemu przybyłcowi, który z bijącem sercem oczekiwał koncertu. Jak tylko ogłoszenia i afisze przylepione zostały, a cena po dukacie od miejsca rozeszła się z ust do ust, poczęto wypytywać pana Gr., a ten Wacławowi mistrzów nie żałował. Opowiadał wszędzie, że uczył się u Liszt'a, u Thalberga, u Chopin'a i Bóg wie tam u kogo; zaręczał, że gra jak sam Liszt, że to prawdziwe cudo, i że nigdy nic podobnego w Żytkowie nie słyszano.

Koncert, dzięki zabiegłości i staraniom pana Gr. był dość liczny, i dochód z niego na czas jakiś uspokoił Wacława; gra jego jednak nie tyle się podobała, ile protektor zdawał się spodziewać. W każdej sztuce wiele tłumowi imponuje szarlatanerja: tej całkiem brakło skromnemu Wacławowi, i to mu najwięcej szkodziło. Ludzie tylko tym po większej części wierzą, którzy głęboką w siebie okazują wiarę. Wacław jej nie miał. Powtóre: każdy z tych co choćby najgorzej grali na fortepianie, miał sobie za obowiązek okazać swe znawstwo krytyką, i coś w koncertancie znalazł do zganienia. Takich kilku wpłynęło na resztę, radą powtarzać techniczne ich wyrażenia, przedając je za

swoje. O! z czego się to składa sąd i opinja powszechna!! miły Boże! miły Boże!

Pomimo więc najlepiej obmyślanego planu koncertu, chociaż chwalono bardzo grę piękną Wacława, nie potrafił zrobić *furore* jak pierwszy lepszy Niemczyk lub Francuzina, coby przyjechał z długiemi bardzo włosami i ogromną o sobie opinią. Kilka pań dyletantek, których córki pragnęły nabyć metody, życząc sobie prócz tego w domach swych oprócz herbaty, kart i wina dać jeszcze gościom muzykę nową, zapoznały się z Wacławem. Poczęto go zapraszać bardzo uprzejmie, z tą grzecznością upokarzającą, którą panowie wyrabiają w sobie umyślnie dla artystów i chowają dla nich tylko; ale nikt, lub tak jak nikt, nie zaproponował mu dawania lekcyj.

Proszone wieczory i ranki muzykalne do reszty wycieńczyły muzyka, bo ciągnęły za sobą choć małe, ale dla niego powtarzaniem codziennem znaczące wydatki.

Któż nie wie, że niejeden podobny Wacławowi młody człowiek, nieraz nad parą świeżych rękawiczek, zabłoceniem butów lub zapłatą dorożki, westchnąć musi.

Jeden pan Gr. pocieszał go i nadziei dodawał, ale kilka miesięcy pobytu w Żytkowie dowiodły Wacławowi, że tu wyżyć nie potrafi. Miał tylko dwie, tanie i źle opłacane lekcje; mnóstwo zaproszeń przyjacielskich, za które odegrywać musiał jak za pańszczyznę, a do tego tuzin zazdrośnych, nieznanych nieprzyjaciół. Muzycy chleboroby żytkowscy, co żyli z dwuzłotowych i półrublowych swych godzin, posłyszawszy jego grę, poczuli wszyscy, że prędzej czy później przepaść im przyjdzie, jeśli sobie nie poradzą. Poczęli więc na różne sposoby

szkodzić Wacławowi w opinii, jako człowiekowi i artyście. Jeden z nich, gruby, tłusty, a wesoły, dobra dusza powszechnie zwany pan Falankiewicz, dowodził głośno: że Wacław był niechybnie szpiegiem; drugi utrzymywał, że grał bez taktu; trzeci, że był samouk i brakło mu metody klassycznej (ten uczył się u organisty w Berdyczowie). Nosili się z temi zdaniami po mieście, i jak każda u nas plotka, choć w setnej części przyjąć się musi, przyjęły się pracowite ich potwarze tu i owdzie.

Przybiwszy w ten sposób, niepokoili się jeszcze widząc go w Żytkowie, bo dla każdego z nich było naprzód żywy wyrzut sumienia, a w dodatku strach nieustanny, żeby się na nim nie poznano, żeby kto jako nowego sprobować nie chciał.

Falankiewicz, który przy wielkiej masie ciała, miał także dobrą dozę sprytu, postanowił zająć się wykurzeniem go (jak mówił), zapoznać z nim, zaprzyjaźnić i dopomódz do wyjazdu, wszelkiemi sposoby mu go ułatwiając.

Z początku rad był tej znajomości Wacław, ale jakże się na niej zawiódł! Myślał, że w towarzyszu znajdzie pokarm dla duszy i serca, rozmowę o sztuce, pomoc w kształceniu się; a trafił na człowieka, który umiejąc ledwie tyle, żeby uczyć, cierpieć nie mógł swego chleba, żyjąc cały próżnowaniem, kartami i plotką.

Pierwszemi słowy Falankiewicza było narzekanie na los, zwykłe artystom.

— Coto panie życie nasze: at! nędza! bieda! Gdzieto się na nas poznają, gdzieto nas jak należy zaplacą; ale człek skazany na te galery, biedę klepie i drwi z ludzi.

— Pan, zdaje mi się, skarzyć się jeszcze nie możesz.

— Ja! ja! Czyż gdyby człowiek nie był żonaty — odparł Falankiewicz — nie chwaląc się, nie wybrałby się na większy świat, nie znalazłby i sławy i grosza jak drudzy? Ale tu, nie chwaląc się, żona, dzieci, przywyknienie, zresztą, nie chwaląc się, ociężałem. Niech djabli wezmą, osiadłem w tej dziurze, a to taki dziura! Na pierwsze zaraz wejrzenie — mówił dalej uśmiechając się — powziąłem dla pana przyjaźń, i nie chwaląc się, litość mnie nad nim wzięła. Trzebaż panu było wpaść w taką, nie chwaląc się, otchłań! Szkaradna, głupia i przepaskudna mieścina; na jego miejscu, z jego młodością i talentem, wiedziałbym, nie chwaląc się, co zrobić! Oj! nigdybym tu nie mieszkał!

Wacław ruszył ramionami.

— Ale gdzież lepiej artyście? — spytał.

— Gdzie? Nie chwaląc się, wszędzie — odparł Falankiewicz — byle nie tu: tu panie piekło! Ludzie albo głupi, albo źli, albo skąpi...

— Godziż się sądzić ich tak ostro, bez wyjątku?

— A! to jeszcze, nie chwaląc się, lekko — dodał — Pan ich jeszcze nie znasz, ja, nie chwaląc się, wiele tu straciłem, a cóż zyskałem? Goły jestem, nie chwaląc się, jak i byłem, jak bizun; i żebyż wdzięczność, żeby trochę uczucia, żeby kto choć na imieniny wyszył mi poduszkę! gdzie tam!

Wacławowi wszystkie te czcze perory nie trafiały do serca, czuł w nich, jeśli nie zdradę, bo tej domyślać się nie mógł, to przynajmniej głupotę i deklamacją oklepaną; Falankiewicz tymczasem mówił a mówił i powtarzał nieustannie swe skargi i żale, mnożąc czernidła, któremiby mógł Wacławowi pobyt w Żytkowie

grubianin, bez wychowania, chciwy, spanoszony kradzieżą; a że się już zmógł na dwie wioski, udawał podpanka, nabrał potężnego tonu i za pan brat chodził bodaj z książęty. Żona jego, (dobrze dobrana para) krzykliwa baba, jak on skąpa, jak on kłótliwa, opryskliwa, sekutnica, poczynała także chorować na tony pańskie, i dlatego chłopców swych przedewszystkiem uczyć chcieli francuzczyzny i fortepianu, angielskiego języka i czego tylko nie umieli sami. W sąsiedztwie powszechnie wyśmiewano się z Dębickich i brano ich na zęby, bo stroje ich, zaprzęgi, dom, meble, liberja, krygi, miny, pretensje, mowa, były istotnie godną śmiechu karykaturą. Jejmość ongi, garderobiana w książęcym domu od lat dziecinnych, trochę liznąwszy francuzczyzny, paplała nią w najokropniejszy sposób i prawiła zupełnie serjo największe niedorzeczności; sam pan śmiało wspominał ojca swego starostę, dziada podkomorzego, choć wszyscy wiedzieli, że jeden był podstarościm, a drugi marszałkiem dworu.

Taki to dom otwierał się Wacławowi; ale gdy w każdym innym razie byłby propozycją odrzucił, teraz znużony jakąś tęsknotą, wyczerpnąwszy środki utrzymania, jakkolwiek czuł wielki wstręt od Kudrostawu i zawahał się, gdy mu o nim wspomniał Falankiewicz, wziął jednak rzecz do namyślenia.

Nazajutrz jeszcze niepewien, czy miejsce to przyjmie, naglony, postanowił pójść z Falankiewiczem do pani Dębickiej. Stała ona w zajezdnym domu na Cudnowskiej ulicy, dosyć pokaźnie, i wypakowywała swe stroiki, sądząc, że jej w Żytkowie będą potrzebne, gdy wszedł znajomy jej Falankiewicz z Wacławem.

Pani podsędkowa mogła mieć lat około czterdziestu,

ale zachowała się świeżo i zdrowo, a rumiane wydęte policzki świadczyły, że miała się dobrze i że jej na niczem nie zbywało. Na pierwszy rzut oka poznała wychowańca hrabiów z Denderowa i pochlebiło jej to niezmiernie, że ten, który dawał lekcje hrabiance, może uczyć synów. Wacław postanowił żądać wiele, żeby miał powód powiedzieć sobie: — Cóżem winien, próbowałem, nie udało mi się; rozum bowiem nie pozwalał odrzucać, a serce wstręt czuło nieprzezwyciężony.

— A! wszakto pan Wacław! a *Bon soir*, *Monsieur* Wacław! a to pan! Bardzom rada, znaleźć znajomego w tym kraju!

— I ja pani dobrodziejko.

— Jaki to pan Falankiewicz szczęśliwy, że na pana trafił.

— W istocie — odparł otyły metr z ukosa mierząc oczyma oboje — nie chwaląc się, bardzom szczęśliwy, bo widzę, że państwo się łatwo ułożą i będą z siebie kontenci.

Po tych grzecznościach przyszło do rzeczy, a Wacław pospieszył zażądać wiele, by od siebie odstręczyć, ale Falankiewicz z góry go zakrzyczał:

— Nie słuchaj pani podsędkowo dobrodziejko! musi on od tego odstąpić...

I jak zaczęli go męczyć we dwoje, artysta który brzydził się tym targiem i przedawaniem siebie, znużony, nieco ustąpić musiał. Tak niespodzianie przyszło do zgody z radością wszystkich, ze smutkiem jego.

Chwycił się za głowę wyszedłszy z tego domu, pomyślawszy, że się zaprzedał, a Falankiewicz powiódł go odurzonego danem słowem do winiarni i kazał się poić na rachunek należnego pośrednikowi mohoryczu;

pożyczył w ostatku kilka rubli u Wacława i tak go uśmiechając się odszedł.

Nazajutrz rano zaraz pani podsędkowa Dębicka ze zdobyczą swoją zaczęła się w podróż wybierać, kończąc szybko sprawunki zapasów do domu, które jako tańsze w Żytkowie skupowała.

Wacław widząc nieuchronnym wyjazd, smutnie przygotował się do drogi, bez żalu opuszczając miasto, którego nie polubił, do którego przywiązać się nie miał czasu, z którem go nic nie łączyło. Może też myśl tajemna, z której sobie nie zdawał sprawy, myśl zbliżenia sie do Denderowa, słodziła mu przykrą perspektywę pobytu w Kudrostawie.

Około południa nałajawszy żydów, nakłóciwszy się z kupcami, nakrzyczawszy na pijanych ludzi, pani podsędkowa siadła do kocza ze służącą, wskazując Wacławowi miejce na przodzie, i w milczeniu rozpoczęła się podróż, która artystę zawracała nazad ku rodzinnemu kątkowi świata, opuszczonemu niedawno i pożegnanemu na długo, a jakimś losem zbliżającego się znów ku niemu.

Spójrzmy co się tam działo.

Hrabia i rotmistrz oba widzieli się w konieczności okazania odwagi, oba nie wiele jej mieli i najmniejszej nie czuli ochoty narażania życia i dostarczenia sąsiedztwu wątku do plotek złośliwych. Rotmistrz wprawdzie tchórzem nie był, ale od niejakiego czasu wywietrzała mu dawna zuchwałość, zasmakowało życie swobodne, wygodne, spokojne; zaczynał nabywać brzucha, a tracić junakerją gwardyjską. Dobrze rozmyśliwszy się, hrabia sam pojechał do pana Powały i z miną poważną człowieka, który głęboki kryje smutek w sobie, usiłując go zwyciężyć, wszedł niespodzianie do zadumanego wojaka. Rotmistrz zmieszał się na ten widok, i przyjął go nie bez wzruszenia i wstydu: czuł się winnym wobec niego.

— Rotmistrzu! — odezwał się hrabia gdy zostali sami — nie róbmy zgorszenia na pociechę kochanym bliźnim, i utopmy interes ten w niepamięci. Wiem, że żona moja chwilową tylko i niewiele winną zalotność ma sobie do wyrzucenia, że ty może usłuchałeś mimowolnie pierwszego popędu, nad którego skutkami zastanowić się nie chciałeś, i szczęściem całe to zdarzenie

pokrywa dla wszystkich tajemnica; zostawmy jak jest całą sprawę i dajmy sobie pokój. Kładnę tylko jeden warunek — dodał hrabia.

Rotmistrz, który się takiego rozwiązania nie spodziewał wcale, cierpliwie słuchał ciągle zmieszany.

— Oto nie będziesz pan nadal wcale myślał o żonie mojej, nie będziesz robił słodkich oczek; zachód byłby daremny, przestrzegam.

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Panie hrabio! — rzekł — jeśli mnie masz choć po części za wytłumaczonego, boś i sam był młody...

Dendera zmarszczył się, bo miał jeszcze do młodości pretensją, a rotmistrz postrzegłszy bąka, poprawił się:

— Boś i sam miał chwile uniesień... naturalnie, że byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym pomyślał o zamąceniu mu spokoju...

— Wierzę! wierzę! — szybko zawołał hrabia — ale tu przedewszystkiem chodzi o to, żeby świat o niczem nie wiedział, niczego się nie domyślał. Jeśli pan nagle zerwiesz stosunki z nami, jeśli, jak mam szczerą intencją, natychmiast panu wypłacę jego sumę, ludzie muszą się czegoś domyślać; będę posądzany: a i to dla mnie, dla imienia Denderów, już wiele.

Na wspomnienie sumy, rotmistrz nieznacznie zagryzł usta, ale musiał zamilczeć.

— Trzeba więc — mówił hrabia — żebyś pan u nas bywał jak przedtem, zachował dla nas przynajmniej pozór, jeśli nie uczucie przyjaźni; a nie widzę zresztą potrzeby, byśmy sobie w łby strzelać mieli...

Hrabia, który tak wspaniałomyślnie udzielił przebaczenia, znalazł łatwym do pojednania rotmistrza

któremu chociaż konkluzja co do kapitału nie podobała się, ale to bywanie w Denderowie miłym było obowiązkiem.

Kazał przynieść szampana, bo jako eks-rotmistrz wszystko przywykł zaczynać i kończyć szyjką srebrzystą, i przy kieliszkach stanęła zgoda najśmieszniejsza w świecie, a rozmowa z drogi stromej i śliskiej zeszła na bity gościniec oklepanych pytań i odpowiedzi. Oba jednak, gość i gospodarz, czuli się jakoś nieswoi, biedni, skłopotani; i byliby tak długo nie wytrwali, gdyby sąsiad pan Cielęcewicz nie wpadł z wizytą. Radzi mu byli jak nigdy.

Pan Cielęcewicz, niegdyś deputat jakiś, niewiadomo kiedy i do czego, był mężczyzną lat około pięćdziesięciu, suchy, chudy, brzydki, z olbrzymim bladym nosem, ostremi małemi oczkami, wąsami i brodą zawiesistą; chodził najczęściej w jakiegoś rodzaju fantastycznej siermiężce, w czapeczce kwadratowej i z pałką w ręku. Posiadacz czterech chłopów w sąsiedztwie, odłużony, w kłopotach, rzadki w domu, częsty u ludzi, pokrywał swego życia pasożytne formy pozorem jakiejś filozoficznej propagandy. Cielęcewicz był krótki czas w Paryżu, a dłużej w Niemczech; wielu się rzeczy nie douczył, bardzo wielu całkiem nie zrozumiał, resztę przez pół przyswoił, a koniec końcem miał sobie za obowiązek to, czego nie umiał, i nie zrozumiał — propagować w kraju. Byłto stronnik najostateczniejszych opinij, słowem, jak sam z niejaką dumą się spowiadał, kommunista, falansterjanin, Saint-Simonista, razem humanitarjusz, mormończyk i co chcecie. Długi włos jego, twarz zarosła, kapelusz spiczasty z wielkiemi skrzydłami, ubranie i mowa, zwiastowały zaraz coś wielce

oryginalnego. Hrabia, który go często synowi jako egzageracją doktryn przez niego wyznawanych wskazywał, nie mając go wcale za niebezpiecznego, śmiał się z innemi z tej karykatury socjalistów.

Cielęcewicz miał to do siebie, że gdziekolwiek był, z kimkolwiek się znajdował, o czemkolwiek mówiono, nie zważając na nic, brał się *eo instante* do propagandy, i zachwycając swem pieniem, które go naprzód samego upajało, im dłużej mówił, w tem większy wpadał zapał; a jeśli mu się kto sprzeciwił, do wściekłości prawie doprowadzonym bywał i w oczy skakał kontradyktorom.

Podchmieleni nieco, a zakłopotani panowie nasi, powitali go nadzwyczaj serdecznie. Rotmistrz postawił kielich i zmusił do zrównania się, o co zresztą Cielęcewicza prosić bardzo nie było potrzeba. Tak na razie go spoiwszy, wpuścił na drogę wymownego propagowania socjalizmu, i usiadł spokojny.

Hrabia wziął na siebie kontradykcją, bez której Cielęcewicz mógłby się był opuścić, i śpiewać tylko pod nosem mniej zajmującą pieśń zwycięztwa.

— A zatem zdrowie panów! obywateli! chcę mówić — zawołał Cielęcewicz — i wiwat ten wiek złoty, w którym wszyscy ludzie po chrześcjańsku kochać się będą!

— No! a kiedyżto się mamy tego spodziewać? — spytał hrabia.

— Przyjdą te czasy, kiedy ludzie podług mojej teorji będą szczęśliwi.

— I takie czasy będą aurorą złotego wieku?

— Jakbyś tam pan był — rzekł Cielęcewicz — tak mówi niemylna teorja moja, teorja a raczej formuła ludzkości.

— Tymczasem — spytał hrabia śmiejąc się — jak tam urodzaj i zbiór w Hołodudach?

— A! panie! co to za lud barbarzyński! — odparł spijając szampana Cielęcewicz. — Wszak nie mogę dostać robotnika...

— Bracia-to! — podchwycił hrabia.

— Bez wątpienia, ale potrzebują wprzód wycywilizowania i oświaty — przerwał rezonator — bo to dziś niemal bydło! ani sposobu ich nająć! Każdy z nich woli próżnować, niż pracą grosz jaki szlachetnie zarobić. Zatem więc z bolem serca i upokorzeniem ludzkości, musiałem wczoraj pięciu moim współpracownikom dać w stronę odwrotną, i posłać po policją, żeby zrobiła mi porządek. Nie słuchają!

Hrabia śmiał się na całe gardło.

— Zgadzają się to — spytał — z pańską teorją?

— Zgadza i nie zgadza, ale to stan społeczny temu wszystkiemu winien. Bydlęta, powiadam, a w dodatku złodzieje!

— Zlituj się pan! przecież wszystko ma być wspólne?

— Tak! ale to nie teraz! — odparł zwycięzko Cielęcewicz. — Przyjdzie czas ten błogi, przyjdzie, zobaczycie państwo lub nie zobaczycie, co to jest falanster i życie falansteryczne lub ikaryjskie (dwie formuły nie wiele od siebie oddalone): raj ziemski! istny raj ziemski! Praca taka tylko jaka się komu podoba, od niechcenia, dla zabawki, rozkosz jaką sobie kto wybierze, hulanki od rana do wieczora, i panowanie uczciwości, cnoty...

— Jakto? — zapytał hrabia — wszyscy będą cnotliwi?

— A tak, muszą! — poruszając się mówił Cielęce-

wicz — muszą! Weźmiemy człowieka od pieluszek, i jak zaczniemy go gnieść, miesić, macerować, w formę daną i uznaną za najlepszą pakować, zmusim wszystkich rość, myśleć, żyć jednakowo, jednakowo trawić i instynktowo spełniać cnoty. Zresztą, cnota nasza nie będzie trudna, bo, pytam się, jak tam zgrzeszyć, gdzie można wszystko robić, co się komu podoba?

— Wszystko? — spytał rotmistrz. — Jakto? naprzykład i w łeb komu strzelić?

— Tego nie jestem pewny — odparł Cielęcewicz szampanem owładniony. — Ale dla czegożby ludzie mieli wówczas chcieć sobie w łby strzelać?

— Ba! — rzekł hrabia, z ukosa rzucając okiem na rotmistrza — gdyby naprzykład dwóch kochało się w jednej kobiecie?

— No! to oba ją mieć mogą! — odpa[illegible]wycięzko Cielęcewicz.

— Ale wyznaj, że mieć obu, to tak jakby jej żaden nie miał... to ohydne...

— Otóżto dzikie i fałszywe wyobrażenia dzisiejsze! — zakrzyknął doktor socjalizmu.

— Widać, żeś waćpan nie żonaty — śmiejąc się przerwał hrabia, ale bez jakiejś złości wewnętrznej. Rotmistrz spuścił oczy, ssał cybuch.

— Kwestją tę kobiet głęboko traktuje Fourier — rzekł w zapale Cielęcewicz, nalewając sobie wina. — Ja także uprawiałem ją i studjowałem — dodał — rzecz jest stanowczo przezemnie rozstrzygniętą; bez swobody kobiety i wspólności kobiet, społeczność chorować musi; równie jak własność wyłączna, związek wyłączny jest anormalnością. Wszelki cień wyłączności zniknąć powinien.

— Lecz ty sąsiedzie, co się tak nią brzydzisz, czemuż swoich włościan nie rozpuścisz, i nie poczniesz reformy od siebie? — zapytał Dendera.

— Nie głupim! — rzekł Cielęcewicz — ja oddam co mam, a mnie nikt nic: piękna zamiana! Jabym chciał przeciwnie, wziąć od drugich, a swego nie dać nikomu.

Hrabia się śmiał, a socjalista upojony winem i sobą, prawił dalej coraz zuchwalej i śmieszniej; nareszcie przebrało mu się aforyzmów, usiadł, zakaszlał się i przerwał sobie zimniej:

— A! a! przepraszam, najważniejszej rzeczy zapomniałem, wszak mam hrabiemu zwiastować...

— Mnie? co?

— Gościa! Marszałek Farurej wybiera się jutro do niego...

— Tak dawnośmy się nie widzieli — odparł hrabia zimno — że nie wiem, czy się poznamy.

— Dawno! Nic dziwnego, długo nie było go w kraju: powraca wprost z Paryża.

— Przecież powrócił! — wciąż obojętnie mówił Dendera.

— Wrócił zdrów jak ryba, świeży i odmłodzony.

— Jeszcze młody! Zdaje mi się, że starszy odemnie przecie!

— Ale jak wygląda! Świeży, rumiany, rzeski, zdrów, nadskakujący dla kobiet: *petit maitre* zawsze...

— Jak dawniej.

— Dobrze w Paryżu nadszastał fortunki? — spytał rotmistrz z przekąsem.

— On! gdzież znowu! Świeży spadek dał mu czystych dwa miljony i ogromne remanenta, bogatszy niż

był. Mówią — dodał Cielęcewicz, rzucając znacząco okiem na hrabiego — że się myśli żenić nareszcie.

— Żenić! — zawołali oba.

— Ba! czemuż nie? Bogaty jak Krezus, świeży, zdrów, miły; chciałby wziąć z dobrego domu młodą panienkę, choćby nieposażną...

— O! stary satyr! rozpustnik! — z uśmiechem przerwał Dendera; ale wtem jakaś myśl go nawiedziła, zadumał się, zdawał rachować, aż Cielęcewicz obudził go pytaniem:

— Będzie pan hrabia jutro w domu?

— Będę! będę! i czekam miłych gości z upragnieniem! — Twarz mu się wyjaśniła, już snuł projekt w głowie.

— W istocie — mówił sam do siebie — gdyby się o Cesię starał, nie byłoby źle... W teraźniejszych okolicznościach mógłbym mu nie dać posagu... może jej zapisać miljony, a sam pewnie pociągnie nie długo: zrujnowany fizycznie. Gdyby Cesia miała rozum, poprawilibyśmy się miljonami tego starego kobieciarza;... a Cesia mu się podobać powinna, młodziuteńka, świeżuchna, prawie dziecko, to własnie, za czem gonią ci starzy wyjadacze.

Cielęcewicz, który zbyt długo jak na siebie, mówił o przedmiocie obojętnym, znowu począł się puszczać w furjeryzm i proroctwa przyszłego szczęścia rodu ludzkiego, pałał, zapalał się, płomienił, wstawał, gestykulował ogromnie, wywracał i tłukł kielichy, oblewał się winem, i tryumfujące czoło coraz otrząsając z włosów, krzyczał już tak, że się lokaje zbiegali, sądząc że kłótnie zobaczą.

— Przyjdzie — mówił — ten czas, gdy ludzka

natura się zmieni, gdy wszyscy ludzie staną się łagodni jak baranki.

— Jak cielęta — mruczał hrabia.

— Jednakowi wszyscy twarzą, wzrostem, ruchem, myślą. Co za widok! najśliczniejsza harmonja z końca w koniec kuli ziemskiej panować będzie... Nikt nad nikogo nie będzie wyższym, bo geniusz jest zawsze zdobywcą i przywłaszczycielem, gieniusz potrzeba w zarodku zniszczyć i okrzesać do normalnych proporcyj; nikt nie będzie nad nikogo lepszym, bo wszyscy dojdą *nec plus ultra* dobroci; nikt od nikogo rozumniejszym; nikt piękniejszym nawet, doprowadzimy ludzkość do jej prototypu, niszcząc co poniżej pozwala sobie tworzyć natura!

— I świat umrze w ogromnem ziewnieniu — zawołał hrabia wstając od stołu. — A ty panie Cielęcewicz, jutro do Denderowa z panem Farurejem! Nieprawdaż? póki co będzie zabawim się; może i rotmistrz nie odmówi?

To mówiąc pożegnał ich, powtarzając zaprosiny. Ledwie był za drzwiami, reformator odezwał się, wskazując za nim:

— To spróchniała kłoda; ale hrabina, zdaje mi się, jest bez przesądów, ma wyższe o rzeczy pojęcie. Zdałaby się do falansteru! Hę? rotmistrzu! hę? nieprawdaż?

Rotmistrz, jakby go zlał ukropem, wychylił duszkiem kielich szampana.

Znacie już trochę Cesię; typ to w swoim rodzaju wielu kobiet dzisiejszych: więcej głowy niż serca, więcej wyobraźni niż uczucia, wcześnie stara rachubą, wyżej ceniąca urojone dobro niż prawdziwe, Cesia miała przecież choć zimowe, choć spokojne, choć zawiędłe serduszko. Każdy ma go trochę, nawet ci, o których mówią, że im całkiem braknie. Zdawało jej się, poczynając oczyma rozmowę z Wacławem, że to będzie tylko wprawa oczu, związek co się rozerwie gdy zechce, nieporuszający serca, nie mogący zamącić spokoju. I nie głęboko też uczucie się w nią wkradło; żegnając Wacława marzyła o innych, zimna pierś nie zabiła żalem, nie rozdarła się cierpieniem. A jednak po odjeździe jego, gdy się znalazła samą, czy nudy, czy nałogu, czy trochy uczucia skutkiem, posmutniała nieco, i zdziwiła się swemu bolowi, tęsknocie, czczości, jaka ją otoczyła.

O! bo nigdy nie godzi się żartować i bawić tem uczuciem, mówiąc sobie: — To rozrywka tylko, ja kochać nie będę! — Któż wie, jak i kiedy pokocha, i czy przestanie gdy zacznie, i czy potem serce nie spęka się od bolu?

Gniewała się na siebie Cesia, że to miejsce przy fortepianie, że któraś ścieżka w ogrodzie, że ławka, na której widziała go z ganku, uparcie jej nieobecnego przypominały, że wspomnienie jak widmo natrętne snuło się za nią dniem i nocą. Sama siebie pytała się, czy go tak kocha, i odpowiadała sobie: — Nie! nie! cóżby to było? szaleństwo! dzieciństwo! On i ja! Ja i on! — A jednak wzdychała i było jej jakoś tęskno, ciężko jakoś, jak gdyby część samej siebie straciła. I mówiła sobie niedoświadczona: — To przejdzie, to minie, ja się nudzę tylko, ja nadto przywykłam do niego!

Ale upływały tygodnie i miesiące, a tęsknota rosła, i co gorzej, Cesia już pytając siebie, znowu badając, niekiedy przypuszczała, że odrobinkę kochała; uznawała że był zajmujący, przystojny, pełen uczucia, i że z nim jakoś weselej było w Denderowie.

Pomimo to, jak kobieta, gdy się zręczność trafiła, oczyma i ustami wabiła ku sobie innych, i Walskiego, którego miała za nieżonatego (w istocie żona mu wkrótce potem umarła), i kto się nawinął z młodzieży. Niktby nie poznał co się działo w jej duszy, choć już i niejedna łza, z jej własnem zdumieniem, z oburzeniem i zgrozą, nocą spłynęła po twarzy... Gdy grała to, co on grał, tak pięknie, tak wymownie i wyraziście, często opadły ręce, zadumała się i zerwała potem szydząc z siebie, otrząsając trochę uczucia, którego się wstydziła. O! niepojęte serce niewiasty! Jestżeś ty jak serce aniołów, co musi kochać świat cały? czy dla tej miłości, przeczucia drugiej ojczyzny, kochając wszystkich, stale nie możesz ukochać nikogo? Lub jestżeś jak serce szatana, który wybiera pastwę jaka mu się nawinie

i ściga ją aż pochwyci; a gdy porwał, odrzuca ze wzgardą? Serce niepojęte, serce niezrozumiane; z siwemi włosy staje przed tobą człowiek nie znając cię jeszcze, równie ślepy, równie jak w młodości nieświadomy twej głębi; i umiera a nie wie, czy choć raz był kochanym, czy sto razy złotej jej nici nie rozcięło ostrze tajemnej zdrady i pragnienia... Tajemnico niezbadana, jakżebyś była wielkim przedmiotem badania, gdyby z krwią zimną wpatrywać się można w twe dzieje, mozaikę złota i czerni, promieni i ciemności... Trzeba ci zostać zagadką!

Cesia kochała jak większa część kobiet, którym żadna miłość nie przeszkadza przez tydzień kochać kogoś innego, dwa tygodnie o kimś marzyć i wrócić do pierwszego ulubieńca, po tych wycieczkach myśli, w których i serce udział miało.

Właśnie wsparta na ręku dumała o Walskim, o Wacławie i o trzech czy o czterech jeszcze jasno- i ciemno-włosych młodzieńcach, w prześliczne ubranych kamizelki i zręcznie motylkujących koło niej, gdy do jej pokoju weszła strojna i uśmiechająca się matka, wołając:

— Chodź Cesiu do salonu, mamy gości.

— Gości! chwała Bogu! Ale kogóż?

— *Monsieur Chose!* A! jakże się zowie? zapomniałam, *un nom très ancien et fort distingué, mais singulier; on le dit de fort bonne souche.* A! Farurej! Jakże ci się podoba?

— Ten stary marszałek, o którym od wieków słyszę? który był za granicą?

— *Justement, il debarque fraichement de Paris;* nadzwyczaj ciekawa postać, bywał na salonach Ludwika-Filipa.

— Przynajmniej to dystynkcji nie dowodzi, bo tam i mydlarze i kupcy korzenni bywali.

— *Mais il a frequenté à Paris, ce qu'il y a de mieux; il a été reçu au faubourg St. Germain;* no! chodźmy! Jeśli nie będzie miły, to nowy i zabawny niezawodnie; rozerwiesz się, trochę jesteś smutna. Ale popraw wprzód włosy.

Cesia rzuciła okiem na siebie i trochę wykończywszy ubranie, które nie chciała mieć zbytecznie wyszukanem i pretensjonalnem, poszła za matką, rada rozrywce.

Pan Farurej już był w salonie z hrabią, z Sylwanem i Cielęcewiczem.

Dwaj ostatni zawsze spotkawszy się rozpoczynali walkę nieustanną między sobą; Cielęcewicz był i wyznawał się kommunistą i radykalistą, a Sylwan ograniczał się żądaniem lekkiej reformy społecznej, której zasad nie umiał ściśle oznaczyć. Dwie panie wchodząc zastały już walkę rozpoczętą jak zwykle. Cielęcewicz stał w pośrodku salonu, i jakby był w klubie, perorował bardzo głośno:

— Ludzkości nie mogą uszczęśliwić jakieś tam półśrodki: nie! stokroć nie! Przez najostrzejsze środki, jeśli tego będzie potrzeba przejdziemy bez wahania, bez wahania, i nową formą odrodzimy społeczność.

— Boże! na cóżeśmy trafiły — śmiejąc się zawołała hrabina do Cielęcewicza, który nagle spadłszy z wysokości swych deklamacyj, uśmiechał się i witał.

— Niech się pani nie lęka — rzekł mowca — to jeszcze nie zaraz nastąpi.

Wtem pan marszałek Farurej powstał na powitanie dam, z lekkością młodzieńczą, choć miał niestety oddawna lat pięćdziesiąt!

Ale czegoż nie dokaże sztuka! Z tyłu widziany, ruchami, ubiorem, trzpiotowatemi gestami, zupełnie był podobny do młodzieńca; obrócony twarzą, wyglądał nieco inaczej.

Lysy całkiem, przyznawał się tylko trochę do łysiny, a peruka jego zrobiona z największym kunsztem, kłamała mu resztę włosów; bez zębów, miał wstawione wyroby sławnego Rogers'a, nieuderzające wprawdzie pięknością, którąby podrobienie zdradzała, ale wcale jeszcze pokaźne; chudy, wszystkie suknie miał wywatowane nadzwyczaj misternie, z głęboką znajomością nie tylko ciała, ale i serca ludzkiego; nigdzie sztuki nie zdradzała przesada. Ubiór miał skromny i piękny, ale co na twarz poradzić! Ocet towarzystwa hygienicznego, kosmetyki Indji i Afryki, woda książęca, eliksiry, pomady, nie wiele ją upiększyć i odmłodzić potrafiły. Marszczki jakkolwiek powyciągane na tył, odzywały się wszędzie, nos nie miał kształtu żadnego, usta rozeszły się zbytecznie na kształt wypracowanych bardzo rękawiczek; oczy nabrzmiały i zaczerwieniły się, zdając wyskakiwać z powiek...

Niesłychanie grzeczny, nadskakujący, posunął się zaraz ku hrabinie i hrabiance, a wiedząc jak naszym kobiecietom pochlebia, gdy kto domy ich, wróciwszy z Paryża chwali, nakręcił tak rozmowę, żeby mógł wyznać, iż pierwszy salon w Denderowie, smakiem, ubraniem, tem czemś nieopisanem, co nadaje piętno właściwe, przypomina mu salony Paryża i *Faubourg Saint-Germain*. Hrabina uczuła się niezmiernie połechtaną i odparła, jak się czuje szczęśliwą z przybycia takiego sąsiada, gdy się zdawali skazani już na pożarcie parafianom, i jak dawni chrześcjanie w cyrku,

rzuceni tym potworom na pastwę.

Marszałek nadzwyczaj się uniósł nad dowcipnem porównaniem, i tak szczęśliwie poczęta rozmowa, w której obie strony trafnie się głaskać umiały, poszła dalej żywo, a Farurej zręcznie potrafił do niej wmieszać Cesię. Cesi to pochlebiło, bo się lękała zostać opuszczoną, jak mała dziewczynka, i zmuszoną samej się nabijać dla okazania dowcipu i dojrzałości.

Pokazała więc śmiało całą błyskotliwość żywego umysłu i szczebiotliwą łatwość rozmowy, na jaką naprędce zdobyć się mogła.

Hrabia z żoną szepnęli coś do siebie, i Farurej niby przypadkiem zostawiony na chwilę z Cesią, prowadził z nią dalej rozpoczęte dowcipkowanie.

Czemuż wam go odmalować nie umiem, gdy zmożony podagrycznem cierpieniem, z uśmiechem na ustach, grał tak doskonale zajęcie, żywość, wesołość wśród doskwierających mu męczarni; zwracał się, okręcał, wstawał, siadał, pracując na każdy ruch, ale na oko odbywając je lekko i łatwo. Chodziło mu bardzo o pokazanie że jest w pełni sił i wieku.

Cesia w duszy umierała ze śmiechu, ale ten Paryżanin przekwitły, tak dla niej grzeczny, tak nadskakujący, tak dobrego tonu, pomimo swej śmieszności, bardzo jej pochlebiał uwagą, jaką na nią zwracał ciągle; szydziła z niego, a była mu wdzięczną.

Hrabia umyślnie rozprawiał żywo z Cielęcewiczem, żeby nie zmuszać Farureja do odwrócenia się ku sobie; hrabina trochę chmurna wzruszała ramionami nieznacznie, a Sylwan coś przyśpiewując pod nosem, chodził po salonie.

Wtem przybycie rotmistrza pomnożyło towarzystwo.

a hrabina, która nie wiedziała, że był zaproszony, zdumiała się; i mimo potęgi, jaką miała nad sobą, trochę ust zagryzła, trochę się zarumieniła. Wnet jednak oprzytomniając się zawołała do niego z żartobliwym wyrzutem:

— To nie do darowania, żeby tak o nas zapomnieć!

Rotmistrz zupełnie zbił się z tonu, splątał i zabełkotał coś niezrozumiałego, ale go Sylwan porwał zaraz po przywitaniu, i potrzebując u niego pożyczyć pieniędzy, począł starannie miodem grzeczności smarować.

Nikomu w tej chwili potrzebniejszemi nie były pieniądze, ował bosnowiem projekt nie lada, zemstę wielką, której, jak mu się zdawało, bez pieniędzy nie mógł przyprowadzić do skutku, a z niemi miał jej dokonać niezawodnie.

Zbity ze wszystkich dróg przez starego Kurdesza, postanowił sobie przekupić Brzozosię, dowiedzieć się od niej kiedy ojciec w domu nie bywał, rozpocząć cichutko bliższe stosunki, i... któż tam wie co roił; to pewno, że marzenia jego nie kończyły się u ołtarza; wolał sobie powiedzieć:

— Wydam ją za kogo.

Bo też Sylwan nie kochał wcale, chciał się tylko bawić i zemścić. Zdawało mu się, że najpewniejszą drogą do Frani była naiwna Brzozosia; a do serca ubogiej i na łasce żyjącej rezydentki, pieniądze. Chodziło więc o to tylko, zkąd wziąć pieniędzy i jak się do Brzozosi zbliżyć, gdzie ją znaleźć, jak z nią rozmówić, tak, aby to ludzkich nie zwróciło oczu.

Wcześnie radował się Sylwan, że ogólny plan kampanii tak szczęśliwie nakreślił, w wykonaniu jego

rachując na pomoc losu, na trafy, na coś, co zwykle młodym a wytrwałym w pomoc i przymierze przychodzi.

Nie ze wszystkiem się też w tych nadziejach mylił, bo traf dostarczył mu pierwszą zręczność widzenia się z Brzozosią sam-na-sam. Myśląc o Frani, Sylwan często jeździł do gaju pod Wulkę, i po kilka razy drożynę przezeń wiodącą przebywał czyhając na swoję ofiarę. Raz mrokiem postrzegł toczącą się zdala postać, która, jak się domyślił i nie mylił, była w istocie Brzozosią; przyspieszył kroku, dognał ją i naprzód przestraszył bardzo biedaczkę.

— Jezusie, Marjo! — krzyknęła Brzozosia, która powoli odmawiając pacierze, wracała z pasieki.

— Dobry wieczór pani!

To przywitanie i grzeczne *pani*, wyrzeczone z ukłonem, sprowadziło uśmiech na usta starej panny; dygnęła mu o ile nierówność drogi pozwalała, i sznurując usta, wstrzymała się zawracając ku niemu.

— Dobry wieczór panu hrabiemu!

— Cóż tu pani tak sama jedna porabia?

— Wyszłam na przechadzkę... (wstydziła się przyznać, że chodziła do pasieki).

— Jak się tam ma panna Franciszka?

— Zdrowa! zdrowa! — śmiejąc się dodała Brzozosia i kiwając głową — zdrowa dzięki Bogu; a jakto pan zaraz o niej pamiętał wprzód niżeli o rotmistrzu, i spytał o nią! Oj! coś ja wiem!

— Cóż takiego? — zaśmiał się Sylwan.

— Hrabia podobno poznał się na naszym skarbie.

— Jakto pani domyślna jesteś! — kończył młody hrabia na wpół szydersko.

Pochlebiło to Brzozosi, która żywo dodała:

— O! o! mnie nie oszukać! Z pierwszego razu powiem panu, widziałam to jasno, bo prawdę mówiąc, do takich rzeczy nie ma jak mój wzrok.

Sylwan serdecznie się śmiał znowu i podchwycił:

— Kochana pani, cóż z tego wszystkiego, kiedy podobno rotmistrz złem na mnie patrzy okiem.

— A! uchowaj Boże — odparła Brzozosia — i owszem i owszem: z estymą, z szacunkiem, ale widzi hrabia, jemu się i nie śni, żeby co z tego było; a ja zaraz taki mówiłam i mówię, że to już widać przeznaczenie.

Sylwan się zastanowił, bo tak dalece zabrnąć sobie nie życzył.

— Byłbym pani bardzo wdzięczny — rzekł zbliżając się i szepcąc do ucha Brzozosi — żebyś też pani chciała mi dopomódz... Pani to już wiesz, że bardzo, bardzo podobała mi się panna Franciszka, ale ojciec tak trudny; w domu tak się rzadko widywać możemy swobodnie.

— Z całego serca, z całego sercabym panu dopomogła — odparła dumna tem, że tak wielką brała na siebie rolę Brzozosia — ale jak?

— Już to pani wiedzieć będziesz lepiej.

— Ojciec straszny impetyk i niezmiernie ją kocha, jak się uprze, jak się uprze, ani go przekonać. Ja mu to już ciągle powtarzam, że niewiedzieć co robi, że córce los zagradza, ale stary swoje; jak kozioł proszę pana, choć poczciwy z kościami.

— Jednak możeby to jako można widywać się tak, żeby on o tem nie wiedział.

— Hm! hm! powiem panu! to potrzebaby nad tem pomyśleć... trudno doprawdy, a nie wiem czyby się i Frania na to zgodziła. Chociaż, powiem prawdę, ona

na pana dosyć laskawem okiem patrzy, bo mnie nie oszukać, ja to widzę.

— Tak pani sądzi?

— Tak! tak! Ale to posłuszne dziecko; gdybyś pan popróbował jeszcze starego ukołysać.

— Widzi pani, że to prawie niepodobna.

— Z czasem, powoli; zresztą niechno ja pomyślę coby się dało zrobić — szepnęła Brzozosia i zamyśliła się.

Sylwan porozumiał zaraz że to namyślanie pewnie oznaczać musiało chęć wytargowania zapłaty, i już się zabierał wystąpić z przekonywającym argumentem, gdy Brzozosia widząc zmierzch nadchodzący, a pomiarkowawszy nagle, cobyto ludzie powiedzieli, żeby ją o mroku z kawalerem sam-na-sam w lesie zobaczyli, szybko pożegnała hrabiego i uszła biegiem prawie, taki ją strach o własną reputacją ogarnął.

Sylwan popędził za nią spytać, kiedy ją będzie mógł spotkać. Odpowiedziała mu żywo: — pozajutro — i szybko pospieszyła ku domowi, przerażona niebezpieczeństwem, w jakie dobrą swą sławę podała niebacznie.

— Otóż ślicznie! — mówiła po drodze idąc, cała zdyszana i w płomieniach — ani mi do głowy przyszło co ludzie mogą powiedzieć! Całe życie, chwała Bogu uczciwe, mogłabym stracić w jednej chwili, przez nieuwagę i trzpiotowatość, która się jeszcze mnie trzyma! Śliczna rzecz! Prawdziwie dziwuję się sobie, tak być nieostrożną! tak nieostrożną! Boć i dawniej, prawda, choć mi się podobał, choć nie bez tego, żeśmy się z sobą schadzali, ale to przyzwoicie, tak, że i najgorszy z ludzi nic na to nie mógł powiedzieć...

Noc szybko nadchodziła.

Przerażona niezmiernie dobiegła do domu Brzozosia, w rozmyslach co począć. Natarczywość Sylwana, jego propozycje, przyszłość Frani którą jej miała być winna, wszystko to chodziło po biednej rozmarzonej głowie, nie dając się rozwikłać i ułożyć. Nie mogła znaleźć środka, żeby wszystkich żądania i strachy, a przyszłość Frani pogodzić. Chciała dopomagać i nie miała odwagi, bo wiedziała jak rotmistrz tajemnic nie lubił, intrygą się brzydził, i chciał, by każdy uczynek miał świadkiem ludzi i słońce, by się z każdego jasno i głośno wytłumaczyć, nie rumieniąc, można. Iść przeciwko jego woli było niebezpiecznie, zresztą nie wiedziała dobrze, co o tem wszystkiem pomyśli Frania, i najpilniej jej było powróciwszy, wejść do pokoiku wychowanki z tajemnicą, która już dokuczała jej jak wstrzymana czkawka.

Siadła na kuferku naprzeciw Frani i odchrząknąwszy poczęła:

— Jaki to był śliczny wieczór, moja duszko!

Ale z oczu jej widać było, że nie o wieczorze mówić miała.

— Gdzieżto była Brzozosia?

— Chodziłam moje serce do pasieki, ale się nie roją... i wracając...

— Coś się trafić musiało, boście się przypóźnili?

— Wyobraź sobie, ale...

Przerwała, i spoglądając na Franię:

— Może ci lepiej nie mówić, ty zaraz przed ojcem wypaplasz.

— Cóżto, kochana Brzozosiu? co? ja nic nie powiem. Pewnie gnilec w pasiece!

— Ale gdzietam mnie gnilec w głowie. Nie powiesz ojcu?

— Jak nie zechcesz, nie powiem. Wydarli pszczoły?

— A jej pszczoły tylko na myśli! Otóż żebyś wiedziała, żem się spotkała i mówiła; zgadnij z kim?

— Kiedy każesz mi zgadywać, to pewnie z hrabią?

— Jakbyś tam była; widzisz, otóż ci powiem, że mnie nie oszukać; jak Bóg Bogiem, tak się w tobie zakochał.

Frania trochę się zarumieniła, boć i najobojętniejszej taka wieść nie obojętna, a pierwszy raz posłyszeć to miło; i Frania miłość Sylwana wcale inną wyobrażała sobie, niżeli była w istocie.

— Doprawdy! on we mnie! To być nie może, Brzozosiu: hrabia taką jak ja szlachcianeczkę...

— Otóż widzisz, że kiedy ja co mówię, to tak jest koniecznie; żebyście mnie słuchać chcieli, ale to z upartemi rady nie ma. Ojciec twój wszystko psuje. Gdybyś chciała Franiu, gdyby ci serce mówiło... możnaby coś i bez ojca zrobić... Ot przyznaj mi się, kochasz go? no! powiedz!

Frania znowu jak jabłko się zarumieniła, zaczęła się śmiać, ukryła twarzyczkę, potem zamyśliła się, potem szeptała coś porąc frezlę od chusteczki, tak, że nic posłyszeć nie było można; wreszcie gdy Brzozosia coraz żywiej nacierała, usiadłszy przy niej na stołeczku, tak mówić poczęła prawie do ucha:

— Cóż-bo ty moja Brzozosiu nazywasz kochać?

— A to doskonale! Udajesz Franiu, czy co?

— Nie udaje wcale, ale posłuchaj Brzozosiu. Czytałam kilka książek co mi z Kudrostawu pożyczali, tam dziwnie jakoś opisują kochanie; a widzicie...

— Ale mów-bo serce wyraźniej, co książki mają do hrabiego?

— Posluchajcieno tylko uważnie — szeptała Frania. — Lubię i tego, i tego, i tego; i ten mi się zdaje piękny, i tamten ładny, i ten zabawny i drugi; ale żebym miała kogo nad innych przenosić i za nim więcej tęsknić i marzyć, to nie.

— Jakto może być! — łamiąc ręce zawołała prawie przestraszona Brzozosia.

— On mnie dosyć bawi, lubię na niego popatrzeć; pośmiać się z nim; ale nie tęsknię, nie rozpadam się za nim. A kiedy się kto zakocha, to tak być musi..: nie prawdaż?

— Ale czyżto być może!

— Czyżbym ja przed tobą kłamała? — odparła Frania.

Brzozosia mocno się zadumała, zażyła tabaki, utarła nos, odpędziła faworytę kotkę, i pokiwawszy głową spytała:

— A któż ci się u licha podoba, jeśli nie on?

— Alboż ja mówię że mi się nie podobał?

— Ale ja byłam pewną, że ty o nim tylko myślisz i dumasz.

— Nie, Brzozosiu! Powiem ci nawet szczerą prawdę, czasem, czasem... wydaje mi się aż śmieszny...

— On! on! — zakrzyknęła porywając się rezydentka.

— Śmiejcie się ze mnie kiedy chcecie, cóżem ja temu winna? Doprawdy że pan Jan z Zawiłowej daleko pokaźniejszy od niego, i jak mówi jest czego posłuchać, bo w słowach gra dusza; a i ten mi przecież głowy nie zawróci...

— No! to już nie wiem kto ci się podoba — rzekła smutnie Brzozosia — widać że to chyba nie przeznaczono. Ale kabała nie może skłamać...., Bywa to czasem, że tak człowiek do kogo długo serca nie ma, a potem raptem.

— Może, gdybym go lepiej poznała.

— A tu ojciec i temu drogę zagradza.

— Ojciec wie co robi, Brzozosiu.

— Między nami mówiąc, stary gdera i tchórz. Cobyto szkodziło pozwolić mu bywać?

— Ojciec wie, że z tego nic być nie może.

— Otóż w tem się myli, bo kawaler po uszy zaszłapał, onby się i dziś ożenił.

— Ale ojciec...

— E! ojcowie zawsze potem błogosławią.

— Wolałabym nie potem, ale przedtem...

Brzozosia ruszyła ramionami i nic już więcej nie powiedziała; a Frania, choć była ciekawą co jej Sylwan mówił, nie dopytywała się, wiedząc że się z tem później wygadać musi.

To pewna, że całą noc marzyła, dumała, roiła sobie dziwy dziewczyna; Brzozosia marzyła także; a hrabia już się cieszył zwycięztwem, i zawczasu drwił sobie ze szlachcica.

— Cóżbyś ty na to powiedziała — odezwał się tego samego dnia hrabia Zygmunt-August do córki — gdyby pan Farurej chciał się starać o ciebie i to życzenie oświadczył?

Zdawało się ojcu, że wielką powie Cesi nowinę, i zawczasu rachował na jej potężne zdumienie; ale jakże się zdziwił, gdy młoda panienka bez najmniejszego zmieszania spokojnie i śmiało mu odpowiedziała:

— O! o temby potrzeba pomyśleć.

— Wprawdzie — dodał prędko hrabia, zapobiegając zarzutom — nie jestto już pierwszej młodości człowiek.

— Ani drugiej nawet — odpowiedziała Cesia obojętnie — ale cóżto znaczy?

— Miły, dobrze wychowany, dobrze urodzony, wiele widział świata, i bogaty...

— Czy w istocie znowu tak bogaty jak mówią? — spytała Cesia.

— Najistotniej! Dowiadywałem się i wiem dokładnie; dawny majątek nadrujnowany, to prawda, ale jeszcze piękny, a ze świeżą sukcesją uczyni przeszło trzy miliony fortuny czystej, nie licząc remanentów prawdziwie pańskich... Same sławne srebra jego liczą na parę kroć sto tysięcy...

Cesia się zamyśliła, wolałaby zapewne z ową milionową fortuną innego męża; ale i Farurej miał swoję dobrą stronę. Stary, musiał przecie czemś zapłacić za swoję starość, musiałby zrobić zapisy, dogadzać upodobaniom, nadskakiwać, a w ostatku prędzej mógł od siebie uwolnić niż kto inny. Hrabia też wcześnie to sobie ułożył, i zbogacając Cesię przewidywał, że wkrótce będzie wolna a bogata, że wyjść może później za mąż za jakie gołe książątko, a nimby to doszło do skutku, ojciec naturalnie zarządzałby majątkiem... Nieszczęściem te rachuby opierały się głównie na latach i zdrowiu Farureja; a nic zawodniejszego nad życie ludzkie, ci najczęściej giną sami, co ze śmierci cudzej korzystać się przygotowują. Śmierć, filutka, płata figle najniespodziewańsze, jakby ją to bawiło...

Sylwan był też bardzo za tem małżeństwem, była za niem potajemnie i matka, choć dla utrzymania swego urzędowego charakteru sprzeciwiała się zlekka, dowodząc, że z dziecka dla widoków pieniężnych ofiary czynić się nie godzi.

Cesia tymczasem, jakby pierwszy starający się o nią jawnie był dla niej oznaką emancypacji, patentem dojrzałości, spoważniała wielce, nabrała pewnego tonu i głęboko zdawała się namyślać. Troszkę kochała Wacława, ale to w jej przekonaniu nie przeszkadzało zamążpójściu za starca; między miłością i poświęceniem się dla niej, a życiem swobody i dostatku, wybór był łatwy przy takiem jak jej wychowaniu i przykładach, nie wahała się też wcale. Lecz mając iść za starego, chciała by był bardzo stary, i troskliwie wypytywała, czy istotnie ma tyle lat ile mu przypisywano, i tyle majątku.

Ojciec, który się spodziewał oporu i gotował do walki, zdumiał się, widząc ją przygotowaną zupełnie i wyprzedzającą niejako jego żądania.

— Ma rozum — rzekł w duchu — nad lata! nad lata! nie byłaby dzieckiem mojem! Coto za wytrawność i kalkulacja *zdrowa!* a nie ma jeszcze lat dwudziestu!!! a wychowane to na wsi!! Ho! ho! trząść będzie światem, byle nań wyjrzała!...

Za drugą bytnością w Denderowie widocznem już było, że Farurej od wszystkich nadzwyczaj dobrze przyjmowany; od panny najlepiej jak być może, uwięźnie na lep i da się usidlić. Starzec sądząc, że to zwycięztwo winien był sobie tylko, wybornemu tonowi, dowcipowi, udawanej swej młodości i pokostowi paryzkiemu, którym był okryty, uszczęśliwiony do szału, padał przed Cesią z takiemi oznakami najszaleńszej miłości, że przytomni jej wybuchom, ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Cesia dowcipowała z nim, ochoczo dotrzymując mu placu; zachwycała go przytomnością umysłu, wesołością i tonem, jakich w tak młodej panieneczce ani się mógł spodziewać. Nie chciał w tem wszystkiem widzieć grudniowy zalotnik jawnego przecie zepsucia i chłodu.

Za trzecią czy czwartą bytnością, Farurej zupełnie oszalał, obałwaniał, i gotów już był siebie i wszystko co miał oddać tej czarodziejce. Hrabia patrzał jakby nie widział; hrabina pomagała nieznacznie, stękając na ofiarę; Sylwan, w nadziei łatwej pożyczki pieniędzy od przyszłego szwagra, pochlebiał mu, przybrał za przyjaciela, za powiernika, i zręcznie jak równego traktował.

Nic bardziej starcowi pochlebiać nie mogło. Sku-

tkiem całej tej komedji, Farurej wyobraził sobie, że istotnie odmłodnieć musiał, że wiek jego dla wszystkich był tajemnicą, a niebytność długa rachuby kalendarzowe pomieszała. Płochy jak dwudziesto-letni młodzieniec, gotował się do ofiar największych, byleby na swojem postawił, byle ubóstwionej Cesi rękę otrzymał.

Cesia wpół śmiejąc się, wpół płacząc patrzała na przyszłość: wśród jej obrazu Wacław migał przed nią smutny, milczący i cichy, ale stały. Nie mogła obejść się bez niego, odpędzała natręta napróżno, w końcu mówiła sobie: — Będzie z nami, przy nas, ze mna! Lecz byćże on zechce, gdy zostaniesz żoną tego starca, przedając mu się tak ohydnie? — pytał głos wewnętrzny. — Musi! odpowiadała — ja każę i przyjdzie!

Po podbiciu Farureja, o niczem już nie wątpiła, chociaż to było łatwe zwycięztwo; ale pierwsze taką daje odwagę, w taką wbija pychę! A to był pierwszy tryumf, na który ludzie patrzyli.

Jakkolwiek śmieszny swą pretensją do młodości Farurej, z innych względów był postacią wielce niepospolitą dla nas, bo u nas wszystko, co sie choć potarło o obce, co trąci zagranicą, co przybywa przesiąkłe cudzoziemczyzną po długiem dobrowolnem wydaleniu, wyższem się i doskonalszem wydaje.

Żartowano z niego trochę, ale go naśladowano: jego powozy, konie, zaprzęgi, ubiory, urządzenie domu, służyło za wzór dla drugich, a zwłaszcza dla młodzieży Farurej, dobry koleżka, otaczał się nią chętnie, sprawiał baliki, prawił cynizmy, i grał rolę młodzika, pomimo podagry i reumatyzmów bez liku, z natchnieniem i żywością niepospolitą.

W sąsiedztwie, choć zazdrość kazała szydzić z niego, wszyscy sarkali, że tak *piękna* partja dostanie się dumnej, zimnej, szyderskiej, nieznośnej hrabiance. Tyle panienek jeszcze młodszych gotowe były poświęcić się i uszczęśliwić starego rozpustnika. Niestety! dziś nawet u młodziutkich panienek, któreby dawniej za skarby świata nie zaślubiły starca, jedyna modlitwa, jedyne życzenie, znaleźć bogatego a schorzałego paralityka, i sprzedać się, byle drogo. Serca nie ma! Są głowy i rachuby, poczynające się w latach piętnastu, gdy samo serce bićby tylko powinno!!

Cesia tedy codzień widoczniej zwyciężała. Cieszyli się po cichu rodzice, a Sylwan na rachunek tego co tydzień pożyczał u Farureja, skarżąc mu się na skąpstwo ojca i potrzeby młodości.

Tymczasem Zygmunt-August Dendera wikłał się coraz głębiej w interesa, usiłując wykłamać byt swobodny i bogactwo, które uciekło. Szło mu w istocie najgorzej, ale nikt o to nie mógł go posądzić; opłacano z rzetelnością niewidzianą procenta i zażądane kapitaliki, dawano szumne bale, dom na świetniejszą niż kiedy podniesiono stopę. Imieniny, Nowy rok, zapusty, obchodzone zwykle szumnie, teraz zapraszając dokoła, z muzyką wytworną, ze szczególnemi wymysłami, zabierano się solemnizować. Kredytorowie zdumieni, osłupieli: nie pojmowali co się to dzieje; ale gdy klucz Słomnicki skonfiskowano, a to nie ustawało; gdy hrabia równie wesołą twarz zawsze ukazywał, prawił o spekulacjach, płacił nie wypraszając się, i nie tylko nie począł się oszczędzać, ale wspanialej jeszcze występował, powiedziano sobie, że musi mieć kapitały, że ma tajemne sumy na bankach. Ci nawet, co go najlepiej

znali, jak Smoliński, zdumieni zuchwalstwem, niedowierzali oczom, i zawahali się w przekonaniu o grożącem bankructwie.

Sylwan cały zajęty swoją przyszłą zdobyczą, pospieszył do Wulki, i stawił się w terminie na rozmowę z Brzozosią, wcześnie przygotowany do datku, który sądził nieuchronnie potrzebnym dla pozyskania jej względów. Ale ostatnia rozmowa z Franią wielce zachwiała przekonaniem Brzozosi, i dała jej do myślenia: przypuszczać poczęła, że wychowanica jej nie kochała hrabiego, a namawiać nie umiała. Cała nadzieja jej była w tem, że Frania się rozkocha, a hrabstwo i bogactwo przy młodości i ładnej twarzy muszą ją chwycić za serce.

Idąc do lasku, Brzozosia postanowiła sobie wybadać pilnie młodego hrabiego o dalsze jego zamiary, czyby się nie chciał zaraz ożenić? nie pojmowała bowiem w prostocie niepokalanej ducha innej intrygi, tylko przyspieszającą co najrychlej wiekuiste połączenie. I gdy Sylwan spieszył z myślą nakłonienia jej, aby mu pomogła do zawiązania tajemnych z Franią stosunków, ona po prostu i po staroświecku chciała go ożenić, choćby mimo woli ojca, byle tylko co najprędzej. Kabała dawała jej ufność, że zwycięży, i że Frania będzie szczęśliwą.

Zeszli się prawie w tem samem miejscu, co wprzódy; a Brzozosia, cała drżąca, żeby jej kto nie zobaczył, zwłaszcza rotmistrz, którego się obawiała jak ognia, postanowiła z góry stanowczo zapytać hrabiego, kiedy wesele?

Byle Frania za niego poszła, mówiła sobie, to się kochać muszą, i będą szczęśliwi....

— Cóż tedy? — zapytał żywo Sylwan, wyglądając jak najpomyślniejszej odpowiedzi.

— A cóż, panie hrabio! — odparła Brzozosia, oglądając się — mówiłam z Franią, ale to gołąbiątko zwyczajnie, ani wie samo co się w jej serduszku dzieje; a ja widzę, że hrabiego kocha i kochać musi.

— Ale jakże się przybliżyć, poznać lepiej?

— No! a hrabiaż ją kocha? — spytała Brzozosia.

— Jak! pani nie uwierzysz?! — zawołał z zapałem.

— No! to chwała Bogu! Już na siebie biorę księdza i ułatwienie ucieczki; pojedziemy nocką do kościoła, proboszcz ślub da, a rodzice muszą przebaczyć.

Sylwan stanął osłupiały i zastygły.

— Jakto? — rzekł powolnie, cofając się — ależ my jeszcze... nie dosyć się znamy!

— Jakto niedosyć, kiedy hrabia ją kochasz? — spytała Brzozosia.

— Trzebaby się nam częściej i swobodniej widywać.

— Na co? — przerwała stara panna — co tu darmo czas tracić. Ot, brać zaraz ślub i po wszystkiem; będziecie się potem sobie widywali po całych dniach, ile zechcecie.

Hrabia oziębł bardzo, zmieszał się, nie wiedział co mówić, czuł, że się złapał; chciał mowę zastąpić czynem wyrazistym, i podsunął zręcznie rulonik złota w rękę panny ciwunównej.

Trudno opisać co się stało z Brzozosią na widok tego zwitka, którego w początku zrozumieć nie mogła; a domyśliwszy się znaczenia po wadze, z krzykiem jak gadzinę upuściła, odskakując na kilka kroków. Zała-

mała ręce, oczy jej zapaliły się gniewem, i jakby światło jakie nagle ją oblało, cofnęła się ze zgrozą od skonfundowanego młokosa, który zapóźno pomiarkował, że głupstwo zrobił.

— A to tak mości hrabio! — zawołała trzęsąc się cała — to ty myślisz, że ja ci moje dziecko sprzedam? Chciałoby się kupić moję poczciwość za złotko! Coto waćpan myślisz sobie, żem lada sługa, żem jaka przedajna!...

Gniew áż jej mowę zatamował; hrabia poczynał się tłumaczyć, bąkał, czerwienił się, ale stara panna raz puściwszy wodze językowi, silnie obrażona, upamiętać się nie mogła.

— Waćpan myślisz — wołała — żeśmyto hołysze, których można kupić i okpić jak się podoba, dlatego żeś ty hrabia!! Chcesz się żenić, to ci pomogę, ale nie za pieniądze; a jeśli myślisz tylko zwodzić, to ci się z nami nie uda, ja pierwsza ci oczy wydrapię... Choć w cycowym szlafroczku chodzę, ale twoich pieniędzy nie potrzebuję...

Widząc że nie żarty, podniosłszy rzucony rulonik, hrabia zaciął usta z gniewem i odstąpił wściekły, dosiadając konia co żywo; ale nim się potrafił oddalić, posłyszał tyle, ile w życiu jeszcze nie zdarzyło mu się od nikogo, i ze zmytą głową poleciał do domu.

Brzozowska zdyszana, zgniewana, trzęsąc się jeszcze cała od niepohamowanego wybuchu, powróciła do Wulki, i trafiła na Kurdesza w ganku, odmawiającego właśnie pacierze na książeczce. Postrzegłszy ją, stary poznał, że się jej coś trafić musiało, i śmiejąc się zapytał:

— A co tam? czy nie lisy złapały czubatą kurkę? może wilk zdusił jagnię panny ciwunównej? Coś się

musiało stać okropnego, boś widocznie poalterowana moja Brzozosiu!

Nie zebrała się jeszcze co odpowiedzieć rezydentka, gdy Kurdesz dodał:

— Ale bo widzę wracacie z gaju?

— A z gaju, z przechadzki — odpowiedziała.

— Czy ci się co, uchowaj Boże! trafiło?

— Nic! nic! — zimno, przychodząc do siebie i pragnąc się co najrychlej ukryć w kątku, odpowiedziała.

— Jakto nic? ależ widzę, że panna albo postraszona albo rozgniewana.

— Niewarto o tem mówić — mruknęła uchodząc.

Frania nie potrafiła nic z niej dobyć, prócz kilku słów pogardy dla hrabiego.

Sylwan po tej wycieczce upokorzony do ostatka, postanowił i zaprzysiągł sobie rzucić zupełnie niewczesne staranie o Franię. Bolał srodze ze wstydu, ale rozumnie ukrył swoje strapienie wewnątrz siebie i milczał.

Tymczasem Wacław z panią podsędkową przybył do Kudrostawu, gdzie zaraz pilno im było wszystkim pochwalić się nowem nabyciem. Zgodzono go bardzo się targując za lichą pensyjkę; zawarowano, żeby uczył chłopców czego tylko można i jak najwięcej; zastrzeżono, żeby fortepianu nie psuł swojem klepaniem i nie grał na nim, tylko gdy go przy gościach prosić będą, a dla siebie raz na tydzień w niedzielę (co go najwięcej kosztowało); kazano mu stać w niewygodnej i wilgotnej izdebce, ledwie że nie odmówiono pierwszych potrzeb życia; tak zdawało się Dębickim ciężką rzeczą to przyjęcie jego do synów, ale razem chciano się nim chlubić

i popisywać jak najwięcej. Poszły więc wieści o metrze po sąsiedztwie, których trąbą był Cielęcewicz, głoszący iż Dębiccy przyjęli nauczyciela muzyki do dzieci, dawnego wychowańca hrabiów i metra hrabianki, że mu ogromną płacą pensję, itd. itd.

Pierwszy, który te wiadomości przywiózł do Denderowa, był rotmistrz Powała; rzucił ją wśród gwaru towarzystwa ze śmiechem, i wprost doszła do uszu Cesi. Nie zarumieniła się wcale, nie zdziwiło jej, uderzyło jej tylko serce tajemnie, i powiedziała sobie: — Wrócił, bo się do mnie chciał przybliżyć.

Ale cóż mi tam — dodała — jakiś biedny nauczyciel, choć podobno oszalał za mną! Niepodobna, żeby się tu kiedy nie zjawił; przyjmę go zimno i ostro. To zuchwalstwo!

Hrabia dowiedziawszy się o tem, brew marszczył, i zdawał się widocznie czegoś niespokojny i kwaśny.

— Miał jechać do stolicy — rzekł — lub zamieszkać w Żytkowie, w Kamieńcu; po cóż tu znowu powraca, to nie ma sensu! Muszę go zobaczyć i dobrze mu zmyć głowę.

W tem ktoś począł się rozwodzić szczerze nad dobrodziejstwy wyświadczonemi przez hrabiego dla Wacława, a stary Dendera odwrócił się chmurny, i jakby przez uczucie skromności przerwał:

— Nie mówmy o tem, nie warto!

Widocznie był przecież zmieszany i nie rad wiadomości.

Wacław w Kudrostawie nie łacno oswajał się z obcym domem i ze służebnictwem swojem. Dom też to by oryginalny, jakich i u nas niewiele, choć nam na oryginałach nie zbywa. Państwo podsędkowstwo Dębiccy,

świeżo zbogaceni, chciwi wnijścia w grono obywatelstwa, łączyli skąpstwo dawne z wystawą, której, wedle ich wyobrażeń, nowy stan wymagał. Przepych ten szlachecki, niesmaczny i śmieszny, zamiast podnosić, poniżał ich jeszcze i wystawiał na szyderstwo, którego się dopatrzeć nie umieli; .bo wszystkie urągowiska brał za pochwały, nie dopuszczając myśli, by z nich szydzić się kto ważył.

Gorzki to chleb cudzy, gorzki to dach obcych, choćbyśmy nie z łaski jedli, nie z łaski mieli schronienie choćby za nie płaciła i nadpłacała praca; zawsze to ciężkie życie najemnika! Tym, którzy nas przypuszczają do swego stołu, do swojego domu, zdaje się często, że żaden wysiłek i poświęcenie nie potrafi opłacić ich wielkiego wyświadczonego nam dobrodziejstwa; a nam widzi się zawsze, że praca nasza więcej jest warta nad płacę. Ciężko jest być sługą, cóż dopiero stanąć na tem stanowisku wątpliwem, co dzieli sługę od ubogiego przyjaciela? Mając do czynienia z ludźmi bez serca, nieustanna się toczy walka; i oni chcą, byś był ich sługą, ty chcesz pozostać niepodległym. Właśnie w takiem położeniu był Wacław u Dębickich, którzy z niego wszystko mieć chcieli, pewni będąc, że za ich trochę pieniędzy, powinni byli całego kupić sobie człowieka, że za nie sprzedał im się bez wyjątku! Każdą jego wolną chwilę uważali za skradzioną sobie, i jak skąpiec, co zapłaciwszy śniadanie w garkuchni, zjada do ostatniej chrząstki, choćby się miał rozchorować, tak oni wszędzie, do wszystkiego, ciągle posługiwali się radzi Wacławem. Oprócz lekcji muzyki, musiał być nieustannie na ich rozkazy: sam pan posyłał go do miasta powiatowego po obiedzie, gniewając się, jeśli na lekcję

ranną nie powrócił; proszono go o robienie rachunków, o dozór nad ludźmi, o posługi najnudniejsze i najprzykrzejsze, nie mając względu na to, że go niemi męczono. Powinien się był czuć szczęśliwym, że im służył.

Pani Dębicka gdy mu dać raczyła drugą filiżankę herbaty, mniemała, że się obficie wywiązuje ze wszelkich względem niego obowiązków grzeczności. Biedneto i ciężkie było życie! Nieustannie na pokaz wyprowadzany, zmuszany do popisów, poniewierany i jak piłka rzucany Wacław, ledwie skosztowawszy swobody wiejskiej, rad się był z niej wydobyć co najrychlej.

Przywykły do pracy nad sobą, do dumań swobodnych, wreszcie niewolnik i wprzódy, ale ludzi lepiej umiejących pokryć swą władzę i w pewne formy odziewających absolutność, Wacław cierpiał boleśniej niż od najprzykrzejszego niedostatku.

Jedyną jego pociechą było wyrwać się na wolność, pochodzić, przedumać godzinę, marzyć o swojej sztuce i wielkich jej tajemnicach; a kilka książek, niemych przyjaciół, nad których lepszych nie mamy (chociaż i ci jak często zdradzają!), orzeźwiały go w zobojętnieniu upadłego na duchu.

Dom Dębickich był osobliwszego rodzaju. Pan i pani ekonomowali jeszcze na swojem, udając panów w potrzebie, a udając ich bardzo pocieszne. Oboje na pozór nie wdawali się w gospodarstwo, czasem nawet odegrywali obojętność na nie, ale ukradkiem szpiegowali obroty oficjalistów, męczenników ich nieufności, i znając rzemiosło doskonale, wszędzie szukali podstępu.

Sam pan podsędek wysoki, silny pachoł, z wąsem i bokobrodami rudawemi, udawał, że nadzwyczaj lubi gazety i towarzystwo; krzyczał bardzo głośno i bredził

śmiało; pobrzękiwał pieniędzmi, o których obfitości częste były wzmianki; sadził się na zbytki powierzchowne a żył z najobrzydliwszym skąpstwem. Mieli kocz, karetę, cugi, liberje, i guzy, i blachy złociste, ale ludzie u nich jedli bez soli, chodzili w domu bosaka lub w łapciach, a wieśniak pędzany, robił prawie od niedzieli do niedzieli i nazywał się chamem.

Wzniósłszy się nad swój stan pierwotny, Dębiccy mniemali się już tak wysoko, że wszystko co od nich niżej stało w hierarchii socjalnej, uważali za niegodne wejrzenia, za tak liche, za tak nikczemne, iż to się ledwie człowiekiem godne było nazywać. Można sobie wyobrazić jak uważali Wacława, zmuszonego służyć im dla kawałka chleba.

Z wyższymi, choć parli się na stopę równości, oboje państwo przechodzili nieustannie z dumy i zarozumienia do mimowolnych upokorzeń. Trafiało się naprzykład, że Dębicki wstawał na wnijście każdego i ustępował miejsca lada tytulikowi; ale bywało także, iż aż do niegrzeczności posuwał dbałość o utrzymanie się na mniemanem stanowisku, z którego prerogatywami nie był jeszcze oswojony. Nie każdy panem być może kto chce.

Dom odpowiadał ich charakterowi i sposobowi życia: byłoto niezgrabne naśladowanie tego, co widziano gdzieindziej, bez zastosowania do miejsca i potrzeby, a nadewszystko bez smaku. Dziedziniec niby angielski pstrzyły pogoła budowle malowane i herbowne, sztachety wykwintne różnych rodzajów, jedne od drugich niezgrabniejsze i ozdoby pociesznie naiwne. Ogród spacerowy kompozycji samego pana, ubierały altanki i ławki w osobliwszym guście. Salon z meblami Testorego i Bajera w każdym kącie inną miał fizjognomją;

nie potrzebujemy mówić, że wszystko chodziło w kapkach i starannie oszczędzane, od gości się tylko demaskowało. Świecidełek i błyskotek nie żałowano, a przy każdej zręczności cena lada fraszki obić się musiała o uszy tych, których najmniej obchodziła; domowi powtarzaniem nauczeni, wiedzieli najdokładniej ile nawet tafelka w posadzce zapłacona była.

W takimto domu na pierwszą próbę skazanym był Wacław, nie znalazłszy w nim żywej duszy, coby się z nim biedą tą podzielić chciała, coby uczuła jego cierpienie; owszem wszyscy jeszcze zdawali mu się wymawiać jego *szczęście*.

Wacław przywykły do znoszenia, spokojnie, z uśmiechem spełniał obowiązek, i wypijał do dna gorycze tego kielicha służebnictwa. Po dwóch blizko miesiącach pobytu w Kudrostawie, na prośbę jego chętnie mu dozwolono pojechać do Denderowa, a była to zręczność pochwalenia się końmi i powozem; dano mu cug gniady i kocz paradny, po tysiąckroć go przestrzegając, żeby nie powałał sukna i koni pędzić nie kazał, żeby się nie poupijali, żeby się co, uchowaj Boże! powozowi lub rumakom nie stało.

Nie bez jakiegoś uczucia przestrachu wyjechał Wacław do domu, w którym dzieciństwo i młodość przepędził; a obraz Cesi przelatywał przed łzawemi jego oczyma. Gdy ujrzał ogród, mury pałacu i miejsca uświęcone długiem cierpieniem, marzeniem, latami nadziei i boleści, w których się jeszcze pieścił przyszłością, biedny sierota zapłakał potajemnie.

Hrabia przyjął go kwaśno i na wstępie zapytał:

— Cóżto? słyszę powróciłeś z Żytkowa i zakopałeś się na wsi? Do czego to prowadzi?

Wacław opowiedział mu całą historją pobytu swego w mieście, i zwątpienie o przyszłości.

— Chcesz, żeby ci los przyniósł pieczone do ust gołąbki — ruszając ramionami odparł Dendera. — Tak się nigdy nie dzieje, trzeba walczyć, pracować i nieraz biedy przecierpieć. Najłatwiej sprzedać się za nędzny kawałek chleba; ale powtarzam, to prowadzi do ożenienia z garderobianą i zostania organistą.

Wacław zamilkł, czując się poniekąd winnym.

— Cóż waćpan myślisz? — spytał hrabia — długoż tu będziesz?

— Przynajmniej do roku.

Dendera pokiwał głową z wyraźnem nieukontentowaniem.

— Ha! rób sobie co chcesz! — odparł — ale cię przestrzegam, że jesteś na zupełnie fałszywej drodze: tracisz młodość i zginiesz marnie.

— Ażeby posunąć się dalej — pocichu rzekł Wacław — potrzeba środków, pomocy, pieniędzy...

— Tych ci nie dam — cynicznie odpowiedział Dendera — miałbym na sumieniu dłużej twojemu opuszczeniu się dopomagać, dosyć czyniłem dotąd; potrzeba samemu o sobie myśleć, a nadewszystko nie tu na wsi szukać sobie losu.

Wacław chciał odpowiedzieć, ale dano znać o przybyciu Farureja, i hrabia zabrał go z sobą do salonu, chcąc, by się pokazał żonie i gościom. Trochę był chlubny ze swego wychowańca, i czasem go tak wyprowadzać lubił, by wywołać pytania i napomknąć, co uczynił dla opuszczonej sieroty.

Wszedłszy zastali już hrabinę, Cesię, przy której, ze swą młodocianą miną a starą twarzą, pobielaną tylko na nowo, siedział Farurej, prawiąc jej francuzkie

grzeczności i wyuczone dwuznaczniki. Cesia zmieniona do niepoznania, pewna siebie, śmiała, mówiąca, wystrojona, opierała się od niechcenia na kanapie, wpatrując w bukiet, który jej ofiarował, bukiet kamelii i orchideów, przepyszny, nie wiem zkąd sprowadzony, ale zachwycających barw i woni. Wspaniała paulownia zajmowała środek tej ogromnej wiązki kwiatów, uderzając niewidzianemi kształty i rzadkością.

Gdy wszedł Wacław, Cesia zmierzyła go spojrzeniem, i postrzegłszy zbiedzonym, bladym, smutnym, nieśmiałym, ledwie się nie zawstydziła przed sobą, że jej z cicha uderzyło serce, że go poznała jeszcze. Kiwnęła mu główką z góry, ale tak pogardliwie, jakby rzucała jałmużnę ubogiemu, który ją ranami i kalectwem odstręczał. Hrabina, nielubiąca wychowańca, ledwie że go postrzedz raczyła; a Sylwan nie kryjąc z jakiem go lekceważeniem traktował, zapytał głośno:

— Cóż, słyszałem, że jesteś u Dębickich?

— Jestem w istocie — zimno odparł Wacław.

— Cha! cha! — rozśmiał się stary hrabia — do czego to dziś przyszło: państwo Dębiccy uczą dzieci muzyki!

Wszyscy się rozśmieli za gospodarzem, a biedny sierota zakłopotany, znalazłszy gdzieś w kątku miejsce, przysiadł się z bolem w sercu, schodząc z oczu. Takiego przyjęcia (choć mógł je przewidzieć), nie spodziewał się przecie, i wyglądał współczucia, miał nadzieję spojrzenia Cesi, jeśli nie mówiącego więcej, to litośnego przynajmniej. Ona przeciwnie, zdawała się wysilać na okazanie, jak daleko stali od siebie, jak obojętnym był dla niej, jak dziś wysoko myślą i nadzieją wzleciała.

Kilka godzin do wieczora przeszły wśród ogólnej

rozmowy, do której Wacław nie był przypuszczony; miał już odjeżdżać, gdy Farurej wreszcie ruszył się także, i trzpiotowato pożegnawszy towarzystwo, podskakując na cienkich nóżkach, zbiegł ze wschodów z Sylwanem; Wacław miał także kapelusz w ręku, gdy Cesia, tyłem stojąc do niego, odezwała się:

— Proszę poczekać! Chcę, żebyś mi pan zagrał!

Zawsze jeszcze posłuszny Wacław, rzucił kapelusz i zastanowił się.

— Siadaj pan i graj mi co chcesz! — kończyła Cesia, wpatrując się w swój bukiet i wyciągając niedbale na kanapie. — Cóżeś pan przez ten czas porabiał?

— Co zawsze, co tutaj.

— I zawsze, jak widzę, smutny, ponury bohater romansu...

— Doprawdy, nie mam się czem cieszyć; zresztą Pan Bóg mnie takim stworzył...

— A jużciż, przepraszam! — podchwyciła Cesia — choćby z miejsca u państwa Dębickich cieszyć się pan winieneś. A powiedzże mi, proszę — dodała śmiejąc się do rozpuku, ale śmiechem przymuszonym — jakże tam ci ludzie żyją?

— Jak ludzie.

— Prawda, że to są zbogaceni ekonomowie?

— Nie wiem ich przeszłości.

— A żałujesz ich pan i chcesz bronić?

— Nie, ale nic nie wiem.

— No, to graj pan, kiedy mówić zapomniałeś. Zobaczym, możeś i grać zapomniał także.

I rozkazawszy grać, Cesia przerwała zaraz pytaniem:

— Znasz pan tego gościa co wyjechał?

— Pierwszy raz go widzę.

— Ktoś bardzo miły! To mój narzeczony! — szepnęła ze śmiechem.

Wacław pobladł, schylił się nad fortepian.

— Pani sobie żartuje — rzekł zcicha.

— Nie! nie! doprawdy! i wczoraj mi się oświadczył; znajduję go bardzo dobrze. Nieprawda, że ma minę i świeżą, i młodą, i dystyngwowaną?

— Chce ją mieć, to prawda!

— O! i ma! Zresztą, to do pana nie należy. Graj pan!

Wacław grał znowu; Cesia mu przerwała:

— Więc zapraszam pana na moje wesele.

— Wątpię, żebym się pani przydał na co...

— Znajdę dla pana zajęcie — odparła — będziemy mieli tyle gości.

Wacław już sam grać począł; ale ona tupiąc nóżką, nie dała mu ciągnąć dalej, i krzyknęła:

— Dajże pan pokój temu graniu! nieznośnie klapiesz po fortepianie. Mów mi co o Dębickich, żebym się pośmiać mogła.

— Daruj pani, ale dla mnie to wszystko tak smutne!

— Pan-bo koniecznie chcesz grać rolę nieszczęśliwej ofiary! — zawołała śmiejąc się i topiąc w nim wejrzenie zimne, a kolące boleśnie.

Wacław porwał się oburzony, cierpiący; głowa mu pękała i serce się darło. Pochwycił za kapelusz.

— Czego się pan spieszysz?

— Kazano mi rychło powracać; jam się opóźnił.

— A więc powracaj pan sobie, kiedy mu tak pilno! Ale — dodała — pamiętaj, że masz przyjechać na moje wesele.

I rzuciwszy mu jeszcze to słówko, jakby go chciała

zranić najboleśniej, pożegnała skinieniem głowy smutnem, wejrzeniem wymownem, by niezupełnie odszedł zrażony, żeby cierpiał, a powrócił.

— Wszak do zobaczenia, nieprawdaż? do zobaczenia?...

— Nie wiem — rzekł Wacław.

— Ja chcę, ja każę, jak dawniej... — szepnęła cicho. — Zapraszam na wesele.

z przymuszonym śmiechem dodała:

— Pan lubisz podobno rezedę? Otóż jej gałązka z bukietu pana Farureja; niech mu ona przypomni, żeś mi pan dał słowo być na mojem weselu.

— Będę pani — odpowiedział Wacław, zbierając się na siły — będę pewnie!

Wyraz, z jakim to wymówił, blask jego oczu, łza, co się w nich widocznie kręciła, przeraziły i poruszyły Cesię; chciała go jeszcze zatrzymać i ukoić, ale wybiegł szybko, i żywy tylko chód po wschodach słychać było: uciekał.

Ciemnym zmrokiem pożegnawszy hrabiego, który naglił, żeby się z tych stron oddalał, i Sylwana, który pogwizdując rzucił mu obojętne *adieu*, sierota pospieszał do powozu stojącego u bramy, gdy licho odziany człowiek, stary i siwy, oglądając się do koła, zbliżył się ukradkiem do niego.

Wacław myślał, że to był żebrak i dobywał pieniędzy, ale wieśniak schwycił go za rękę, i popatrzywszy mu w twarz, zapytał:

— To wy Wacławek?

— Co chcesz mój stary? to ja.

— To wy, syn tej biednej kobiety, co to na pasiece umarła... co to graf wziął was na opiekę?

— To ja, mój kochany.

— A! to wy! — powtórzył wieśniak kiwając głową. — A gdzież teraz mieszkacie?

— W Kudrostawie, mój kochany. Lecz co chcecie odemnie?

— Nic, nic — odpowiedział stary oglądając sie ostrożnie na wszystkie strony — nic, tak, to ja was tylko chciałem zobaczyć, bo to ja was dzieckiem hodował — i cicho dodał:

— Jedźcie-no już, jedźcie, zobaczymy się.

To powiedziawszy zawrócił się i uszedł.

Spotkanie to, słowa i wejrzenie tajemnicze przerwały nowem wrażeniem pasmo uczuć podrażnionych, przed chwilą żywą boleścią napełniających serce sieroty. Wacław wsiadł do powozu ciekawy, zajęty spotkaniem, przeczuwając że ono dla jego przyszłości obojętnem być nie może, i pojechał milczący i rozmarzony do Kudrostawu, gdzie zaraz na pierwszym wstępie obsypano go pytaniami o powóz i konie, potem o przyjęcie u hrabiów, o nich samych, o dom, zwyczaje itd. Dębiccy niczego tak ciekawi nie byli jak pańskich obyczajów, bo też je małpować musieli po swojemu.

Wacław niewiele ich nauczywszy, odszedł szybko z wielkiem zgorszeniem obojga państwa by spocząć, gdy właśnie spodziewali się, że za dzień im odkradziony zapłaci, poświęcając cały wieczór usłudze koło dzieci i przypodobaniu się łaskawemu państwu.

— To — rzekł Dębicki kwaśno po jego odejściu — jakiś bardzo góro-nos kawaler, udaje obywatela, choć jakiś znajda, sierota! We wszystkiem mu dogadzają a jeszcze nie raczy i pogadać; potrzeba się tu inaczej wziąć do niego.

— Nie bój się, ja mu prawdę wypalę otwarcie — zawołała pani, która się w takich sprawach i w ogólności we wszystkiem uważała za wyższą od męża z powodu, że się bliżej o panów otarła — potrafię ja go upamiętać co nam winien, i przypomnieć mu kto my jesteśmy, choć nie hrabiowie... a zresztą jeśli nie zechce służyć jak należy, jedząc nasz chleb, no to szczęśliwej drogi, niech sobie rusza.

— A! stój Kasiu! — przerwał Dębicki — między nami mówiąc, byłoby to najgorzej; a coby to ludzie powiedzieli? Że nie my go odpędzili, ale on nas porzucił; dla reputacji domu niechaj będzie.

— No! a jeśli tak ciągle nosa będzie zadzierać?

— To już jakkolwiek do roku dokołaczemy, inaczej rozsławią, że u nas i roku wybyć nie można.

— A czegożto dbać o ludzkie gadanie?

— Zapewne. Ale znowu z drugiej strony — odezwał się Dębicki — lepiej nie dawać powodu do szkalowania.

Nazajutrz rano miała się zaraz pani Dębicka wziąć do Wacława przy lekcji fortepianu, przyszła nawet i przeszła przez pokój; ale smutna fizjognomia muzyka, jego chmurne czoło i jakaś wyższość, której przewagę uczuła, zniewoliły ją odłożyć na potem wymówki. Jakoż i sam pan bardzo niespokojny, był za tem, a Wacław pozostał, o niczem nie wiedząc, spokojnym.

Zmierzchało. Nieco odetchnąwszy wyszedł nauczyciel z chłopcami na przechadzkę; gdy w ulicy topolowej, która wiodła do dworu, spotkali wczoraj w Denderowie widzianego starca. Przyjście jego tutaj do najwyższego stopnia podbudziło ciekawość Wacława, ale przy dzieciach rozmówić się z nim było niepodobna; odprowadziwszy więc wychowańców po przechadzce do domu,

sam się uwolnił, oznajmiając, że ma pilną potrzebę odejść na godzinę, i nie czekając pozwolenia pani, która z tego powodu zabierała się do wymówek, uszedł szybko, bo wieśniak czekał na niego w ulicy.

Starzec to był z długą, siwą brodą, którego twarz okazywała, że przeżył na świecie lat około ośmdziesięciu; miała ona tę barwę mszystą, cechującą zżółkły pargamin, i lice tych, co ukończywszy rzec można życie, dogorywają już tylko. Długi włos biały spadał mu na tył głowy, zostawując odkrytą, połyskującą czaszkę i obnażone czoło; oczy były wpadłe i brwią siwą nawisłe, nos suchy, usta bezzębne i zaklęsłe; broda puszysta dopełniała obrazu tej zastanawiającej smutną powagą głowy. Przygarbiony, jakby go ciężar lat przełamał, szedł spierając się na kiju. Ubior miał prosty, wieśniaczy ale czysty, i coś mówiło w odzieży tej, że nie zawsze ją nosił: krój siermięgi, chusta na szyi, czapka, do odprawionego dworaka podobniejszym go czyniły.

I w mowie, acz prostej, odbijały sie wyrazy niezwykłe ludowi, rzadsze i nie z wieśniaczego wzięte żywota.

— Mój paneczku, rzekł siadając pod drzewem a ciągle się przypatrując pilnie w twarz Wacławowi, powiedzcie mi naprzód, jakżeście wy od hrabiego odeszli?

— Wiecie, odpowiedział Wacław, że hrabia mnie wychował, wyuczył, i niech mu Bóg płaci! teraz o własnych siłach w świat puścił.

— I wy to, wy — ten Wacławek, co to się wychował u mnie na pasiece?

— Tak! tak, — rzekł smutnie młody człowiek — sierota nieznanej, ubogiej matki.

— A macież na piersiach jaki znaczek? jaki krzyżyk? medalik? — zapytał stary.

Wacław ze wzruszeniem dobył krzyżyka i pokazał go staremu.

— Tak! to on! to on! — zamruczał pasiecznik trzęsąc się z radości i pośpiechu, chcąc mówić i myśli nie mogąc połapać... — Czekajcież, czekajcie, mam wam dużo powiedzieć!... lecz naprzód o sobie, potem przyjdzie kolej i na was. Niedawnom przyszedł z daleka, z Podola; prosiłem się, prosiłem długo, lat kilka hrabiego, żeby mi pozwolił swoich pożegnać przed śmiercią, dopiero teraz dał się uprosić.

— Kiedy? — spytał Wacław.

— Trzy miesiące temu, alem przyszedłszy do Denderowa, już was nie zastał, tylko co was wyprawili w świat. Posłuchajcież, posłuchajcie, bo staremu droga godzina. — Naprzód moje życie.

— Mów, mów, mój kochany, a potem może powiesz mi co o matce mojej, o dzieciństwie mojem.

— Słuchajcie, słuchajcie! aby tylko kto nas nie podpatrzył i nie podsłuchał, wszystko wiedzieć będziecie.

— Nie bój sie, jesteśmy sami.

— Ja we dworze powiedziałem, że pójdę do miasteczka... nie powinniby się domyślać, żem tutaj z wami. Za młodu byłem ja kozaczkiem u ojca jeszcze hrabiego, pamiętam czasy nie dzisiejsze; potem służyłem dworsko, fornalem i furmanem, i znowu lokajsko przy pokoju, gdy nieboszczyk Filip *uciekł od kredensu;* a było to jeszcze za starego pana, kiedy oba panicze byli w domu.

— Było więc ich dwóch? — spytał Wacław.

— A tak! było ich dwóch, starszy poszedł na wo-

jenkę i gdzieś zaginął bez wieści, a młodszy po śmierci hrabiego objął włości i majątki. Lokajskom się naówczas wysługiwał jak mógł, wiernie, trzeźwo i poczciwie; ale jak młody hrabia dzisiejszy nastał, już tam dogodzić było trudno; człek się poddreptał, nie był zręczny, ani ruchawy; odprawiono mnie do kredensu, potem do pasieki. Gdyby żył nieboszczyk panicz starszy, taki był dobry dla wszystkich, nie byłby pozwolił starego sługi sponiewierać; ale nasz... nie bardzo uważał, jak się z kim obejść, aby jemu lepiej. Siadłem ja tedy na pasiece z moją babą, bom się czasu tego i ożenił; gdy raz, jak dziś pamiętam, pod wieczór przyprowadzili do nas ze dworu jakąś kobietę ubogą, licho ubraną, z malutkiem dziecięciem na rękach, a mówiła jakimś cudzym językiem, że jej ani rozumieć; mnie i mojej babie kazano ją hodować.

Na pasiece była chatka próżna porządna, bo tam bywało za starego pana jeździli na podwieczorki, to ją dla mnie oczyścili po jednej stronie, a po drugiej posadzili to biedactwo i kazali nam jej służyć.

Bylibyśmy i bez tego rozkazu z żoną jej posługiwali, choć się z nią rozmówić nie by ło można, bo litość brała patrząc na to nieszczęście. Widać to było dawniej i piękne, i młode, i do wygody przywykłe; ale nędza zjadła i strawiła piękność, młodość i nałóg dostatku. Z początku jak ją tu przyprowadzili ze dworu (mówiąc że to żebraczka, którą hrabia przytulić kazał), — ona okropnie krzyczała, rzucała się, coś mówiła jakby się odgrażała, przytulała dziecię do siebie, chciała uciekać, i słowem rzec, miała postać szalonej; ale po niejakim czasie gdy się spostrzegła, że krzyk i gniew nic nie dokaże, że jej nikt nie rozumie, a każdy przez to bierze

a obłąkaną, uspokoiła się biedaczka trochę i zrobiła się łagodna gdyby baranek, tylko dnie i nocy płakała a płakała; czasem wyrywała się iść, aleśmy już pilnowali i wstrzymywali.

Prawie codzień dowiadowano się z pałacu co się z nią dzieje, przysyłano trochę jedzenia, suknie; ale odtrącała wszystko i zdawało się, jakby każdy ten dowód starania i pamięci jeszcze ją gorzej niecierpliwił. Wreszcie w ciągłych tak desperacjach i płaczu zaczęła chorować, a dziecko, — toście to wy byli paniczu, — tak tuliła do siebie, tak ściskała, jakby się lękała żeby jej kto nie odebrał.

Miała jeszcze na palcu jakiś pierścioneczek gładki, złoty, i prosiła mnie żebym go sprzedał żydom a kupił jej czem pisać, co ja zrobiłem, bo wielka mnie litość brała nad nią. A niemałom się nabiedził nimem zrozumiał czego odemnie chciała; ale jak zaczęła mi pokazywać to papier jakiś, który przy sobie nosiła, to pierścionek, to udawać że liczy pieniądze, a potem że pisze, doszedłem jakoś czego jej było potrzeba.

Gorąco się chciała nauczyć naszego języka, ale mnie i żonie mojej ciężko przychodziło pokazywać jej, jak na co powiedzieć, a ona prawie ciągle tak była słaba, że leżeć musiała dnie całe. Widać było ze wszystkiego, że odbyła bardzo długą i straszną drogę, bo i nogi jej pokaleczone i obcy język dowodziły, że nie była z naszego kraju. Wreszcie nieustannie pokazywała na zachód, składała ręce, modliła się i płakała, a was przyciskała do piersi, odkazując pałacowi i zdając mu się grozić zemstą Bożą. Co to wszystko miało znaczyć, ja do końca nie zrozumiałem. Z tej rozpaczy i z choroby poczęło jej być wreszcie tak coraz gorzej a gorzej, że

już z łóżka nie wstawała; pisała tylko coś na papierze, którym jej kupił, chowała po kątach, a nauczywszy się kilka słów naszych, ciągle mi powtarzała: „Ja umrę, ja umrę, nie oddawaj nikomu, tylko małemu!“ I pokazywała na was, a całowała w ręce, w nogi i mnie i babę, padała na ziemię, prosiła, aż jej musiałem na krzyżyku przysiądz, że woli jej dopełnię.

— Jakże wyglądała? — spytał wzruszony Wacław.

— Ciemne miała włosy, oczy czarne, płeć białą, twarz bladą i pociągłą, a tak była wychudła, tak strasznie mizerna, usta miała tak spalone i pokrajane, ręce pokaleczone od powietrza, do którego widać nie przywykła, powieki ciągle nabrzmiałe od płaczu, pierś nieustannem jęczeniem zmęczoną, że jeszcze w życiu tak biednej nie widziałem kobiety.

Gdy coraz słabszą się czuła, a śmierć już widocznie zbliżać się poczęła, a tu ani księdza, ani doktora nie przysyłano, poszedłem sam do dworu o nich prosić, ale mnie hrabia odepchnął z tem, żebym sam pilnował, dodając tylko:

— Jeśli umrze, dawać znać natychmiast.

Nie śmiałem ja księdzu oznajmić sam, choć biedna kobieta, gdy śmierć się już zbliżała, poczęła aż szaleć z rozpaczy, dziecko tuląc, to znów mi je oddając, to się zrywając z posłania, to zachodząc od płaczu, to śpiewając jak do snu synkowi, to jakieś szybkie, głośne, straszne niby przekleństwa rzucając w swoim języku.

Myśmy już z żoną jak mogli pilnowali, doglądali w ostatniej słabości i plakali nad nią oboje, moja stara nawet powiedziała:

— Co będzie to będzie, a dziecka jej nie oddamy nikomu.

Wacław słuchając starca powieści, łzy ciągle miał w oczach i piersi mu się poruszały łkaniem, ale nie przerywał mowy, by słowa z niej nie stracić.

— Ostatniego dnia zebrała nieszczęśliwa papiery jakieś, związała je w chusteczkę, oplątała sznurkami, czem tylko miała owinęła, i wstawszy z łóżka klękła przedemną, znowu całując mnie w nogi a prosząc, bym tego nikomu nie oddawał tylko jej dziecku.

Gdyśmy jej oboje z żoną przyrzekli, usiłowała jeszcze pokazać nam, że się nas pytać będą, szukać, żebyśmy dobrze schowali, a my uspokoili biedaczkę jak mogli.

Naówczas powróciła do łóżka, na które padła osłabiona, i płacząc łzami gorzkiemi, położyła przed sobą dziecię, złożyła ręce, poczęła się modlić, całować i łzy błogosławieństwa popłynęły z jej oczu strumieniem na czoło twoje.

Strach było chwilami patrzeć, gdy przychodziła na nią rozpacz; włosy nam na głowie powstawały gdy się roześmiała nagle, gdy zawołała kogoś w nieznanym swoim języku, bo jedno imię powtarzała nieustannie.

Mnie to imię nie było trudno spamiętać, bo często u starych panów podobnie wołano starszego naszego panicza.

— A jakie on miał imię? — spytał Wacław.

— Jemu było Henryk — odpowiedział stary — świeć Panie nad duszą jego, dobry, przedobry był człowiek.

— Tak przemęczywszy się kilka godzin nieszczęśliwa, — mówił dalej pasiecznik — nareszcie Bogu ducha oddała jakoś uspokojona, a z rąk jej zaskrzepłych dziecinę płaczącą gwałtem odjąć musieliśmy. Moja stara wzięła ją i przeniosła do naszej chaty, a papiery schowaliśmy w ul pusty i zarzuciliśmy liściem suchym.

Zaraz pobiegłem do dworu dać znać o śmierci biednej kobiety, a gdym hrabiemu powiedział, zbladł tylko, wydał dyspozycje do pogrzebu, i rzuciwszy mi parę rubli, dodał:

— Dziecko odnieść do dworu.

— Jasny panie — rzekłem — ja nie mam dzieci; gdybyś JW. pan pozwolił nam tę sierotkę wychować sobie? — Pomyślał i rzekł:

— Do czasu, dobrze, potem może być inna dyzpozycja; niech tymczasem będzie u was. A zostało się tam co rzeczy po tej żebraczce? zapytał.

— Nie wiem, rzekłem, oprócz podartego trochę odzienia.

Jakby mu coś nagle na myśl przyszło, wziął nagle kij do ręki, kapelusz, i milcząc poszedł ze mną do pasieki. Tu przybywszy nie chciał wejść do izby, w której leżała nieboszka, ale kazał tylko poznosić jej rzeczy, odzienie, przejrzał sam, popytał czyśmy jakich papierów nie widzieli, i nic nie znalazłszy, bom mu skłamać musiał, że w chorobie wszystko popaliła, odszedł do pałacu, mówiąc jakby do siebie, com ja dobrze słyszał: Szalbierstwo było! I ani okiem nie rzucił na dziecko.

Ty kochany paneczku zostałeś się przy nas, ale nie na długo; w szóstym roku już cię do dworu zabrali, i to jakoś nagle, bo hrabia w wilią mi przyrzekł że cię zostawi u mnie, a potem gdy jacyś sądowi zjechali i czegoś pytali o waszę matkę, kazał cię oddać do dworu.

— Gdzież są te papiery? gdzie są te papiery? — niespokojnie spytał Wacław — czy masz je? czy nie zginęły?

— Mam, mam — rzekł stary, oglądając się bacznie

i wyjmując z zanadrza sporą paczkę zasmoloną i widocznie w ciemności i wilgoci nadwerężoną. — Otóż ci je oddaję. I Bogu dziękując, że mi dał dożyć tej chwili. Teraz już umrę spokojnie.

Wacław porwał z rąk starca paczkę, ucałował ją, przycisnął do piersi, chciał rozerwać, ale ciemność wieczora wstrzymała popęd i ciekawość niespokojną. Pasiecznik mówił dalej:

— Jak tylko odebrali cię do dworu, zaraz rychło i mnie wyprawili ne Podole. Prosiłem się bardzo, aby mnie tu przy swoich u rodziny zostawili; ale hrabia jak co raz powie, to się nie wymodlisz. I tak lat kilkanaście na czużynie przyszło harować, biedować, i co rokum się do swoich prosił, i co roku mnie zbywali: „Nie można, ta i nie można.“ Wreszcie teraz jakoś przed kilku miesiącami pozwolili tu przyjść. A mnie już i sił brakło czekać, żeby jak wam oddać te papiery; powierzyć ich nie było komu, a strasznie się bałem, nuż mnie tak śmierć zaskoczy, choć upiorem powracaj. Bywało co pomyślę aż drżę. No, dzięki Bogu! teraz mi już lekko będzie, kiedy przyjdzie ostatnia godzina, a dobry czas!

To mówiąc podniósł się i błogosławiąc Wacława, który przed nim z uszanowaniem pokląkł, rzekł:

— Daj ci Boże wszystko dobre paneczku! Byłeś choć kilka lat mojem dzieckiem i mojej starej; myśleliśmy że cię dla siebie piastujemy, ale i jej przyszło skończyć i mnie samiuteńkiemu dziadem się włóczyć.

Łzy potoczyły mu się po zmarszczonej twarzy. — Tak, tak, rzekł, ale już mnie niedługo włóczyć się i stękać, czas do swoich na mogiłki. Ja tu już na świecie nie mam nikogo, nawet od siostry wnuki pomarły;

żywej duszyczki, i pasiekę moję przenieśli na Gawryłowe uroczysko, i chata stara gdzie my żyli, zawaliła się w kupę gnoju... Ja tam taki wyproszę sobie i sklecę szałas na starem gruzowisku, i z wężami pobieduję, aż głowę przyjdzie położyć. Będzie mi się czasem zdawało, że ja tam z moją staruchą.

Wacław chciał oddać staremu co tylko miał, a miał niewiele, ale stary wziąć się wzbraniał.

— A mnie na co? — rzekł — chleba nigdzie nie odmówią, siermięg mam aż dwie, bo jednę od trumny chowam, kilka rubli jest w węzełku... nie potrzebuję ja tego, tobie się zda, moje dziecko.

Jakkolwiek niecierpliwy był Wacław chcąc co najrychlej rozwiązać oddane mu papiery, nie miał jednak serca porzucić starca, który powoli gawędził, rad będąc że go słuchają. Był to ostatni świadek zgonu jego matki, jej powiernik, człowiek co się nad nią ulitował, jego przybrany ojciec; jakże dla niego nie miał poskromić swej ciekawości, pragnienia, i nie dać mu się wymówić do syta?

Późno już rozstali się, a Wacław przyrzec musiał jeszcze, że do niego przyjdzie do pasieki drogą, którą mu starzec dokładnie opisał.

Wróciwszy do dworu, zastał wszystkich długą swą niebytnością niezmiernie rozjątrzonych. Dębicki chodził po pokoju głośno wyrzekając, żona jego zbierała się na ostre wyrzuty, a chłopcy radzi z tego, gotowali się złośliwie słuchać z kąta bury, którą ich nauczyciel dostanie. Ale wielkie te przygotowania wojenne spełzły na niczem, bo Wacław zamiast przepraszać i uniewinniać się, jak spodziewano, poszedł wprost do swego pokoiku, zapalił świecę i na zamek się w nim zamknął.

Sama pani, której zaraz o tem słudzy donieśli, niezmiernie się tem uczuła obrażoną i zagniewaną, a nie mogąc wytrwać, porwała świecę i cała rozogniona pobiegła szybko, i impetycznie zastukała do drzwi zapartych.

— Cóżto jest znowu? — woła pododrzwiami — co to za konduita pańska? Całe dnie i wieczory na jakichś nieprzyzwoitych przechadzkach, a potem zamykasz się pan w swoim pokoju. My za to płacim, żebyś pan był przy dzieciach, musimy wiedzieć co robisz.

— Pani — odezwał się Wacław przywiedziony do niecierpliwości, otwierając drzwi — obowiązany jestem synom jej dawać lekcje muzyki i nic więcej; bawić państwa w salonie i służyć im w inny sposób nie mogę i nie będę. Jeśliście państwo nie radzi ze mnie, w każdej chwili dom ich opuścić jestem gotów...

To powiedziawszy, oburzony, widząc, że pani oczyma tylko przewracała i oddalała się milcząca, zamknął drzwi, i siadł drogie rozpatrywać papiery.

W salonie niewysłowione poruszenie; gdy jejmość przyszła z odpowiedzią nauczyciela, po długich rozprawach, w których się Dębicka odgrażała, Dębicki ją hamował, a dzieci podsłuchiwały; po trzy razy ponowionej kłótni stanęło na tem, żeby wszystko darować, zapomnieć, i nazajutrz nic już nie wspominać o wczorajszym wypadku.

Na ulotnych kartkach brudnego papieru, pismem niewyraźnem, spiesznem ale pięknem, nakreślone było jakieś opowiadanie; nie policzbowane kartki, rozrzucone, pogniecione, bez porządku, ciąg przecież jakiś widocznie

stanowiły. Oprócz tych papierów, dość gruby zwitek tworzących, ostatniej po matce spuścizny, znalazł Wacław metryki, świadectwa, paszporta i różne dowody pochodzenia swego, w urzędowych wyciągach.

Jak piorunem raziły go te wyraźne skazówki, przekonywające że był synem Henryka Dendery, a synowcem hrabiego Zygmunta.

Historji całej biednego wygnańca, żony jego i sieroty dowiemy się z następujących notat, które częstemi łzami obmyte, w srogiej boleści pisane, z bijącem sercem, z rozpaloną głową czytał Wacław, wzdrygając się nad zbrodnią tego, którego wczoraj jeszcze swoim dobroczyńcą nazywał i płacząc nad rodziców losem.

Oto słowa nieszczęśliwej matki, na łożu boleści, w przedśmiertnej chwili dla syna spisane:

* * *

Co się z tobą stanie, dziecko moje, dziecko moje! A! potrzebuję w tej chwili ostatniej, gdy mnie rozpacz porywa, powtórzyć sobie to, o czem długo zapomniałam, rachując tylko na ludzi: Jest Bóg! jest Bóg. O! jest Bóg i weźmie w opiekę swoję sierotę.

Nie żal mi świata, życia, niczego, niczego; ale ciebie dziecię moje, tak rzucić całkiem sierotą, opuszczoną, kto wie może prześladowaną! — o! chciałabym żyć jeszcze! żyć! Panie! Panie daj mi życie, lub jeśli za karę odmówisz prośbie, weźmijże ty w opiekę niewinne dziecię moje. Chciałabym mu zostawić pamięć jego rodziców, ale czy te słowa dojdą kiedy do nieszczęśliwego, którego czeka poniewierka, ciemnota, służebnictwo! Za coś mnie tak ukarał Boże, tak ciężko, tak srogo, tak okropnie!

Trzeba się zebrać na siły, trzeba łzy otrzeć kobiece, trzeba odwagi.

Któż wie, może te słowa, które kreślę ręką od gorączki drżącą, nie widząc ich za łzami; może też te słowa dojdą do dziecka mojego, wskażą mu kim jest, gdzie ma szukać swej ojcowizny, na kim się pomścić opuszczenia, u kogo dopomnieć losu.

Urodziłam się i wychowałam w Paryżu; ojciec mój był za cesarstwa jednym z najbogatszych spekulantów i bankierów stolicy; ja i brat mój całą jego stanowiliśmy rodzinę. Matki nie znałam nigdy, bo nas odumarła w dzieciństwie, oddana na mamki na wieś, potem na pensję w Paryżu, ledwie czasami widywałam ojca i dom rodzinny. Brat mój podobne także za domem odbierał wychowanie. Ojciec żył w wielkim świecie swoich współbraci kupców pieniędzy, wśród zbytków, wśród wrzawy, wśród codziennych obaw i nadziei bursowej. Fortuna jego cała była oparta na szczęśliwych obrotach: to się chwiała, to się podnosiła, w różnych kolejach przedsięwzięć wielkich i gry papierowej. Dom jego utrzymywany był na wielką stopę; mieliśmy hotel własny ogromny, karety, konie i dwór liczny. Ile pamiętam naówczas ojca, byłto człowiek tak zajęty, tak zawsze sprawami swemi opanowany, że ledwie gdyśmy do domu przyjeżdżali, miał czas nas uściskać; obdarzał wytwornemi podarkami, przemówił słów kilka, ale rzadko dzień jeden cały z nami przepędził. W siedmnastym roku wróciłam z pensji, gdy brat mój młodszy odemnie kończył jeszcze nauki w kollegium Charlemagne; dodano mi do towarzystwa podżyłą niewiastę, wdowę po jakimś wojskowym, i wyszłam na panią domu. Ojciec dogadzał wszystkim moim zachceniom, stroił

mnie, woził, pokazywał i na piękności mojej budował nadzieje połączenia się ze szlachtą starą, do której zbliżyć się pragnął. Była to chwila, w której właśnie Napoleon sprzyjał zlewaniu się różnych klass społeczeństwa, chcąc właściwą swej dynastji utworzyć szlachtę; wszyscy do myśli się jego zastosowywali mniej więcej chętnie, łącząc się rozmaicie: ludzie pieniężni chwytali na korzyść swoję objawioną wolę wielkiego człowieka, i usiłowali wcisnąć w grono dawnej lub nowszej arystokracji rodu i szabli. Na mnie spoczywały nadzieje uszlachcenia związkiem ze starą zubożałą rodziną przedmieścia Saint-Germain, lub w braku jej przybliżenia do dworu, wydając za którego z tych szczęśliwych wojaków, co z wioski i z pod słomianej strzechy wynosili w tornistrach laski marszałków Francji.

Dom mojego ojca stał otworem dla wielkiego świata; poczęły się bale, odwiedziny, zabawy, i tłum gości płynął dziwując się zbytkowi, przepychowi, uprzejmości bankiera. Liczni starający się otoczyli mnie. W początkach bawiła mnie sprzeczność tego szumnego świata z cichą pensją, z której niedawno wyszłam; ale w tłumie nie wyróżniałam nikogo, wszyscy byli mi zarówno obojętni, wszyscy tak doskonale do siebie podobni. Z ubogiej szlachty starej, którą ojciec mój najwięcej u siebie widzieć pragnął, nikogośmy mieć nie mogli; za to wojskowych i młodych urzędników zjawiło się mnóstwo. Napróżno starał się ojciec o herbowych gości: żaden z nich progu naszego nie przestąpił; bywali w kantorze, nigdy w salonach.

Bawiłam się wesoło, bawiłam nie wiedząc, że tylko na progu życia miałam doznać trochę słodkiego szału, by go opłacić później cierpieniem nad ludzkie siły.

Wśród tłumu gości, zjawił się w domu naszym młody człowiek, twój ojciec, biedne dziecię, Henryk mój drogi, i wkrótce, choć stopniem w wojsku, ani postawą świetną, ani dostatkiem nie uderzał wśród towarzyszów, zwrócił ku sobie oczy moje i serce. Litość mnie naprzód dotknęła nad smutnym wygnańcem; na jego poczciwej twarzy przy męztwie żołnierza, malowała się boleść niestarta niczem, dziecka, co macierzystej pozbawione było piersi. Oko jego we łzie wiecznej pływało, i uśmiech nawet miał łzawy; a wyrazy wychodzące z ust jego wielce się różniły od trzpiotowatej mowy towarzyszów, bo były poważne, głęboko uczute i powleczone jakąś żałobą. Ale pocóż te wspomnienia, na cóż serce rozdzierać na nowo. — Henryk mnie pokochał, ja wprzódy może jeszcze, niżeli się tego domyślał, jużem go kochała, jużem sobie przyrzekła być jego lub niczyją. Wiedziałam odrazu, że ojciec z trudnością pozwoli na połączenie nasze, choć Henryk miał za sobą odwagę, zasługi, rany w obronie Francji odebrane; ale obcy, wśród protegowanych, wśród zazdrosnych, niewielkie świetnego losu mógł roić nadzieje. Oczy ojca padły już były na generała Le..., który z prostego wieśniaczego syna wzniósłszy się na ten stopień, ślepo Napoleonowi posłuszny, dziko odważny, obiecywał wkrótce prześcignąć innych wzniesieniem się wysoko, któż wie? może aż do jakiego tronu? Henryk był kapitanem tylko, a dla córki bankiera, której obiecywano miliony, partja to była za skromna. Ojciec ledwie imię jego wiedział, i nie wiem czy go mógł w tłumie rozróżnić. Pułk, do którego Henryk należał, ciągle stał w Paryżu; stosunki nasze co dzień były ściślejsze; i widywaliśmy się w kościele, w domu ojca, w domach, w których bywa-

łam na zabawach, i wkrótce zbliżeni coraz bardziej, powiedzieliśmy sobie, że nic nas nie rozdzieli. Przyrzekłam być jego żoną; on mówił mi, że może pozyskać przebaczenie, pozwolenie powrotu do kraju i odebrać należny mu majątek. Rozpieszczone dziecię, widząc dotąd we wszystkiem ulegającego mi ojca, nie pojmowałam, by się mógł w czem woli mojej sprzeciwić, i jednego ranka poszłam mu wyznać wszystko. Słuchał mnie blady, przerażony, gniewny, zdziwiony; i ledwiem skończyła, zadzwonił na sługi, zawołał moję towarzyszkę, głosem, jakiego dotąd nie słyszałam, zapowiadając mi, że więcej go widzieć nie będę. Bóg mnie zapewne ukarał za nieposłuszeństwo ojcu — choć widział, jak posłuchać było ciężko! Nieprzywykła do rozkazów, oburzyłam się, oparłam i wręcz odpowiedziałam, że słuchać nie będę. Nie znałam go jeszcze.

Rozżarty na mnie, porwał się z wściekłością prawie, i zawołał wielkim głosem, rozbijając kosztowne naczynie, które przy nim stało:

— Wiesz ty, co mówisz! Ja cię tak zgniotę i rozbiję, jak ten zlepek... ja nie rozumiem nieposłuszeństwa i sporu — jak chcę i tak być musi; jestem ojcem dla dzieci, dla samowolnych i upartych potrafię być tyranem!

Więcej rozdrażniona niż przestraszona tym wybuchem, wyszłam z pokoju oświadczając, że mnie zlęknąć nie potrafi.

Tegoż dnia pomimo czujności otaczających, dałam znać Henrykowi o wszystkiem, zakazałam mu, żeby się nie pokazywał już u nas; prosiłam, by wszystko przygotował do ślubu, i przyrzekłam uciec dla niego z domu ojca. Nie wątpiłam, że on się później da przebłagać, a opiekun Henryka, cesarz, skłoni go do uznania tego związku.

Stało się, jakem pragnęła i zamierzyła; uszłam nocą z pod tego dachu, do którego więcej nie miałam już powrócić; ksiądz ujęty, ślub nasz pobłogosławił, towarzysze broni dopomogli Henrykowi do usunienia wszystkich przeszkód, i zdumiona ale szczęśliwa, znalazłam się z pałacu w ubogiej, choć przystrojonej kwaterze wojskowego, wyświeżonej na przyjęcie moje. Co się działo w domu naszym, nie wiem, lecz burza musiała być okropna: wszyscy słudzy zostali odprawieni, wdowa odesłana na prowincją, i nazajutrz odebrałam list od ojca z przekleństwem i wyrzeczeniem się dziecka... Przywieziono mi trochę moich rzeczy, a oddający je oznajmił, żebym się więcej w hotelu pokazywać nie śmiała. Napróżno przez osoby wyżej położone i wielkie wpływy mające, staraliśmy się ojca przebłagać; nic nie pomogło. Henryk udał się do samego cesarza, a Napoleon kazał do siebie przywołać bankiera, który na zapytanie odpowiedział mu pokornie ale stanowczo:

— Najjaśniejszy panie, społeczność stoi na posłuszeństwie, rodzina jest zasadą państwa; N. Pan wymagasz, by go słuchali żołnierze, ja chcę posłuszeństwa od dzieci moich. Nie znam za dziecko zuchwałej córki, która się sama mnie wyrzekła.

Przyjaciele ułatwili mi potem zbliżenie się do ojca, ale mnie odepchnął nielitościwie i zapowiedział, że oprócz szczupłej części, jaka na mnie z majątku matki przypadała, którą zaraz wypłacił, nic więcej po nim mieć nie będę.

Henryk robił mi jeszcze nadzieję, alem postrzegła wreszcie, że łudzić się dłużej byłoby napróżno. Nastąpiły wojny, a ja w moim lichym domku w Paryżu, porzucona, sama jedna, drżałam, żeby mi wojna ostat-

niego skarbu, opiekuna i męża nie wydarła.

W czasie gdy Henryk był w Hiszpanii, ojciec nie chcąc nawet w godzinie zgonu przypuścić mnie do siebie, umarł wydziedziczając zupełnie, brat pozostał małoletni i opiekunowie obojętni, pełniący ściśle wolą ojca. Większą część czasu spędziłam w Paryżu sama jedna, z memi łzami. Nieszczęścia, których pojęcia nie miałam, dopiero się poczynały.

Na pociechę i strapienie, Bóg mi cię dał dziecię moje; ale gdyś ty na świat przychodził, ojciec twój do nowego powołany boju z Hiszpanii, leciał z pułkami Napoleona w przeciwną stronę na północ.

Spadek po matce mojej, znacznie już uszczuplony, ledwie mnie jeszcze utrzymywał; tymczasem Henryk zawsze był tylko kapitanem. Gdy drudzy szybko postępowali na wyższe stopnie, on leciał za nich w ogień zabójczy, zyskiwał rany, leżał i jęczał po lazaretach Europy, wracał ledwie uleczony do walki, obietnicami łudzony, dręczony myślą, że los swój ciężki z moim związał; — a nie mógł się podnieść, nie mógł mi niczem strat wynagrodzić... Ja nic nie chciałam tylko być z nim razem, los jego dzielić, pocieszać go, zapewniać, że ubóstwo mnie nie przeraża; nieustanna wojna rozdzielała nas.

U twojej kolebki nauczyłam się modlić — dzięki tobie, dziecię moje! sama jedna, opuszczona, wyglądałam tylko listów, wieści, powrotu zwycięzców. Henryk był tam w swojej stronie, miał mi dać wiedzieć jak go przyjmie rodzina; ale od przejścia Niemna, nie miałam już od niego listu, i jakkolwiek przerabiane biuletyny wielkiej armii, przerażały mnie straszliwie. Spisek Mallet'a, potem powrót cesarza bez wojsk, bez tych

krociów, które tam śniegi pochłonęły, odjął mi wszelką nadzieję, i biedną głowę moję zawrócił; od Henryka słowa nie było, mówili że zginął pod Moskwą, drudzy, że w przeprawie pod Berezyną.

Nie wierzyłam jeszcze temu ogromowi nieszczęścia; biegłam do cesarza, do generałów, wszyscy już strachem panicznym jakimś przed upadkiem cesarstwa przejęci, odpychali mnie, zbywali. Nareszcie dowiedziałam się z pewnością o jego zgonie, nierychło list krwią zbroczony oddał mi towarzysz broni, przyjaciel jego... W tym liście, który ci zostawiam, znajdziesz powód podróży do waszego niegościnnego, zimnego kraju! Henryk polecał mnie bratu, oddawał rodzinie dziecię i żonę, zaklinając ich na wszystko, co najświętsze, by się opiekowali sierotami.

Trzeba więc było, gdy wszystkie środki do życia w Paryżu wyczerpałam, gdy ostatek zapasu się rozszedł, gdy mi już i pensji jako wdowie odmawiano w tym zamęcie; — iść obcej na drugi koniec świata szukać nowych krewnych i opieki

O! nigdy, nigdy! nie zapomnę tej chwili, gdym w żałobie z tobą, dziecię moje, opuściła obojętne miasto moje rodzinne, z jednym tylko starym żołnierzem waszych legii, co o kuli wracając do kraju, ofiarował mi się za obrońcę i przewodnika. Złożyliśmy razem dwa ubóstwa nasze, i powoli rozpoczęli długą wędrówkę żebraczą, która była wszystkich rozkoszy młodości mojej pokutą. Prędko wyczerpał się ostatek zasiłków uzbieranych na drogę, potrzeba było o proszonym chlebie, o litości ludzkiej, iść od drzwi do drzwi mijając miasta, wzdłuż tylu różnych krain, na daleką, daleką uciekającą nam północ! W pół drogi mój towarzysz podróży,

zachorzał; dziesięć dni pielęgnowałam go, ale Bóg chciał mi odjąć i tę ostatnią podporę: biedny żołnierzysko umarł na lichym barłogu, w wiejskiej szopie, na najniegościnniejszej, na ziemi niemieckiej.

Nadzieja dobicia się do kresu podróży, złożenia ciebie w ręce stryja, zapewnienia ci losu, wiodła mnie dalej samą jedną, a Bóg tylko wie jeden, ile upokorzeń, obelg, oszukaństw i strasznego sponiewierania wycierpiałam w tej drodze, która zdawała się trwać wieki.

Nieraz porywała mnie rozpacz wśród niedostatku, wśród burzy i słoty, wśród ludzkiej nielitości; padałam chcąc umrzeć i podnosiłam się dla ciebie dziecko moje, i szłam znowu dalej, a dalej. Im bliżej byłam twoich stron, tem większa otucha wstępowała w serce; a choć o suchym kawałku chleba, szlam nowemi siłami do świtającego już celu. Znalazły się nieraz, znalazły dusze poczciwe, co mnie wspomagały, skierowały, pocieszyły.

Lecz jakże ci opiszę ostatek, o dziecię moje! Nie chciałabym w tej chwili przedśmiertnej przeklinać, bo sama wiem jak cięży przekleństwo, ale serce się pęka, mnie rozpacz porywa znowu... Ze łzami, z radością, z bijącem sercem, padłam u progu domu, który widział młodość mojego Henryka, do nóg jego bratu; szybko, jak w gorączce, opowiedziałam mu dzieje nasze, oddalam mu krzyż oblany poczciwą krwią jego na ostatniem polu bitwy, ostatni list... i położyłam ciebie małego, schorzałego, drżącego od chłodu, uwinionego w łachmany, u stóp nieludzkiego człowieka!

A! zwierz-by się ulitował łez moich, nędzy naszej! Spojrzał, pomyślał, nie chciał mnie zrozumieć —

odepchnął! odepchnął!... Zamiast przytulić wdowę, jak żebraczkę odsunął żonę brata, ledwie chleba kawałek, jak z łaski jej rzuciwszy. Na moje łzy gorące, rozpaczne, odpowiedział szyderstwem, zowiąc mnie awanturnicą.

— Brat mój nie był nigdy żonaty — rzekł zimno — to są rzeczy podrobione, to są fałsze...

Przecież miał w ręku dowody, przecież znał pismo jego! Nie wiem, jak potrafiłam mu wyrwać te ostatnie skarby twoje, te papiery łzami i krwią uświęcone, by je dla twej przyszłości ocalić. Chciałam iść dalej, sił brakło; musiałam, posłuszna jego woli, zwlec się na ten barłóg, który żonie brata na łoże boleści, a! i śmierci, przeznaczył!

Ale nie! nie przeklinajmy, dziecię moje! przebaczmy!... Bógto przez niego jego ręką mnie karał... a! sroga kara! ale wola Jego święta!

Gdybyż, gdyby wszystko się to skończyło na mnie, gdybym mogła za ciebie przecierpieć, zostawić ci lepsze nadzieje! ale to próżno!! Ten człowiek nieulituje się nad sierotą... Widziałam go, widziałam bladą chciwość jego, obawę, pomieszanie... to zbrodzień! Co się z tobą stanie? co ci zgotował? Boże! Boże! ja myśleć nie chcę! Wszak jest Bóg! wszak jest!

* * *

Dalszy rękopism wdowy tak był niewyraźnie, tak widocznie w gorączce pisany, tyle go razy łzy zmyły a drżąca ręka zatarła, że Wacław tylko mógł go przeczytać sercem spragnionem macierzyństwa, odgadując więcej niż rozumiejąc wyrazy dziwnie poplątane, świad-

czące w jakich mękach, w jakiej rozpaczy umierała biedna kobieta.

Przejrzawszy, pożarłszy te papiery, czas jakiś pozostał pod wrażeniem okropnej powieści; plątało mu się w głowie, biło serce oburzone, myśl gorąca biegała od zamiarów zemsty do łez przebaczenia. Nie wiedział co począć z sobą, gdzie i jak się obrócić, musiał szukać rady u obcych. Ale jakże ich uczynić powiernikami tej zbrodni? jak ojca Cecylji, stryja, wystawić au wstyd i hańbiącą karę, któreby ścigały występnego?

Cała noc przeszła mu we łzach, na modlitwie, w namyslach; a nazajutrz potrzeba było iść do nieubłaganych obowiązków.

Zrana, po chwilce spoczynku, przerywanego jakimś przestrachem, chłodniej zebrawszy myśli, poszedł naprzód uwolnić się u Dębickich od dalszego u nich pobytu. Napróżno chcieli go utrzymać wszelkiemi sposoby, wczorajsze z nim obejście biorąc za powód niespodzianego postanowienia: Wacław oświadczył im, że inne zupełnie przyczyny zmuszają go dom ich opuścić, i w inny sposób pokierować swem życiem.

Z trochą pieniędzy, smutny ruszył w świat ubogim wozem chłopka, niespełna wiedząc dokąd i po co; lecz pragnąc wzgardę i sponiewieranie matki nielitościwemu zapłacić stryjowi, surowo zapytując go o rachunek czynności.

W okolicy Denderowa, przy malym parafialnym kościolku w Smolewie, na samej granicy Polesia, mieszkał sławny z surowej cnoty, pobożności i chrześcjańskiego poświęcenia się, pleban, ksiądz Warel. Niemlody to już był człowiek, zestarzał w boju ze światem, w praktyce cnót religijnych i społecznych, doradzca nieszczęśliwych, lekarz ubogich, opiekun sierot, słowem, kapłan w całem znaczeniu tego wyrazu. Cnotę zasadniczą, na której spoczywają wszystkie inne, poświęcenie się, podniósł do najwyższego stopnia; dla Boga i ludzi zapomniał zupełnie o sobie. Poważny i smutny, jeśliby go co wewnątrz dręczyło; nielitościwy dla siebie, niezmordowany w pracy i jej wyszukiwaniu, ksiądz Warel żył tylko ofiarą. Dziś, gdy duchowni często więcej są dla świata niż dla Boga i bliźnich; gdy stara pierwszych chrześcjan wiara a cnota stała się niepościgniony ideałem; gdy zepsucie kazi czasem tych nawet, co na świeczniku stojąc, przykładem drugim przyświecać powinni, ksiądz Warel był zjawiskiem niepospolitem.

Rzadcy są zawsze ludzie, co jak on, w sprawie z sobą samymi, w niczem nie pobłażają, nic przez pół

nie robią, rzucając się przeciw ofiarom, cierpieniu, boleściom, z gorącą żądzą, z zapałem, który niewielu pojmuje i ocenia. Wśród naszego zimnego, obojętnego społeczeństwa, jakże zdumiewać musiał?!

Pochodził on ze szlacheckiej rodziny oddalonego kątka dawnej Polski, i nikt nie wiedział powodów, dla których oblókł suknię duchowną; żywot jego tylko wnosić kazał, że prawdziwe wiodło go ku niej powołanie. Od dwudziestu już lat spełniał on obowiązki naprzód wikarego, potem plebana w Smolewie, a nikt powiedzieć nań nie mógł, żeby w czemkolwiek uchybił, nawet największym wymaganiom swoich parafian. Probostwo to było jednem z najuboższych, a razem najludniejszych: lasy bowiem otaczające Smolew, kryły w sobie chaty tysiąca przeszło głów szlachty i budników katolików, należących do księdza Warela; z bogatszych dworów ledwie kilka przypisanych tu było.

Drewniany, pochyły, stary ten domek Boży, podpierany i przystrajany wedle możności czarniawą wieżyczką swoją z maleńkim dzwonkiem, wznosił się nad stare lipy, ocieniające cmentarz i plebanją. Dom proboszcza równie był pochylony, równie stary, wypaczony, wklęsły w ziemię, i raczej miał pozór ubogiej chaty, niż księżego mieszkania. Ksiądz Warel mieścił się w dwóch izdebkach mizernych, z których jedna, pokaźniejsza, przeznaczona była na przyjmowanie przybywających parafian, druga wyłącznie służyła jemu. Tu łóżeczko zakonne, prosty tapczan pokryty cienkim siennikiem; sosnowa półka z kilką książkami; krucyfiks; flaszeczki i słoiki z pijawkami i różnem lekarstwem, stojące na starem biurku bez zamknięcia, na skrzynce i stoliku, całe stanowiły bogactwo i przybór. Pierwsza

izba czysta, ale wcale niestrojna, miała kilka starych krzeseł, kanapkę pokrytą drelichem, stół tylko i zegar w szafce dębowej.

W tem więcej niż skromnem mieszkaniu, rzadkim był gościem gospodarz; cały oddany swym dziatkom, jak ich nazywał, dni a często i noce spędzał na posłudze około duszy i ciała. Gdy nie było koni, szedł pieszo w lasy pocieszać, leczyć, spowiadać, katechizować wyrostków, przygotowywać umierających. Rzadko zastać go było można w domu, chyba gdy nabożeństwo tego wymagało, bo ksiądz Warel z równą gorliwością, niezmordowany, spełniał obowiązki kapłana u ołtarza i po za kościołem. Nigdzie z większem poświęceniem, wiarą, zapałem, nie obchodzono wielkich uroczystości i pamiątek kościelnych; nigdzie lud nie śpiewał goręcej starych naszych pieśni pobożnych; nigdzie się nie modlił tak żywo a serdecznie przy strasznej ofierze. Jaśniało oblicze księdza, gdy spełniał tajemnice święte, zdawał się szczęśliwy, uniesiony, promienisty zapałem; lecz odstąpiwszy od ołtarza, często wpadał w zwykły sobie smutek i zamyślenie, które zdawały się być właściwym stanem jego duszy. Twarz księdza Warela malowała to dziwne usposobienie: wyschła, zżółkła, wyniszczona, przypominała dawnych ascetów; a płomień oczu, łagodny razem i posępny, okazywał wewnątrz głębokie cierpienie i walkę, których wiara i modlitwa uspokoić nie mogła. Rysy jego twarzy były piękne, postawa poważna, włos siwiejący już skroń okrywał; czynne życie wyrobiło w nim mimo chudości niezmiernej siłę potężną. Nic go zdaje się nie kosztowało znosić głód słotę, zimno, pragnienie, bezsenność; jak gdyby duchem pobożności i ofiary podnosił się nad zwykłe warunki

życia ludzkiego, nigdy się niczem pożyć nie dawał, zawsze był gotów do pracy nie potrzebując spoczynku. Chwile wytchnienia spędzał na gorącej modlitwie: długie godziny widywano go leżącego krzyżem u ołtarza; późno w noc zastawali go ludzie modlącego się ze łzami w swojej izdebce; a gdy ubogi zapukał nad ranem wzywając go o mil kilka do łoża chorego, na pogrzeb, zrywał się rzeźwy, zawsze gotowy na posługi, a nie słyszał nikt by się na znużenie poskarżył. Prawdziwy sługa Chrystusów, dla braci wszystko co miał oddawał; miał niewiele, ale w ręku dobroczynnego drobny pieniążek, chleb suchy, wielu nakarmić mogą. Więcej też on czynił mając mało, niż wielu bogatych, bo oddawał wszystko i świadczył sercem razem i dłonią.

Z dziwną nieopatrznością a spuszczaniem się na wolę Boga, nie zasposabiał nigdy swej spiżarni ani domu, często nie było prawie co jeść; naówczas z radością szedł do drzwi sąsiedniego wieśniaka i prosił go w imię Boże o chleba kawałek, a każdy mu dawał ochotnie, z rozczuleniem, wiedząc, że jutro we dwójnasób u niego odbierze, chlebem i słowem.

Pomimo płochości naszego wieku i społeczeństwa, które rade śmieje się z tego, czego pojąć nie może; nikt nie ośmielił się jednak szydzić z tego człowieka, panującego wszystkim swoją prostotą ewangeliczną. Dla niego możny i ubogi, znaczący i nikczemny człowieczek, ostatni żebrak, zupełnie byli równi; szanował ich jako ludzi, obrazy Boże, i bez ogródki mówił każdemu prawdę ojcowską, życzliwą, ale całą, a często przykrą. Słodziły ją tylko poczciwe usta, podając łagodnie jak lekarstwo na chorobę. Znając wysokość swego powołania, nie uniżał się przed nikim pomazaniec Boży; ale

nikogo też nie obraził dumą, bo był nadewszystko pokorny. Godziła się w nim doskonale powaga kapłana z uniżeniem grzesznika chrześcjanina. Obelgi znosił bez gniewu, z uśmiechem, z jakąś radością niemal; nieprzyjaciół nie miał, a chwilowo na siebie zawziętych upamiętywał i rozbrajał często jednem słowem. Wielki to był i święty człowiek...

Czemuż na tem czole opromienionem wiarą, tak często zjawiał się smutek? czemu w tych oczach płonących miłością Bożą i ludzi, tak często wytryskała łza i płomień boleści? czemu płakał samotny i szedł na modlitwę chmurny, posępny jak winowajca, jak żołnierz do boju, na który nie czuje się dość zbrojnym?

Któż zna głębię duszy ludzkiej? kto zajrzał na dno tajemnicze serca i rozplątał myśli człowiecze? Bóg jeden widzi jasno ten dziwny kłębek nici, w których złoto i zgrzebno się miesza.

Do księdza Warela postanowił się udać Wacław z tajemnicą swoją, o radę i kierunek go prosząc; znał go oddawna i szanował, wiedział, że nikt szlachetniej, nikt rozważniej naprowadzić go nie potrafi na drogę prawą. Czuł on, że i poczciwego serca i wyższego umysłu potrzeba było, coby mu wskazał ścieżkę, jaką należało iść dalej; dopominając się imienia, przyszłości, majątku i upokarzając dumnego człowieka.

Przybywszy do plebanii nie zastał Wacław księdza Warela, który swoim zwyczajem na budkach spowiadał i katechizmował dzieci; stara gospodyni uprzejmie go prosiła, żeby na proboszcza zaczekał.

Usiadł więc na ławce od ogrodu na wpół zgniłej i poprzedników jeszcze proboszcza pamiętającej: tu w zadumaniu i bolesnych myślach zatapiając się do

wieczora; tyle zamiarów, tyle chęci walczyło w sercu jego! Już słońce zniżało się ku zachodowi i za czarną kryło się chmurę, gdy w ganku dał się słyszeć znany głos gospodyni staruszki i proboszcza:

— A co moja Doroto, jest tam co zjeść — mówił ksiądz Warel — dobrym kawałek zrobił piechotą; należy mi się strawa.

— Jest trochę barszczu i kasza — odpowiedziała starucha.

— Specjały — odparł ksiądz — a dziś sobota, dzień Najświętszej Panny; dosyć mi będzie jednego: daj wasani trochę barszczu.

— Ale tu ktoś czeka na jegomości.

— O! dawno! a któż to taki?

— Od południa, jakiś młody człowiek, ubrany porządnie, ale przyjechał prostym wozem.

— A dałażeś mu jeść?

— Nie chciał nic, siadł sobie w ogródku; czegoś smutny, widzi mi się, jakby zapłakany.

— No to schowajże sobie barszcz jejmościuniu — rzekł ksiądz Warel — bo tu pilniejszy interes.

— Ależ jegomość pewnie dziś nic nie jadł?

— Owszem, owszem, chleba kawał i ogórka całego; będzie czas na wszystko; pilniejszy interes bliźniego, niż brzucha.

To mówiąc pospieszył proboszcz do izby, złożył brewiarz co go nigdy nie odstępował na stoliku i spotkał z roztwartemi rękoma Wacława, którego kochał.

— A! to ty moje dziecko — rzekł — jakże mi się masz? No! zdrów widzę, dzięki Bogu, i myślę, pobożny jakeś był. Oj! wiara, to wielki skarb, nie traćcie jej nie traćcie; ciężko ją potem odzyskać, a bez niej

żyć ciężej jeszcze. I cóż mi powiesz kochanku? siadaj.

— Mój ojcze — rzekł z kolei Wacław — to z czem do was przybyłem, rzecz jest bardzo wielkiej wagi dla mnie; przyszedłem po radę i w niemałej sprawie.

— Dobrze! dobrze! zawsze to ślicznie, gdy młody starego i sługi Bożego się radzi, a nie spuszcza całkiem na siebie. Bóg ci zapłać, siadaj serce i mów.

— Możemy mówić niepodsłuchiwani?

— Śmiało, sami jesteśmy; słucham cię moje dziecko.

To mówiąc ksiądz Warel, jakby do rady wzywał Boga także, począł po cichu odmawiać modlitewkę, wzniósł oczy w niebo i usiadł biorąc rękę Wacława, który rozpoczął opowiadanie od historji biednej swej matki.

Proboszcz słuchał jej poważny, niekiedy łza zakręciła mu się w oku, czasem spojrzał na Wacława, jakby uczucia jego badał; w końcu gdy i papiery przejrzał, i ukończyły się te smutne dzieje, zamilkł i głęboko się zadumał.

— Radź mi ojcze, radź proszę, co mam począć? — spytał niespokojny Wacław.

— Czekaj-no serce, tu się trzeba wprzód pomodlić do Ducha Świętego — odparł ksiądz — do ducha dobrej rady. Rzecz straszna, smutna, trudna; jutro rano odprawię na tę intencję mszę do Ducha Świętego, pomodlim się oba, a potem pomówimy; zostań u mnie, przenocuj, wszak ci i tak nie pilno, boś podobno jak widzę Dębickich opuścił.

— Wytrwać mi u nich było trudno.

— Szkoda, bo uczciwego człowieka jak ty, przewodnictwo i dzieciom i starymby się przydało. Jedna

pobożna dusza w domu wiele czyni dobrego. Dziś ci nic radzić nie chcę, jutro co mi Bóg natchnie, to ci powiem. A teraz możebyś co i zjadł — dodał uśmiechając się — tylko cię uprzedzam, że słudzy Chrystusowi więcej żyją słowem Jego świętem, niżeli inną karmią; u mnie ubogo, do czarnego chleba może nie jesteś przywykły. Ha! cóż robić, gdybyś i przepościł trochę ze mną, nic to nie szkodzi ani ciału, ani duszy. Dziś się z postu śmieją, a wielka to prawda przecie, że: ujmij ciału obroku, a dusza będzie syta. Wielcy święci nasi na pustyni podsycali się wstrzemięźliwością i umartwieniem.

— Doroto, dawaj już barszcz i kaszę z grzybami, podzielim się z gościem co Bóg dał.

To mówiąc zasiadł ksiądz Warel przed ubogim stołem, a Wacław przy nim, ale ledwie łyżek kilka wziął do ust, gdy wszedł budnik zapłakany, na miłość Boga prosząc o pomoc dla ojca, który z barci spadłszy, połamał ręce i nogi, i konał w boleściach. Nie myśląc już o jadle, chwycił proboszcz swoje flaszki i narzędzia lekarskie, zakasał poły starej sutanny i pożegnawszy do jutra Wacława, ruszył z kawałkiem chleba w ręku.

Nierychło w nocy powrócił, a gość widział go jeszcze długo leżącego na modlitwie.

Nazajutrz rano odprawiła się msza o Duchu Świętym; nikogo nie było w wiejskim kościołku prócz kilku żebraków. Ksiądz Warel odszedł od ołtarza rozjaśniony, przejęty, i ucałowawszy Wacława, rzekł do niego wróciwszy na probostwo:

— Jedź serce moje do hrabiego, powiedz mu o odkryciu otwarcie, bez srogich wymówek, z gotowością przebaczenia, z braterską litością względem występnego;

Bóg może zamknięte serce jego dotknąć, nie będziemy potrzebowali zapewne sprawiedliwości ludzkiej, o którą ze zgorszeniem dobijaćby się musiało. Zresztą, czyliż ci tak bardzo trzeba grosza i mienia pilno a koniecznie, żebyś obłąkanego chciał dla niej gubić, żebyś brata ojca twojego, krew własną, dał na wstyd , pohańbienie u ludzi? Czyż nie lepiej mu przebaczyć, a jeśli cię odepchnie, zostawić go sumieniu i Bogu. Od pięknego uczynku rozpocząłbyś życie i Bóg tedy ci błogosławił. Przy mszy świętej słyszeć musiałeś za każdem niemal słowem przykazanie miłości i przebaczenia.

— Lecz pamięć ojca, cierpienie matki, maż to wszystko pozostać niepomszczone?

— Nie mów serce moje o zemście, bo jej chrześcjanin znać nie powinien, i bez grzechu wyrazu tego wymówić nie może. Bóg jedynym mścicielem, my nie powinniśmy się uzuchwalać aż do zastępowania Go. Zemsta zawsze jest zła i występna. Matce twej Bóg już nagrodzić musiał w przyszłem życiu co tu ucierpiała; dla niej modlitwa twoja jest najpiękniejszą ofiarą. Zresztą, takżeto długie życie nasze, byśmy je na zemstę i krzywdę braci obracali, kiedy nam dano tę chwilę na udoskonalenie nasze i zbliżenie się do nieba.

Mówił tak długo i Wacław uczuł się do żywego dotknięty, poruszony, podniesiony; widział się wyższym od swego ciemiężcy, spokojniejszym, szczęśliwszym. Pełen tych pięknych uczuć chrześcjańskich, wyjechał z probostwa tym samym wozem wieśniaka, z myślą, iż ubóstwo jego piękniejsze jest niż dostatki stryja, kosztem czoła, spokoju i kłamstwa zdobywane tak mozolnie. Podsycając w sobie to uczucie całą drogę, pełen jednak wzruszenia i smutku, przybył nareszcie do Denderowa.

Z jak nową myślą spojrzał teraz na to miejsce uświęcone matki łzami, ojca wspomnieniem! Gdyby nie nauka księdza Warela, z jakąż żądzą chciwą zemsty byłby się dopomniał o krzywdy swoje; ale wyrazy kapłana były hamulcem wybuchu jego, podnieciły pragnienie wspaniałomyślnego przebaczenia.

Jak zawsze zastał hrabiego w wytwornym stroju rannym, z twarzą wypogodzoną, dumną, pańską, wśród stosu papierów, marzącego o swem państwie, o obrotach, o nowych scenach dramatu, którem było czynne jego życie.

Wchodzącego Wacława powitał uśmiechem, wcale się nie domyślając, jak innym dziś przychodził dawny wychowaniec, sierota, ażeby go słuchać liczby z przeszłości; jak strasznym głosem miał się odezwać do niego: „Kaimie! gdzie jest Abel, brat twój?“

Pozorny spokój wyryty na bladem czole hrabiego, wyższość z jaką dumny postąpił czynić wymówki Wacławowi, smutnie przejęły sierotę.

— A waćpan tu znowu? czy już od Dębickich? — spytał Dendera.

— Tak jest, od Dębickich.

— Tylkoż nie myśl mi wacpan wisieć na karku — rzekł z nieukontentowaniem hrabia — dość już tego, dość, czas pracować i myśleć o sobie; młodość droga...

Zbity tą śmiałą mową stryja, który się wcale jeszcze nie domyślał odkrycia strasznych tajemnic, Wacław nie wiedział od czego począć, westchnął, wspomniał na matkę i obracając się dokoła zapytał:

— Jesteśmy sami?

Zaledwie to wyrzekł, hrabia pobladł, zmieszał się i jakby już przeczuwał, że musi zmienić rolę, że

nadeszła jak piorun niespodziana godzina kary i upokorzenia, wybełkotał z niezręcznie udaną przytomnością:

— Cóżto jest?

— Mamy pomówić o rzeczy ważnej — rzekł zimno Wacław — rzeczy, której sądzę, nie powinni słuchać tylko my i Bóg.

Dendera jeszcze bardziej słowy i tonem przerażony, zagryzł usta, obejrzał się, postąpił do drugiego pokoju, i w milczeniu chmurnem czekał zapytania, widocznie opanowany strachem. Wacławowi usta drżały, w głowie się zawracało; położenie jego dziwnie się zmieniało: pokorny dotąd sierota, stawał jako sędzia; uszanowanie do którego przywykł i nowe wymaganie stanowiska, do jakiego miał prawo, bój w nim staczały tajemny.

— Panie — rzekł po chwili łagodnie — pozwól się spytać: nie miałeś brata?

Hrabia, który jeszcze łudził się, że strach paniczny przejdzie niczem, usłyszawszy to, zadrżał, cofnął się, obłąkanym wzrokiem potoczył i upadł na kanapę milczący, oczy wlepione trzymając w Wacława.

Twarz jego wyrażała takie przerażenie, pomieszanie i przestrach, jak gdyby istotnie głos Boży z góry go zapytał: Kaimie, coś uczynił z Ablem, bratem twoim? Ale po chwili nawykłość długa do udawania, pewność, jaką czas go obdarzył, że tajemnica wydać się nie może, dodały mu sił nieco: podniósł się i mierząc od stóp do głowy stojącego przed sobą Wacława, spytał zbójeckie prawie rzucając nań wejrzenie:

— Dla czego ty mnie o to pytasz?

— Wiesz pan o tem — odpowiedział Wacław — bo ja jestem synem brata twego! brata, którego zagarnąłeś majątek, któregoś wdowę odepchnął; nie dając jej ani

tego do czego miała prawo za życia, ani mogiły po śmierci, ani pociechy przy skonaniu, ani dziecku jej imienia, które mu należy...

Hrabia blady jak ściana, porwał się znowu z konwulsyjnem drżeniem.

— Szalbierzu! — krzyknął — kto ci te myśli podrzucił?... To oszukaństwo, to spisek na mnie haniebny! Sierota, dziecię jakiejś włóczęgi, podnosisz się na swego dobroczyńcę, kąsasz rękę, która ci chleb dała!

— Nie jestem szalbierzem — rzekł Wacław usiłując utrzymać się chłodnym i rozważnym — ani ty panie dobroczyńcą moim; kim i czem jestem, mam na to niezbite dowody i świadków; jeśli z dobrej woli zaprzeczysz mi pan mojego stanowiska na świecie, imienia rodziców, dojdę go w inny sposób.

— Dowody! A jakież możesz mieć dowody? — spytał z iskrzącemi oczyma Dendera.

— Twoje własne przekonanie, twoje pomieszanie, twój przestrach jest najpierwszym — odparł Wacław śmielej — widziałeś inne, czytałeś list ojca mego krwią jego zbryzgany; miałeś w ręku papiery, aleś je nieopatrzny rzucił, odepchnął, żeby przywłaszczony majątek brata zatrzymać. Trzymajże go — dodał Wacław — bom nie o niego przyszedł się upomnieć, ale o imię, o cześć matki, o spokój ojca w grobie... To wydarłeś i powrócić musisz!

— Jakto? ty mi śmiesz prawa dyktować! — wrzasnął hrabia w gniewie.

— Nie ja: twe własne powinno to uczynić sumienie.

— To są bajki, fałsze, niegodziwe i podłe szalbierstwa! — zawołał Dendera — a ty...

— Ja zapewne — przerwał Wacław — jestem w oczach

twych, jak matka moja nieszczęśliwa, niepotrzebnym tylko natrętem, ale nie umrę jak ona, na pasiece bez księdza i lekarza w ostatniej nędzy; Bóg na to nie pozwoli!

To mówiąc odwrócił się i chciał już odejść, gdy hrabia schwycił go za rękę; usta mu się trzęsły, oczy latały obłąkane, pierś buchała niepokojem występku.

— Co poczniesz niewdzięczniku? — spytał.

— Niewdzięcznym nie jestem, bom tu wpierw przyszedł, gdy mogłem gdzieindziej pójść pierwej: poczną co Bóg mi wskaże.

— Czego chcesz odemnie, prześladowco mój i dzieci moich?

— Chcę sprawiedliwości, imienia mego, własności mojej.

Hrabia stanął, utopił oczy w podłogę, zamyślił się.

— Nie! nie! to być nie może! — zawołał — to hańba; lepiej śmierć!

I rozśmiał się szydersko. — Idź precz!

Lecz nim Wacław do drzwi doszedł, odwołał go znowu.

— Czego chcesz — spytał — chcesz majątku?

— Chcę imienia.

— Imienia! — rozśmiał się znowu Dendera z boleścią. — Chcesz imienia splamionego zbrodnią, którą mi dowodzisz, choć nie dowiedziesz.

— Chcę imienia, które mi się należy.

— Chcesz majątku?

— Części mojego ojca.

— Wyrzeczesz się imienia, zapomnisz wszystkiego?

— Więc nie jestem przecie szalbierzem, — zawołał podchwytując Wacław — ani matka moja włóczęgą!

Hrabia uczuł się zmieszanym, zamilkł mierząc go okiem nieufnem.

— Godzę się jak z napastnikiem — rzekł wykrętnie — prawda czy fałsz, znajdzie złośliwych co ją głosić będą; odbierzesz mi dobre imię, mnie i dzieciom potrzebne: wolę się okupić.

— Ja nie chcę jałmużny — odparł Wacław podnosząc głowę — ja chcę mojej własności.

— I będziesz jej dochodził, sromocąc ten dom, który cię od dziecka wychował?

— Wychował! — rozśmiał się z kolei Wacław — syna brata, jak sierotę! z litości, w upokorzeniu, w służebnictwie, ogołoconego z imienia, ze związków krwi drogich, podwójną zbrodnią uczynionego podrzutkiem...

Wzrokiem wzgardy i litości razem zmierzył Wacław hrabiego; wspomnienie matki nieszczęśliwej wzburzało go, potrzebował całej mocy duszy, by powstrzymać w sobie wybuchy gniewu, zemsty, ale słowa księdza Warela przychodziły mu na pamięć i tamowały go.

Wybiegł z pokoju hrabiego, zostawując go ciężkim myślom niepewności, postrachom, a sam wpół nieprzytomny popędził do ogrodu. Tu kilka ledwie zrobił kroków, spotkał Cesię, która zdumiona widokiem jego, krzyknęła, cofnęła się i śmiejąc zaraz zawołała:

— A! to pan Wacław!

Ale podnosząc oczy, gdy się ich wejrzenia spotkały, gdy cały niepokój duszy Wacława, jego krwawy smutek i wzruszenie głębokie dotknęły Cesię, śmiech zamarł na jej ustach, z litością kobiecą postąpiła żywo zapytując:

— Co ci to jest? co to się stało panie Wacławie?

— Nic pani — odparł biedny muzyk, dłonią

odgarniając z czoła włosy potem boleści oblane — nic, nic.

— Paneś mnie przeraził, jego twarz tak strasznie zmieniona!

— Jestem trochę chory...

— Powróciłeś więc do nas?

— Nie pani, tylko na chwilę — i westchnął.

— Wszak na wesele jeszcze nie czas! — uśmiechnął się boleśnie.

— Wesele! a prawda! zapraszałam pana; ale z tą twarzą upiora, z tem wejrzeniem zbójcy, dziękuję! Przestraszyłbyś mi pan gości i dzień mój jasny zasmucił.

— Byłżeby to dzień tak jasny? — zapytał smutnie Wacław.

— Dlaczegoż nie? — odparła żywo Cesia — dzień, który mojego ulubionego do nóg mych na wieki przywiąże. Pan nie wiesz jak on mnie kocha! Nie ma jak ludzie tego, co on wieku: umieją się przywiązać bałwochwalczo, służyć jak niewolnicy, słuchać jak dzieci...

— Panibyś chciała tylko niewolników, chwalców i posłusznych?

— Tak, bo lubię rozkazywać i królować — zawołała dumnie. — Ale pan idziesz ze swą tajemnicą jak chmura z burzą: smutny, dziki; powiedzże mi co to jest? Straciłeś miejsce? wszak ojciec pewnie ci nie odmówi ani dachu, ani stołu, ani pobytu u nas...

— O! ja o nie nie proszę!

— Już tak dumny! — rozśmiała się Cesia ruszając ramionami — zkądże ta pycha?

Wacław zamilkł. Dziwaczna myśl przeszła mu przez głowę w tej chwili; kochał, lub zdawało mu się, że

kochał Cesię, mógł położyć hrabiemu za warunek pozwolenie połączenia się z nią; dyspensę z Rzymu łatwo było wyrobić: cóż, kiedy coraz wyraźniej malowała mu się chłodną i płochą. Postanowił zajrzeć śmielej w głąb nieodgadnionego jej serca i po chwili się odezwał:

— Dlaczegożbym nie mógł być dumnym? Każdy ma swoję dumę: wy panowie dumę panów, żebrak dumę ubóstwa, sierota dumę opieki Bożej nad sobą. Tak — rzekł — jestem dumny, przyznaję się.

— Cóżto za zmiana w panu Wacławie — ofuknęła Cesia prawie obrażona tonem odpowiedzi — nigdym go jeszcze tak mówiącego nie słyszała.

— Nigdym też silniej nie był wzruszony!—odpowiedział.

— Cóż pana tak porusza? odprawa od Dębickich — rzekła szydersko.

— Nie — odparł Wacław — porusza mnie widok młodej, pięknej istoty, która dla oklasków i trochy świecideł sprzedaje się starcowi...

— Cha! cha! a to wybuch osobliwszy! Boże! co się to panu stało, panie Wacławie! może wody?

Wacław spojrzał zimno i usuwając się dodał:

— Pani nigdy wody nie zażądasz, bo nigdy się nie poruszysz, zawsześ jednostajnie zimna i obojętna jak kamień.

— Dziwna-to rzecz, że sobie pan pozwalasz czynić podobne postrzeżenia.

— Dlaczegożbym nie miał powiedzieć co myślę?

— Dlatego, że zbyt daleko stoim jedno od drugiego — zawołała obrażona Cesia. — Nie spodziewałam się od pana podobnej niewczesnej szczerości.

Wacławowi dziki uśmiech przebiegł po ustach, zdjął kapelusz, ukłonił się.

— Żegnam — rzekł — panią marszałkową Farurej.

— Żegnam wacpana, mości muzyku!

W oczach Cesi jaśniał gniew i obrażona duma, w jego błyskała litość; nie uszło jednak hrabiance, że coś dziwnego zmienić musiało ich położenie wzajemne, i jakiś niepokój nią owładnął. Miała w sercu trochę uczucia dla niego, ono było najpierwsze i przebijało się przez późniejsze wrażenia. Zmieszana spojrzała za nim, chcąc go odwołać, ale Wacław już był daleko; rozżarzony wchodził do pokoju, w którym hrabia sparty na ręku dumał, chwytając się jak tonący najdzikszych pomysłów i najniepodobniejszych obrony środków.

— Czekam jeszcze na odpowiedź stryja! — rzekł młody człowiek.

Hrabia powstał.

— Nie chcę wstydu, obmowy, zgorszenia, procesów, wolę nad to ofiary największe — odezwał się ze stłumionym gniewem — przystaję na wszystko: powinieneś mnie oszczędzić, i dzieci, i ich... Powiem przed ludźmi, że dziś dopiero dowiedziałem się, przekonałem kim jesteś, przyznam cię synem brata... Cesia może być żoną twoją, jej posag twoim działem...

— Panna Cecylia nie może być żoną moją — odparł Wacław — zbyt jesteśmy blizko pokrewieństwem, a zbyt daleko obojętnością: wróć mi pan imię, o resztę się ułożym...

— Dajesz mi więc słowo, że we mnie nie będziesz widział nieprzyjaciela, ale stryja, że przeszłość przebaczysz, że ludziom nie dasz powodu obwiniać mnie za ciebie?

— Niech Bóg sądzi przewinienia — rzekł Wacław uradowany, że się wszystko kończy — i przebaczy jak ja

ci przebaczam... Matka moja w niebie za uznanie dziecka wymodli cię od kary.

Hrabia jakby mu ciężar potężny spadł z serca, porwał, chwycił go za rękę i wiodąc go za sobą, rzekł szybko:

— Chodź więc ze mną, chodź ze mną.

W milczeniu dziwnem przeszli ten dziedziniec, na który właśnie wygnanką, żebraczką, przychodziła matka Wacława, prosić napróżno litości u brata; wstąpili na wschody, otworzyły się drzwi salonu.

Tu już zgromadzeni byli: hrabina, Cesia, Sylwan i nieodstępny codziennie marszałek Farurej; kilka osób obcych ściągnionych interesami, powiększały towarzystwo, jakby naumyślnie los ich na świadków przywołał.

Z nieudanem wzruszeniem hrabia do środka przeprowadził Wacława, którego twarz posępny smutek i niejaka okrywała duma.

— Miałem brata — odezwał się pompatycznie Dendera — sądziłem będąc w błędzie, że zginął bezpotomnie; dziś odbieram dowody, że pozostawił syna po sobie, oto jest syn jego a wasz brat — obrócił się do Cesi i Sylwana — mój synowiec Wacław Dendera. Dziwny zbieg okoliczności, ani mi o egzystencji jego wprzód wiedzieć, ani uznać nie dozwolił. Wychowałem sierotę, pan Bóg mi dał w nim krewnego.

To mówiąc z doskonale faryzeuszowskiem przejęciem ucałował młodzieńca, którego pierś na ten uścisk judaszowski się wzdrygnęła.

Przytomni zdumieni, osłupieli... obcy tylko pospieszyli powinszować i unosić się nad wysoką wspaniałomyślnością hrabiego, który ze wzruszeniem przechodzącem już jego siły, upadł raczej niż usiadł na blizkie krzesło.

Cesia blada jak cień, pierwsza przyszła do Wacława, i nie wiedząc jak go powitać, co mu powiedzieć, tylko rękę podała.

Sylwan niespokojny, bo zaraz porachował, ile go ten brat kosztować będzie, przybliżył się i uścisnął dość niechętnie; hrabina pobiegła męża rozpytać co się stało, ale mina jego posępna, wzrok szklanny, usta drżące i niemota, odepchnęły ją od niego.

Całe towarzystwo, jakby sparaliżowane tem osobliwszem zdarzeniem, rozpękło się na kilka części; obcym pilno już było odjechać, żeby roznieść nowinę po sąsiedztwie, a domowi czekali na to równie niecierpliwie, żeby się od hrabiego dowiedzieć czegoś więcej. Zadumana Cesia obojętnie i zimno przyjmowała nadskakujące grzeczności Farureja, który ujrzawszy się zbytecznym, wkrótce pod jakimś pozorem umknął z Denderowa. Wacław po cichu także wysunął się z salonu, siadł na biedny wóz swój, i wrócił do księdza Warela oznajmić mu skutek swego kroku i prosić o radę co do dalszego postępowania.

Gdy się to dzieje, hrabia, którego siły wyczerpały się kilką blizkiemi sobie uderzeniami niespodzianemi (bo kilka dni temu odebrał był też wiadomość, że matka żony wyszła za mąż), milczący zwlókł się z kanapy i w łóżko położył.

Całe jego postępowanie z Wacławem nacechowane było piętnem słabości charakteru, szczęściem zasłaniającej go teraz od większych występków i wstydu. Zaparłszy się bratowej i jej dziecka, obawiał się powiększać zbrodni tej zabójstwem: ograniczył się tylko wywłaszczeniem i nieumiejętnem zakryciem pochodzenia dziecięcia. Dziś do walki, procesu, boju, zabrakło mu

także siły; ugięty przestrachem, wolał na wszystko pozwolić, niż wieść z nim upokarzającą sprawę. Duma i dbałość o opinją uratowały go na ten raz od ostatecznego upadku, ale myśl oddania połowy nadwerężonego majątku, co przy spłaceniu długów byłoby go zubożyło do reszty, doznane w tych czasach straty i przeciwności, tak silnie go dotknęły, że gorączką miotany, o mało nie postradał życia.

Straszliwych symptomatów choroba rozwijała się z szybkością niesłychaną. Rozesłano po lekarzy; a hrabina u łoża chorego przyszła z francuzkim romansem w ręku grać rolę rozpaczającej małżonki.

Cesia po odjeździe Farureja i Wacława, zatopiona w czarnych myślach, siedziała w krześle nieruchoma, jakby w nią piorun uderzył: najdziwaczniejsze obrazy, domysły, zamiary snuły się po młodej głowie. W pierwszej chwili nic nie powiedziała Wacławowi, szukała tylko jego wejrzenia, ale go spotkać nie mogła; później usiłowała się zbliżyć, widocznie od niej unikał. Teraz łza spłynęła z jej oczu, łza gorzka upokorzenia, przez którą już patrzała nadzieja świetniejszych losów. Tak rozpieszczone dziecię, gdy je lekka spotka przykrość, myśli o zabawkach, by się co najprędzej rozerwać, znieść jej nie umiejąc. Wypadek niespodziany dnia tego, najżywiej obszedł Cesię; widziała dziś podobnem, co wczoraj wydawało jej się poczwarną śmiesznością: serce jej biło, odradzała się miłość; z drugiej strony uśmiechało się bogactwo, znaczenie, uśmiechał się los królowej wszechwładnej. Stała między dwojgiem szczęścia, nie umiejąc wybrać jeszcze, pochylając się sercem na stronę Wacława, głową ku bogatemu starcowi. A że żyła raczej głową niżeli sercem, bo uczucia jej brakło,

lub nierozwinione spało jeszcze w głębi piersi, łatwo wyrachować kogo czekało zwycięztwo.

Hrabina po mężu cierpiała podobno najwięcej; jej wstręt do Wacława pomnożył się jeszcze i wzmógł, ale go ukryła starannie, jak wszystko, co czuła, taić była zwykła. Uśmiechem powitała krewnego, nie dała po sobie poznać boleści, i otuliła się powagą i smutkiem.

Sylwan widocznie był tem mnóstwem po sobie następujących wypadków niepomyślnych przejęty głęboko, i chmura smutku nad czołem jego zawisła; a zwykła mu samowolność i lekceważenie wszystkich, które każde rozdrażnienie powiększało, niezmiernie się w nim wzmogły. Szedł zamyślony, gniewny, dumny, z brwią namarszczoną do swoich pokojów, nie racząc nawet spojrzeć na matkę i ojca, ani się do siostry odezwać, ani swych myśli z kimkolwiek podzielić. Dumał tylko o upadku majątku, znaczenia, nadziei swoich, z rozpaczą, na którą nie widział ratunku. Przywykły uważać los za sługę słuchającego skinienia, gniewał się, że mu wydzierał to, co jak sądził, słusznie, koniecznie mu należało. Jedyną zbawczą deską w jego głowie było ożenienie; na niem gruntował rachuby przyszłości, zbogacenia nowego i podniesienia się: nie wątpił bowiem, że na pierwsze jego wejrzenie, na wyciągnienie ręki, rzucą się ku niemu tłumami dziedziczki miljonów.

Znalazłszy sobie tę pociechę i postanowiwszy udać się zaraz gdzie w obcą stronę (gdyż okolica nie była godną młodego hrabiego), uspokojony nieco, zapalił cygaro, i położył się na kanapie z wice-hrabią Bragellone Dumas'a.

W domu znowu zabierało się na nieporządek i rozprzężenie; popłoch poprzedzający zwykle chwilę upadku,

wszędzie czuć się dawał. Choroba hrabiego, uznanie synowca, uspokojonych czasowo, znowu poruszyły wierzycieli, sług i przyjacioł domu.

Wacław jechał do Smolewa, i ze łzami uściskawszy księdza Warela, opowiadał mu swoję przygodę.

— O! widzisz, że ci pan Bóg poszczęścił — rzekł proboszcz — patrzajże, żeby ci twoje sieroctwo, opuszczenie, stan dawny, były płodną na przyszłość nauką. Znasz cierpienie, boś cierpiał; wiesz jak boli upokorzenie, osierocenie, nędza, służebnictwo; pomagaj drugim, a uczynkiem podziękujesz Bogu za to, coś z łaski jego niespodzianie otrzymał. Zresztą, jak wielu, co się modlą w cierpieniu, a zapominają o Bogu, gdy im dobrze, nie trać wiary: skarb to wielki. Są ludzie nieopatrzni, co w szale szczęścia rzucają go na drodze, sądząc, że potrzebować nie będą; ale kiedyż się wiara nie przyda?

Na takiej treści rozmowie zszedł wieczór. Wacław dla uregulowania swojego nowego bytu, potrzebował jechać do Żytkowa; i nazajutrz otrzymawszy potrzebne papiery, których hrabia na pierwsze zażądanie nie odmówił, wybierał się już w podróż, ale uczuł się słabym. Ksiądz Warel go nie puścił; doznane wrażenia, zmiana losu, niepokój, rzuciły go także na łoże boleści, z którego młodość dźwignąć go miała.

Ksiądz Warel z troskliwością matki pozostał przy chorym, pielęgnując go najstaranniej i nie oddalając się, chyba dla spełnienia koniecznych obowiązków swego stanu. Naówczas zostawiał w swojem miejscu poczciwą Dorotę, staruszkę najlepszego serca, ale gderliwą, która

i proboszczowi nieraz dokuczyła wymówkami i przepowiedniami, i choremu też ich nie szczędziła.

Smolew był blizko Wulki, a Kurdesz wielkim przyjacielem plebana; codziennie prawie stary wojak odwiedzał księdza, którego potrzeby tajemnie opatrywał, tak, że tylko Dorota i on wiedzieli o tem; Warel byłby bowiem tej ciągłej ofiary nie przyjął, ale zbyt zajęty, nie dopatrzył się zkąd co przychodziło.

Tu stary szlachcic pierwszy raz spotkał Wacława, i widząc że mu w plebanii pomimo starań księdza nie najlepiej było, uprzejmie zaprojektował przenosiny do swego domu, zaręczając, że Brzozosia i Frania dobrze go dopilnować potrafią. Napróżno opierał się temu i ksiądz Warel i Dorota nawet; plebania była oczywiście wilgotna, doktor od Wulki mieszkał niedaleko, wszystko zdawało się przemawiać za wnioskiem rotmistrza: zaprzężono więc brykę i chorego przewieziono do znanego nam dworku.

Wiadomość o tem niesłychanie w początku zdumiała, potem rozradowała Brzozosię, która miała między innemi tę wadę, że się nudziła łatwo i potrzebowała nowości; przytem gdy się jeszcze dowiedziała, że to był hrabia i tego nazwiska co Sylwan, poczęła sobie powtarzać po cichu: — Kabała! kabała! kto wie co się to wyświęci, ona skłamać nie może!

Poczęła tedy zaraz wypytywać spiesznie jak Wacław wyglądał, ile miał lat, jakie oczy, włosy itd. Skutkiem tych badań było głębokie prorocze zamyślenie.

Oporządzono pokoik dla Wacława, a straż nad nim polecono naturalnie Brzozosi, która wzięła to na siebie z wielką radością; Frania tylko przez okno zobaczyła bladą twarz chorego, gdy wysiadał przed gankiem

i wchodził do pokoiku, przytykającego do jej mieszkania.

Nie bylato ciężka choroba; w początkach zaraz przerwała ją kuracja stosowna, pozostało osłabienie i ten stan przejścia, który dzieli zdrowie od cierpienia. Wacławowi tylko wychodzić i wyjeżdżać zakazano.

U łoża hrabiego zbierali się także zawołani medycy, głęboko rozmyślając nad przyczyną i nazwiskiem choroby, której *causa proxima* zakrytą dla nich była. Każdy z tych panów mając jakąś słabość faworytkę, którą wszędzie i we wszystkiem widział, symptomatów jej uporczywie szukał u hrabiego, i znalezione po swojemu determinował. Każdy też stosowny sposób leczenia doradzał; lecz że pilniejsze środki zaradcze wskazywał sam rodzaj choroby, na nie się zgodzono bez wielkich sporów. Ze trzech przytomnych lekarzy, jak często bywa, ten, który mówił najgłośniej, rozprawiał najniedorzeczniej ale zuchwale, zagadywał swych współtowarzyszów i umiał swoję niewiadomość pokryć ładnie uszytą suknią szarlatanerji, — otrzymał pierwszeństwo. Zasługa cicha, nieumiejąca mówić o sobie i za sobą, zawsze przyzostaje w cieniu: zarozumiałość idzie naprzód!

Hrabia, pomimo że się dostał w ręce szarlatana, niejakiego pana Szturm, znanego w okolicy z tego, że leczył jak kto chciał: homeopatją, alleopatją, hydropatją Prisnitzowską, elektropatją, Leroy, Morisonem, i podtrzymywał ten eklektyzm zgrabnie ukleconym systemem; pomimo leczenia najdziwaczniejszego, przychodził do siebie, mając jeszcze wiele życia i siły, głównych warunków zdrowia, bez których podstawy żadna medycyna nic nie może. Pan Szturm, który wedle zwyczaju swego szeptał wszystkim, że słabość jest niezmiernie

niebezpieczna, przypisał naturalnie sobie cudowne ocalenie pacjenta, i nazywał to jedną z najszczęśliwszych swoich praktyk, co w istocie winien był tylko losowi: bo dokładne nawet poznanie słabości tak było trudnem, że go się musieli wyrzec wszyscy medycy. Jak w wielu chorobach przyplątało się to, co wprzód taiło się długo lub słabo odzywało; teraz komplikowało to słabość, zaciemniając główne symptomata mnóstwem podrzędnych. Pedogra z całym orszakiem najdziwniejszych swych cierpień opanowała hrabiego, przechodząc z nóg, w których zwykle mieszkała, w odwiedziny do góry. Sprowadzono ją jednak na pierwsza sadybę, nie dając zasiedzieć w niewygodnych dla niej organizmu zakątach. Ałe w miarę jak zdrowie odzyskiwał hrabia, przypomnienie niebezpieczeństwa w jakiem zostawał, wstydu którego doznał, upadku co mu groził, miotały nim coraz silniej. Potrzeba było oddać wierzycielom, oddać Wacławowi i pozostać na bardzo małem. Przywykłemu do zbytku, przyzwyczajonemu do państwa, na to hrabia nie miał rezygnacji. Pocieszała go nieco myśl, że Farureja z córką ożeni, na którym wielkie też urojone osnuwał nadzieje; potrzeba było uspokoić wierzycieli, coby nań czyhać już mogli, a przedewszystkiem ukołysać rotmistrza Kurdesza, którego dwóchkroć nie był w stanie oddać hrabia. Po długich bezsennych nocach myślenia i kombinacji, okazała się potrzeba wezwania w pomoc Sylwana. Sylwan, który ze swej strony marzył, wybierając się na kampanją matrymonjalną, przyszedł do ojca powołany, ale obojętny, nadęty, znudzony.

Hrabia leżał na łóżku blady, oczy tylko jasne, błyszczące ogniem życia, podsyconym jeszcze chorobą, objawiały grę wewnętrzną uczucia. Dziwnie zmieniony,

wychudzony, z zapadłemi policzki, suchą i pomarszczoną ręką, czołem pofałdowanem, wpół oparty na poduszkach, zgarbiony, dumał boleśnie. Sylwan nie uczuł na widok tej postaci wrażenia, jakie na nim uczynić była powinna; zimne jego serce przykrzyło sobie w widoku cierpienia, ale go nie podzielało.

Rozparł się w krześle, ziewnął i spytał:

— Jakże się hrabia ma?

— Lepiej, lepiej, — odpowiedział żywo zapytany — ale muszę myśleć i myśl mnie trawi.... a myśleć potrzeba... Potrzeba o sobie myśleć, inaczej źle być może. Nie znasz panie Sylwanie stanu naszego majątku: upadek! ubóstwo nam zagraża!

— Owszem, domyślałem się tego, i postanowiłem też póki czas myśleć o sobie.

— Właśnie i ja pracuję nad tem, — rzekł stary hrabia.

— A! więc słucham! — skłaniając się prawie szydersko odparł Sylwan.

— Trzeba żebyś nas ratował; stoimy jeszcze wymodlonym i wypracowanym przezemnie kredytem. Przed tobą nie mogę i nie powinienem nic taić; od zabrania klucza Słomnickiego poczęły się nieszczęścia nasze... Pójście za mąż babki waszej — szaleństwo! głupstwo!... Ten synowiec... (wymówił ciszej), długi... wszystko to zabiera nam i majątek, i nadzieję podźwignienia się. Jeśli jeszcze wierzyciele razem o wypłatę się dopomną, zginęliśmy.

— Tak, to wiem, ale jak temu zapobiedz?

— Ludzie są jak owce — mówił z wejrzeniem na Sylwana przenikliwem hrabia — idą, gdzie ich poprzedzą drudzy.

— To być bardzo może, ale cóż nam z tej sentencji?

— Posłuchaj: właśnie Kurdesz jest głównym wierzycielem, jeśli jego nie uśpimy, za nim rzucą się wszyscy.

— Ale cóż z tym starym wędżygą począć?

— Hm, gdybyś się starał o jego córkę?

— Jużciż zdaje mi się, — rzekł oburzony Sylwan — że coś przecie lepszego znaleźć mogę!

— I ja tak sądzę — ale starać się, zaręczyć nawet, a ożenić się, całkiem rzecz inna. Potrzeba żebyś się starał, nawet z pozwoleniem i wiedzą moją, ale do ożenienia nie przyjdzie, a zyskamy na czasie.

— Samo staranie sie jest upakarzające, — odezwał się Sylwan, — zwłaszcza po tem co zaszło.

— Ale cóż zaszło? — podchwycil stary bledniejąc.

Sylwan poprostu, otwarcie opowiedział wszystko, aż do próby przekupienia Brzozosi, nie szczędząc szyderstw i obelg domkowi szlachcica.

— Ba! — wysłuchawszy rzekł stary, — to jeszcze nic: wszystko to w korzyść się obrócić może; powiesz, że twoja miłość tak jest silna *et caetera*, że mi padłeś do nóg, że ja musiałem zezwolić. Stary, że to kuta sztuka, przyjedzie mnie spytać: ja potwierdzę. Przeciągnie się staranie, a gdy zyskamy folgę, może się znajdzie jaki inny ratunek, i tu zerwiemy. Zdaje mi się, że trochę się poumizgać nie powinno ci być ciężko?

Okropny uśmiech chorego tym slowom towarzyszył: iskrzącemi oczyma, badawczo spojrzał na syna. Ten właśnie z wielką precyzją ślinił i obcinał cygaro, zadumany, wykrzywiając usta (niewiadomo z powodu wniosku, czy cygar) i zapaliwszy Hawannę, odpowiedział:

— Wszystko to hrabio, pozwól sobie powiedzieć, trąci szalbierstwem.

— A! jeśliś taki skrupulatny, — zawołał hrabia żywiej, — no, to panna ma więcej trzechkroć choć w perkaliku chodzi; to znaczy tyle, co posag twej matki, a dziś nasz cały majątek nie wyniesie trzechkroć, więc się sobie z nią ożeń.

— A! bardzo dziękuję, — odparł Sylwan, — wieśniaczkę taką, koczkodana wziąć, cóżbym z nią robił? Potem zdaje mi się, że mając się sprzedać, mógłbym wziąć za siebie tyle przynajmniej, ile Cesia.

— Nie zawsze tak się trafi.

— Za pozwoleniem hrabio, chciej pamiętać że mowa o mnie! Zdaje mi się — z udaną skromnością dodał Sylwan, — że podobnych mnie młodych ludzi na setki u nas nie liczą.

Hrabia był w tej chwili jasnowidzenia, w której niezawsze są ludzie: uczuł całą śmieszność głupiej zarozumiałości Sylwana i na jakie go musiała narazić zawody.

Ruszył tylko ramionami i zamilczał.

— Zresztą, — rzekł Sylwan, — pojadę, zobaczę — ale nierychło. Muszę sobie dać czas zapomnieć o tej babie, która mnie tak wyłajała.

— A! zachciałeś! na cóżbo jej było dawać pieniądze?

— Mógłżem pomyśleć, że ich odmówi?

— *Qu'on se le dise!* pieniądze!!

Gdy się tak Sylwan wybiera jechać do Wulki, a upokorzenie zmusza go zwlekać, bo wstyd mu po raz setny probować, co się tyle razy nie udało; Wacław z osłabienia wychodząc powoli, upodobawszy sobie

starca i jego skromny domek, siedział tu jak dziecię rodziny, pieszczony, codzień przy Frani, codzień z nią razem, narażony na nieuchronne zakochanie!

Długo obraz Cesi dumnej, zimnej, rozkazującej dziewczyny, był tarczą, co go osłaniała od nowego uczucia; ale widując Franię codzień, oceniając jej łagodność, dobroć, i w piękne jej wpatrując się oczy, które tak żywo za serce ręczyły, powoli pomyślał naprzód sobie, czemuto Cesia do niej niepodobna? potem gorzkiemi wyrzuty odtrącał nowy obraz od siebie, zacierał wspomnienia kilku chwil przelotnych, na wpół gorzkich, wpół miłych, co całe miłości jego stanowiły dzieje; nareszcie rzekł sobie: Czemużem jej nie kochał?...

Od tego słówka, do przywiązania namiętnego nie było daleko.

A Frania? Frania z sercem zupełnie wolnem, naprzód litością ku niemu zdjęta, potem powoli pociągniona powabem człowieka, jakiemu równego jeszcze nie spotkała: z samowolnością pieszczonej dzieciny rzuciła się w nowe dla siebie uczucie.

Brzozosia śmiała się pocichu, patrzała, widziała i nie wiem jaką siłą nadludzką nieslychanie się męcząc, utrzymała język za zębami. Kurdesz zdawał się niczego nie domyślać.

Chory młodzian codzień milszym się stawał wszystkim w Wulce, codzień więcej zajmował prostą wiejską dziewczynę, która czuła wyższość jego i do niej leciała jak ptak do słońca. Tak miło słuchać jej było gdy opowiadał zajmujące przygody życia swego, chociaż z nich wyrzucał co tylko ludzi obwiniać mogło.

Kurdesz spojrzawszy w oczy Wacławowi, uznał go uczciwym, poczuł dla niego sympatją, nie bronił córce

przebywać z nim większej dnia części, i zostawiał ich przy Brzozosi zupełnie spokojny. Nie obawiał się on zdrady ani podejścia; zresztą może głos mu szeptał tajemny, że los nastręczał uczciwego zięcia, a córce męża, w którego ręce śmiało przyszłość jej powierzyć może. Jak Wacława pan Jacek ocenić potrafił, tak daleko od niego będąc wyobrażeniami o ludziach i życiu, wytłumaczyć nie potrafię: sądzę, że tu serce nad wszystko działać musiało, że wiodło go przeczuciem.

Życie w Wulce tak od niejakiego czasu było miłe, dnie biegły tak rączo wszystkim, że choć widocznie przychodził do zdrowia gość, nie pilno mu było uciec z pod strzechy rotmistrza i wyjrzeć na świat, który teraz całkiem się nowy dla niego otwierał. Wieść o odkryciu tajemnicy jego pochodzenia, piorunem rozbiegła się w sąsiedztwie; nikt jednak tyle jej nie uczuł, choć powszechnie zajęła wszystkich, co Dębiccy. Ci się uspokoić nie mogli; sam nie mógł się nagadać o hrabi, którego miał za nauczyciela przy dzieciach; sama łamała ręce z desperacji, że się tak z nim obchodziła nieprzyzwoicie.

— Ale któżby się był domyślił — powtarzali oboje — taki niepozorny, tak pokorny, tak potulny! Szkoda, żeśmy o tem wprzódy nie wiedzieli, byłoby się nam to przydało: przez niego weszlibyśmy w świat, poznali z sąsiedztwem, a tak — gniewać się musi śmiertelnie!...

Wacław się przecię nie gniewał wcale, bo nawet nie myślał, że są Dębiccy na świecie. Uzupełniwszy dowody swej rodowitości i przez kogoś nastręczonego od księdza Warela prawnie w Żytkowie swe nowe położenie uregulowawszy, pewien już, że mu nikt zaprzeczyć nie może imienia ojca i czci nieszczęśliwej matki,

nie spieszył się z dopominaniem o majątek. Tak mu dobrze było chorować w Wulce z Franią, ze starym Kurdeszem, z księdzem Warelem i kilką poczciwymi sąsiadami, co ich odwiedzali! Za drzwi nawet dziedzińca nie bardzo się kwapił; wstrzymywano go też serdecznie jak tylko umiano po staroświecku, targując się o tygodnie, o dnie i godziny do upadłego.

Hrabia także do zdrowia powoli przychodził, ale ozdrowienie jego było raczej przemianą choroby ciężkiej, ostrej, w lżejszą a chroniczną; kaszel, bezsilność, drażliwość, smutek zostały mu w spuściznie. Spędzał czas na przechadzce po pokoju, na leżeniu w fotelu, i tylko dla Farureja przenoszono go czasem w lektyce z oficyny do pałacu.

Farurej coraz był gorętszy. Cesia zdawała się ostygać dla niego; nie cofała się jeszcze, ale tak była smutną, pogrążoną, zamyśloną, jakby dopiero teraz przeglądać zaczęła w zgotowanej sobie przyszłości. Wacław, który się od niej odsunął, droższym był dla niej teraz niż kiedy; dumała o nim, pragnęła go pociągnąć, wymyślała środki, łamała głowę i gniewała się na niego i na siebie. Farurej tymczasem urzędownie się oświadczył, został przyjęty, ale gdy przyszło naznaczyć czas wesela, Cesia tak zwlekała, tak odkładała pod różnemi pozorami, tak mu się wymawiała, że musiano zgodzić się na przeciągnienie terminu do roku prawie.

Sylwan, którego hrabia naglił, ażeby jechał do Wulki, odkładał także, nie smakując wcale w tym sposobie wypraszania się od wypłaty długu. Smutno było w Denderowie; hrabia i hrabina od niejakiego czasu nie mówili do siebie, tylko z przekąsami lub

szyderstwem, a najczęściej ledwie się przywitawszy milczeli. Sylwan rzadko kiedy usta otworzył, Cesia wchodziła do salonu, i wychodziła obojętna, grała tylko zajadle na fortepianie i dalekie piesze odbywała przechadzki.

Smoliński odprawił się, przenosząc na dzierżawę, która być miała tylko stopniem przejścia do dziedzictwa. Po wszystkich kątach czuć było pustkę i blizki upadek; mury nawet jakby to przeczuwały, poczynały się rysować i pękać zawczasu.

Pomimo tego smutku powszedniego, gdy goście przybyli, gdy sąsiad zawitał, wszyscy przybierali na przyjęcie jego pożyczane twarze, chwilową wesołość, żywość i śmiech potrzebny, by się pokazać ludźmi wyższemi nad los i doskonale pewnemi, że ich żadna nie dosięże katastrofa. Hrabia swą bladość i kaszel pokrywał rumieńcem zmęczenia i śmiechem, hrabina wdzięczyła się do niego najczulej, Cesia prześladowana Farurejem, dumnie przyjmowała przekąsy, a Sylwan perorował o kolejach demokracji, jak gdyby w istocie w nią wierzył i żądał jej. Niekiedy nawet spór z ojcem odnawiał się z całą dawną świetnością argumentów, stawali przeciw sobie szermierze: jeden jako filozoficzny reformator społeczności, drugi jako przedstawiciel starego świata. Walczyli żwawo, okazywali zręczność i siłę, a nikt nikogo nie ranił.

A potem, potem i ci co te sceny grali, i ci co ich słuchali, rozszedłszy się ruszali ramionami, uśmiechali do siebie, a w Denderowie wszystko wracało do znużenia, milczenia i smutku.

Hrabia niepomału myśleć musiał, co oddać Wacławowi; przyznanie go pociągało za sobą niechybny roz-

dział majątku, a największa była trudność w tem, jak podzielić bańkę mydlaną, którą dość dotknąć, by prysła.

Odwlekał od dnia do dnia, od jutra do jutra, a że Wacław o nic się nie dopominał, i nie obiecywał być ciężkim w interesie, codzień w myśli zmniejszał hrabia schedę, i przyszło do tego, że mu jednę z najgorszych wiosek, odłużoną w banku, przyległą Wulce, postanowił wydzielić, oceniając w najdziwniejszy sposób.

Wacław w milczeniu przyjął co mu dano i pokwitował ze wszystkiego. Wielki ciężar spadł z bark hrabiemu, który tak był rad, że na chwilę pożałował iż mniej jeszcze nie wydzielił, a wyżej nie oszacował. Wstyd mu wprawdzie było tego uczynku przed własnemi dziećmi, a gorzej przed obcymi, którzy mizerny ten udział widzieli i zrozumieli; ale interes własny zagłuszył głos sumienia, a sądy ludzkie nie dochodziły do hrabiego.

Wacław już się więc miał dokąd przenieść, miał dom własny, swój kątek na ziemi i chleb nie proszony. Jakże był z tego szczęśliwy! Zdawało mu się, że najłatwiej na tem małem poprzestać, nie żądał więcej i zarzekał się że nigdy nie zechce. Trafem wieś Palnik wyznaczona mu, była niegdyś za życia dziada obranem chwilowo przez ojca jego mieszkaniem; zastał w niej jeszcze choć zatarte ślady pobytu Henryka, a to mu ją dziesięćkroć milszą i droższą czyniło jeszcze.

Palnik jak wiele wiosek wołyńskich czepiał się na wzgórzach, pokrytych gajem dębowym, brzozowym i osikowym: wdzięczny był widok na wioskę i ze wsi, u której stóp po zielonej wijącej się wśród wzgórzów łące, przebiegała niebieska rzeczułka, błyskając gdzie-

niegdzie z pośrodka trzcin źwierciadełkiem swej wody. W dali widać było kilka wiosek rozsypanych w dolinach i po wzgórzach, laski i pasieki jakby umyślnie dla ozdoby krajobrazu pozostawiane, i pasma dalekie borów poleskich od strony Smolewa. Dwór od dawna opuszczony, bo w nim tylko ekonom mieszkał, stał na pochyłości wzgórza, otoczony zarosłym ogródkiem. Znać było, że starą tę budowę przed laty kilkudziesięcią ktoś już nieco przerabiał, domurowano do niej parę porządniejszych pokoików, otoczono drzewami, a te dziś podrosłe tworzyły cień, puszczając gdzieniegdzie między gałęźmi oko na sioła, łąkę i rzeczułkę. Ustroń ta tak przystała do serca Wacławowi, tak ją od razu pokochał, tak mu miło było żyć, gdzie żył lat kilka nieznany mu ojciec, iżby ją na Denderów nie zamieniał. Sąsiedztwo Wulki dodawało jeszcze wartości Palnikowi; a i Smolewa wieżyczka na widnokręgu czerniała.

Prędko oczyszczono dla niego domek, przygotowano wszystko do zamieszkania; i choć jeszcze osłabiony, postanowił opuścić rotmistrza, prosząc tylko, by go na nową siedzibę przeprowadził, i starą a poczciwą ręką strzechę pobłogosławił.

Z Wulki tak było blisko do Palnika, że domki patrzyły na siebie; przejść tylko wąwozem ocienionym krzakami róż dzikich, białego głogu, tarniny i bzów, i kawałkiem wioski, i stałeś w dziedzińcu sąsiada. Cieszyło to niezmiernie Brzozosię, że się tak wszystko doskonale jakoś składało, że pan Wacław nie oddalał się; zmuszona wyrzec się pierwszego swojego projektu, przy drugim trzymała się uparcie, przypuścić nie mogąc, by ją i to zawiodło.

Z doświadczenia, jakiego nabyła teraz, nie wyrywała się już ani mówić z Franią, ani rozwodzić nad swemi projektami; milczała, choć się za język gryzła, a cieszyła się, że ludzie i losy zdawały się sprzyjać wyrokom niechybnej kabały.

O już co teraz to nie chybi! — mówiła do siebie, spoglądając ukośnie na Franię i Wacława siedzących w ganku. — Frania widocznie ma do niego słabość; bawi go nibyto, że chory, a on tak chory jak i ja.... Ojciec zdaje się za tem... no! i ja także! Kabała nie darmo wskazywała na Denderę; jeszcze tak blizko mieszkać będzie: niechybnie się pobiorą.... albom ja ze wszystkiem głupia. Tamten jak sobie chce, tamto paniczykowate, Bóg z nim, chciał się pobawić, nie żenić; ale to uczciwy człowiek, bardzo uczciwy człowiek! dwa razy mnie w rękę pocałował, gdym mu dawała lipowy kwiat, i grzeczny... zawsze mnie po tytule nazywa.

Właśnie na to mruczenie nadszedł stary Kurdesz, i Brzozosia postanowiła go trochę wybadać, zaczynając zręcznie od pogody.

— Otóż — odezwała się, pokaszlując dla zwrócenia uwagi na siebie — będzie można naszego chorego przenieść do Palnika; śliczny dzień.

— A czego się to spieszyć? — rzekł stary. — Jeszcze tam nieład; może i jeść nie znajdzie czego.

— Już to prawda! A w dodatku on taki nie gospodarz, żadnej kobiety w domu nie ma, sam mężczyzna rady sobie dać nie może.

— Prawda to Brzozosiu, ale za to cicho mu będzie i spokojnie.

— I nudno, panie rotmistrzu! — dokończyła Brzo-

zosia. — Jużto nie chwaląc się, ale bez nas zawsze klasztor. Tylko że to młode a poczciwe, pewnie się prędko ożeni.

— Z czegoż to tak wnosicie? — spytał rotmistrz.

— Zwyczajnie, młody i przystojny, familiant, ma trochę grosza: czyto on sobie nie znajdzie takiej, co za niego pójść zechce?

— Ale ba! a czy on się żenić zażąda, to kwestja, panno ciwunówno! — śmiejąc się rzekł stary wojak.

— Zdaję mi się, że nie od tego — odparła Brzozosia uważnem wejrzeniem mierząc gospodarza. — Nie mówiąc i nie myśląc nic złego, ale i z Franią całemi godzinami siedzieć gotowi.

Rotmistrz udał że nie dosłyszał, zawołał w tej chwili na parobka, który konie prowadził. A nie dawaj tak pić jednym ciągiem! przerywaj! A siwkę tam wystrzygłeś?

— Zdaje mi się — nalegając powoli dodała Brzozosia — że i Frania na niego patrzy bardzo miłosiernem okiem.

— Coto za zabudźko z tego Hryćka — powtórzył rotmistrz, nie chcąc usłyszeć co mu szeptano i wygadywać się przed Brzozosią.

— A wy jak myślicie panie rotmistrzu? — wystrzeliła panna ciwunówna.

— Co? kochana Brzozosiu! — śmiejąc się filuternie i podając jej tabaki, rzekł rotmistrz — o czem? o Hryćku?

— Jak gdyby nic nie słyszeli co mówiłam.

— Albożeście co o kim mówili?

— E! nie udawalibyście głuchego. Mnie się zdaje, że się tu coś święci, i wyświęci lepiej niżeli pierwszą razą...

— W Bożej to mocy! w bożej mocy! — szepnął rotmistrz — a mnie czas pacierze mówić. Przepraszam... *In nomine Patris...*

Panna Brzozowska odejść musiała i poszła do Frani. Frania siedziała w pokoiku bawialnym, a Wacław nieco opodal za stołem czytał jej coś Kniaźnina. Słuchała i pojąc się harmonią wiersza i myśli nowych dla siebie, zdawała się w jakimś pół-śnie czarownym zatopiona; ze zwieszoną główką, z założonemi rękoma, patrzała na czytelnika, dumając, nie wiem, o nim, czy o poecie?

Na widok Brzozosi, jakby ocucona, wzięła się Frania do roboty, i wesoło pocichu odezwała się:

— Siadajno, siadaj i posłuchaj jakie to piękne!

Posłuszna ciwunówna usiadła, ale nie wytrzymała i odpowiedziała:

— Piękne, bo pan Wacław czyta!

Frania się zarumieniła, z wyrzutem spojrzała na nią, a Wacław słysząc ich szepty prędko skończył czytanie, zamknął książkę, wstał i zapowiedział, że musi odejść do Palnika.

— Jakto? dziś? — spytała żywo Frania — o! nic z tego nie będzie, my pana nie puścimy! Ojciec na to nie pozwoli. Jakże można, słabemu jeszcze chcieć uciekać tam, gdzie żywej duszy nie ma.

— Dziękuję pani, to dawny projekt; siedzę tu już tak długo.

— To panu się tak zdaje — przerwała Frania. — A pamiętasz pan, że i ksiądz Warel i doktor Szwarc zabronili panu, do zupełnego wyzdrowienia, myśleć nawet o domu.

— Ależ ja jestem całkiem zdrów! — rzekł Wacław.

— Brzozosiu! świadczę się tobą, czy to można na-

zwać zdrowiem? Naprzód pan pokaszlujesz, jesteś blady, mizerny.

— Panu jeszcze widocznie potrzeba pić ziółka nasze — głośno zachuczała ciwunówna — trzeba się dozwolić pielęgnować i nudzić. Idę z ganku od rotmistrza, i on tego samego zdania; siła złego kilku na jednego: trzeba się poddać.

Wacław uśmiechnął się wdzięcznie, dziękując.

— Ależ doprawdy — rzekł — ja tu tak zawadzam.

— Któżto tak mówi, czego nawet nie myśli — przerwała urażona Frania rumieniąc się cała — albożto pan nie widzisz jak nam tu z nim dobrze? Pan nas bawisz, uczysz, czytasz nam... jeszcze zamiast przyjąć podziękowania, udajesz, że się czujesz natrętnym.

O! jak ona to ślicznie powiedziała — w duchu zawołała Brzozosia — jak z książki. No! no! poczekawszy, gotowa wiersze pisać!!

— Dziękuję pani za te wyrazy przychylne, do których jeszcze nie przywykłem w życiu — odpowiedział Wacław. — Ale doprawdy, czy się to godzi, żebym tak waszej gościnności nadużywał? ludzie tak są źli...

— A cóż nam do ludzi? — spytała Frania.

— Jużciż pan Wacław ma racją — odpowiedziała Brzozosia. — Mogliby gadać, ale pan byłeś chory...

Frania udała, że się zajęła robótką, ale spojrzała na Wacława z taką prośbą i wyrzutem razem, iż zamilkł i w miejscu pozostał. Brzozosia tymczasem dobyła z szufladki stare karty, i poglądając na nich, zajęła się kabałą. Oni zbliżyli się do siebie i szeptali.

W tej cichej rozmowie, która płynęła jak strumyk po czystem dnie piasku, Wacław mimowolnie porównywał Cesię z Franią, i widział w niej nieznane tamtej

przymioty: łagodność, dobroć, prostotę. Może tych cnót nie byłoby mu dosyć, ale czarodziejskie oczy, świeża a pełna wyrazu twarzyczka, dźwięk głosu prześliczny, i coś uroczego w całej postaci, uosabiały je tak anielsko! Jakże różną, jak piękniejszą wydała mu się ta śliczna dzieweczka, dziecię słomianej strzechy, od wymuskanej córki pałacu, której ulubioną zabawką, igraszką codzienną, było znęcanie się, dręczenie, sprzeciwianie, szyderstwo! Przecież pociągało go jeszcze ku tamtej wspomnienie, coś niewytłumaczonego, co jak przepaść nęci; tu się czuł spokojnym, szczęśliwym w pełni życia, a myślą biegł po udręczenie do tamtej jeszcze. Byłto jeszcze ostatek niedogasłej a stłumionej namiętności.

Frania... Frania puściła wodze swojemu sercu, które raz pierwszy przemówiło w niej, i powiedziała sobie: — Ojciec pozwoli, bo ja go kocham... Ale możeż on kochać prostą wieśniaczkę?...

I nieraz smutne ogarniały ją myśli, i pytała kwiatków, pająków, muszek, wróżb wszelkich, a serce odpowiadało za kwiaty i stworzenia. Czemużby cię nie kochał? czyż nie kochając, takimby patrzał wzrokiem? tak miłemi kołysał słowy, tak posłusznie kierować ci się dawał?

Wyszedł Wacław po chwili, a Brzozosia ścignąwszy go oczyma do drzwi, rozśmiała się zcicha i przysuwając do Frani z kartami, spytała:

— A co serce? gdyby ci kazali teraz pójść za kogo innego nie za niego, cobyś powiedziała?

Wychowanka spuściła oczy, tak trudno jej było skłamać.

— M[illegible]ozosiu — wyjąknęła niewyraźnie — czy ja [illegible]

— [illegible]znaj się lepiej: wy się kochacie, a nawet

nie spytawszy jegomości o pozwolenie?

Zmilczała Frania, ale milczenie jej wymowniejsze było od odpowiedzi.

— O! mnie nie oszukać — ciągnęła dalej Brzozosia — ja widzę, że tu już coś jest, kochacie się... Ale cóżto złego: uczciwy, i dobry, i biedny chłopiec...

— O! prawda! taki biedny! — naiwnie odezwała się Frania.

— I dobry, i ładny...

Frania zamilkła, spuściła oczy na robotę.

— Moja Brzozosiu, czybyto on mnie zechciał?

Na te słowa ciwunówna porwała się z krzesła, wzięła w boki.

— Słyszałam! — krzyknęła — a któżbyto śmiał odmówić takiego szczęścia! Cóżto tobie braknie? Młodość, uroda, pieniądze, imię szlacheckie a poczciwe...

— Moja Brzozosiu, ale patrz jak my z innego świata, on taki rozumny, uczony, a ja...

— Albożto ty na kobietę mało umiesz — spytała ciwunówna — proszę mi znowu nie ujmować, wychowałam cię jak potrzeba! Radabym widzieć ktoby cię nie zechciał! Ba! albomto ja ślepa i z oczów mu nie widzę w co on gra! Cha! cha! I jakby sam Pan Bóg kartował, dali mu Palnik, tuż przy Wulce, bok z bokiem, jak jedno, jak naumyślnie...

Mówiły tak, a Wacław wchodził do swojej izdebki, gdy tętent koni i huk zajeżdżającego powozu dał się słyszeć.

Obie pobiegły do okna, po koniach, po powozie, zaprzęgu, poznały Sylwana i stanęły jak wryte.

— W Imię Ojca i Syna, i ten tu jeszcze! śmiejąc się szydersko szepnęła Brzozosia — patrzajcie, chłopcy

za nią poszaleli... Otóż to to lubię... ale nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło — dodała pocichuteńku.

Ale Frania jakby przeciwnego była zdania, zabrała spiesznie robotę i pobiegła schować się do swego pokoiku.

Rotmistrz przyjął Sylwana w ganku ze zwykłą uniżonością; poklonił mu się do kolan prawie, i otwierając drzwi, wprowadził dość kwaśnie hrabiątko, do bawialnego pokoju.

Rozmowa naciągana z różnych stron, jakoś rozpocząć się nie mogła. Sylwan bąkał rozparty w krześle o deszczu i polowaniu, patrzał po sufficie, mieszał się, oglądał.

— Gdzież panna Franciszka? — spytał wreszcie.

— W swojej izdebce — rzekł szlachcic — ale darujesz mi JW. hrabia — dodał zaraz — jeśli to dawne projekta; wszak już wiem od szanownego ojca, że z tego nic być nie może.

Sylwan z widocznym wstrętem i przymusem przerwał staremu:

— Ojciec mój przekonany przezemnie, zgodzi się na wszystko, co szczęście moje stanowić może.

Starzec zdumiał się trochę, zamilkł, zastanowił.

— W istocie? — spytał.

— Tak jest, tak jest! — szybko kończył Sylwan — możecie go spytać sami.

— Wielki to zaiste honor dla mnie i mojego dziecka — kłaniając się odparł Kurdesz — a zatem nic już nie mam do odpowiedzenia, i owszem najgłębsze składam dzięki... ale...

Sylwan, który się już żadnego *ale* nie spodziewał, ogromne i gniewne zrobił oczy na starca, a ten kończył poważnie:

— Ale to wszystko teraz od córki mojej zależeć będzie.

Zagryzł usta gość, zapalił cygaro i odwrócił rozmowę.

Po chwilce weszła Brzozosia bardzo krochmalna i najeżona, a za nią Frania, którą Sylwan znalazł zmienioną, poważniejszą, obojętniejszą, prawie pogardliwą. Zasiadły na kanapce, Sylwan zaraz się ku nim obrócił.

Widok ładnej dzieweczki, chęć zwyciężenia doznanych tu przeszkód i przykrości, wywołały choć nie bardzo szczerą wesołość. Stałość, jak sądził, winna mu była zjednać względy panny, zresztą pojąć nie mógł, jak nim! nim! wzgardzićby można, jakby go ze stu nie wybrać!

Począł więc zaraz ze swoją zwykłą zarozumiałością prawić jej najniedorzeczniejsze komplementa.

Ale jakże się dziko wydał wiejskiej dziewczynie po Wacławie: nic w nim dla niej nie było wdzięcznem i podziwu godnem, lękała go się raczej i wstręt czuła bardziej niż skłonność. Sylwan wedle swych wyobrażeń zniżać się musiał, by być dla niej zrozumiałym, ona go przecie pojąć nie mogła; nie było myśli, na którejby się spotkali, tak ogromne dzieliły ich przestrzenie. Wacław był sercem cały, ten cały głową i chłodem; w tym żyła dusza silna, tu rozbudzone tylko zmysły. Przytem było w nim tak coś przesadnego, tak nienaturalnego, tak niepomiarkowanie szyderskiego; rozmowa jego tak wyłącznie żywiła się bliźnim, tak była mięsożerna, jeśli powiedzieć wolno, że Frania z biciem serca, z obawą, czekała tylko jej końca.

Wśród tej rozmowy, Wacław o którego pobycie w Wulce nie wiedział Sylwan, (bo co go obchodził stryjeczny?) nagle ukazał się we drzwiach; a przybycie

jego zdziwiwszy, zbiło i zmieszało hrabiego. Pierwszy to raz od owego uznania spotykali się z sobą. Przeszłość i obchodzenie się wzgardliwe Sylwana z Wacławem nie mogły być jeszcze zapomniane; dziś zmienił się ich towarzyski stosunek, uczucia pozostały czem były, powierzchownie jednak braćmi kazała się uważać przyzwoitość.

Z uśmiechem spojrzał na gościa Wacław, Sylwan na niego z gniewem, jakby na natręta, przywitali się zimno.

— Brat pański uczynił nam ten zaszczyt — odezwał się rotmistrz — i przyjął na czas jakiś gościnę w domku naszym... był chory.

— Był chory! — powtórzył Sylwan.

— A czemuż nie przybył do Denderowa? — zapytał po chwili ciszej.

— Dziękuję ci; byłbym zawadą, wiem, że hrabia chorował także.

— Tak, teraz już jest nieco lepiej.

Sylwan zmieszany niespodzianem spotkaniem, stracił wesołość nagle i przeczucie nowego upokorzenia napoiło go żółcią; widział się znowu niepotrzebnie wystawionym na odmowę, zniżonym nadarmo; pewien był, że Wacław, który od nich tyle wycierpiał, musiał też rotmistrzowi czarno cały Denderów odmalować, choć w istocie tak nie było. Sylwan nie byłby uwierzył choćby mu przysięgano; tak z siebie sądząc, niepodobieństwem sądził wstrzymanie się od łatwej zemsty. Zwarzony temi myślami spojrzał na zegarek, przemówił coś do Frani, która właśnie w myśli ich obu porównywała, zabawił chwilkę zakłopotany widocznie, i poprzysięgając sobie w duchu raz setny, że noga jego

w Wulce nie postanie, pożegnał zatrzymujących go grzecznie, siadł do powozu i uciekł.

Nie potrafimy odmalować, co się w sercu jego działo: byłoto uczucie tak przykre, jak gniew bezsilny, jak upodlenie odepchnięte, jak boleść pysznego, którego zepchnięto z podstawy; coś na drobną skalę na kształt uczucia szatana, w chwili, gdy ręka Boża rzuciła go w otchłań bezdenną. Po półgodzinnej drodze podniósł przecie czoło zmarszczone:

— Co mi tam! — zawołał — co mi tam, co mnie to obchodzić może? ojciec niech o sobie myśli! Ja łatwo świetną partję znaleźć mogę! Lecz któżby przewidział, że tam zastanę Wacława!

Tak na przemiany to gryząc się, to pocieszając, cały zburzony powrócił do Denderowa i wprost udał się do ojca.

Smoliński usuwał się właśnie z rachunkami, które zdawał jeszcze, a rachunki te przykre na starym hrabi robiły wrażenie, widoczne w twarzy drgającej gniewem i wzruszeniem, gdy Sylwan wszedł a raczej wpadł jak burza; nasępiony, chmurny, obejrzał się i z pasją zawołał:

— Ślicznem wyszedł znowu, niech ich djabli porwą!

— Cóż się stało? co się stało? — niespokojnie podchwycił ojciec.

— Zastałem tam już podobno od kilku tygodni chorującego Wacława.

Zamilkli. Więcej nie potrzeba było staremu; zagryzł wargi i rzucił się na kanapę.

— Jużciż — rzekł po chwili — gdyby szło o wybór...

— Nie tu moje miejsce — oburzył się Sylwan — ocenić mnie na tej parafii ani mogą, ani potrafią; to myśl dzika! Mam postanowienie niezachwiane: zrobisz sobie hrabio z tym szlachcicem co ci się podoba; ja

jadę do wód Druskienickich, do Buska, na Litwę, na Podole, na Ukrainę, do Warszawy, znajdę gdzieś bogatą dziedziczkę i ożenię się.

— Żeń się, żeń, i owszem — uśmiechając się boleśnie odparł ojciec — byle ci się udało, błogosławię; ale dotąd nie możesz powiedzieć, żeby ci bardzo los sprzyjał.

— Bom go też nie probował — odrzekł kwaśno Sylwan — Jutro w drogę ruszam.

— Więc tu ani chcesz sprobować?

— Nie, nie, dosyć już tego, wstręt mam od nich, brzydzę się tą pleśnią, mam jej póty — wykrzyknął z gestem znaczącym.

Ojciec zamilkł, usiadł w krześle, dumał; wtem weszła Cesia.

I ona była niecierpliwa, smutna, kwaśna od niejakiego czasu; nie spodziewała się wcale, że po nową przykrość spieszyła do ojcowskiego łoża.

— Jakże się papa ma dzisiaj? A ty Sylwanie?

— Ja, jak zawsze — dodał Sylwan.

— Wracasz z sąsiedztwa?

— Nie pytaj mnie zkąd.

— Nie potrzebuję pytać, byłeś naturalnie w Wulce! cały świat mówi o twoich dziwnych amorach...

— Amorach? dajże mi pokój! Jest tam ktoś co mnie podobno uprzedził.

— Cha! cha! — zawołała Cesia — i Sylwan zwyciężony, zapewne przez jakiegoś kapotowego szlachcica?

— O przepraszam: lepiej, bo przez Wacława.

Cesi twarz zmieniła się nagle jakby ją co za serce ścisnęło: pobielała, zmieszała się widocznie; lecz wracając zaraz do zwykłego panowania nad sobą, dodała:

— Można się było tego spodziewać, to partja tak dla niego stosowna! — I milcząca poczęła chodzić po pokoju podśpiewując.

Ani ojca, ani brata oczu nie uszło jednak zmieszanie Cesi i jej boleść, szybko stłumiona pozorem obojętności; oba wszakże udali, że się nic nie domyślają. Jak błyskawicą mignął staremu domysł przez głowę, ale go zniszczyło wspomnienie, że Wacław rękę Cesi odepchnął. Sylwan, który podobno od ojca więcej wiedział czy się domyślał, uśmiechnął się do siebie.

Nadchodząca hrabina przerwała dość już kłopotliwe wszystkich milczenie.

W kilka dni po wypadkach, któreśmy opisali, hrabia wyszedł o lasce ze swoich pokojów do pałacu z powodu przybycia Farureja. Oprócz niego było kilku sąsiadów: Cielęcewicz ze swemi perory głośnemi, rotmistrz Powała i niejaki pan Maurycy Hołobok, figura problematyczna, świeżo ze stolicy, od niejakiego czasu z domu do domu włócząca się po sąsiedztwie.

Byłto z powołania literat, niezmiernie misją swoją nadęty, niesłychanie pewien, że był mocarzem, stąpający jakby nim ciągle miotało natchnienie, decydujący o wszystkiem z góry, rozprawiający najczęściej o stolicy, z której wprost zjechać raczył; wspominający co chwila imiona magnatów, których się tytułów wyuczył w litografii na wizytowych kartach, oryginał nieoszacowany, próżniak, frant, wykpi-grosz i głupiec jakich rzadko.

Z nieporównaną naiwnością rozpowiadał wszystkim w ogóle, że zjechał na prowincję dla obudzenia w niej życia. Środkiem ku temu było pismo jakieś, mające się gdzieś i kiedyś wydawać, a prenumerata na nie narzucana w imię dobra literatury, uważała się za symptomat tego życia.

Pan Maurycy Hołobok (herbu tegoż nazwiska), wywodził się z bardzo jakiejś znacznej rodziny, i niemało pysznił prozapią swoją, choć jego tatulo był ekonomem tylko. Dużo się podobno nakręcił po świecie, nim się zdecydował zostać literatem. Probował różnego chleba: sprzedawał w sklepie, guwernerował, spekulował, aż nareszcie że czytać umiał i pisał niewyraźnie, uczuł się usposobionym do literatury. Na literata, pytam się, czego dziś potrzeba? umieć trochę czytać i jako-tako gryzmolić, zresztą byle śmiałość, czoło, byle trochę odwagi porwać się wysoko, zaczepić, zaszumieć, zakrzyczeć, więcej nie wymagają. *Usus te plura docebit.*

Nie mogąc pisać, bo utworzyć nic nie był w stanie, nasz pseudo-literat postanowił tłumaczyć, kraść i cudze wydawać. Kilka próbek przekładów dokonanych bez znajomości języka, wydrukowanych niepotrzebnie, tak go już postawiły na nogach, że kazał odbić portret swój royal-folio w postaci głęboko zadumanego pracownika nad ksiąg stosem, z fac-similą i datą urodzenia. I poszedł dalej: począł prawić o swej misji literackiej, drukować lichoty, narzucać je wszystkim, marszczyć czoło i grać rolę wielkiego człowieka.

Zarozumiałość posuniona do szaleństwa i obłąkania prawie, stanowiła cechę wybitną tego ciekawego typu. Dość było spojrzeć na niego, by się przekonać, jak wysoko się cenił: szedł z szacunkiem dla nóg swoich, zawsze zamyśleniem brzemienny, wiecznie pełen admiracji dla cudzych myśli, które z prestigiatorską zręcznością na swoje przerabiał i puszczał za swoje. Wszystkim mniemał się równym i traktował cały Boży świat na stopie równości lub niższości, bo wyższych

nad siebie dojrzeć nie mógł. Jestto zwykłe stanowisko zakamieniałej głupoty.

Trafiało mu się mówić naprzykład:

— Ja i minister jeździliśmy... Lub:

— Ja i Goethe zarówno lubimy...

Wyszedł ze szkół nic prawie się nie nauczywszy; złej francuzczyzny trochę liznął na świecie, zresztą nie czytając nic, nic nie lubiąc namiętnie prócz wygód życia i zbytku, którego pragnął, literaturę mając tylko za narzędzie: pracował nad utworzeniem sobie aureoli, spodziewając się z aureolą ożenić bogato i chapnąć majątek, na który nie pracował: *hoc erat in votis!!*

Wziął się tedy do kucia swej korony i wynoszenia swego pisma, bo ono miało być jego życiem. Niestety! kończyło się wszystko na zbieraniu trochy grosza i traceniu go na hulance; ale w ustach pana Maurycego, który się wyuczył jak papuga systemu literackiego powołania swego, przepysznie świetniały powody i cele!!

Nie umiejąc języka, pracował dla języka; nie będąc pisarzem, poświęcał się dla literatury; nie mając grosza, był wydawcą; niemając talentu, pożyczał go u drugich i na swój przerabiał, słowem, byłto wielki człowiek! A jak swą wielkość nosił dostojnie!!

W stolicy narobiwszy długów, okazawszy zbyt jasno i wyraźnie, nie czem chciał być, ale czem był, popasać dłużej nie mógł i wysunął się na prowincję czmucić poczciwych wieśniaków, którzy święcie wierzą w słowa a jeszcze bardziej w rzeczy drukowane. Tu postrzegł zaraz, że prowincja potrzebowała organu, jak się wyrażał; wezwał ludzi skromnych a daleko wyżej usposobionych od siebie do współpracownictwa, i obowiązał się, byleby mu dostarczano pieniędzy i artykułów, pra-

cować nad redakcją, to jest: układać okładki, przedmowy, noty i bilety prenumeracyjne, a zabierać dochody.

Ile razy chciał co napisać sam, chociażby notę lub przedmówkę, myśli sobie gdzieś pożyczał, rozwałkował ją i podlał swoją zarozumiałością, osolił konceptem wykradzionym, i potrawa była gotowa.

Jednym słowem byłto Don Kiszot literacki.

Literat ten wszedł na salon poważnie i raźnie, wypowiedział kilka słów francuzkich, które umiał, począł się śmiać i podrygiwać udając salonowicza, jak zły aktor na wiejskim teatrze, i natychmiast z wielką admiracją Cielęcewicza przemówił z trójnoga o swojej misji wydawcy! Nie przeszkadzało mu to jednak słodko oczu zawracać do hrabiney i do Cesi. Niestety, aureola jego zbyt małym świeciła blaskiem, i kobiety więcej spoglądały na lakierowane jego bóty, niż na promienne czoło.

— Przyjechałem z powinszowaniem, — odezwał się po chwilce.

— Komu i czego? spytała Cesia.

— Wszystkim państwu, tej tak niespodzianej, olbrzymiej sukcesji, o której w tej chwili wszędzie mowa...

— Sukcesji! — pochwycił hrabia łakomie — nam! ale my o tem nic nie wiemy.

— Jakto? miałbym być pierwszym zwiastunem tej wieści złocistej?

— Ale cóż to jest? co to jest, proszę pana, któż to panu mówił? Co to za spadek? po kim? gdzie? — — zawołali otaczając go wszyscy razem. — I zgiełk się zrobił w salonie, bo co to wieść o sukcesji, o skarbach, na które się nie pracowało!

— Wszakże, jeśli hrabia Dendera żonaty był w Pa-

ryżu z córką bankiera Petit, zapewne ojciec pański (obrócił się do starego), to na pana hrabiego spada po bezdzietnym synu jego tych kilka miljonów franków, te domy i...

Hrabia upadł na krzesło, Sylwan do krwi zaciął usta, a Cesia pobladła, wzrok gniewny rzucając na Farureja; hrabina z energją obwinęła się szczelnie w mantylkę, jakby jej się zrobiło zimno.

— A! to spadek na mojego synowca — wybąknął hrabia z wzruszeniem widocznem, ale udając obojętność — nie na nas! — I westchnął tylko.

— Synowca! — zawołał literat. — Któżto jest? gdzie mieszka? Nie mam szczęścia go znać.

Ale nikt odpowiedzieć nie spieszył, i kawaler nasz postrzegł, że tylko zazdrość przyniósł do tego domu i żale. Na Cesi najwidoczniejsze było wrażenie tej wieści, bo coraz oczki ogniste topiła w bladej Farureja twarzy, z wyrzutem i gniewem. Głuche, długie milczenie padło jak ciężar niepodźwigniony na wszystkich. Cielęcewicz tylko i literat mówili z sobą o swoich marzeniach; a pan Maurycy silnie go namawiał, ażeby rzucił myśli swe na papier, upewniając, że je zaraz wydrukuje. Cielęcewicz wypłacając się jak mógł za to ochotne oświadczenie, z uniesieniem znowu kadził mniemanym teorjom sztuki i pomysłom literata, które Hołobok żywcem z pism perjodycznych stolicy pożyczywszy, wykładał.

Oba podkadzali sobie wzajemnie z najczulszą troskliwością o dobór zapachów. Na nieszczęście brakło im słu haczów, bo wszystkich gniótł ten niespodziany, bajeczny, amerykański spadek na Wacława!!

— Szczęśliwy! — powtarzał hrabia z cytrynowym

uśmiechem, — szczęśliwy!

— O! teraz — szepnął Sylwan — ręczę, że porzuci Wulkę i pannę Franciszkę!

— Nie rozumiem, — przerwała Cesia, — co to tak wielkiego.... Spadło na niego, bardzo dobrze: niech się cieszy, nie ma co i mówić o tem.

Ale całe towarzystwo było sparaliżowane nowiną, a Farurej widząc Cesię w okropnym, spazmatycznym, szczypiącym humorze, przymawiającą już jego tupetowi, dopytującą o adres pana Fattet dentysty, czego się dotąd nie dopuszczała nigdy — nieukontentowany, gniewny na bok się usunął.

Literat tymczasem troskliwie dopytywał Cielęcewicza o Wacława, nie wątpiąc, że tak kalifornijsko zbogacony człowiek weźmie przynajmniej pięćdziesiąt biletów na jego Trzytygodnik i Dwumiesięcznik, zechce wystąpić jako mecenas, otworzy worek i dopomoże silnie do zaopatrzenia pana Maurycego w lakierowane buty, rejtfraki i łańcuszki do zegarków,..

Marzył on, ta dźwignia piśmiennictwa, że najmniej sto tysięcy dadzą mu na dobro literatury, a mając je rachował, że się pokaże w Żytkowie porządnie i jeszcze porządniej ożeni. Nie chodziło tu bowiem o Trzytygodnik, ani o Dwumiesięcznik, ani o literaturę, ale niestety! o kieszeń pana wydawcy i teraźniejszą i przyszłą.

Jakoż dokładnie się dowiedziawszy zaraz o gustach, charakterze, wieku, miejscu pobytu Wacława, a widząc że w Denderowie nie tak go jakoś traktują jakby sobie życzył, choć mówił wiele o swych stosunkach w stolicy z mnóstwem książąt, hrabiów i baronów, starannie po imionach i ojcowiźnie ich zowiąc, wysunął się a

l'anglaise, spiesząc na pierwszy dobry humor zbogaconego młodzieńca.

Ale nie on jeden snuł już projekta na biednego, przed chwilą zapomnianego sierotę; otaczający wszyscy chciwie nań wytrzeszczali oczy, gdy on oślepiony, ogłuszony swem szczęściem, a tak do niego nieprzywykły, zdawał się nie pojmować jeszcze, jak nowe siły, nową władzę, znaczenie, nowe przymioty nawet zlewał nań majątek!

Któż odmaluje co się działo w sercu hrabiego, na widok swojego upadku obok podnoszenia się sieroty; Cesi, która dziś mieć mogła z nim wszystko co ceniła, a ukarana za chłód serca i przedajność, widziała z rąk sobie uciekające skarby!

Sylwan, dla którego pieniądze były nieprzezwyciężonym magnesem, zaczynał rozmyślać, jakby się zbliżyć do Wacława, nie wątpiąc, że mu obficie pożyczać będzie; a była tego potrzeba, bo Powała i Farurej już się grzecznie wymawiali.

W Wulce tylko wieść o spadku przykre zrobiła wrażenie na wszystkich; przywiózł ją ksiądz Warel, zastał rotmistrza koło stajni i szepnął na ucho wielką nowinę.

Stary pobladł, ręce załamał, stanął jak wryty, jakby go srogie dotknęło nieszczęście.

— Co to wam? — spytał ksiądz.

— Co? — rzekł stary — ostatnie najpiękniejsze, najdroższe moje nadzieje w łeb wzięły.

— Jakie nadzieje?

— A! kochany ojcze, nic bo ty nie wiesz: snuło mi się po głowie, że ich pożenię, ale wola Boża!

— Kogożto jegomość chciałeś tak żenić?

— A Franię moje z nim, bo się dosyć wzajemnie upodobali.

— No! więc cóż przeszkadza?

— Widzisz jegomość, — miljony! — a toćto bardzo dobry chłopiec, ale mu się głowa zawróci.

— A pfe! nie, nie, rotmistrzu! — odparł ksiądz Warel — wiele jest licha na świecie, ale dobrego jeszcze więcej: zbyt czarnych o naturze ludzkiej nie potrzeba mieć wyobrażeń. Poczekaj, przekonasz się, to chłopię pobożne, poczciwe....

— Otóż mi i dlatego żal, bom go niemal jak własne dziecko ukochał.

— Ale zobaczysz rotmistrzu, że go fortuna nie zmieni: ja jestem tego pewny, nawet sobie także osnułem projekcik na niego, jak inni spekulując już.

— Co? i wy księże proboszczu?

— Albom to ja nie człowiek i nie egoista myślicie? — zaśmiał się ksiądz wesoło.

— Ale jakieżto projekta?

— Musi mi założyć szkółkę dla dzieci i szpital dla ubogich, od tego nie ustąpię; w dodatku i kościół wyrestaurować.

— Zgoda! zgoda! zgoda! — nagle z boku odezwał się głos Wacława, który pieszo nadszedłszy z Palnika, zjawił się przy nich niespodzianie.

— A pięknie to tak podsłuchiwać?

— Przepraszam, słyszałem tylko ostatnie słowa i piszę się na to wszystko, bylebym przyszedł do tych obiecanych złotych gór; ale zawsze z warunkiem...

— Otóż jest! warunki!

— A jakże! należą mi się: fundatorem będę!

— No! jakież?

— Że poprawując kościółek, budując szkółkę, pozwolicie mi i probostwo nowe postawić.

— E! Bóg z tobą, bez tegoby się obejść można: przytułek Boży i ubodzy to pilna, a księdzu byle kąt...

Rotmistrz, który się obawiał czy go nie podsłuchano, zakłopotany trochę przywitał Wacława, spojrzawszy mu w twarz jaśniejącą błogim spokojem a nie namiętnem wzruszeniem. Widać było, że przyszedł podwoić swoje szczęście, dzieląc je z przyjaciółmi, i że jak uczuciem, tak temi skarby gotów się był dzielić.

Gdy się to dzieje przy stajni, Brzozosia, której furman księdza Warela o wszystkiem powiedział, wpadła tak rozczochrana, przerażona i zbladła do izdebki Frani, że jej dech i mowę zatamowało.

Frania zerwała się od krosienek przerażona.

— Co to jest? co to jest?

— A! a! nie uwierzysz! jak Boga kocham!... dziwy!... okropności!...

— Co to ci jest Brzozosiu?

— Pan Wacław...

— Jezu! cóż mu się stało? mów! — krzyknęła Frania, wywracając krzesło i stolik i przypadając do niej blada i przerażona. — Co mu się stało? na Boga! idźmy, jedźmy!

— Ale dajcież mi odetchnąć! — Brzozosia upadła na krzesło.

— Na Boga! choć słowo, kochana Brzozosiu, nie umarł, nie skaleczył się?

— Nie! nie!... miljony! miljony!

— Jakie miljony? Co ci kochana ciwunówno?

— Spadły na niego za morzem, nie wiem gdzie, w Ameryce, czy w Kalafonii! Bogaty okropnie! bo-

gatszy od wszystkich! jak książę, jak król! Wystaw sobie...

Frania pobladła, zawstydziła się swojego pierwszego przestrachu, i trochę urażona spytała:

— No! i cóżto tak strasznego?

Brzozosia, bojąc się bardzo, nie śmiała wytłumaczyć.

Frania powoli zbierając kłębuszki, igły i rozrzucone roboty, nic nie mówiąc, wróciła do krosien, gdy ją głosy ojca, księdza Warela i czyjeś jeszcze doszły.

Podniosła główkę: Wacław stał w oknie i po dawnemu uprzejmie ją witał, z uśmiechem, z wejrzeniem, w których nic nowego, nic zmienionego nie było.

Brzozosia na widok tego zjawiska znowu krzyknęła, ale już z radości, zwycięzko, i niepohamowana rzuciła się do okna.

— Czy to prawda, panie Wacławie? (jak jego teraz nazywać?) czy to prawda, te miljony! miljony?!

— Co? kochana panno ciwunówno?

— Ale ta sukcesja! bogactwo! Jezu Marjo! to bajka chyba! Pan się nic nie cieszysz?

— A z czegóżbym się tak nadzwyczajnie miał cieszyć?

Rotmistrz, który na to patrzał i słuchał tego, uspokoił się nieco, widząc jak mało wrażenia zbogacenie czyniło na Wacławie. Pozostało mu jednak nieco obawy, i czynił sobie uwagę, że pieniądze są jak trunek, który nie zaraz upaja.

Tymczasem wieczór zszedł najmilej w towarzystwie księdza Warela i Wacława. Byłato późna jesień, ale dzień nadzwyczaj ciepły, zastawiono więc stolik do podwieczorku w ganku, z którego dochodziły uszu odgłosy wiejskiego żywota, i owe zapachy jesieni właściwe, coto w nich czuć owoce, żniwo, chłodną rosę, liście więdnie-

jące i późnego siana woń miłą.

Frania wkrótce odzyskała wesołość swoję, i ufna spojrzała w przyszłość; nawet Brzozosia się rozchmurzyła, oczy tylko ciągle dziwnie wytrzeszczając na nowego bogacza, jakby w nim zmiany szukała koniecznej. Rotmistrz był jakoś smutny, bo choć wierzył Wacławowi, miłej mu było oddawać córkę ze znacznym posagiem, niż magnatowi dziś szlachciankę niemajętną dla niego.

W Denderowie zaraz po odjeździe gości wszyscy się rozpierzchli, nikt tam z rodziny nie potrzebował nikogo; hrabina poszła dumać o pełznącej swej piękności i o kimś jeszcze, Sylwan o swem przyszłem ożenieniu, hrabia gryzł się zazdrością, Cesia roiła, że Wacława siłą wspomnienia i potęgą swych wejrzeń pociągnie. Zresztą nikt nie myślał zwierzać się drugiemu, każdy dźwigał swój ciężar, zgięty i smutny. Nie było w nich serca, nie było w nich czucia.

Cierpieli wszyscy, cierpieli! Hrabia wyrzucał sobie swój występek jak głupstwo, miotał się widząc stracone tysiączne korzyści, któreby mu była zapewniła cnota, łajał się i zżymał, ale po czasie, po czasie!

Sylwan i Cesia zarówno obiecywali sobie pociągnąć Wacława; ale po długim dość upływie czasu znaku życia nie dawszy, nagle dziś odezwać się nie było podobna; byłobyto odkryć rachubę, pokazać że nie serce ciągnęło ku niemu. Oboje nadto byli zręczni żeby tak począć sobie mieli; należało czekać, a oczekiwanie niecierpliwiło!... Cesia codzień bardziej brzydziła się Farurejem, i chciała z nim zerwać stanowczo, obawiała się tylko...

Taki był stan umysłów mieszkańców Denderowa, gdy się Wacław niespodzianie tu zjawił... Sylwan i Cesia spojrzeli i rzekli w duchu:

— Sam leci w sidła, tem lepiej!

Wacław uznał przyzwoitem odwiedzić stryja, pewien zresztą będąc teraz najlepszego przyjęcia: przyjechał jednak po dawnemu bryczką i ubogim zaprzęgiem, ubrany jak dawniej i bynajmniej nie zmieniony. Bogactwo nie zawróciło mu głowy, bo w szkole nieszczęścia nauczył się ceny ludzi, ceny pieniędzy i uczuć... Czuł się silniejszym teraz, ale ta siła przypadkowo rzucona mu od losu jak jałmużna, nie wzbijała go w pychę; czuł, że to nie był nabytek pracy, ale dar trafu — wygrana na wielkiej loterji świata, na której rzadko kto wygrywa!

Sylwan niby przypadkiem wyszedł na jego spotkanie. Cesia nie ustąpiła z okna; zobaczył ją z daleka. Hrabia przeszedł z nim zaraz do salonu, mając jednak tyle taktu, że go o nic nie spytał. Dopiero po półgodzinnej obojętnej rozmowie zaczęli mu winszować i dopytywać się wszyscy. Weszła i Cesia, wyświeżona, strojna zalotnym uśmiechem, z bukietem rezedy w ręku.

Wprzód nim weszła do salonu stała chwilę na progu, z ręką na klamce, z głową spuszczoną, myśląc co począć, jak mu się pokazać... Inną? — zmiana byłaby nadto widoczna i szybka. Podobną jak dawniej? — lecz czy to go przyciągnąć potrafi? Będę tąż samą i inną, odpowiedziała sobie cicho na własne pytanie, i prawdziwie chybaby nas wszystkich los na jakieś niepowodzenie niepojęte skazał, jeśli go nie potrafię rozmarzyć... odzyskać...

Wacław był całkiem wczorajszy, nic w nim nie

zdradzało zmiany położenia; z umiarkowaniem, z dawniejszą prawie bojaźliwością obchodził się z tymi, od których zawsze czuł się wyższym, a dziś i wedle świata większym był i potężniejszym. Ci wszyscy mieli dla niego teraz uśmiech uprzejmy, uścisk dłoni serdeczny, słówka grzeczne, nazwania czułe. Ścisnęło mu się serce na ten dowód słabości, dziecińśtwa ludzkiego! Ale gdzież jest inaczej? gdzie zbogacony nagle nie postrzeże, że pieniądz nadał mu wartość nową, miejsce inne, znaczenie wyższe? Pieniądz cudzy, zapracowany przez kogo innego, i nie wiem jakiem prawem przychodzący niespodziewanie, niezasłużenie, daremno?

Hrabia, jakby w przeszłości nic sobie do wyrzucenia nie miał, starał się być miłym, wyraźnie prosił przebaczenia i zapomnienia; pokorny, cichy, uśmiechnięty, ledwie nie dobroduszny, dumę schował do kieszeni. Sylwan zmienił ton, sposób obchodzenia się zwykły, słuchał, raczył odpowiadać, pytał nawet. Hrabina z ukosa mierzyła probierczym wzrokiem tego Wacława, do którego przez długie lata nie wiem czy dwa słowa wyrzekła, prócz rozkazów i wymówek. Cesia była zbyt zręczną, żeby się z chętką gwałtowną podobania wydać miała; pojęła, że nagła zmiana byłaby złą rachubą, że jeśli co Wacława do niej pociągnąć może, to wspomnienie; wpadła więc śmiało, śmiejąc się szydersko i natarczywie naskakując przybyłego.

— A! witam pana! zawołała nareszcie.

Wacław ukłonił się milczący.

— Winszujemy! winszujemy! Ale powiedzże nam pan, ten amerykański wujaszek jest-li to rzeczywistość, czy tylko puf sąsiedzki?

— Dotąd, jeśli puf, to przynajmniej urzędowy —

odpowiedział Wacław z uśmiechem.

— I ilość tego spadku aż na miljony doprawdy się liczy?

Wszyscy radzi śmiałości Cesi, słuchali, nie śmiejąc wprzód tak drobnostkowie rozpytywać go sami.

— Prawdziwie nie wiem — rzekł sierota — likwidacja nie skończona; wiem tylko że mam ładny hotel w Paryżu, coś tam na banku (kilkadziesiąt akcyj), coś w rentach pięcio- i trzyfrankowych, które dziś dobrze idą, jakąś willę na wsi i dość papierów różnych kompanij.

— Cuda! cuda! — śmiejąc się zawołała Cesia — a pan to jakoś bierzesz tak naturalnie, zimno, jakby to nie było wcale dziwnem, romansowem, przerażającem, sennem...

— Ja to biorę — podchwycił Wacław — jako rzecz prawie mi obojętną; przywykłem do ubóstwa, niewiele cenię to co posiędę. Będę niezależnym, przydam się może komu na co, i to w tym spadku najprzód cenię. Ale i bez niego miałbym dla siebie dosyć.

— Ale nie myślisz wynieść się do Paryża? — spytał Sylwan.

— A! nie! nie!— zawołał Wacław — nad wszystko kocham to ustronie, i żyćbym bez niego nie mógł; Francji nie cierpię, choć to ojczyzna mojej matki. Zostanę tutaj.

Obrócił się do Cesi:

— Wie pani, — rzekł — nadzwyczaj mnie cieszy, że mieć będę fortepiano Erard'a, które medal otrzymało na wystawie; jest ono w mojej sukcesji, i naprzód o przysłanie mi go napiszę. Pojmuje pani szczęście po siadania prawdziwego i najlepszego Erard'a?!

Na to naiwnie a z zapałem wyrzeczone dzieciństwo

wszyscy się rozśmieli. Cesia z politowaniem prawie na niego spojrzała.

— O! tak! tak! — dodał Wacław — z całej sukcesji najniecierpliwiej wyglądam mego Erard'a. Muszą mi go zaraz wyprawić przez Marsylję i Odessę.

— Ale gdzież je pan w Palniku postawi?

— To najmniejsza! Postawię u siebie w sypialnym pokoju. Chwalić się niem nie myślę, lubię muzykę dla siebie, nie dla popisu, szczęśliwym że się z nią nie będę zmuszony popisywać. Dla gości dosyć będzie obrzydliwego Knamm'a, oklepanego Bösendorfera, dla siebie w moim przybytku postawię Erard'a...

— Szczęśliwy! szczęśliwy! trzykroć i czterykroć szczęśliwy! — mruczała Cesia siadając przy nim. — Co chwila słyszę szczęśliwy... widzę żeś pan tak szczęśliwy, iż mu zapewne nic a nic nie braknie...

— Mogęż się skarżyć, spojrzawszy na to czem byłem wczoraj? — rzekł Wacław także ciszej.

Cesia zamilkła, ale rychło widząc ustępującego ojca i Sylwana, którzy cicho coś z sobą rozmawiając, ku gankowi ustępowali, a matkę zajętą książką, spytała Wacława:

— Prawdaż to co mówią, żeś pan przy miljonach znalazł zaraz i towarzyszkę do używania ich wspólnie?

Wymówiła te szydersko, złośliwie.

— Nie wiem o czem pani mówi — zimno odparł Wacław.

— Jakto? więc piękna Frania z Wulki jeszcze z panem nie jest zaręczona?

— Ze mną? panna Franciszka? ledwie się znamy — rzekł trochę zmieszany Wacław.

— Proszę! a tu takie plotki roznoszą, — dodała Ce-

sia. — Zawsze jednak broniłam pana i utrzymywałam, że to być nie może. Pan potrzebujesz kogoś coby go zrozumiał, pojął, ocenił — dodała z uczuciem, i szybko dokończyła kapryśnie — komu byś mógł zagrać choć wlazł-kotka. *A propos*, nie zapomniałeś pan grać przez te czasy?

— Nie, ale fortepianu u siebie nie mam jeszcze.

— Wszakże można wziąć jeden z naszych — żywo zawołała Cesia.

— Dziękuję pani; z Żytkowa od Gr... jużem sobie tymczasem zapisał wiedeński, ten postawię dla gości, a Erard'a u siebie przy łóżku.

— Jak pan swobodnie już tę swoję przyszłość nawet w drobnych szczegółach urządzasz! z nieznacznem westchnieniem mówiła hrabianka.

— Sądzę, że nie mamy sobie do wyrzucenia, i pani musisz marzyć podobnie, wszakze słowo już dane?

Cesia zarumieniła się.

— O! rok jeszcze cały mamy przed sobą, a rok to tak długi!

I nagle stała się sentymentalną; chciała go rozczulić, powąchała rezedy, położyła ją na stoliku tuż przed nim, niby dla poprawienia braunoletki, w istocie dlatego, by o niej zapomnieć i śledzić zdaleka, czy też nie zabierze jej Wacław. Ale on czytał dziś odczarowany w sercu i myśli wietrznicy, i choć go wdziękiem wspomnień młodości silnie pociągała, bronił się mężnie tej władzy, postanowiwszy nie poddawać.

Cesia wstała i poczęła chodzić po salonie.

— Nie zagrasz nam pan czego?

— O! chętnie! jeśli mi pani nie każesz wlazl-kotka.

— Nie, na ten raz uwalniam, mam nad panem li-

tość... Wlazł-kotek zostanie dla kogoś innego, dla kogoś, co tyle tylko umie, że się ledwie na nim pozna — dodała z przyciskiem. — A dla mnie... Chopin'a! Sprobuj pan, ja tak lubię ten marsz z jego sonaty, to jakby widzenie, jakby przeczucie śmierci!

— Pani lubisz Chopin'a? — spytał Wacław siadając do fortepianu — to coś nowego! Od jakże to dawna?

— Od czasu jakeś go nam pan zagrał tak ślicznie, raz ostatni! — nie zmieszana odpowiedziała idąc do szturmu. — Druga część tego marszu jak spiewna, jak mówiąca, jaka rzewna!...

— A! a! początek także, zdaje się z pod ziemi wychodzić! — unosząc się już zawołał Wacław.

— Ja wolę tę część drugą... Zdaje się że anioł ją śpiewa nad bladem ciałem zmarłego, unosząc się w powietrzu...

Ale Wacław już grał. Cesia chodziła po salonie, to na matkę, która z niejaką dumą śledziła jej kroki, to na ojca, który na nią także ciekawem rzucał okiem, spoglądając.

Lecz skończyła się pieśń pogrzebowa, umarły tony czarowne, i Wacław pod wrażeniem jakiejś smętnej myśli, która z duszy jego dobyła się, niewzruszony został przy fortepianie, z opadłemi rękoma, ze spuszczoną głową.

— Ktoby się tego domyślił — przerwała mu Cesia, zbliżając się do niego — ktoby się to domyślił, spojrzawszy na pana, żeś tak niedawno odziedziczył miljony... i fortepian Erard'a!

To mówiąc sparła się przy nim, i wzrok, którego znała potegę, zimny, wyuczony, natężony umyślnie, wlepiła w podniesione jego oczy. Jakże nie miał za-

drżeć, gdy przez te oczy pierwsza miłość, przebudzenie, sen anielski, patrzały na niego, a z niemi słodkie wypitych goryczy wspomnienie, z niemi pamięć więzów skruszonych, czarnej a lubej przeszłości, ozłoconej młodemi dumami?

Oboje milczeli, milczeli i dwa czy trzy razy mignęły ich spojrzenia, spotkały się, unikały, wróciły ku sobie, aż Wacław rzekł cicho:

— Więc za rok dopiero?

— Co, za rok?

— Weselé pani? Muszę o tem wiedzieć, bom wcześnie zaproszony.

— Za rok, tak, za rok! — złośliwie odparła Cesia; za rok, lub prędzej może. Ale ja myślę, że pan mnie prowadzić nie będziesz do ołtarza, chyba odprowadzać?

— Wątpię! — rzekł sucho Wacław.

— O tej Frani mówią, że taka ładna, taka naiwna!— rozśmiała się. — Jakto jej musi być do twarzy, gdy w fartuszku niosąc ziarno, drób' z ganku zwołuje...

— Wie pani! — oburzony zawołał Wacław—że istotnie ślicznie jej wśród tej sielanki, wśród kurek i gołębi...

— A! nareszcie wymogłam, żeś się pan przyznał. Więc śliczna! Otóżto lubię, to szczerze — dodała złośliwie, ale ze wzruszeniem. — Opiszże mi pan przyszłą kuzynkę.

— Tak daleko jeszcze myślą nie sięgnąłem...

— To może sercem! — szczebiotała hrabianka. — Ależ śliczna! wszak śliczna! — powtórzyła z przyciskiem. — Powiedzże mi pan, blondynka czy brunetka, słuszna czy mała?

— Pani to wie doskonale, bo ją musiałaś nieraz widzieć w kościele.

— Nie! nie! przepraszam, nie mam zwyczaju oglądać się za siebie. A zresztą, nie byłam tak ciekawa.

— Więc na cóżbym ją pani opisywał?

— Masz pan słuszność, nie warto!

Oboje zamilkli trochę znowu. Wacław od niechcenia decymami chodził po fortepianie; Cesia przeszła parę razy po salonie, i znów wróciła, naprzód wzrokiem, potem cała.

Wzięła bukiet rezedy ze stolika, ponosiła go chwilkę, zbliżyła się do fortepianu, i rzuciła go daleko na dekę, że się aż na ziemię stoczył. Wacław podniósł go i oddał jej z uśmiechem.

— Nie chcę go — odparła Cesia — rzuciłam umyślnie; rezeda mnie nudzi: mdły zapach, kwiatek niepozorny. Nie rozumiem dlaczego to sieją, dlaczego znoszą w ogrodzie i w salonie. A pan nie lubisz rezedy?

— Ja? — rzekł Wacław — lubiłem ją dawniej, dzisiaj...

— Dziś pan woli zapewne maki polne, asterki wiejskie i nogietki!! Cha! cha! — poczęła się śmiać do rozpuku, ale takim przymuszonym, nienaturalnym śmiechem.

— Być może.

Na tem zerwała się rozmowa, gdyż właśnie wpadł do salonu ścigający Wacława z Cielęcewiczem pan Maurycy Hołobok, który spieszył, jak powiadał wywrzeć swój wpływ na młodzieńca, i objąć nad nim przewodnictwo moralne — na korzyść listy prenumeratorów Trzytygodnika i Dwumiesięcznika...

Przywitawszy się ze wszystkiemi, literat pospieszył *odrekomendować się* (wyraz nie mój, ale własny pana Maurycego) hrabiemu Wacławowi, do którego przy-

lgnął zaraz ze szczególną zawziętością, wsiadłszy natychmiast na oklepane stołeczne nowinki muzykalne, których za lep użył, i mówiąc o Rubinim, o Pascie, o koncertach, o sztuce, o ocenieniu jej, o Thalbergu, o Liszcie, a dalej potrochu o sobie, prenumeracie i swojem pismie....

Chodziło mu bardzo, żeby swem paplaniem wysokie o sobie dał wyobrażenie; opowiadał jak pił z Lisztem kiedy ze stolicy wyjeżdżał, jak za pan brat chodził z Rubinim, jak Henselt pomimo swej dumy bił czołem jego teorji muzykalnej i jemu, jak wzniosły obmyślał sztuki system filozoficzny; dalej nastąpiły kawałki o artyzmie, o egzekucji, o pustyni Dawida — i t. d., i t. d...

Wszystko to szybko, niezgrabnie, ale effektowie przesuwał przed milczącym Wacławem, spiesznie, gwałtownie, sądząc że go tą fanfaronadą oczaruje i olśni. Niestety! łatwo jest poznać farbowane lisy: fałsz widać przez pożyczane pióra, i byleś je żywiej potrącił, polecą garściami, a zresztą kto głupi z urodzenia, temu żadne naukowe smarowania po wierzchu na to kalectwo nie pomogą.

Tak i tu się stało; przecież literat-estetyk-wydawca nie zważał, że pożądanego celu nie dosięga, nie mogąc przypuścić, żeby admiracji nie wzbudził. Co chwila wpadał on na swe mniemane teorje, na swe pojęcia nowe, i prędko dodawał: — „Ale nie czas tu rozwijać pomysły *moje* (!): pracuję nad obrobieniem ich, będę miał zaszczyt u pana w domu“...

Lub:

— „Teorje, o których tu napomykam, myślę wkrótce obszerniej rozwinione rzucić na świat. Nie taję, że ich nowość i śmiem sobie pochlebiać oryginalność, musi

wywołać opozycją, krytykę, ale to los wszystkich śmiałych nowości (!!); jestem do tego przygotowany, wiem że cierń czeka zbolałą skroń moją“ !

Najpocieszniejszem było, że to, co ten jegomość podawał za tak oryginalne, za nowe, było oklepanym, wywłóczonym już po tysiącu dzieł i dzienników *trueismem*, jak to Anglicy zowią; ale niezmięszany Hołobok, mając wszystkich za takich bałamutów jak sam był, śmiało sobie ruszał dalej, pewien że wszystkich odurzy, zaczmuci, że się nikt na nim nie pozna, a ci co zrozumieją jego szarlatanerje, nie odważą się o nich wyrzec głośno, obawiając się Dwumiesięcznika i Trzytygodnika.

Wacław słuchał, zdziwiony tylko zuchwalstwem, wielomownością odurzony, nie mogąc pojąć co znaczy ten popis tak pracowity. Tymczasem każde jego słówko chwytał pan Maurycy, i usiłował je, by się przypochlebić, ukazać czemś wielkiem; ale i to mu się nie udawało, bo myśli prostych, jasnych i istotnie nowych Wacława pojąć nie był w stanie. Tego rodzaju ludziom błyskotki tylko i nowostki do serca, jasna prawda dla nich zbyt cicho i skromnie się pali.

Wszyscy byli utrudzeni Cielęcewiczem, który od godziny już głosił teorją swoję wśród salonu, i rozszerzał jej granice poza najistotniejsze społeczeństwa warunki; — gdy nowy gość przybył do towarzystwa.

Byłto stary Kurdesz wygolony świeżo, wyczupurzony, przy szabli, a pokorny, kłaniający się i sypiący grafem dobrodziejem, i ucałowaniem nóżek jak z worka. Na widok jego stary hrabia pobladł widocznie, był to bowiem dzień, w którym właśnie mógł zapowiedzieć odebranie kapitału, i na to się zanosiło z przybycia.

Przyjęto go naturalnie jako najpożądańszego sąsiada przyjaciela.

Przestrach starego Dendery zwiększył się jeszcze, gdy Kurdesz po herbacie, schyliwszy się niemal do kolan gospodarzowi, poprosił go na chwilkę rozmowy w osobności. Żywo przystał na to hrabia, łudząc się wśród grożącego niebezpieczeństwa nadzieją niewczesną w głowie jego mieszały się najdzikszе pomysły, rozpaczał, to znowu roił nadzwyczajne jakieś posiłki; ale uśmiech zawiesiwszy na ustach, na czole spokój, okazując czułość i serdeczność niezmierną dla starca, poszedł z nim do sąsiedniego pokoju.

— Siadajże, siadaj, kochany stary mój sąsiedzie, — rzekł biorąc go w pół poufale — kto się tyle w życiu nadreptał, ma prawo odpocząć.

Na takie już słodycze zbierało się dłużnikowi, i rotmistrz tylko się skłonił pokornie, pogładził siwego wąsa, ale nie widać było, żeby go to do zbytku dotknęło, i tak począł:

— Ja hrabio mam maleńką prośbeczkę.

— Co każesz! co każesz, kochany, szanowny sąsiedzie.

— Nie tajno JW. hrabiemu — mówił rotmistrz — że mam córkę, którą dał Bóg do wzrostu dochować. Trafić się mogą ludzie, chciałbym ją za mąż wydać wprzód, nim oczy zamknę; potrzeba, żeby widziano co ma i mieć może: ludzie jesteśmy, taki to zawsze coś znaczy. Pewnie to różnicy JW. panu nie zrobi, gdy mi kapitalik mój w terminie łaskawie wypłacić zechcesz...

— Z duszy serca! — zawołał szybko hrabia, nie oka-

zując najmniejszego zdziwienia ani zmieszania — najchętniej, bardzo dobrze, dziękuję ci bardzo, że mi tak wcześnie mówisz, bo przy moich wielkich spekulacjach mogłeś mnie schwytać nieprzygotowanego.

To mówiąc, hrabia łykał ślinkę, ale się nie schmurzył, choć sam nie wiedział jak zaplaci.

— Bardzo będę wdzięczen — rzekł Kurdesz — bom właśnie zatargował wioskę i ułożyłem już przedugodne punkta.

— A! cieszę się bardzo! Jeśli wolno wiedzieć cóż to za wioska?

— To nie sekret, kupuję Ciemierniki.

— Ciemierniki! — rzekł głowę w górę podnosząc hrabia — Ciemierniki, od Farycewiczów? A! wiem! ale tam podobno jest wilk!

Szlachcic, którego najlatwiej było nastraszyć, zapytał żywo:

— Jakto? jakiż wilk?

— A! proces z Bogolubami o sukcessją, której na Farycewiczach dochodzą; coś zdaje mi się nakształt 9 do 10 tysięcy rubli.

— To rzecz wiadoma.

— Życzę się jednak pilnować — dodał hrabia odchodząc i dłubiąc w zębach — przytem, rzekł, Ciemierniki to glinka, góry, lasu mało i zniszczony, wody nic; a poczemuż dusza?

— Po pięćdziesiąt dukatów; mniej nie było można, majątki bardzo w górę poszły.

— To dosyć drogo, przytem na budowle, na forszusy dosyć będzie potrzeba.

— A! toć to wiemy panie — rzekł wzdychając rotmistrz.

— Nie jest to zbyt korzystne kupno — począł powoli Dendera.

— Być może, ale to mi przylegle, a zresztą rzecz skończona.

— Skończona? no! to oczywiście pozostaje mi tylko powinszować, i nie ma co już mówić o tem. Ale dziś zakupować majątek, przed ostatecznym zregulowaniem inwentarzy, jestto narażać się na wyraźną stratę: majątki spaść muszą.

— Bóg to wie — powolnie rzekł szlachcic — Bóg to wie. Spadną zapewne, by więcej jeszcze pójść w górę.

— A przytem — mówił ciągle formą rady przyjacielskiej hrabia — dla córki, dla przyszłego zięcia, kto wie, możeby kapitalik był pożądańszy.

To mówiąc filuternie się uśmiechnął.

— A! a! powinienem panu powinszować córeczki, bo choć nie mam szczęścia jej znać, ale widzę, że to być musi i piękna i miła osóbka: wszakto i mojemu Sylwanowi tak głowę zawróciła, że mi spokoju nie dawał...

— Wielki to honor dla mojego domku — odparł szlachcic z ukłonem — ale to zwyczajnie fantazja pańska...

— Zdaje mi się, że to coś więcej nad fantazją.

— Za nizkie to progi dla syna hrabiego — mówił rotmistrz przerywając rozmowę i sprowadzając ją na interes. — Więc mogę się spodziewać?

— A jakże, jakże! — wybuchnął hrabia głośniej — zapłacę ci, zapłacę ci w terminie, bądź spokojny! Ja nawet sam chciałem posłać cię spytać, panie Kurdesz kochany, czy tych pieniędzy potrzebować nie będziesz. Właśnie bowiem zbieram wszystkie moje kapitały.

ściągam je i chcę w moich spekulacjach na przyszłość się ograniczyć. Konfiskata klucza Słomnickiego uczyniła mnie ostrożnym, potrzeba się ścisnąć. Zostawię dzieciom i tak piękną, czystą fortunę, wszystkim długi pospłacam, córka dziś nie potrzebuje posagu, idąc za tak bogatego człowieka, jak marszałek Farurej....

— Więc możemy powinszować? — kłaniając się spytał szlachcic.

— Dziękuję, dziękuję ci kochany rotmistrzu; i Sylwana też muszę ożenić, żeby się ustatkował: to szalona pałka.. Dzięki Bogu — mówił rozgrzewając się coraz — wychodzę z moich spekulacyj zwycięzko! No! klucz Słomnicki stracony, boli mnie to; ale znacznie więcej przyrobiłem fortuny, którą zrealizowawszy, kupię zapewne dobra ziemskie, nie prędzej jednak, aż przełkniemy inwentarze... Tak, dziś kupować, byłoby płochością....

Mówił hrabia, a szlachcic uparcie milczał, niepokonany niczem. Naprożno go z różnych stron zaczepiał gospodarz — nie dał się ująć: wąsa motał, trzymał się grzecznie i pokornie, ale od swego nie cofał. Hrabia ani wiedział, zkąd te 200,000 weźmie; jednakże obiecywał uiścić się w terminie, zawsze mając nadzieję, albo się od wypłaty wykręcić, albo pieniędzy gdzieś pochwycić.,..

W kilka dni potem, Sylwan do interesów ojca się zbliżywszy, a swoich osobistych długów mając już po uszy, zawyrokował, że pora było myśleć o ożenieniu, i ruszył śmiało na polowanie posagowe. Pora zbyt była spóźniona, żeby do wód jechać: bogatsi już się porozjeżdżali do miast. Pożyczywszy więc kilkaset dukatów u Wacława, który po bratersku usłużył Sylwanowi, ubrawszy dwór swój w liberje świetne, powóz, konie i cały kawalerski swój porządek postawiwszy na najwyszukańszej stopie, ruszył do Warszawy, udając wołyńskiego magnata, po drodze sypiąc opisami swych tysiąców dusz, pałaców, przepychu do którego przywykł i świetnych familijnych związków.

Cesia pozostawszy w domu, innego rodzaju łowami zajętą była; usiłowała ku sobie pociągnąć Wacława, który od chwili jak tylko dojrzał jej zamiaru, ze wstrętem prawie począł od niej unikać. Nie czuł on odwagi i siły do boju, postanowił usunąć się od niego.

Palnik tak blizko był Wulki, że częściej u Kurdesza niż u siebie dnie spędzał nasz bohater, a życie tak mu się teraz wypłacało sowicie za doznane wprzódy boleści i troski! Tak błogie, spokojne szczęście świe-

ciło nad ich głowami, tak szybko płynęły chwile w towarzystwie księdza Warela, Kurdesza, Frani, a nawet Brzozosi, ożywiającej swą wielomównością, ciekawością i tysiącem śmiesznostek poważniejsze rozmowy, że bogacz zapominał o bogactwie, o świecie, i nie życzył tylko, by mu nic nie przerwało osnowy dzisiejszych dni jasnych.

Przywiązanie wzajemne obojga młodych ludzi nie uchodziło już niczyich oczu, tak było wyraźne, tak się z niem nie kryli. Kurdesz oczekiwał tylko formalnego oświadczenia, które Brzozosia z kabały wnosząc, uważała za bardzo blizkie.

Codzień prawie Wacław z Palnika przychodził z książkami, z małemi podarkami, z wesołą twarzą do Frani, w której pokoiku, u kominka, z Brzozosią i rotmistrzem dnie spędzali. Chociaż go w różne strony ciągniono, nie czuł potrzeby innego towarzystwa, nie spieszył nowych zawierać związków, bo dziś starano się o nie, a wczoraj jeszcze odpychano je prawie. Jakże nie miał podejrzywać ludzi o próżność i chciwość?

Całem zajęciem jego było ukształcenie Frani, uczynienie jej taką, jaką mieć pragnął. Szczęściem ona była jedną z tych istot uprzywilejowanych, którym Bóg dał serce wielkie i umysł silny, pojęcie bystre i jakby przeczucie wszystkiego co dobre, szlachetne i wzniosłe. Dla niej nauka była jakby czegoś śnionego, zapomnianego, łatwem przypomnieniem; a rzadko kto tak zdrowo i trafnie pojmował wszystko jak ona. Zdziwił się nieraz Wacław tej jasności sądu, której spodziewał się w niej, a przecież go zdumiewała. Zdawało się, że sercem i czuciem zgadywała wielkie prawdy, których wprzód czuła pragnienie i potrzebę. Zresztą jestli tak

drogiem to ukształcenie sztuczne, to wychowanie powierzchowne, którem błyszczą panienki nasze? Co Bóg raz posiał w duszy, jeśli się w piękny kwiat rozwinie, nie skrzywią pierwsze lata młodości, wieleżto braknąć ma człowiekowi, choćby nie miał poloru i nauki? Wolę wieśniaka z poczciwem sercem, z głową otwartą, niż pół-mędrka co nie ma serca, a głowę ciasną, napchaną ogryzkami strupieszałej nauki.

Umysł Frani tem potężniejszy, że rozwinięty bez męki, swobodnie, samoistnie, potężny z natury, był przygotowany do przyjęcia wszelkiego pokarmu najłatwiej, najchciwiej: serce mu pomagało. Jakkolwiek w rzeczach umysłu odmawiają sercu udziału, ileżto razy ten zaparty pomocnik, do którego się nikt nie przyznaje, kryjomo głowę i rozum podpiera, jak tajemnicza, cudowna siła, której dróg nikt nie zbadał, chodu nie dopatrzył, której nikt w twarz nie widział! Serce ma udział wszędzie i po dziele dopiero poznasz, że tam się wmieszało.

Jednego ranku Wacław i Frania siedzieli w małej izdebce, ożywioną wiodąc z sobą rozmowę. Brzozosia odeszła była na chwilę z kluczykami, gdy młody człowiek wstał z miejsca trochę wzruszony, ale poważny, zbliżył się do rotmistrzównej i biorąc ją za rękę, zapytał:

— Panno Franciszko, wszak pozwolisz mi powiedzieć sobie wielkie i ważne jedno słowo?

Domyśliło się dziewczę, spuściło oczy, umilkło.

— Milczenie, zezwolenie — rzekł Wacław zatrzymując rękę — nie potrzebuję mówić coś mogła wyczytać z oczu moich i mowy: kocham cię, silnie, szczerze, na wieki, powiedz, czy chcesz być moją?

Frania tak się zakłopotała swem szczęściem, choć go się spodziewała oddawna, że spojrzeniem tylko i uściśnieniem dłoni mu odpowiedziała; gdy i ciekawa ciwunówna wpadła nagle, a poznawszy co się święci, jak oparzona cofnęła się nazad pod jakimś pozorem do sieni, powtarzając nieustannie:

— Chwała Bogu, oświadczył się! chwała Bogu! jak Boga kocham, oświadczył się! Otóż jak mówiłam tak się stało... stało się... oświadczył się...

Tak sypiąc wyrazami bez związku, ani się spostrzegła jak nos w nos spotkała się ze starym, którego dość mocno w ramię uderzyła.

— Coto ci, panno ciwunówno? — spytał Kurdesz.

— A to pan! Już! już! — zawołała głos zniżając, ale tak jednak, że ją w całym domu slychać bylo — już! już! jak Boga kocham już!

— Co już?

— Oświadczył się.

— Kto? co? komu? o co?

— A! nie udawajże rotmistrzu, nie niecierpliw mnie; któż jeśli nie Wacław?

— Komu, pannie ciwunównie?

— Ale panie rotmistrzu, dajże mi pokój! Cóżto pleciesz! Frani! Frani! chodź! chodź!

I pociągnęła starego do pokoju za sobą co najrychlej, bojąc się jeszcze, by jej narzeczony nie uciekł.

Rotmistrz wszedł prawie przez nią wepchnięty, trochę sam niespokojny, szepcząc Zdrowaś Marja, które zwykł był pocichu i mentalnie we wszystkich ważniejszych życia okolicznościach odmawiać.

Zastał Franię u krosien schyloną, oblaną rumieńcem, ponsową i pomieszaną, Wacława przy niej roz-

rzewnionego, z uśmiechem na ustach i całującego podaną mu rękę. Ujrzawszy wchodzącego starca, Wacław się podniósł i postąpił ku niemu.

Brzozosia tylko głowę pokazawszy, bojąc się spłoszyć swą przytomnością formalne oświadczenie, usunęła się nazad i stanęła na warcie u dziurki od klucza.

— Szanowny rotmistrzu — odezwał się Wacław — pozwól mi dziś podziękować sobie za to zaufanie, z jakiem mnie do domu swojego przyjąłeś jak syna, nie obawiając się dozwolić mi starać o serce i przywiązanie swej córki, tego anioła waszej szczęśliwej strzechy. Dziś przyszła chwila stanowcza: proszę cię o jej rękę, z jej zezwoleniem.

— Niech Bóg błogosławi, niech Bóg błogosławi — płacząc rzewnie i wyciągając ręce zawołał rotmistrz — nie byłem ślepy, widziałem dawno, żeście się sobie podobali. Wola Boża, dla mnie starego wielkie to błogosławieństwo i nagroda... Ja cię kocham Wacławie, jak syna, ale... — Tu się zastanowił.

— Wszędzie jest jakieś ale, mój drogi chłopcze — kończył z westchnieniem stary. — Pomyśl, o pomyśl dobrze nad tem, co czynisz: młody, bardzo młody; pierwsze uczucie może przypadkowe masz za wieczne, a to dla ciebie dziś podobno niestosowna partja. Choć Bogu dzięki, szlachectwo nasze ledwie nie od wielu lepsze, choć imię uczciwe, choć i grosz się znajdzie; ale moja droga Frania prosta wiejska dzieweczka, a tyś hrabia, tyś miljonowy, ciebie inny świat pociągnąć musi.

— Mnie?

— Posłuchaj proszę, są to uwagi starej głowy, a otwartego dla was serca. Musisz się zbliżyć do swoich, a cóż ona tam pocznie? Chcesz, żeby jej urągali, by

się wiecznie paliła wstydem, nie znając ani obyczajów waszych, ani świata, ani mowy, ani języka.

— Ale ojcze kochany, jakiegoż towarzystwa Frania nie będzie ozdobą?

— Towarzystwa wedle Boga — rzekł szlachcic — to prawda, ale wedle świata, to rzecz inna; tam większy grzech nie umieć się ukłonić, niż bliźniego skrzywdzić; straszniejszy występek nie paplać po francuzku, niż przysięgę złamać. Przebaczają wszystko, prócz drobnostek w które obwijają się jak jedwabnik w nici swoje. W tamtym świecie Frania będzie obcą.

— Ale ja tego świata chętnie dla niej się wyrzeknę! — zawołał Wacław.

— Słuchaj i czekaj — przerwał Kurdesz — dziś dobrze ci tak mówić, ale co będzie potem?

— Miałżebyś mi nie wierzyć, rotmistrzu?

— Owszem, i kocham cię i wierzę ci, ale mojej drogiej Frani nie chciałbym dać tam, gdzie będzie niższą; ciężko mi na sercu, że ty ją bierzesz bogaty, możny... pan imieniem i rzeczą...

— Wolałżebyś mnie widzieć sierotą Wacławem?

— Nie kryję, że tobym wolał; miljony nie są rzeczą zbyt specjalną. Kto ma czysty, mierny mająteczek, a serce poczciwe, a głowę niezawróconą, temu te skarby są raczej kłopotem niż rozkoszą: pociągną go w świat fałszu, komedji, kuglarstwa i zepsucia.

— Ale mój kochany rotmistrzu, ja mówiłem i powtarzam, że tego świata nie chcę!

— Nie znając go! — przerwał Kurdesz — nie sztuka! Chcę właśnie, żebyś go poznał lepiej i wyrzekł się wiedząc co tracisz: toto licho złe, ale powabne. Chcę, żebyś przyszedł do mnie prosząc o Franię, pewien, że

tam cię nic nie zmęci....

Wacław i Frania spojrzeli na siebie niespokojni.

— Takie moje pragnienie, myśl moja, rozkaz wreszcie, jeśli tu rozkazu potrzeba. Niech Wacław rok przynajmniej pożyje w tym świecie, wyprobuje swojego przywiązania, a potem chętnie was i radośnie połączę.

— Rok! rotmistrzu kochany, to wiek!

— Chwila, kochany Wacławie, jeden zasiew, jedno żniwo. Tymczasem i ja się do weseliska przybiorę; a jeśli wam tak smutno rozstać się na rok, chcecie, to się zaręczycie. Zresztą Wacław u nas bywać będzie i widywać się możecie; tylkobym chciał, żebyś się trochę w świat puścił.

Zamilkli młodzi smutnie. Rotmistrz czując, że ich strapił, a nie mogąc od swego ustąpić, począł się prawie wymawiać i nieledwie ich przepraszać.

— Pozwólcie — rzekł — na tę fantazyją starego, niech to tak będzie. Uchowaj Boże, chyba choroby na mnie; no, to przyśpieszym ślub wasz.

— Co ojcze mówisz! — z wyrzutem poczęła Frania.

— Zróbcie jak proszę — mówił stary — posłuchajcie.

— Dość mi, że taka wola rotmistrza — odezwał się Wacław, całując drżącą jego rękę — szemrać na to nie będę: nie taję, że rok ten wyda mi się w życiu najdłuższym, ale kiedy tak każesz...

— Mój drogi Wacławie — rzekł stary ściskając go — jestem przekonany, że to dla dobra waszego. Trzeba żebyś świat poznał, żebyś swe przywiązanie wzmocnił, lub jeśli się okaże fantazją tylko młodzieńczą, ognikiem — wola Boża! Wolę żeby Frania przecierpiała rok i drugi, niżeli życie całe.

Żądanie starca zdawało sie niezachwiane: musiano

zgodzić się na nie; ale Brzozosia, która w tej chwili weszła z trzaskiem, rzuciła nań okiem takiego gniewu, takiej wymówki, jakby go zjeść chciała, jakby go nienawidziła. Porwała tylko klucze ze stołu i wyszła tłumiąc w sobie urazę, do której się przyznać, nie wydając że pod drzwiami słuchała, nie mogła. Ale idąc mruczała pod nosem:

— Zawsze ten człowiek musi swoim rozumem i po swojemu coś zrobić, a zawsze nie do rzeczy. Rok każe im czekać! Ślicznie, dobrze, rozumnie, robi co może, żeby się to rozchwiało, kiedy tu łapać trzeba jak ptaszka! Ale kiedy się mnie w niczem nie radzą, nie słuchają: wola wasza, z Bogiem. Gub sobie dziecko, wszakto twoje.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.